

182
Biblioteka Pedagogiczna CEN
nr inw.: KG - 1513



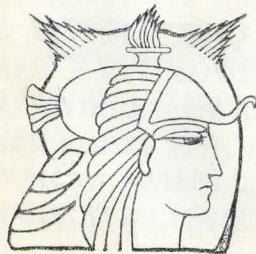
BC KSK / 1513



*Cypriana Norwida
Pism Zebranych tom F*

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium O.S.B.
w Białymstoku

~~1552~~ - 1513



Książki tej wytłoczono tysiąc siedmset dwadzieścia pięć liczbowanych i podpisanych przez wydawcę oraz nakładcę egzemplarzy.

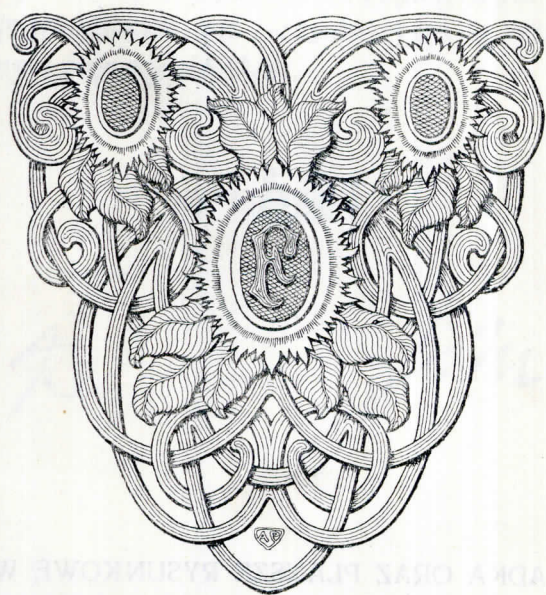
Z tych 26-ty do 1725-go na bezdrzewnym papierze prążkowanym, zaś 1-szy do 25-go na ręcznie zerpanym papierze włoskim.

Nr. **501**

z. *Φ.* *J.m.*

OKŁADKA ORAZ PLANSZE RYSUNKOWE W WYDAWNICTWIE CAŁEM POCHODZĄ WYŁĄCZNIE Z ARTYSTYCZNEJ PUŚCIZNY NORWIDOWSKIEJ. KARTY TYTUŁOWE, INICJAŁY, NAGŁÓWKI I PRZERYWNIKI RYSOWAŁ ADAM PÓŁTAWSKI. WIZERUNEK POETY W TOMIE NINIEJSZYM JEST REPRODUKCJĄ ŚWIATŁODRUKOWĄ POPIERSIA WYKONANEGO W GLINIE PRZEZ STAN. OSTROWSKIEGO.

CYPRYANA NORWIDA PISMA ZEBRANE



WYDAŁ
ZENON PRZESMYCKI
NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA

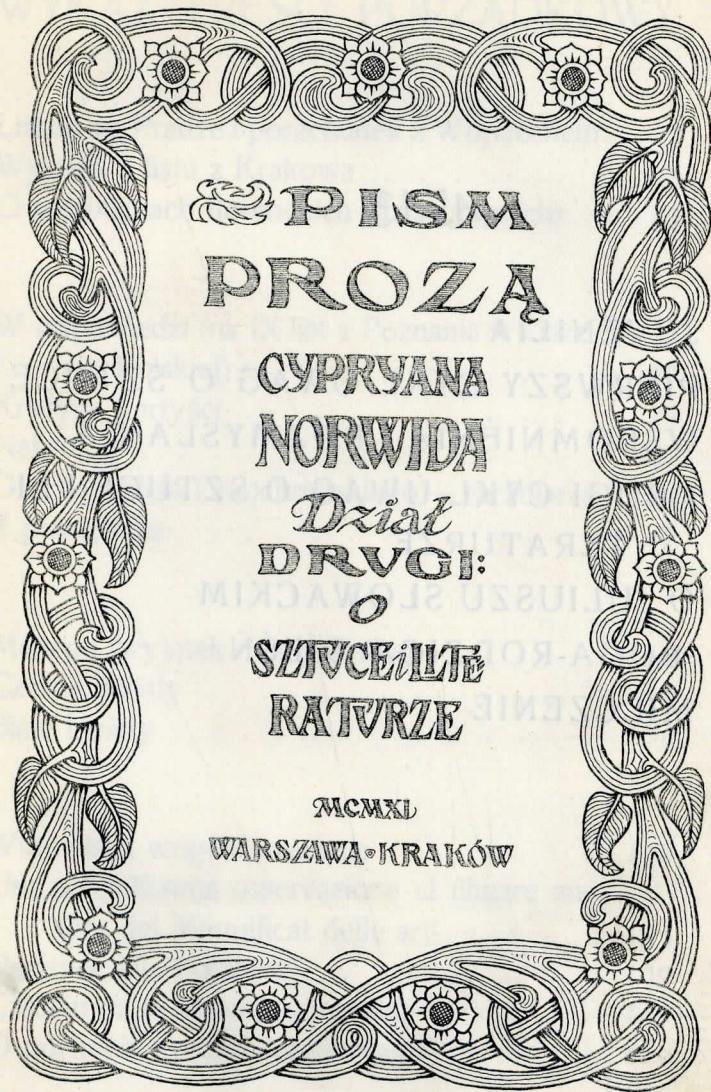
PISM PROZA

CYPRYANA
NORWIDA

Dział
DRUGI:
O

SZTUCEILTE
RATVRZE

MCMXI
WARSZAWA • KRAKÓW



1513

JUVENILIA

PIERWSZY CYKL UWAG O SZTUCE
WSPOMNIENIA I ROZMYŚLANIADRUGI CYKL UWAG O SZTUCE I LI-
TERATURZE

O JULIUSZU SŁOWACKIM

»BOGA-RODZICA« PIEŚŃ

MILCZENIE

WYKAZ TREŚCI PORZĄDKOWY.

Litkup na Pradze i porachunek z Wojciechem	3
Wyjątek z listu z Krakowa	5
O rzeźbiarzach florenckich (dziś żyjących) .	13

W odpowiedzi (na IX list z Poznania w Gaze- cie Polskiej)	27
Krytycy i artyści	33
Nekrolog	40
Do obywatela Dmochowskiego — rzeźbiarza	42
Z pamiętnika	47

Menego (wyjątek z pamiętnika)	59
Czarne kwiaty	67
Białe kwiaty	89

Widowiska wogóle uważane	113
Una picciolissima osservazione al illustre au- tore del Magnificat delle arti	125
O sztuce (dla Polaków)	129
Czasem na te zjawiska uważam	159
O portrecie i przeznaczeniu jego	162

Kilka

Kilka słów w zaszczytnem na cześć Jana Ma- tejskiego zgromadzeniu	166
Sztuka jako żywy organ społeczny	170
Sztuka okolicznościowa	178
Wszystkie ekspozycje razem	181

O Juliuszu Słowackim	183
O Balladynie	288

»Boga-Rodzica« pieśń, ze stanowiska history- czno-literackiego odczytana	301
---	-----

Milczenie	359
---------------------	-----

Przypisy wydawcy.

Opis dodatków artystycznych.

Skorowidz alfabetyczny.



WSTĘP

Wydanie Pism zebranych Cypriana Norwida, rozpoczęte przez Zenona Przesmyckiego (*Miriama*) w r. 1911 (z datą tego roku na karcie tytułowej), zamierzone było na ośm tomów, znaczonych kolejnymi literami alfabetu — od A do H. Wiosną r. 1912 trzy tomy, a cztery woluminy (A 1, A 2, C, E) znalazły się w rękach czytelników. Druk tomu F, acz rozpoczęto go równocześnie z tamtymi (dowodem liczne cytaty w przypisach do nich), ciągnął się dłużej. Odbijanie dobiegło do arkusza 31, gdy wybuchła pierwsza wojna światowa.

Wojna przyniosła z sobą liczne trudności techniczne, uniedostępniła potrzebny na wytworniejsze egzemplarze czerpany papier. Wydawnictwo uległo zawieszeniu. Po wojnie wydawca, choć sercem od Norwida nigdy nie odbiegł, pociągnięty został ku innym pracom: sprawował urząd ministra Kultury i Sztuki, gromadził — z wielkim nakładem czasu i trudu — obfite a rozproszone pisma Hoene-Wrońskiego, planując ich pełną, technicznie i naukowo nieskazitelną edycję. W stosunku do Norwida — w nowych warunkach, jakie stworzyło wskrzeszenie niepodległości państwa — za pilniejsze od innych zaczął uważać zadanie szer-

szej — wysoko zresztą rozumianej — popularyzacji jego dzieł najcenniejszych i najbardziej znamiennych. Stąd wydanie Pism wybranych — z setką przeszło petitowych stronic komentarza, którego przygotowanie musiało wiele czasu pochłonąć. Obszerna ta antologia ukazała się w końcu r. 1932 (z datą 1933). Ujawnione tymczasem inne pisma Norwida ogłosił Miriam w r. 1933 w trzech tomach p. t. Inedita. Niecierpliwość współczesnych, wśród których wzrosło tymczasem zainteresowanie dla Poety i obudził się nawet głód jego pism, skłoniła wreszcie Miriam do podjęcia (w r. 1937) jeszcze jednego wydania pod tyt. Wszystkie pisma Cypriana Norwida do dziś w całości lub fragmentach odszukane. Bezkomentarzowej tej edycji, zamierzonej na dziewięć tomów, ukazało się do września r. 1939 tomów sześć.

„Woluminalne“ te publikacje (Pisma wybrane, Inedita, Wszystkie pisma), zarówno jak luźne teksty pojedynczych utworów Norwida, ogłaszane w czasopiśmie, uważał Przesmycki za podbudowę do dalszego ciągu wydania Pism zebranych, które miało się stać pomnikowym. O wydaniu tym nie przestawał myśleć. Odpowiadając na wzmiankę o nim, uczynioną przez niżej podpisanego w jednym z filologicznych periodyków angielskich, upewniał (5 stycznia 1934), że wydawnictwo to „wewnętrznie bardzo się posunęło, choć się nie ukazuje“. Nie ukazywało się istotnie. Odbite arkusze tomu F ciągle czekały.

Tymczasem jednak przyszły równocześnie: nowa wojna i nieuchronna starość. Pod koniec wrze-

śnia 1944 r., w ostatnich dniach nieszczęsnego powstania warszawskiego, na schodach domu nr 31 przy ul. Żurawiej zauważono śmiertelnie zmęczonego, wynędzniałego, milczącego starca. Ktoś go zapytał, kim jest. — „Nazywam się Przesmycki“, odpowiedział. Nazwisko nie było obce pytającemu. — „Czy nie Miriam?“ — „Tak, Miriam“. — Jak dotarł na Żurawię z dalekiej w warunkach bitewnych ul. Mazowieckiej, na której mieszkał, niepodobna było dociec. Zabrano go do szpitala, który się mieścił w tym samym domu. Znalazł tam troskliwą opiekę i po kilku tygodniach niemocy dokonał życia — wedle relacji ordynatora szpitala dra Kaszyna, między 15 a 18 października. Zwłoki pochowano na ulicy, skąd zostały ekshumowane w maju r. 1945.

W kilka miesięcy później kontynuatorki Wydawnictwa J. Mortkowicza dowiedziały się, że tom F, o który w okresie rozpętania niszczycielskiej furii niemieckiej można było mieć jak największe obawy, nie zniszczał, aczkolwiek nie uniknął dotkliwego uszczerbku. Z nakładu 1725 egzemplarzy tysiąc przepadł, pozostałe jednak 725 zachowało się w składach drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie, dzięki uznania godnym staraniom kierowników tej zasłużonej firmy. Ta to ocalona część nakładu — w trzydzieści trzy lata po ukazaniu się tomów poprzednich, w rok po śmierci Miriamy — idzie dziś pomiędzy czytelników.

Pisma Poety, które tu się mieszczą, były już wszystkie drukowane i gdzieindziej, acz nigdzie w sposób tak monumentalny i nigdzie w takim,

jak tutaj ułożyć. Naczelną jednak wartość, dla miłośników zarówno jak i badaczy Norwida, stanowić będą „Przypisy Wydawcy“. Obejmują one, niestety, tylko drobną część tekstowej zawartości tomu, a przecież wypełniają dziewięćdziesiąt blisko stron, i jakież na tych stronach mieszczą bogactwo! Komentarz do rozprawki O rzeźbiarzach florenckich to przecie cały rozdział „biografii artystycznej“ Norwida, jakiego nie znaleźć gdzie indziej, i precyzyjna charakterystyka jego postawy wobec sztuki w okresie młodości (zob. zwłaszcza str. 472) Uwagi do Odpowiedzi na IX list z Poznania to znów jakże plastyczny obraz stosunków literackich, wśród których wypadło poecie działać i wśród których kształtowały się opinie i legendy o nim. Musiało tych przypisów, oczywiście, być więcej. Ile było? Czy te, co były, się odnajdą? Próżno się dziś kusić o odpowiedź na te pytania. To pewna, że owo piętno ruin, widoczne w tylu utworach Norwida i tak znamienne dla dziejów jego twórczości, i na tym jeszcze rozdziale tych dziejów zostało mocno odcisnięte. Ale Roma, quanta fuit, ipsa ruina docet, jak przypomina Poeta w drukowanym tu właśnie Menego. Cokolwiek by Miriamowi można było zarzucić — koturnowość stylu, czy jednostronność uwielbień, — pozostaje niezaprzeczoną prawdą, że on nie tylko Norwida dla nas odkrył, ale i wiedzę o nim bardziej, niż ktokolwiek inny dotąd, wzbogacił, i charaktrystycę krytycznej jego twórczości więcej, niż ktokolwiek inny dotychczas, się przysłużył. Niedokończenie jego dzieła norwidowskiego

budzi uczucie żalu, ale nie zmniejsza uczucia podziwu dla niego. Słowami Poety można powiedzieć, że są to „niedokończonych mar ogromne dzieje“. To też publikacja tomu F, mimo jego fragmentaryczności, jest chyba dostatecznie uzasadniona.

Tom ten, pobudzając do rozmyślań o Miriamie, przywołuje także wspomnienie nakładcy jego wydawnictwa, Jakuba Mortkowicza. Miriam znalazł w nim współpracownika pełnego zrozumienia, smaku, zapatu i odwagi, co na tle naszych ówczesnych stosunków wydawniczych zasługuje na szczególne uwypatnienie. Jego umiejętności techniczne, jego kulturalna ambicja zestroiły się harmonijnie z inicjatywą artystyczną Miriamy, czyniąc z Pism zebranych Norwida jeden z najoryginalniejszych i najszlachetniejszych druków polskich swego czasu. W szczególności wyposażenie wydawnictwa w liczne reprodukcje malarstwa i grafiki norwidowskiej jest zasługą tego wyjątkowego nakładcy.

Wydanie Pism zebranych się zamyka. Dalszym rozpowszechnianiem utworów Norwida i pogłębianiem ich znajomości zajmą się inni edytorzy w innych publikacjach. Ale miriamowskie tomy Pism zebranych będą dla nich niewątpliwie na długo bogatym zbiorem materiałów, podniet i wzorów: „mogił starych budowa będzie fundamentem“.

Wacław Borowy

Październik 1945 r.

JUVENILIA

1841—1845.

LITKUP NA PRADZE I PORACHUNEK
Z WOJCIECHEM.
WYJĄTEK Z LISTU Z KRAKOWA.
O RZEŹBIARZACH FLORENCKICH DZIŚ
ŻYJĄCYCH.

LITKUP NA PRADZE

I PORACHUNEK Z WOJCIECHEM.

RYCINA PIERWSZA, ROZPOCZYNAJĄCA ALBUM WYDAWANE PRZEZ P. J.
PIWARSKIEGO.



rzeba wyznać, że litografie, które w obecnym czasie tak dzielnie przyczyniają się do rozpowszechnienia smaku i wiadomości o dziełach artystów doskonalszych, u nas zdawna rzeczom technicznym wyłącznie poświęcone i ku temu jedynie polepszane, już przecie i na drodze *artyzmu* coraz więcej zaczynają się kształcić. Z pośród wielu albowiem prób pp. Oleszczyńskiego, Gepnera i Głowackiego, rycina, o której mowa, pod względem mechanizmu starannie wykonana, ma i estetyczne zalety. Pięć popiersi szczelnie ugrupowanych z gminnymi charakterami tworzy obraz rodzaju flamandzkiego nie bez barwy krajowej. Wojciech Mazur podpiły w czapce zbakierowanej zobaczył widać, jak już wiele winien arendarzowi, żyd zaś z większą może pamięcią, jak potrze-

potrzeba, wylicza na tablicy, co było i nie było, gdy tymczasem po lewej ręce chłopka przestrzega kuma, że wylewa gorzałkę, a za nimi parobek w szczerym uczuć wybuchu chciałby wszystkich uściskać. Te trzy szklanki w rękach, te śmiechy, ten tłum szczelny, ta baba dla pełności, zdaje się, zamieszczona, to wreszcie rozlewanie przypadkowe stanowi żywioł obcy — flamandzki; — żyd zaś, uśmiech Wojciecha, chłopka przestrzegająca i parobek za nimi z otwartymi rękoma są to rzeczy nasze, dialogowe, chociaż może zużyte. Co się zaś tyczy sposobu wykonania, ten choć dosyć jest śmiały, nigdy jednak nie zaniedbany, staranną czystością, a niekiedy i *elegancją* francuską się zaleca.

Te więc myśli moje, nie znawstwem ale szczerem uczuciem pokrzepione, jeżeli zwrócą uwagę krytyczniejszą na utwór p. Piwarskiego, korzystne może zdania posłyszemy o sztuce. Tymczasem zaś, wielbiąc przedsięwzięcie tak u nas niepopłatne, podziwiamy staranność, która mechanizm litografii tak widocznie podniosła i ku rzeczom sztuki skierowała.

WY-

WYJĄTEK Z LISTU Z KRAKOWA

W CZERWCU 1842 PISANEGO.



ilka dni ledwo jestem, a odebrałem tyle niespodziewanych wrażeń. Tu *oktawa Bożego Ciała*, świątnicy z męką pańską na długich pelerynach — gdzieniegdzie jeszcze kontusz, czekan, cech z chorągwiami, bractwo i lud krakowski. Zatrzymali się przed ołtarzem ustrojonym w zieloność, kotły ustały, zewsząd cisza, a pięćdziesiąt chorągwi kościelnych i cechowych, na podobieństwo masztów, pochyła się ku ziemi, i lud jak fala niżej, a całe miasto głucho; bowiem ze wszystkich ulic spłynęli w rynek i umilkli.

Dziwna jest, nad głowami kilkunastu tysięcy ludzi słyszeć przelotne śpiewy jaskółek lub szmer topoli zieleniejących w rynku. Z równą powagą cała odbyła się procesya, przed każdym ołtarzem przyklęnięto i powtórzono cichość — poczem znów śpiewy, kotły i głośnie nabożeństwo.

Ledwo

Ledwo się obrząd skończył, aliści biegną tłumem przez ulicę Wiślną ku szynkowni, z której wyjeżdża Tatar w jasno zielonej szacie, czerwonej krymce i zawoju śnieżnej białości: ma on szarfę przez ramię, nogi zaś nakreślone na uklejonym koniu, co większa, jakby długą przysłoniętym makatą, tak, iż pieszka nie widać. Płasa więc, z gęstą brodą, surowem obliczem i z gromiącą śmiałych *pauprów* buławą. *Konik zwierzyński**, nie doszedłszy do biskupiego gmachu, powrócił z wesołością uganiających za nim chłopców. — Mnóstwo osób rozmaitych klas społeczeństwa przyglądało się temu obrazowi, ci z nawyknięcia, ci *tak sobie*, ci wreszcie jako czynni z konikiem harcownicy; owi skutkiem społecznej dążności ku zbądaniu zwyczajów ludu; lecz, na szczęście, niewielu ostrych i niepobłażających sędziów, tych reformatorów tak nazwanej wyższej cywilizacji, których prostota razi i o gruby ją anachronizm gotowiby pomówić, jeżeli już nie o ciemne barbarzyństwa zabytki. Tak, jakby u wstawionych powieściopisarzy historycznych (czy trzeba dodać, iż nie mówię tu o Walterskocie?...) bohaterowie nie jeździli na uklejonych Rosynantach, z pod których nogi autorskie tak oczy-

* Zwyczaj od r. 1240 na pamiątkę wypędzenia Tatarów.

tak oczywiście wyglądają. Szczęściem, iż wdzięczna wyborowi w miejsce turniei posadzka nie raczy zdradzić śladu, który na gminnym piasku łacniejby się odcisnął....

....Niedługo potem kozernicy nową elekcyę króla kurkowego strzelaniem rozpoczęli — przed ósmym wizerunkiem w galerii panujących postawiono srebrnego kurka i łaskę marszałkowską. — Strzelają codzień, lecz, kto strąci ostatni szczątek celu, ten obwołanym będzie.

Oto jest, co spotkałem w *kronice żywej* (we zwyczajach), acz zużytymi nieco odcisniętej czcionkami — poczem przystąpię do sztuk pięknych jako plastyki przedmiotowej i uczeńszego przedstawienia.

...P. Jan Nepomucen Głowacki, znany z najpiękniejszych, jakie mamy, widoków Krakowa i okolic tego starożytnego miasta, nie ustaje w wycieczkach do Karpat, zkąd z łupami powraca malowniami. Pełen zamięłowania, mimo pedagogicznych trudów, z nową wiosną nowemi nęcony widokami, nie przerywając pracy tak pożądanej dla ogółu, zajmuje się poniekąd portretowaniem figur pięknych i wyrazistych. Studya te mają w sobie, mimo czystość kolo-

rytu

rytu, równie miły rysunek jak charakter szczęśliwie uchwycony. Działu widoków jest ozdobą czarowne morskie oko, ze swoją wielką, gładką szybą stojącej wody, w której się skały ośnieżone przepaścistym rzutem odbijają. I wodospad w Karpatach, różnobarwnością fali, a zwłaszcza tam, gdzie piasek zalega i mielizna, z całą prawdą oddany. Pan Statler, również krakowianin, głębszych pomysłów wykonawca, szczęśliwie grupujący, z wyrozumowaniem doświadczeniem, acz nie bez natchnienia i twórczości, — kończy Machabeuszów, pod wszelkimi względami niepospolity obraz. Prócz powyższego dzieła (mówię tu o Machabeuszach), którego treść solenna dla filozofa, dla poety, dla kogokolwiek bądź, dla człeka nie może być oziębłą — kilkanaście portretów, i głównie uwagę zwracający myśliwy (*con amore*), w pulchnym *fotelu* po przechadzce szukający spoczynku, u którego obuwie długie, jakiego strzelcy do błota zażywają, rozpiera się na miękko podesłanym kobiercu; z prawdziwą znajomością charakteru oddany, charakteru tej chwili sybarycko-indyferentnej.

Lecz jeszcze jeden obraz. Świętobliwa Jadwiga, idąc ku *Kaźmierzowi*, spotkała żwawych chłopców kotlarskiego rzemiosła, którzy w przyglądającym się jej tłumie na poręczy mostu uczepieni wieli spór

dli spór o pierwszeństwo okazania czci tej królowej. Żwawsi, nie mogąc wstrzymać długo trwającej sprzeczki, dla doświadczenia gotowości poświęceń skaczą w wodę... jeden z nich tonie... tłum się rzuca, ratują i wydobywają omdłego. Królowa Jadwiga w rozżaleniu odpiawszy szatę z boku, przysłoniła młodzieńca, który już do życia nie powrócił. Tę chwilę wziął artysta za przedmiot swojej pracy, obraz jest zaledwo rozpoczęty — że zaś podania mają w sobie pewną świętobliwą nietykalność, którą dodatek wszelki lekceważy lub ściiera, a treściwe, biblijne orzeczenie najulubieńszą jest ich szatą, trzymając się przeto słów legendy, nawet suknia Jadwigi (o ile możliwości) ma w ten sposób przedstawić się w obrazie, jaką być miała rzeczywiście — w kotlarskim bowiem cechu znajdowała się ona do roku 1809, w którym dla złotych nitek tej odwiecznej tkaniny za dukatów 4 ją sprzedano. Twierdzą, iż na pamiątkę macierzyńskiej czułości świętobliwej królowej był zwyczaj przykrywania umarłych kotlarczyków tym nieodżałowanym złotogłowem. A starzy ludzie wspominają nawet kwieciste wzory owej królewskiej szaty.

....Co do rzeźby, miło jest widzieć odwzorowane w gipsie z katedralnych grobowców posągi Kmity, kilku królów i tym podobnych wiele, — kształtniej

kształtniej ozdabiające nad porcelanowe pastereczki o wysokich korkach u trzewików lub w nadętej rogówce. A i budownictwo nie umiera; jakkolwiek bowiem w jednym z poznańskich pism czasowych zgorszo się, iż ganek jakiejś tam w rynku kamienicy przeciąża nieco kształty i odpowiedniości się sprzeciwia, — *Biblioteka* wszakże w dawnym stylu odkwitnąć, ciosowemi łodygami gotyckich łuków zapleść sklepienia usiłuje... Pan Kremer, budowniczy, jak najoszczędniej się obchodzi ze wszystkim, co ma jeszcze piętno starożytności, zachowuje je i ochrania, przykładem ofiarnika, zgarniającego popioł w nowo rzeźbioną urnę.

.... Co zaś do piśmiennictwa: *Literatury Wiszniewskiego* Tom IV-ty jest pod prasą; między innemi przedmiotami zawiera on historię Akademii krakowskiej od czasu jej odnowienia w roku 1400 do Zygmunta Starego, gdzie, prócz mowy Rektora wytlómaczonej z łacińskiego, wieloma obrzędami, z właściwym temu autorowi talentem skreślonymi, udratyzowano, że tak rzekę, fakta chronologiczne. Jest to tabela lat liczbami barwiona, malownemi liczbami, z których każda ma w sobie postać jakąś i dramatyczne stanowisko, na podobieństwo owych czcionek średniowiecznego rękopisu, w których rycerze zbrojni i Pańscy męczennicy

czennicy o treści widza uprzedzają. Mówiąc o topografii, przypominam szczególność w kapitule krakowskiej zostającą, a której przerys doskonały pan Wiszniewski posiada. — Jest to księga zawierająca kilkadziesiąt chorągwi, które pod Grunwaldem i Tannenbergiem postradali krzyżacy — pod każdym wizerunkiem objaśnienie Długosza, katedralnego kanonika, własną ręką pisane — której to księgi nadpis główny:

»Banderia Crucigerorum in Proelio prope villas Thamberg et Grunwald die 22 Julii 1410 sub Auspiciis Vladislai Jagellonis per Zindramum de Maschowyce Gład. Crac. et Witawtum Magn. Ducem Lithuaniae capta et in Ecclesia Majori Sancti Stanislai Cracoviae in signum Magnificae Victoriae deposita cura et studio Johannis Długosii Canonici Cathedralis Cracovien. peculiari libro membraneo depicta et descripta«.

Znany z dźwięcznych i pięknie wykończonych poezyi, utalentowany *E.... W....* nie ustaje w swych pracach. Pan *J. Konopka*, zbieracz pieśni krakowskich, — w podobnymże rodzaju, lecz z dodatkiem muzyki, niektórych legend i miejscowych godnych uwagi rysów, pieśniami Mazowieckimi się zajmuje. Oto jest wszystko, co chwilowo przebywający mógł napotkać, zwłaszcza, iż czytelników głównie zajmują dzisiaj

dzisiaj dwa artykuły Tygodnika; jeden z nich, jak się zdaje, przez miejscowego napisany, gdyż nazbyt wtajemnicza i tętna skrytych sprężyn jawnemi okazuje. Drugi *Objazdówka* (czy dlatego że niesforność objeżdża?), gdzie, po historycznym wizerunku domowego życia Galicyi, autor, przechodząc Wilno, Warszawę, tę ostatnią z zewnętrznej dotknął za ledwo strony. Byłoby tam do powiedzenia i więcej i dobitniej, jeno nie z tego stanowiska, z którego miał się pisać...



O RZEŻ-

O RZEŻBIARZACH FLO- RENCKICH (DZIŚ ŻYJĄCYCH).

»CREDETTE CIMABUE NELLA PINTURA
TENER LO CAMPO, ED ORA HA GIOTTO IL GRIDO,
SI CHE LA FAMA DI COLUI OSCURA«.

DANTE (CANTO DECIMOPRIMO) PURGATORIO.

MNIEMALIBYŚCIE, ŻE SAM CIMABUE
MALARSTWA POLE ZAJĄŁ; ALIĆ GIOTTO
URASTA — TAK, ŻE CIEN TAMTEGO OKRYŁ!...

DANTE.

1.



la określenia stanowiska dziś żyjących artystów, a osobliwie we Florencyi, gdzie przeszłość sztuki tak obfita, nieuniknionym jest warunkiem odświeżyć sobie w wyobraźni tę nieskończoną, że tak nazwę, *Genezis* szkół i mistrzów, przez którą i dla której współcześni kształcąc swe talenta, dopiero w odniesieniu do estetycznej swej przeszłości sądzonymi być mogą. Wszelkie inne *kryterium* musiałoby się wesprzeć albo na akademii albo na publiczności: tej ostat-

tej ostatniej wyroki, a zwłaszcza estetyczne, za jedną dobę nie sięgając, tworzą to, co powszechnie smakiem epoki nazywamy; gdy z swojej strony akademii, w dzisiejszem jej znaczeniu, będąc jakby rękojmnią istnienia sztuki wogółności, słusznie, iż wdawać się nie raczy w interesa doczesne ruchawej polemiki.

Sąd przeto, jak mówiłem, o współczesnych artystach, dopiero w odniesieniu do estetycznej ich przeszłości stanowczo może się rozwinąć — a dla których to powodów Akademia florencka, na sobie samej nie przestając, celujących alumnów do Rzymu zwykła posyłać, ażeby jednostronnie na chrześcijańskiej szkole wykarmioną ich dążność zapoznać z duchem starożytnych, niżeli się uczują o własnej sile i na drodze, która im słusznie przynależy.

2.

Niżli florencka akademii do tego stanu przyszła, w jakim ją dzisiaj oglądamy, poprzedzały ją *szkoły* w długim ciągu *podania*, jakie uczeń od mistrza dla przyszłych uczniów swoich przechowywał i kształcił. Tę *Genezis* artystów, o ile jeszcze się odbija i na współczesnych wpływa, po krótkości nadmienię.

3.

Giotto, jest patryarchą tej chrześcijańskiej szkoły,

szkoły, którą *staro-toskańską* albo *mistyczną* zowią, malarz, rzeźbiarz, architekt, a jednym słowem *mistrz* skończony, to nowe ziarno sztuki z zarodem bardzo samodzielnym na ziemi Danta był zasadził około roku tysiąc trzysta. *Pisano* i *Ghiberti*, a po nich *Donatello*, gałąź rzeźby stanowią; ta nosi piętno niewinności i wielkiego natchnienia, samoistności i prostoty do roku tysiąc pięćset. W tym wieku rodzi się *Cellini*, a dotąd na usługi świątyń pańskich oddaną przenosi rzeźbę do pałaców i obleka ją w złoto, albo zadziwia lud florencki niedorównanym *Peruszem*. Sztuka staje się *świecką*, czuje potrzebę erudycyi, tracąc wiele na duchu, ale na wykwinności i na rysunku korzystając.

Jest to jakoby chwila, w której ustne *podanie* zamienia się na szkołę, a starożytna doskonałość uśmiecha się do mistrzów chrześcijańskiego ducha.

I tak, do roku tysiąc pięćset sześćdziesiątego i czwartego, gdy obarczony wiekiem *Michel Angelo Buonarotti*, malarz, rzeźbiarz, architekt, a jednym słowem mistrz skończony, jakim był *Giotto* na początku, zdaje się jedną ręką zamykać szkołę chrześcijańską, drugą zdążać ku mistrzom starożytnego świata, bo niedarmo obiema zarówno łatwo przechodziło temu artyście władnąć*.

Od

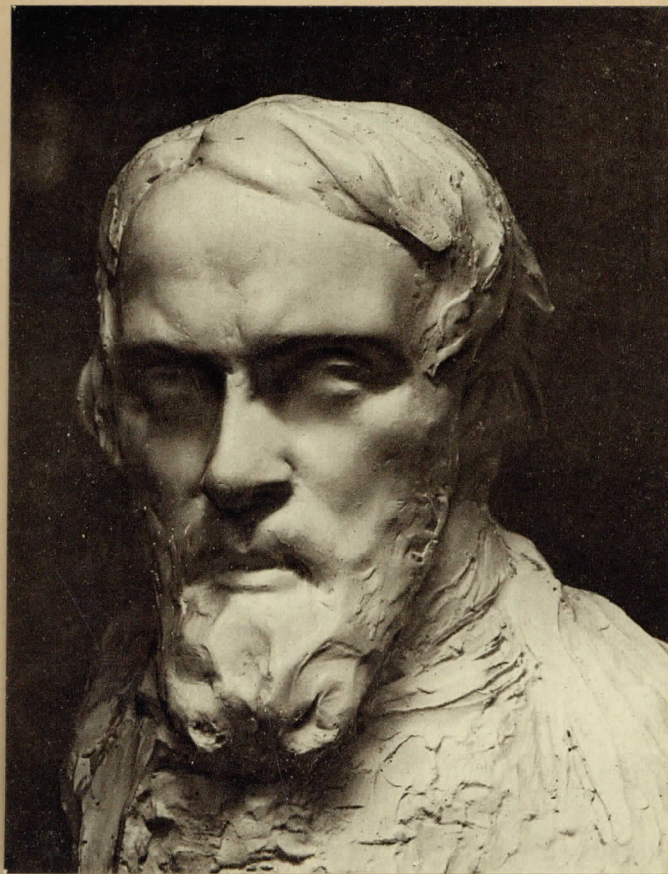
* Historyczne.

4.

Od *Campanili* Giotto* pierwszej w swoim rod-
zaju, do najpierwszego gmachu w świecie**,
wiele jest imion ludzkich jaśniejących w historii,
ale dwa najjaśniejsze u krańców sztuki chrześciań-
skiej: Giotto i Michał Anioł.

5.

Odtąd, karta upadku i pojedynczych usiłowań
bez widocznego ciągu — jedni, za Buonarottim po
kolosalność idąc, przestawać muszą na zewnętrznej
dużości materiału, jak to naprzykład *Bandinelli*;
drudzy się uciekają po gotowe już formy do staro-
żytnych mistrzów, jako to np. *Jan Bologna*, mistrz
wielkiego talentu, dotykający *manieryzmu* pod ko-
niec świetnej swojej drogi. A inni wreszcie, jak *Ber-
nini*, absolutni we wszystkim, oboma gardząc prze-
szłościami, i chrześcijańską i pogańską, stanowią dzi-
wne odszczepieństwo od wszelkich zasad sztuki
i niezwykle talenta zdają się trwonić dla kaprysu. Na
stronę tego ostatniego (*którego sądzę jak rzeźbiarza,
lubo był także architektem*), to tylko wyrzec mogę,
że urodzony w Neapolu, gdzie nie miał prawie po-
przedników,



* Wieża przy kościele śgo Jana we Florencji.

** Kościół śgo Piotra.

przedników*, mnóstwem swoich utworów i niezrównaną pośpiesznością chciał jakoby doścignąć *Florencję, Pizę i Sienę* i tyle innych współzawodnic opóźnionego *Neapolu*.

6.

Kiedy *Winckelmann*, teoretyk, na ten upadek sztuki z politowaniem patrząc, dzieła swoje ogłosił, po raz pierwszy tak silnie przysła w pomoc *krytyka* i uprzedziła geniusz, który własnem natchnieniem na tejże drodze się postawił. *Canova* i *Winckelmann* jedną postać stanowią: tamten czynem, ten słowem.

7.

— Odtąd tłum naśladowców — i, niedawno, *Thorwaldsen*...

A teraz — o współczesnych:

8.

Dwa są główne kierunki, ku jakim zdają się nakłaniać dziś żyjący artyści — pierwszy jest jakby ciągiem oswobodzenia sztuki, rozpoczętego przez *Canovę* i *Winckelmanna* dzieło; drugi, zwrotem ku dawnej staro-toskańskiej szkole, który stylem *purystów*

* Zwracam uwagę, iż głównie tu mówimy o *rzeźbie chrześcijańskiej*.

rystów, dla prostoty rysunku, niewyszukanej kompozycji i czystego natchnienia, nazywają. — Obadwa są *krytyczne*.

9.

Do pierwszego należą:

Bartolini. — Ten za życia *Canovy* już był znanym artystą, przebywszy długi czas we Francyi, gdzie nawet kończył akademię, wiele robót wykonał, a od Napoleona ozdobiony znakiem honorowym do ojczyzny powrócił. Profesor *Bartolini*, jako naczelnik akademii przy *wydziale rzeźbiarstwa* we Florencyi, umiał się zręcznie zastosować do miejscowej historyi, a o ile sam dąży za epoką *Canovy*, to jest, że ideałem klasycznym się zaprzęta, o tyle w swych teoriach, w swoim wpływie na uczniów i na wybór ich pracy, zdaje się skłaniać ku *purystom*. Dwie ogromne pracownie *Bartolini* zapełnił, a, jak mówią, te nigdy chwilowej próżni nie cierpiały. Głównym jego utworem *grupa* złożona z trzech osób, wystawująca bohatera (czasu wojny trojańskiej) mszczącego się na dziecku, które w obliczu matki chce roztrzaskać o ziemię — widać zaraz, iż pomysł dla sytuacji wyszukany, jakoż bez wątpliwości jest to wielkie *ćwiczenie*, a zgoła dzieło *profesorskie* — tylko że myśl przedmiotu z natury swojej

swojej bardzo mała zdaje się niknąć pod ciężarem *kolosalnego wyrażenia* tej co do form uczonej i bardzo śmiałej kompozycji. Również na dokończeniu, jak dzieło wyżej wzmiankowane, daje się widzieć *alegorya* na sposób starożytny pod postaciami trojga dzieci szczęśliwie wyrażona. Tu Bartolini pojął, że arcy-mądrze starożytni pod tą formą leciuchną wielkie prawdy zaszczeplają albo zręcznie dosięgać umieli epigramem. Jakoż w rzeźbie ich widać, o ile *kształt dziecięcia* odpowiada *kształtowi satyr i epigramów*, który ma być igraszką równie mądrą jak lekką i mile w oko wpadającą. Bartolini, na licach młodziuchnego *Bachusa* *zbytek* łącząc z dzieciństwem, już przez to samo go ocenił — i poznajemy go, jak leży, czasę w rękę trzymając obluźganą napojem — gdy z jednej strony *Amor* pochylony nad *zbytkiem* zdaje się ciszę nakazywać, a dalej geniusz sztuki odepchnięty spoczywa, jak niegdyś młody Giotto, kiedy jeszcze pasł trzodę — tylko że *Cimabue* ku jego wsparciu nie przychodzi... Te są ostatnie z robót zasłużonego profesora, że nie wspominać wielu acz kolosalnych figur, mnóstwa *biustów* etc... Bartolini niedawno dla *hrabiny Zamojskiej* piękny pomnik wykonał, w nim starał się połączyć dążność sobie właściwą ze smakiem wieku czternastego, na co, o ile sędzę, musiał wpłynąć cha-

charakter wielu innych pomników, w tymże kościele *Santa Croce*, gdzie i jego praca, umieszczonych.

10.

Nie inną drogę obrał profesor *Santarelli*, którego Akademia florencka wychowała, a na którego w Rzymie wpłynął nieco *Thorwaldsen*; — ten niedawno wykonał *Michel Angiola Buonarotti* w sposób, że niepodobna wyborniej oddać charakteru tego wielkiego mistrza. Toż samo czoło pochylone i każdy rys złamany, też sama w obu rękach czynność — prawą oparł na biodrze jak patrycyusz florencki, gdy w lewej dłutem się zabawia; — jest to jakoby chwila między szturmem *Florencyi* a budową *kaplicy Medycejskiej*.

11.

I profesor *Costoli*, z początku malarz, dzisiaj rzeźbiarz, należy jeszcze do kierunku oswobodzenia sztuki, a lubo spostrzegamy od niejakiemu czasu, że zdawałby się skłaniać ku narodowej szkole, — jest to wszakże owocem nadzwyczajnej biegłości i łatwości pojęcia, nie zaś przyrodzonego charakteru artysty. Jego jest piękny pomnik dla *podskarbiego koronnego*, gdzie artysta przedstawił w nieporównanej płaskorzeźbie, jak Chrystus Pan co Boskie od cesarskie-

sarskiego dzieli. Dla familii Zamojskich Najświętsza Panna Marya, opiekująca się rodziną zgrupowaną u dołu, i wiele innych robót to w stylu *Thorwaldsena*, to *starożytnym*, to *Canovy*, to wreszcie *mistrzów narodowych*. Tak, że trudno określić *estetyczne wyznaczenie* tego biegłego profesora, a przeto właśnie go zaliczam do pierwszego kierunku.

12.

Profesor *Ludwik Pampaloni*: ten prawie samodzielnie i wstępnym bojem doszedł tego pięknego stanowiska, na jakim dziś go spotykamy. Teoryom mało dając ucha, wcześniej zaczął pracować pod okiem brata (który nie był doskonałym artystą). Potem, gdy ogłoszono konkurs akademicki, medalem złotym ozdobiony: lecz nie znajdując sposobności wykonywania rzeczy, któreby mu przyniosły korzyści artystyczne, musiał się zająć robotami drobnych fraszek, jak mówca do ateńskiego ludu wychodzący z bajeczką. Zrazu nie zwrócił on uwagi publiczności florenckiej, ale kiedy *Thorwaldsen* przez to miasto przejeżdżał, umiał go zająć Pampaloni, a niezadługo potem od Thorwaldsena wskazanemu Wielki Książę tokański starał się znaleźć zatrudnienie — co jednakże tak rychło, jak sobie życzył Pampaloni, nie osiągnęło skutku, a że pod on

pod on czas ozdabiano plac katedry florenckiej, Pampaloni się podjął dwa kolosy postawić. Brunelleschi i Lapo* można uważać za najpierwsze dzieła tego artysty, bo ledwo były uprzedzone *modlącym się chłopczyną*, na całym świecie dziś znajomym z gipsów i licznych kopij. Rzekłbym, iż Pampaloni po tej pierwszej modlitwie myśl od nieba powrócił, ażeby, hołd publiczny wielkim mistrzom oddawszy, własną drogę rozpocząć. Następnie, jeszcze trzy kolosy w różnych miejscach Toskanii, i wiele monumentów po różnych krajach Europy, i kilka we Florencyi, nieskąpo o talencie artysty zaświadczyły. Król bawarski doń pisał, a Akademię rzymską, medyolańską, wiedeńską powołały na członka. Pampaloni wykonał dla *hrabiny Krasińskiej* i teraz właśnie kończy dla *hr. Tyszkiewicza* dwa nader piękne monumenta, a wiele innych jego robót zakupiono do Polski. Tego artystę stawiam między pierwszym kierunkiem a drugim, który rozpoczyna niedawno znane imię — *Dupré*.

13.

Dupré, rodem z *Sieny*, przed trzema jeszcze laty rzeźbił z drzewa ozdoby i był jakoby rzemieślnikiem, nie zaniedbując wszakże kształcenia się w rysunku

* *Brunelleschi* i *Lapo*, architektki.

sunku, o ile czas pozwalał. Czuł on dobrze, że nie to było mu z góry przeznaczonem, jakoż starał się o sposobność dla odkrycia swej myśli, a otrzymawszy polecenie wykonania dwóch figur, zabójstwo *Abla* wziął za przedmiot, i po raz pierwszy jego *Kain* na florenckiej wystawie dwa lata temu się pokazał. Zadziwiła powszechnie dokładność wykończenia i mówiono obszernie o tem nowem zjawisku, nie bez ostrej uwagi nad *falszywym ogółem*. Lecz, gdy *Abla* odkryto, tę bez błędu figurę, były głosy, iż łatwiej przedstawić człowieka umarłego, odnosząc się po życie i energię wyrazu do pierwszego z utworów. Mimo tysiącznych uwag mianowano *Duprégo* profesorem florenckiej akademii, a wdzięczna mu *Siena*, kiedy powracał do niej dla chwilowego odpoczynku, u bram miasta witała i prowadziła go w tryumfie. Dziś pozostaje we Florencyi. Wielu biegłych krytyków nie wróżyło *Duprému*, dla tak nagłego wzrostu, rozwinienia się nadal i ciągłego postępu — w ostatnich wszakże pracach swoich umiał zbić to mniemanie i niepodobna mu zaprzeczyć, że należy do pierwszych, którzy się *szkoły narodowej* uchwycili z zapalem.

14.

Fedi jest rówieśnikiem tego młodego profesora. Był on długo *sztycharzem*, lecz dla słabości

oczu musiał wreszcie odmienić to drobiazgowe zatrudnienie. Odbył następnie akademię rzeźbiarstwa we Florencyi i udał się do Rzymu, gdzie w przeszłym roku oglądano *ś-go Sebastjana*, którego był umieścił na publicznej wystawie. Dziś, powróciwszy do Florencyi, zajmuje się pomnikiem dla *Nicola Pisano*. Wielka sztuki znajomość, doskonałość rysunku i starożytnych mistrzów nieniewolnicze zrozumienie zdawałyby się wróżyć niezwykłego artystę. Tego jeszcze załączam do kuszących się mocno o *szkółę narodową*, którzy oparli się na mistrzach, co kilkaset lat temu kamień węgielny założyli, ani gotowe określenia od starożytnych biorą, ani swawolnie naśladują, ku czemu woła ich publiczność! —



PIERW-

PIERWSZY CYKL UWAG O SZTUCE

1849—1851.

W ODPOWIEDZI NA IX LIST Z POZNANIA
W GAZECIE POLSKIEJ.
KRYTYCY I ARTYŚCI.
NEKROLOG.
DO OBYWATELA DMOCHOWSKIEGO —
RZEŹBIARZA.
Z PAMIĘTNIAKA.

W ODPOWIEDZI NA IX LIST Z POZNANIA W GAZECIE POLSKIEJ.



uszę też do »Listów z Poznania« list napisać stylem »smaku zdrowego«, który byłby arcy pożądanym przy tylu rzeczach mało smacznych lub trucizną zaprawnych — albo zieloną zasztych pleśnią, albo barwy nijakiej... Przy tylu rzeczach, mówię, smutnych, w jakie obfitują czasy te. W *listach* onych, zaprawdę, daje się uczuć powiew zdrowia i miłości i życia — z kąd bardzo słusznie orzekają o literaturze poza krajem, że *niejedność myśli i obrazów i słów samych użycie niestosowne* gałąź oną cechuje. Tylko się pisarz w jednym myli, to jest, iż zowie *manieryzmem* usychanie i boleść. Manieryzm bowiem jest *oschłością*, a oschłość nie jest *usychaniem*. Manieryzm kłamanem życiem jest i ma barwę zieloną, jak skrecone wiatrem drzewo młode, wewnątrz próżne żywota; kiedy *usychanie* jest przeciwnie harmonijnem przejściem

ściem z życia w proch. Ruisdaela naprzykład krajo-
brazy często utraciłyby niezmiennie, gdyby kto po-
zwolił sobie odjąć z grupy drzew nad strumieniem
kilka suchych gałęzi zachodniem słońcem ozłoco-
nych. Owóż, co innego jest *uschnięcie*, a co innego
oschłość. Manieryzmem jeszcze jest to wszystko,
cokolwiek bądź dla sztuk w Polsce czynią obywa-
tele zasłużeni i utalentowane nawet pióra przez *Li-
sty z Poznania* cytowane. Bo w tem wszystkiem
niema najmniejszego dla sztuk zamięłowania, i jak
pan Rastawiecki albo Kraszewski wam ogłosi życia
rzeźbiarzy naszych, malarzy i sztycharzy, to się
o tem najlepiej przekonacie. Będzie to dowodem
najjaśniejszym, że społeczeństwo polskie nie poli-
czyło do swych potrzeb umiejętności tak zbytko-
wych. *Wit Stos* osiadł w Norymberdze i Bawar-
czycy go zabiorą. — *Chodowiecki* w Berlinie,
a w Amsterdamie *Płoński*. — *Falk* się będzie *Polonus*
podpisywał, żeby go potem kto odszukał i do
ojczyzny przeniósł. O wielkich mówię to artystach,
a cóżby dopiero przyszło dodać o usposobieniach
mniej genialnych.

Więc po co kłamać już przed sobą — albo tal-
mudyzmem to nazywać, co opiewa *Psalmista*? —

»A gdy nas tam pytali... mówiąc — śpie-
wajcie nam pieśń z pieśni syońskich —

»Odpo-

»Odpowiedzieliśmy: Jakoż mamy śpiewać
pieśń Pańską w ziemi cudzoziemców?

»Jeśliż cię zapomnę, o Jeruzalemiel! niech
zapomni sama siebie prawica moja«.

Bo nie bez pewnej znajomości powiadam wam,
że sztuka sztucznymi sposoby się nie stawia i że
jeszcze dotąd niema *sztuki utworzenia sztuki*. *Pię-
kne* albowiem jest rumieńcem i jest jakoby barwą
dobra — i jest jakoby tym rumieńcem, który wy-
rzutca na twarz serce niewidzialnie w sobie poruszone.
Rumieńca takiego nikt nie skłamie, albowiem zwią-
zany jest z zupełnym ciałem i ducha całokształtem.

Ja wam powiem, co jest sztukmistrz w Polsce,
i zobaczycie, że Kraszewski, który dobrze potrafi to
zrozumieć, w tymże duchu wam powie.

Oto macie *horoskop*:

Urodzi się bardzo słabowitym, ale tego lekarze
nie przyznają — będzie ślepy kilka razy, ale okulista
mu zaręczy, że ma oczy dziwnie doskonałe — bę-
dzie potem kilka lat pracował, a sztukmistrze epoki
nie odmówią zdania pochlebnego. Będzie, jednym
słowem, po polsku (i jasno) mówiąc, *konął*, ale nic
nie *wykona*. Jeżeli mu polecą stawiać pomnik, to na
miejscu, gdzie bomby padać mają — jeśli *fresk*, to
na ścianach, które łuna ozłoci i rozryją kartacze nie-
przyjaciół. — Michała Anioła więc pokocha za to,
że bro-

że bronił miasta swego, a był rzeźbiarzem i malarzem i architektem i żołnierzem i poetą bardzo znakomitym. — Celliniego pokocha za to, że dowodził artylerją i o *sobie(!)* wielki tom napisał — pokocha wielu, wielu zmarłych, albowiem żywym jest nie miłe suchotnika oblicze, z powodu, iż nie dosyć zastanawiali się nad myślą, którą powyżej napomknąłem, o Ruisdaelu mówiąc. — Z tych żywiołów, w następstwie, obudzi się w nim miłość wielka do Pigmaliona mythu, który nie z posągów życie brał, ale ognia iskrą je ożywiał, tak, iż z miejsca wstawały w całym ideału majestacie... I to, co o Grecyi Byron mówi na początku Korsarza, do uspięnej ją zgonem porównywając dziewczki, posagowo na łożu osłoniętej, to mu się zbrata z narodowem o ojczyźnie wspomnieniem. I choćby chciał pisać najrozsądniej — stylem *smaku zdrowego* — choćby do Gazety Polskiej list — choćby z Poznania datowany; to skończy go w myśli tak jak W.: — »Jeżeli tymczasem do Węgrów nie przystanę, może się zobaczymy na Świątki«.

Owóz — rzeczą jest pewną, że jak do samej medycyny (która *smaku zdrowego* jest mistrzynią), jak tedy, mówię, do niej samej dodana będzie nowa część (w tym rodzaju, jak jest sądowa medycyna) — to jest, *medycyna narodowa*: przekonamy się jasno, iż w uspo-

iż w usposobieniach takich leży, że powinny nieco krwi upuścić pod uderzeniem szabli, a rozjaśnia się ciemne myśli ich i o sztuce pojęcia i niedoskonałość sama stylu. Krytyków zatem się uprasza o łaskawą cierpliwość i przekonanie, że nikt sztuki mechanicznie jeszcze nie otrzymał i że nasze biedne społeczeństwo *szczęrze* potrzeby tej nie czuje.

Na cóż więc kłamać, kiedy kłamstwo jest manieryzmem manieryzmu, a zaś najzdrowszym smakiem — prawda.

Nie bez pewnej powiadam znajomości, że przychodzą nieraz czasy takie, w którychby sztukmistrz albo śpiewak, do publiczności występując, musiał kazać się słuchać — jak pojmany Cezar przez piratów, którym wiersze czytywał — i to nie dla braku estetyzmu albo wysokomyślności osobistej, ale dla jednostronności społeczeństwa, politycznem nie-szczęściem wywołanej. Czemuż się więc wstydzić takich win i przyznawać *osobom*, co raczej w *czasie* ma przyczynę, i bezwłasnowolnie sądzić źle?

Nie z *krytyki* sztuka, ale z *prawdy*.

† † †

1849. w Maju pisał ten, »o którym już prawdziwie nie wiem, czy jest malarzem, rzeźbiarzem, czy

czy poetą, czy też może artystą oderwanym od wszelkiej *skończonej formy*...«(!)

A pisał to kształtem niepoprawnym, w odpowiedzi na IX *List z Poznania* w Gazecie Polskiej umieszczony, gdzie pomiędzy różnymi drobnostkami była wzmianka o nim.



KRY-

KRYTYCY I ARTYŚCI.

»WSPOMNĘ TEŻ TU I TO, ŻEM DWO-
RZANINOWI MAŁOWANIA NIE NAZNA-
CZYŁ, BO MI SIĘ TO WIDZI RZECZ MAŁO
POTRZEBNA — A TEŻ NASZYM POLA-
KOM, KTÓRZY *DELICATUM PALATIUM*
NIEDAWNO MIEĆ POCZĘLI, NIE SZŁOBY
TO W SMAK...«

GÓRNICKI.



o najpociesznieszego rodzaju li-
teratury bez wątpienia policzyć
można tak nazwaną *krytykę sztuki*,
wszędzie prawie, a w szcze-
gółności u nas. Wiadomo bo-
wiem, iż ta nigdy *bezpośrednio*
dla sztuki nie uczyniła nic dobre-
go, ale tylko pośrednio przez publiczność, przez po-
kierowanie jej dążeń. *Nigdy*, mówię, co znaczy
od poczęcia się sztuki aż do dziś. Żeby zaś pokie-
rować, ubłogosławić, lub uświęcić społeczeństwa
dążeńi jakiegokolwiek, trzeba naprzód, aby te
istniały, i dlatego to właśnie krytyka sztuki wszę-
dzie prawie (a w szczególności u nas) tak miałką
w sobie jest robotą, tak pociesznem zjawiskiem.

Za-

Zatrudniające się nią pióra wychodzą z tego stanowiska, że lada luźnym oka rzutem człowiek ukształcony zbadać może, ku czemu ma się w czasie danym sztuka, mistrze i uczenie; — że tym sposobem to, co raczej w potocznej mowie się nazywa *drukowanym kawałkiem*, jest już dziełem krytyki. Z takich pojęć wyjść trzeba, z powodu, iż błędne są i miałkie i że nie przyniosą nic dla sztuki, dla publiczności, dla pisarza.

Składają się one z dwóch żywiołów, poślubionych sobie *dobrą chęcią* (bez znajomości rzeczy), a gruntują na niczem.

Pierwszym ich żywiołem wyobraźnia (i to w alegorycznym ich zakresie), drugim święte zasady moralności — kiedy zatem mowa o malarstwie, dość jest zacząć w te słowa: *»czas to nieprzychylny sztuce, wielowładne muzy pokoju, spłoszone hukami armat, ustąpiły miejsca bogom krwi etc...«*, kiedy zaś mowa o sztukmistrzu, krytyk się zniża do szczegółu, w sumienia wchodząc sanktuarium i domowym się cnotom przypatrując. Dla krytyki pojętej tym sposobem, Veronese winien jest *obżarstwa*, z powodu, iż wiele uczt malował. — Teniers grzeszy wyraźnie *nieczystością*, brudne tylko karczmy przedstawiając. — *Pycha* udziałem jest Rubensa, dla bogactwa draperyj i szerokości fałdów, a Buonarottiego *gniew* cechuje

cechuje, co wyraźnie w sądzie ostatecznym i Mojżesza wzroku widzieć można. Bassano zaś, przeciwnie (w ten sposób sztukę uważając), będzie zaszczycał się pokorą, a to z powodu, iż zazwyczaj figury jego są schylone, często na klęczkach lub ku ziemi obrócone twarzami. — Wszystko to jest może *budującym*, ale nie sztuk świątynią!...

Nie potrzebuję tu dodawać, ani uważam za konieczne lub piękne kryć, że myślę o artykule pod tytułem *Artysci*, w Dzienniku Polskim napotkanym, i nie wstrzymuję się bynajmniej z wypowiedzeniem prawdy o nim. Służy mi on albowiem za wyrażenie doskonałe wszystkich, a często mniej szczęśliwie pomysłanych krytyk estetycznych.

Po artykule więc *artysci* niechże nastąpi ten: *krytycy*, który, ponieważ krytyką jest krytyki, zatrudniać się nie ma orzekaniem, czego *nie trzeba*, lecz co *trzeba*, bo, jak się wyżej powiedziało, uwagi o siedmiu grzechach głównych, o *zarożumiałości* i t. d., korzyści wiele nie przyniosą.

Niech tedy wie krytyka, że *bezpośrednio* nic dla sztuki nie jest w stanie uczynić — jedno przez sprawienie publiczności.

Że się do tego przystępuje tą drogą, którą szedł Winckelmann, jedyny krytyk użyteczny, i że to jest dziwnie chrześcijańskie stanowisko pisarza, albowiem

wiem myśl jego, że tak powiem, rozplynać się musi w atmosferę łączącą piersi widzów z tem, co widzieć przychodzą, a co z szukmistrza piersi wyszło. Może tragików greckich chóry przepowiedzeniem tego były!

Że, o sztuce pisząc, trzebać przecie, *co ona jest i gdzie jest*, pod te czasy powiedzieć, bo czytelnik nie ma zaufania, ilekroć nie czuje ziarna w piśmie brylantowej wagi i twardości — ale same tylko zapytania, gdzie to społeczeństwo się kieruje? a gdzie kościół? a gdzie znowu artyści w dymie armat z temi sztandarami porozdzieranych płócien?!... Krytyka taka jest sonetą na moralnej treści osadzoną, mało kto z niej skorzysta.

Zamiast zaś okazywać straszące rany czasu tego, Medyceuszów brak, oziębłość... niech krytyka raczej wykazuje, o ile to wszystko jest chwilowem, wpływu na los sztuki niemającym, bo tak jest niezawodnie, dopóki nie zwątpi społeczeństwo o siłach, które mieć powinno.

Wiadomo, że przez cały wieków przeciąg nigdy takiej epoki dla artystów nie było, jak gdy Wielki Konstantyn wszystkie bogactwa na tołożył, by dla świata nowego nową stworzyć stolicę, a dla Boga nowego kościoły nowe pobudować. I... ta właśnie epoka jest *najnikczemniejszą w dziejach sztuki!*

Wiado-

Wiadomo również (że nie mogę rozwlekać się nazbyt w tym zakresie), wiadomo, powtarzam, iż epoka w której Rafael, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Albrecht Dürer wykonywali dzieła swoje, a później jeszcze Rubens — że te, mówię, czasy mistrzów owych są równienniczemi tylu walkom, tylu rozdarciom i wzburzeniom! — a to były *czasy najobfitsze w plony sztuki wszelakiej*. Te więc rzeczy rozbierać, jest to uprawiać społeczeństwo, jest to artystów *słowem karmić* — bo bajka jest, iż chleba brak dla *pięknego-apostołów*. Bajka jest, choć nie mogę dla szczupłego zakresu więcej dowodów tu przytaczać nad dwa powyższe, acz ogromne, i którym równych pono niema.

To więc, co do krytyki i gdzie pod te czasy jej powinność.

Teraz druga rzecz jeszcze — co do sztuki pojęcia, której szeroko tu traktować nie jest czas ani miejsce — powiem tylko wyłącznie do publiczności polskiej, zwłaszcza tej, która estetyką rada się już zatrudnia, — że czas, by też zaprawdę z tego bezżywnotnego, bo nieprawdziwego wyjść pojęcia, jakoby sztuka być powinna jakąś nadzmysłową ekstazyczką — ! — Tak nie jest, tak nie będzie, tak było, ale było, *kiedy sztuką nie było to, co sztuką zowiemy*. Albowiem sztuka jest i owszem uduchowioną

wnioną zmysłowością przez miłości wielkiej całodramat. — Albowiem sztuka jest i będzie i nie może być nawet niczem innym jedno ową niewiastą złotowłosą, oną świętą nierządną, która wylewając woń na stopy Zbawicielowi świata ubłogosławioną jest w miłości!

Niechże tedy w *pokorze*(?) nikt nie radzi, aby olejek on rozprzedać i na oszczędności kasę ponieść wyciągnięty zeń pieniądz, bo to ani Bogu, ani ludziom, ani pokorze, ani sztuce nic pożytecznego nie przyniesie.

Co autor o Overbeck'u mówi, prawda — ale Overbeck *ledwo zaczął* i już dalej, wątpię, czy postąpi — wiadomo, iż mistrz ten w malowaniu dosyć miernej jest siły, a rysunek też jego nie przedziwny — *duchem on tylko wskaźnikiem*. Kornel Stattler już dalej się posunął, nie mówię w sztuce, lecz na drodze, jaką sztuka przyjmuje.

Tadeusz Brodowski, najutalentowańsze z dzieci dziecię, nie *zarozumiałości* skutkiem skończył — a gdzie się krytyk zatrzymuje, o tę wadę *innych* posądzając, to czyni bardzo sprawiedliwie, mogłoby mu z czasem być nie miło, że tak pochopny w sądzie jest.

Mogił starych budowa będzie fundamentem,

A sejmu koło pierwszym na planie zakretem —

Kolum-

Kolumny, jako dęby, w górę się wyniosą,

A głowy ich — to wieńce uperlone rosą...

A sklepień sieć gwiazdami nieba się przeżłoci,

A każda z gwiazd poziomej odpowie stokroci.

Od wschodu gmachu wiara z krzyżem wielkim stanie,

A od zachodu miłość (na puszczy wołanie!),

A od południa Paweł z Piotrem w pojednaniu,

A od północy wolność w gromnem zmartwychwstaniu.

I będzie to jakoby świątynia przymierza,

Gdzie mąż kapłana uczci, a kapłan rycerza —

Gdzie głosy będą chórem latać po sklepieniach,

Co legend tęczę noszą w pędzla przedstawieniach;

A niżej — poszczerbione mieczem, cierniem, troską

Poważnych twarze mężów, z cichością półboską,

Marmurowemi będą patrzeć się oczyma...

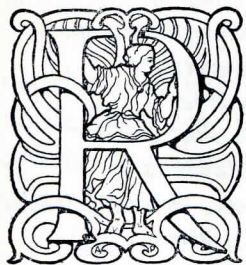
A jeszcze niżej — zwierze, roślin kształt i klima

W upstrzonym arabeski mądrej hieroglifie

Wyszłaczą się jak tkackim jedwabiem po cyfie...



NEKROLOG.



odem warszawianin, sercem Polak, a talentem świata obywatel, Fryderyk Chopin, zeszedł z tego świata. Choroba piersiowa przyspieszyła śmierć zawczesną artysty w trzydziestym dziewiątym roku życia — dnia siedemnastego, miesiąca bieżącego.

Umiął on najtrudniejsze sztuki zadanie rozwiązywać z tajemniczą biegłością — umiał bowiem zbierać kwiaty polne, rosy z nich, ani puchu nieotrząsając najlżejszego. I umiał je w gwiazdy, w meteory, że nie powiem w komety, całej świecącej Europie, ideału sztuką przepromieniać.

Przezeń ludu polskiego porozrzucane łyzy po polach, w dyadademie ludzkości się zebrały na dyament piękna, kryształami harmonii osobliwej.

To jest — co największego sztukmistrz może uczynić, i to uczynił Fryderyk Chopin.

Cały prawie żywot (bo część główną) poza krajem spędził dla kraju.

To jest,

To jest, co największego dopiąć może wychodziec, i tego Fryderyk Chopin dopiął.

Wszędzie jest — bo w Ojczyzny duchu mądrze przestawał — i w Ojczyźnie spoczął, bo jest wszędzie. Kochanowski skarżył czasu swego:

»Tymoteusza, sławnego muzyka ateńskiego, nie wygnano, jedno iż był jedną strunę do swego instrumentu przyczynił: ale za naszego wieku nie jedną, ale dziewięć strun do lutnie przydano: a pieśni dzisiejsze tak daleko są różne od Boga rodzice, jako i obyczaje od Statutu. Taka to odmiana w muzyce czyni odmianę i w Rzeczypospolitej...«

Kochanowski w Sobótkach pierwszy ludu poezję uczonemu światu uwidomił — w muzyce Chopin toż uczynił.



DO

DO OBYWATELA DMOCHOWSKIEGO — RZEŹBIARZA.

»SZUKAJCIE A ZNAJDZIECIE«.



ozwól, szanowny panie, ażebym publiczne dał świadectwo jednemu z największych wynalazków, w jakie rzadko sztuka obfituje, a który winniśmy twojemu nieocenionemu dosyć dłutu. Mówię o tem publicznie, ażeby nas kiedyś tak potomni niedbałymi o ojczystą sławę nie nazwali, jak to już nieraz się zdarzyło względem wynalazcy kraniologii, względem samego Kopernika (lubo największego z mędrców naszych), względem Wita Stosa, pomiędzy norymberczyki liczonego, i wielu innych, w różnej sztuce, w różnej umiejętności zasłużonych.

Że zaś mówię publicznie — a rzeczy sztuki nie są nazbyt wszystkim ziomkom znajome — tedy rozszerzyć się winienem nad pewnemi, ułatwić mającemi

jącami zrozumienie *powagi wynalazku* twego, wiadomościami. — Główne, czyli pierwotne, czyli zasadnicze architektury każdej części, jak np. *kolumna, łuk, porządek, ogiw...* tem się od każdego innego przyniesionego sztuce wdzięku różnią, że są zarazem: *wynalazkiem i odkryciem w jedności*, czyli, że historyczny czasu owoc i myśl artysty w nich się łączą.

Wiemy, jak Kallimachos, rzeźbiarz grecki (korynckie piety akantu na grobie dziewczyny młodej widząc) kapitelowi korynckiemu nieśmiertelne dał kształty. Wiemy, że jońskiego kapitelu zakręcone na skroniach dwa warkocze jedni pisarze z stroju dziewic, drudzy z rogów barana ofiarnego (na świątyni węglach zawieszonych) nie bez przyczyn wywodzą. Wiemy, iż karyatydy są brankami z Kariatidis, zdobiącemi pomniki tryumfalne — wiemy nareszcie, że lombardzkich kolumn strzelne kibicie z longobardzkich włócznie i namiotów w północnych Włoch pałace marmurowe architektury sztuką przeszły.

Wiemy przeto, że sztukmistrz *napotyka, najduje, wynajduje* w fakcie samym pomnik tegoż faktu, i że tak architektura cała wzrosła, i że nic w niej *inaczej* nie powstało, oprócz drobnych kaprysów i zepsutego smaku wdzięków, które też są niczem w dzie-

w dziejach sztuki i do niczego nie należą, gipsem ledwo, lub *gipsowej wartości*, że tak powiem, nieodłączną myślą przylepione!...

Ogiw tylko — ta to północnych ludów zdobywca, tajemnicą dotychczas nierozwita, lubo od Norwegii do Hiszpanii i od Anglii sięga do Florencji. — Najrozmaiciej też *pojęty* i najrozmaiciej jest *przyjęty*, a zdawałoby się (jak śmiałem tuszyć), ku rozlicznemu przekwitaniu w *narodowości pojedyncze* Opatrzności zrządzeniem powołany.

Biedni — na ubogiej w architekturę ziemi polskiej, jakżebyśmy inaczej *ogiw polski* znaleźć sobie mogli, jeżeli nie tak, jakoś ty go znalazł, do pomnika używszy *dla poległych*?... —

Dwie wojenne kosy, dziobami w siebie zachwycone, czynią nie tylko najpiękniejszy i najwolniejszy kształt *ogiwu*, ale i *treflę* próżni, ostrzami kosy zakreśloną — ale i *fasces* kolumn, ale i *palme* łuków, na których czegoż nie postawisz?!... Otóż to i cały wynalazek — prosty — jakby niebyły — jakby Kolumbowe jajko żaden! Jakby ono narzędzie, z trzech złożone drewniek, którem nasz Kopernik ziemię ruszył — jakby ono starego Piasta *koło*, które także z czasem nam wypowie, ku czemu tam wisi na bociąncu narodowej historii...

Jeśli

Jeśli mnie skromność twa, artysto, albo czytelnika polskiego skromność zgani za porównania, które dzisiaj wydadzą się może zbyt zbytecznymi — to swojego czasu dzieje sztuki do tego się listu odwołają, jak to już po wielokroć a najczęściej w Polsce naszej było! — Co do mnie, bardzo wdzięczny jestem, że architektury narodowej pierwszy promień nareszcie zobaczyłem, bo nie tylko w *sztuce*, lecz i w *dziejach* zawsze to dzień świąteczny, ile razy fenomen tej natury do wiecznego słownika monumentalnej mowy wchodzi.

Napoleon znał to, i jak Cezar (który *fastigium* do mieszkania swego zastosował), tak i on podobnie rad był onym monumentalnym się językiem w księgę wieków zapisać. — *Kapitel francuski*, albo raczej napoleoński, chciał on stworzyć — celem tego w korynckim kapitelu wyłamano liść średni i cesarskim go orłem zastąpiono. Ale że *utwory* się nie *kłecą*, ani dziennym rozkazem powołują: nic więc z tego w sztuce nie urosło, i kolumna taka jest *korynckim legii honorowej kawalerem*! —

Rozpisałem się, aby tem wyraźniej i przystępniej dać uczuć twego, Panie, osnowę wynalazku, któremu że się poważylem za ogłosiciela służyć, niech mi będzie wolno dać mu imię, tyle proste i pol-

i polskie, ile sam prosty jest i polski. Więc to nie
ogiw polski — ale jednym słowem *O-Kos!*

Łączę wyraz szacunku

C. K. Norwid.



Z PAMIĘTNIKA.

MORITURI TE SALUTANT, VERITAS!...



wystawie paryskiej 1851 r. go-
dzi się też *zapisać*, nie sądząc
(bo ku temu trzebaby też czyn-
nego pierwaj uczestnictwa, a na
ten rok mi zeszło), ale uważając,
zwłaszcza iż pisanie ma do siebie,
że się lepiej myśl wraża.

Ciekawa to rzecz ta wystawa, *dziś*, w wieku
zaburzeń, co rozgrzmiewają jeszcze w echu, i tu, na
tej scenie wielkiej; dziś, kiedy nikt jasno jeszcze nie
wie, jakie sztuki całej stanowisko? kiedy w rzeczy
następstwie kolej i na nią idzie, ażeby wylegitymo-
wała się z praw swoich. A kto będzie podówczas
panną mądrą, co pielęgnowała płomień lampy, a kto
panną niemądrą, co zasnęła? to — też z czasem wy-
raźnie się objawi.

Ciekawy jest naprzód architektury postęp, albo
raczej kierunek; bo dziś rzeczy tak stoją, że *kieru-
nek postępem*. Kiedyś, dawniej, w tych czasach, kiedy
to nie

Z PA-

to nie było akademij sztuk pięknych, ale były szkoły mistrzów wielkich, kiedy nie było profesorów, ale byli artyści, kiedy nie było *Filos-sofii*, ale była *miłość mądrości*... wtedy... wtedy utrzymywano i dowodzono czynem, że cała tajemnica architektury w tem jest: aby *przeznaczenie*, t. j., wewnętrzna myśl budynku i rozkład jego były zarazem zewnętrznym budynku *o-znaczeniem*, czyli, ażeby budynek wewnętrzną prawdą bytu zarazem zewnętrznie się określał; żeby (mówię), *wykreślając się, określał się*, żeby był piękny dlatego, że jest, że trwa, że jest potrzebny... i odwrotnie.

Tak więc myślano np. za czasów Rafaela i Michała Anioła, któryto z łaźni imperatora rzymskiego (a srogiego chrześcian prześladowcy) powołany był, w *twórczej zemście sztuki*, wybudować świątynię na cześć najświętszej Panny Maryi. Tak to, mówię, o architekturze i zadaniu jej oni dawni mistrzowie czynem i słowem nawet (lubo bez systematów) utrzymywać się zdają. To też, wszedłszy w te gmachy, *życie* jakież zawiewa ci do piersi, a mierz, rysuj, określaj, to cień złowisz na papier i podobieństwo rzeczy piękne, tylko zawsze *bez czegoś... nieznane-go!* I masz dzieła sumiennie powtarzające rys pomników, nawet *całość* ich dawną, tak jak były w pierwszej nowości; a jednakże do zwalisk i do pustek jedziesz



jedziesz po komentarz do uczonych rysunków i restauracyj archeologicznie-ścisłych! Owóż, mówię, dzisiaj, kiedy fundamenta domu na lat się 50 zakładają, a ornamentacyę grecką, rzymską, byzancką czy maurytańską, czy też chińską, kupić sobie możesz w sklepie na wagę cynku lub żelaza i gwoździami przybić, do czego chcesz, jak niedoperze albo sroki na drzwiach stajni w Polsce przybijają, rzecz jest arcy ciekawa, jaki się kierunek budzi w sztuce do tyła z życiem nierozdzielnej, bo będącej jakby formą życia.

Potem, także i rzeźba gdzie też idzie? Czy wystarcza jej garść gliny w piecu wypalonej, ażeby się na srebra czystego wartość przetopiła?... czy wystarcza jej bronz, aby na złota wartość przeszedł?... czy ma odwagę kość słoniową do wartości podnieść stokroć większej, albo złoto zamienić... na... jakąż wartość?... boć już nie wiem i nikt nie wie dotychczas.

Tylko historia wie; bo gdybyś one nieocenione rzeczy z brudnych miasteczek włoskich uwiózł, toby z obiegowego kapitału przywożonych pieniędzy trzy części gdzie indziej się przeniosły. Rzeczy nieocenione to są te, które są codzień oceniane, i dlatego narodową wagę przywiązywali Włosi do zaboru arcydzieł przez napoleońskich namiestników.

ków. Było to porwaniem Heleny dla prawowier-
nych Włochów.

Ta więc sztuka, tak wysoko moralna, bo za-
mieniająca glinę w złoto a niwelująca złota wartość,
gdzie dziś idzie?... bardziej to ciekawem, niżli wiele
rozgłośnych politycznych, bursowych i ministeryal-
nych *sztuk niepięknych!!!*

Także i malarstwo co też wróży?... dziś, kiedy
nikomu nie jest pilno widzieć swego patrona, albo
odcień słodkości Chrystusowej, albo Królowę nieba,
albo męża zacnego, albo nieśmiertelną chwilę w dzie-
jach. I, zaprawdę, powiem tu *dziwolaga* (aleć ich się
nierzaz nie wstydziłem): Brutus, on *bohater nega-
tywny* (bo mówię o Marku Brutusie), kiedy, czując,
że ramię mu opada, w błędnych oczach statuy Pom-
pejusza Wielkiego pokrzepienia szukał i namaszczał
się posągu widokiem, czyż nie żywszą miał wiarę
w nieśmiertelność, albo czyż nie rzeczywistsze sił
poczucie? Jużci, czyn mi obmierzły, a karłowaty sam
bohater, ale wolę go w tem od *dzisiejszych ikono-
klastów*, dla wszelkiego poza sobą żywota obo-
jętnych.

Pójdę więc na tę *wystawę* i zapiszę, co mi te
życia różne kolorem lub formą mówić będą, nie dla
żadnej krytyki, bo krytyki na nic się nie zdały i są,
jak starożytny mędrzec mówi: »ucieraniem knota
lampy

lampy smutnej, ale nie dolewaniem doń oliwy...«
Przeto nie dla krytyki, tylko aby samemu pojąć
lepiej i życzliwym udzielić.

* * *

Powróciłem więc już z wystawy francuskiej:
jest bardzo piękna, katalog wykazuje wiele sztuk,
obrazów, rzeźb, etc... parasole i laski oddają się
przy wnijsciu.

* * *

Z rzeźby, biust byłego dyktatora Chłopickie-
go, przez młodego Stattlera; tegoż jenerała portret,
przez pana Fajans z Warszawy; portret *Matki-Polki*,
przez pannę Szymanowską; *Ostatnie chwile Cho-
pina*, przez Teofila Kwiatkowskiego. Szkoda, że
Faliński nie skończył swojej kompozycyi, przedsta-
wiającej Wacława (podług Malczewskiego), kiedy
bohater tej powieści ze strasznem przeczuciem do
drzwi miecznika o dobie nocnej się dobija; że Ka-
pliński *Melodyi leśnej* i *Melodyi polnej*, postacio-
wych akordów w Chopina utworach plastycznie
uczutych, nie ukończył. A jednakże to wszystko,
kiedy się na przyszłość i powodzenie sztuki spoj-
rzy, w dziwnych barwach i oschłych się przed-
stawia.

Z do-

Z dobrem sercem, na przykład, pisze ktoś w Gońcu, że ilustracje znakomitej wartości do Pamiętników Paska przypadkiem ledwo w Polsce znane i że szkoda, iż »format jest za wielki dla niemających tek stosownych do przechowania tych utworów«. Cóż tu na to powiedzieć?! Albo nic, bo to przyjęto u nas przez *miłość* (nałogu); albo sobie w Ligenzy zapisać pamiętniku, który kiedyś ktoś tam przejeżdżając w jakim Palermo znajdzie; albo tak, jak to czynię, powiedzieć prosto, że (z przeproszeniem umysłów praktycznych i realnych) jak artysta przeczyta podobne zdanie, to mniej w nim o dziesięć stopni sił tworzących. Jest to może *mistycyzm* i *towiańszczyzna*, bo wszystko, co nad wysokość sufitu wychodzi, jest mistycyzmem i towiańszczyzną; lecz cóż robić? Tak jest niezawodnie. Moskiewskie widzenie rzeczy pod tym względem objawiało się w przewożeniu książek z biblioteki uniwersytetu warszawskiego do Petersburga: tomy wielkie, jeżeli się w paki nie mieściły, przepiłowano na połowę. Włoskie zaś przeciwnie, bo do obrazu Wniebowzięcia (Tycyana) wybudowano gmach stosowny tej wielkości, co kościół katolicki świętej Jadwigi w Berlinie. A gdy od kolosalnego Dawida we Florencyi w czasie rewolucyi odtrącono ręce pociskami, Vasari i drugi Michała Anioła uczeń

— EX LIBRIS —

Biblioteki Kuratorium O.S.B.

☛ Białymstoku

ze szpa-

ze szpadami w tłum wpadli, aby fragmenta uratować. Co kraj, to inny obyczaj...

Ja mam inne pojęcie o tych rzeczach: dziwaczne, urojone, którego też przejście w rzeczywistość nienazbyt oddalonem. Mnie się zdaje, że najpierwszym i najważniejszym sztuki owocem jest to właśnie, że do rycin się teki dorabiają.

To, co nieśmiertelnego w sztuce i jej powołaniu dla społeczeństwa jest, to właśnie uszanowanie pracy ludzkiej.

Sztuka jest *kościółem pracy*. I to jeszcze mistyczne; lecz cóż robić; tak jest niezawodnie.

Bez sztuki z pojęcia narodowego wywiniętej, szanowni panowie, zobaczycie, jak to będzie trudno i do pewnego stopnia niepodobna, pracę ręczną powiązać z pracą umysłową: to jest, pracę mającą za punkt wyjścia siły fizyczne, z pracą mającą za punkt wyjścia umysłową potęgę.

Jest to znowu mistycyzm, który bodajby się przedwcześnie rzeczywistością nie okazał!

Ważniejsze to od wielu filantropicznych formuł.

* * *

Zapowiadam na przyszłość, że kierunek, który *krytycznie* przeprowadzić się starała pani Sand, a który teraz *twórczym* i *dodatnim* sposobem stawa w sie-

wia w sielankowej swej dramie, że ten tryb, ta siła obowiązująca, jak się w modę przemnoży nową szkołą i rozstrzeli po świecie, to jednego pięknego dnia, gdy spyta kto na północy o najnowszą paryską *modę*, odpowiedzą mu: »ostatnia obowiązująca moda jest prostota i prawda...«

A gdzież wtedy sklep formuł i gdzie miara prawdy a prostoty, jeżeli nie w sztuce wywinętej z przyrodzonych pojęć narodowych o postaci i treści?

* * *

To, co o sturczeniu się Czajkowskiego w Gońcu czytam, a mianowicie: »...sobie zachowujemy żal, iż *harmonia narodowej treści z formą narodową zerwana...*« to, dla sztuki, sprawiedliwie, żywotnie i głęboko pojętej, ważniejszym jest pojawem od zebranych w salonie fragmentów arcydzieł starożytnych, do zabawy służących. Kto tam te parę słów napisał, wieszczę o przyszłości i powadze sztuki ma poczucie.

Czas jest bliski, w którym się przekonacie, że ani sztuk, ani rzemiosł, ani rękodzieł kolejami żelaznymi sprowadzić nie można do narodu, i można tylko *do siebie*, ale nie *do narodu*: że do wszystkiego naród musi *sam dojść*, bo cokolwiek *doń przyjdzie*,

przyjdzie, nie zapanuje korzeni. Wierzę ja w myśl *zamiany*, kolejami żelaznymi promieniejącą dla ludzkości; ale i wierzyć muszę, że kierunki od źródeł *zamiany*, nie zaś źródła od kierunków zależą, i jeżeli zależą, to *podrzednie*.

Mówiąc u nas o sztuce, trzeba *użyteczną* stronę onej uwidocznić plastycznie, i dlatego to, co piszę, nie jest estetycznym systematem, bo ten na nic u nas się nie przyda i *książkę*, choćby najgrubszą i wystylizowaną najkształtniej, bez owoców zostanie! Nie idzie mi też o tę *jasność*, która potem ciemności *w czynie* rodzi, i przenoszę czasem *ciemność* oną, która jasnościami się odradza, trzymając się słów *apostoła-narodów*, Pawła świętego, że bywa wsiane w ciemności, ale w jasności zmartwychwstaje, tak jak znowu, odwrotnie, z doświadczenia wiemy, »że nikt się niczego z książek jasnych nie nauczył dotychczas...« Pomnę, że geometrya czasu swego mistyczną mi i ciemną była księgą, a tablice onej coś jakoby czarodziejskiego miały dla mnie. Owoż, zawsze pod pewnym względem wszyscy dziećmi jesteśmy, jeżeli w postępek wierzymy*.

*

Natu-

* Więcej powiem: dopóty w *postępek* szczerze wierzymy a nie deklamujemy radykalnie albo ministeryalnie, póki *śmiemy być dziećmi*. (C. K. N.)

Naturalnie, piszę to tylko dla mnie. Takich rzeczy u nas się nie mówi, osobiwie drukiem i w dzienniku. Drukiem się *tak* i *o tyle* tylko mówi, *jak* i *o ile* druk gdzieindziej był już w książkach, w dziennikach, w felietonach użyty. Wszelkie nowatorstwo pod tym względem jest tem wyłamaniem się z godności *literackiej*, *piśmiennej*, z którego (jak uczy nas historia starożytnych szczególnie literatur) wszystkie obowiązujące jeszcze do dziś arcydzieła powstały. Schowam więc to dla siebie, użyczwszy pierwszej tobie, miły mi Gończe...



WSPO-

WSPOMNIENIA I ROZMYŚLANIA

1850—1857.

MENEGO. WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKA.
 CZARNE KWIATY.
 BIAŁE KWIATY.

M E N E G O.

(WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKA).

BAJKI WAM NIOSE, POSŁUCHAJCIE, DZIECI!
 KRASICKI.



Było to 1844 wiosny na *Riva degli Schiavoni*, albo, jak jeszcze jeden niezatarty napis się wyraża, na *Riva degli Slavi*; na tym długim wrębie granitowym, zielonemi poprzerzywanym kanałami i białemi mostami pospajanym, gdzie kilka tysięcy okrętów przystań miewa. Tam, o jutrzni we mgłach odpływają małe statki rybackie z trójkątnemi żaglami *latyńskimi*, na których z byzancką surowością nakreślony bywa Marek święty, albo Piotr, albo Paweł, albo inny apostoł, i czyni wrażenie, że zszedł z *rivy* i odchodzi po falach... Tam, o południowem świetle widzisz tajemnice kolorów *Veronesa*, *Tintoretta*, *Tycyana*... Turcy, Grecy, Ormianie i Słowianie różni, w strojach różnych, z różnym się akcentem przechadzają, na okręty swe patrząc. Tam, o blasku księżycy znikają okręty
 w mroku

w mroku wielkim, a gdzie światło miesięczne wysrebrzyło falę, lśniący topór, u gondoli dzioba przytwierdzony, profilem zębatym się określa, potem wiosłarz półnagi we frygijskiej czapce, potem budka kirem kryta z szybą kryształową, a potem znów drugi kształt wiosłarza, a potem blask fali, skrzela wiosła odepchniętej w światłość księżycową... i tak tam gondole przepływają.

Tam to w 1844 roku przechadzał się B. ze mną, o pałacu dożów i o sztuki w nim złożonych skarbach rozmawiając; wąpił, aby Ganimed, w Jowiszowych szponach uniesiony, był utworem Fidiasza, i miał słuszność... Potem, gdyśmy schodzili z ostatniego już mostu ku *piazzetta*, zwrócił moją uwagę na bogactwo *inwencji* kapitelów, które podpierają pałac dożów, i jeliśmy wszystkie po kolei szczegółowo oglądać... Co może być ta postać z wędniejących liści wychylona, której profil żółtawy na sklepienia ciemność tak wybiega?... albo owa w hełmie?... albo tamta, kibici wygięciem nie bez trudu wypowijająca się z kamienia... Miałaby architekt je wykreślać, albo rzeźbiarz sam tworzył codzien, wedle natchnienia: tam o niebie myśląc, tam o ziemi, tam o obywatelu w Rzeczypospolitej znanym, ówdzie o Adamie i o Ewie, a ówdzie o patronie swoim i żony swojej, lub o wielkim kupcu, co przyjechał z dale-

z dalekiego wschodu na okręcie pełnym drzewa wonnego, i drzewa farbiarskiego, i drogich kamieni na pieczęcie dla senatu Rzeczypospolitej, i zielonych papug dla panienek...

— Ja też to podobnieżbym rozumiał, B. mi na to odpowie, zwłaszcza iż dawniejsi architekci nie kreślili tak planów *szczegółowych*; czego przykład widzimy w złamkach planów rzymskich w Kapitolu, powmurowywanych dzisiaj w ścianę. Te plany są prostsze od najprostszych figur geometrycznych.

— Tę nieumiejętność, odpowiedziałem na to, usprawiedliwia poniekąd Panteon, Kolosseum, Fortuna Virilis, Vesta, Świątynia Pokoju i t. d.

B. uśmiechnął się smutnie.

I mówiłem dalej: Gdyby kiedyś znaleziono te plany pokolorowane elegancko, których dzisiaj pełno na wystawach, trzebaby stu nowych Witruwiuszów i sto razy śmielszych w przypuszczaniu, ażeby współczesnym dać pojęcie, jakich to pomników śladu nawet nie zostało na ziemi! Tylko, widzisz, nic tu nie zginęło, co *prawdziwie piękne*, bo to ma w sobie nieśmiertelności iskrę, miłość! Trzeba gmachu *pięknego*, ażeby mógł piękną być ruiną. Trzeba pięknej ruiny, ażeby dotrwała aż do końca, aż do posad budowy i pierwszego planu rozłożenia, aż do głazu pierwszego, na którym legendy siadać będą

będą w ciężkich wieńcach bluszczowych, aż do głębi pod głazem, gdzie medale stare w wazach leżą i par-gamin żółty z opisaniem pierwotnego pomysłu! Roma, quanta fuit, ipsa ruina docet.

— Więc, nic, myślisz, nie ginie?

— Nic, co jest w miłości poczętego.

B. uśmiechnął się znowu. Tu, wchodziliśmy na plac, a był zmierzch, i dokoła pod obiegającym czworobok placu korytarzem zaczynało być gwaro, i poroświecały się kawiarnie, i czekano muzyki przez wojskową kapele, z Czechów zwykle złożoną, wykonywanej tu w wieczór. B. mi wskazał kawiarnię, do której zachodzić już przywyknął, jakby Wenecyaninem się urodził. Tam weszliśmy. Kilka było osób, bo kawiarnia podrzędna. Grek w kaftanie czerwonym i żyd, zda się, wschodni, w szachy grali; Wenecyanin list pisał...

»Ten chłopiec zna mnie, przyjdzie zaraz, nazywa się Dominik«, i tu zawołał B.: »*Menego!*« (co w weneckiem skróceniu ma niby oznaczać *Domenico*). Przyniesiono nam kawy i złych cygar weneckich.

B. miał około lat sześćdziesiąt. Był naprzód w drezdeńskiej akademii, gdzie z niewielkim geniuszem, lecz z miłością sztuki szczególniejszą, wielkie zrobił postępy w stosunku do tego, co mógł zrobić i co mu okoliczności pozwalały. Tam wykonał on obraz,

obraz, przedstawiający *Czary* starożytnych germańskich wieszczek, i rysunków wiele różnej treści. Potem w Monachium pracował; wszędzie z trudem wielkim, i po dziesiątku lat, i w walce z przeciwnościami zabójczymi... Wszędzie, co artystów naszych *wadą*, albo raczej *winą*, wszędzie łatwo miejscowym tradycjom się poddawał, z posłuszeństwem słowiańskiem szkole każdej. Był to wzór cierpliwości, zaparcia się, pokory *wykonywanej* sprawiedliwiej, aniżeli *pojętej*. Właśnie o tem myślałem, kiedy mi B. przerwał.

— To rzecz dziwna! nie mogę tu jeszcze dojść ładu z wyrozumieniem tych arcydzieł starej szkoły weneckiej. Zaniedbanie rysunku, którego by *Cornelius* nie przebaczył, dowolność w grze światła szczególniejsza, kompozycja jakby z ulic brana, a jednakże wielkie to są rzeczy! i nie jeden *Cornelius*, ba! i zarozumiały sam *Kaulbach* uczyłby się z tego dobrze mogli. Kto wie? dodał w następstwie, może nas na północy uczą jakoś inaczej. Przypominam sobie, że w kościele świętego Ludwika (w Monachium), kiedy Sąd ostateczny przy *Corneliusie* malowałem, i właśnie się grupę tę robiło, gdzie wyobrażenie jest Heroda (gdy wyrżnięte dzieci proszą za nim), imperator moskiewski otoczony świtą wszedł do gmachu, bo podówczas bawił w mieście onem

onem i oglądał czasem dzieła sztuki. Więc nam wszystkim potem myśl przebiegła o tych starych malarzach, co to prosto z życia wzory brali, i co to się zwykle o tem czyta jakby jakie legendy... A teraz tu widzę, że podobno wszystkie stare obrazy to tak są o życie zaczepione...

— I nad czymże pracujesz pod te czasy?

— Ba! pomruknął B. smutno, gram ot czasem na skrzypcach... i przyjdź kiedy, zagram ci wieczorem... zdaje mi się, żem coś skomponował.

Jakoż rzeczywiście B. na skrzypcach grał z biegłością szczególną.

— Albo nie, przerwał nagle, bo nie sam tu jestem. Mnie tu państwo Hr. do Włoch zabrali. Zacząłem też także mały obraz, gdzie *rybaka* chcę zrobić z dziećmi swemi, i chcę, żeby był wieczór, i żeby było widać, iż pracował dzień cały, i chcę, aby rybak w ręku trzymał ułowioną rzecz jedną... muszlę pustą! I chcę, aby z tą muszlą, wyciągając rękę, zebrał sobie. Taki obraz robię, i już bliski, bliski swego skończenia.

Tu się B. z krzesła podniósł i zawołał: »Me-nego!« ale że nie weneckim iloczasem, lecz po polsku *me-nego* przedłużając, więc podchwycił chłopiec: »jakto, panie? jakto, *topisz się*, panie... (bo *me nego*, *topię się*, w weneckim znaczy dyalekcie), jakto? jeszcze



jeszcze powtórzył, a wszakże dziś gondole po kościele świętego Marka nie pływały i suchutko w kawiarni.«

»Buffone, odrzekł B., buffone!« i wyszliśmy z kawiarni...

* *

Na drugi dzień wieczorem taki list mi z miasta przyniesiono:

Państwo Hrab. zamiary odmienili; wkrótce mamy wyjeżdżać, jutro może wieczorem; nie wiem pewno, ale może być jutro. *Wszystko* też już zwiedziłem (!) prócz tej wyspy długiej od południa, którą to tak z okna twego widać, i o której to mówisz, że tam lord Byron konno jeżdżąc opisywał Mazepę, bo nie wiem, jak wyspa się nazywa. Jeśli czasu mi zbędzie, to gondolką sobie tam dopłynę. Chciałbym też cię pożegnać, wstąpię może; a nie, to na wyspę często robisz wycieczki: czemu nie miałbyś jutro, niżli słońce zapieczę, tam popłynąć? Żegnam...

Byczkowski.

NB. Pakując się, chustkę też znalazłem, którą w pierwszych czasach emigracyi w Dreźnie wielki nasz lord Byron mi darował. To jest jedno, co mogę na pamiątkę zostawić. Żałuję, żem nie grał ci na skrzypcach...

* *

Niżli

Niżli słońce zapiekło, popłynąłem na *Lido* dnia wtórego. Lido jest to długie pasmo ziemi, o które się płasko z jednej strony pełne morze rozbija; z drugiej, sztuczne wybrzeże z ciosanego kamienia odpiera mniej silne fale *lagun*. Ażeby do brzegu dojść morskiego, a zwłaszcza tam, gdzie zwykle cudzoziemcy oglądać widok idą, trzeba pierwej przez łąkę przejść zieloną, która, kiedyś smętarem możliwych kupców żydowskich za rzeczypospolitej jeszcze będąc, do dziś świeci gdzieniegdzie pozacieranymi kamieniami. Po nich ścieżka się łamie, albo je wymija, w trawie naprzód a potem w nadmorskim żwirze ginąc. Tam doszedłszy, spotkałem gondoliera; stał nad garstką bielizny; przy nim sługa z policyi i dwie damy Angielki z albumami. B., zapłaciwszy gondoliera, powiedział mu, że użyć chce kąpieli... *ale za głęboko w fale zaszedł*. Grób jego jest na Lido.



CZAR-

CZARNE KWIATY.



ożnaby ciekawe w tym względzie rzeczy tu zapisać, ale zaraz wstręt cofa pióro i przychodzi na myśl zapytanie *»czy warto!...«* Przy pojęciach albowiem współczesnych o czytelnictwie i o twórczości piśmiennej, zatracone jest prawie uczucie, *kiedy pisarz stara się uniknąć stylu, przez uszanowanie dla rzeczy opisywanej a z siebie samej zupełnej i zajmującej: kiedy zaś, przeciwnie, niedopracowawszy formy, styl zaniedbuje...* Kiedy chodzi po ziemi, okazując, jak nisko zstąpić potrafił? kiedy zaś również nisko stąpa, przeto iż wznieść się wyżej nie mógł? Te rozróżnić odcienia, tak dla pewnych osób jednoznaczące, rzadki bardzo czytelnik dziś potrafi, i dlatego niebezpiecznie jest w jakąkolwiek nową drogę na cal jeden postąpić, i dlatego najbezpieczniej jest w kółko jedno i też same *motywy i formy* proporcjonować tylko, nic niewznowiwszy

wiwszy, ani dodawszy, ani na nic się nieodważywszy.

Są wszelako w księdze *żywota i wiedzy* ustępy takie, dla których formuł stylu niema, i to właśnie sztuka jest niemała oddać je i zbliżyć takimi, jakimi są. Mają one pozostać zamkniętymi osobistymi nabytkami przez obawę rubasznego krytyka, przywykłego do dwóch tylko formuł na wszelki płuód wyciętych, jako obowiązujące malarzy pokojowych wycięte patrony...

Pierwszą z tych formuł jest: jakiś książkowy klasycyzm, o którym Grek Peryklejski, ani Rzymianin za Cezara czasów bynajmniej nie wiedział; — drugą, pewne formuły czasowe dziennikarskie, to jest, proste techniczne wypadki z rozwinięcia druku samego powstałe. Jedna z tych ram wszystko objąć jest w stanie, mniej łącznością pomiędzy książką a żywotem — druga, wszystko, mniej istotą źródła, z których ono wszystko płynie.

Ztąd - to: niezawodnie snadniej dziś upowszechni się *udany pamiętnik średniowieczny*, niż fakt społeczny, sumienie obowiązujący, należny mu wryw wywrze i należną zachowa powagę. Jakoż, czytelnicy podobni są w tem do osoby oddalonej od przyjaciela swego a mającej wizerunek jego na pamiętkę, która, gdy on przyjaciel z drogi wraca, »Nie

»Nie przeszkadzajże mi,« rzecze jemu, »bowiem, oto godzina jest, w której na portret patrzeć zwykłam, listy właśnie że pisać mając.«

...To — pamiętam, jednego razu w Rzymie z katakumb powracałem, gdzie często patrzeć lubiłem na pozostałe freski pierwo-chrześcijańskie — rzecz, o której tu napocząć nie chcę, bo to byłaby historia bardzo długa, o każdym znaku i o każdej linii w tych rysunkach używanej — ale, tyle tylko oto wspomnę, iż to ogromne, podziemne miasto z napisami i rysunkami swemi okazało mi, jako przez całe akta dramatu tego seraficznie-krwawego nie była prawie jedna kropelka krwi wylana bez uszanowania jej i omodlenia braterskiego współwyznawców. Te szkła, dziś błękitno-krzemiennej barwy, które jako ampułki rozbite (albo i całe) w katakumbowych sarkofagach, do półek biblioteki podobnych, tu i owdzie leżą, błogie robią wrażenie, świadcząc, jako zbierano rozprysniętą po ścianach katowni i schodach gmachów publicznych krew męczeńską. Tak ją szafowano szeroko i wspaniale, jako owczarni krew bogaty pan szafować może — a tak skąpi jej byli!!..

.

...To

...To około tego czasu spotkałem był zstępującego ze schodów hiszpańskich, pochylonego jako starca i kijem pomagającego chodowi swemu Stefana Witwickiego — śliczna, młodości jakiejś wiecznej pełna twarz jego i włosy, jak z hebanu mistrzowsko wyrzeżane ornamentacye, w grubych partykach na ramiona spływające, szczególniej wyglądały przy tym sposobie wleczenia się o kiju, bardzo zgrzybiałym starcom jedynie właściwym. Niedługo potem odwiedziłem go był w mieszkaniu jego, ale już to zaszło przed śmiercią jego na jaki tydzień. Leżał ubrany jak zwykle na kanapie, męczyło go mówienie, spoglądał tym samym wzrokiem, niezwykłą zawsze jasność i zarazem kroplę łyzy mającym w sobie — tudzież, podnosił się niekiedy, podając rękę komu, aby go przeprowadził po pokoju. Tak to spojrzawszy ku mnie wchodzącemu doń, przywitał mnie, a wyciągnąwszy rękę posunął mi po ziemi leżącą przy kanapie pomarańczę, którą (że zwyczaj miał mnie i Gabryelowi Roźnieckiemu*, jak mu się co w pracach naszych podobało, przynosić cygara i fraszki jakie) uprzejmie przyjąłem i podniosłem. Gabryel właśnie że był tam, bo on do ostatniej chwili całe noce przy ś. p. Stefanie, już zupełnie zdefigurowanym ospą, siadywał, usługi wszelkie mu oddając.

Otóż

* Mowa jest o Gabryelu Roźnieckim, muzyku.

Otóż Stefan Witwicki dał zrozumieć Gabryelowi, że chce z kanapy wstać, a ten mu rękę podał i zaczęli wkoło pokoju powoli obchodzić... Tak to wlokąc się, po pierwszy raz Witwicki wpadł w lekki, bardzo błogi ale widzialny obłęd — i zaczął tu i owdzie wskazywać ręką i zatrzymywać się:

»... *A to (mówił) co to za kwiat jest?... ten kwiat, proszę cię (a nie było kwiatów w mieszkaniu), jak to się nazywa ten kwiat u nas?... to tego pełno jest w Polsce... i te kwiaty... i tamte także kwiaty... to jakoś u nas zwyczajnie nazywają...*«

Potem już — odwiedzałem Witwickiego, kiedy leżał zdefigurowany panującą podówczas ospą i już nic nie mógł mówić. Niewiele przed śmiercią Witwickiego umarł generał Klicki, całe dnie i noce otaczany, nieledwie zbiorom wszystkich Polek i Polaków podówczas tam bawiących, co wspomnienie zostawia równo szacowne i rzadkie.

Ile razy przypominam sobie ostatnie rozmowy z osobami, co już w niewidzialny świat odeszły, zmarłszy tu; tyle razy nie wiem, jak pominąć to, co, ze zbioru razem wspomnień tych, samo czasem zdaje się określać, i dlatego właśnie w *daguerotyp* raczej pióro zamieniam, aby wierności nie uchybić — inaczej przysłoby mi bowiem zacytować słowa jedyne Voltaire'a, jakie kiedykolwiek na myśl mi przy-

mi przychodzą lub przychodziły z autora tego, a te są:

*«Je tremble!... car, ce que je vais dire
Ressemble à un système».*

(Voltaire).

— Może też to najfilozoficzniejszy filozofa tego apoftegmata.

To — później — później — w Paryżu, *Fryderyk Chopin* mieszkał przy ulicy Chaillot, co, od Pól Elizejskich w górę idąc, w lewym rzędzie domów, na pierwszym piętrze mieszkania ma z oknami na ogrody, i Panteonu kopułę, i cały Paryż... jedyny punkt, z którego napotykają się widoki *cokolwiek zbliżone* do tych, które w Rzymie napotykasz. Takie też i Chopin miał mieszkanie z widokiem takim — którego to mieszkania główną częścią był salon wielki o dwóch oknach, gdzie nieśmiertelny fortepian jego stał, a fortepian bynajmniej wykwinny, do szafy lub komody podobny, świetnie ozdobiony jak fortepiany modne, ale owszem trójkątny, długi, na nogach trzech — jakiego, zdaje mi się, już mało kto w ozdobnym używa mieszkaniu. W tym salonie jadał też Chopin o godzinie piątej, a potem zstępował, jak mógł, po schodach i do Bulońskiego lasku jeździł,

jeździł, z kądem, wróciwszy, wnoszono go po schodach, iż w górę sam iść nie mógł. — Tak jadałem z nim i wyjeżdżałem powielekroć, i raz do Bohdana Zaleskiego, który w Passy mieszkał wtedy, po drodze wstąpiliśmy, nie wchodząc doń na górę do mieszkania, bo nie było komu Chopina wnieść, ale pozostając w ogródku przed domem, gdzie maleńki jeszcze wówczas poety synek na trawniku się bawił...

Od zdarzenia tego ubiegło wiele czasu, a ja nie zachodziłem do Chopina, wiedząc tylko zawsze, jak się ma i że siostra jego z Polski przybyła. Nareszcie zaszedłem razu jednego i odwiedzić go chciałem — służąca Francuzka powiada mi: że śpi; uciszyłem kroku, karteczkę zostawiłem i wyszedłem. Ledwo parę zstąpiłem schodów, służąca powraca za mną, mówiąc: iż Chopin, dowiedziawszy się, kto był, prosi mnie — że jednym słowem nie spał, ale przyjmować nie chce. Wszedłem więc do pokoju obok salonu będącego, gdzie sypiał Chopin, bardzo wdzięczny, iż widzieć mnie chciał, i zastałem go ubranego, ale do pół leżącego w łóżku z nabrzmiałymi nogami, co, że w pończochy i trzewiki ubrane były, od razu poznać można było. Siostra artysty siedziała przy nim, dziwnie z profilu doń podobna... On, w cieniu głębokiego łóżka z firankami na poduszkach oparty i okrę-

i okręcony szalem, piękny był bardzo, tak jak zawsze, w najpowszedniejszego życia poruszeniach, mając coś skończonego, coś monumentalnie zarysowanego... coś, co albo arystokracja ateńska za religię sobie uważać mogła była w najpiękniejszej epoce cywilizacji greckiej — albo to, co genialny artysta dramatyczny wygrywa np. na klasycznych tragediach francuskich, które lubo nic są do starożytnego świata przez ich teoretyczną ogładę niepodobne, geniusz wszelako takiej np. Racheli umie je unaturalnić, uprawdopodobnić i rzeczywiście ukłasyścić... Taką to naturalnie apoteotyczną skończoność gestów miał Chopin, jakkolwiek i kiedykolwiek go zastałem... Owóż — przerywanym głosem, dla kaszlu i dławienia, wyrzucać mi począł, że tak dawno go nie widziałem — potem żartował coś i prześladować mię chciał najniewinniej o mistyczne kierunki, co, że mu przyjemność robiło, dozwalałem — potem z siostrą jego mówiłem — potem były przerwy kaszlu, potem moment nadszedł, że należało go spokojnym zostawić, więc żegnałem go, a on, ścisnąwszy mię za rękę, odrzucił sobie włosy z czoła i rzekł: »...*wynoszę się!*...« i począł kasłać, co ja, jako mówił, usłyszawszy, a wiedząc, iż nerwom jego dobrze się robiło silnie coś czasem przecząc, użyłem onego sztucznego tonu i, całując go w ramię, rzekłem,

kłem, jak się mówi do osoby silnej i męstwo mającej: »...*wynosisz się tak co rok... a przecież, chwata Bogu, oglądamy cię przy życiu.*«

A Chopin na to, kończąc przerwane mu kaszlem słowa, rzekł: »*mówię ci, że wynoszę się z mieszkania tego na plac Vendôme.*...«

To była moja ostatnia z nim rozmowa, wkrótce bowiem przeniósł się na plac Vendôme i tam umarł, ale już go więcej po onej wizycie na ulicy Chaillot nie widziałem...

...Przed śmiercią jeszcze Chopina zaszedłem był raz na ulicę Ponthieu przy Elizejskich polach do domu, którego odźwierny z uprzejmością odpowiadał, ile razy kto zachodząc pytał go, jak się *Monsieur Jules* ma?... Tam na najwyższem piętrze pokoik był, ile można najskromniej umeblowany, a okna jego dawały na przestrzeń, jaką się z wysokości zawsze widuje, tem jednym tylko upiększoną, iż czerwone słońca zachody w szyby były łunami swemi. Kilka doniczek z kwiatami na ganku przed oknami temi stało, a ośmielone przez mieszkańca wróble zlatywały tam i szczebiotały. Obok, drugi maleńki był pokoik — to sypialnia.

Było to więc jakoś około piątej godziny po połud-

południu, kiedy przedostatni raz byłem tam u Juliusza Słowackiego, który właśnie kończył obiad swój z zupy i pieczonej kury składający się. Siedział przeto Słowacki przy stoliku okrągłym na środku pokoju, ubrany w długie podszarzane palto i w amarantową spłowiąłą konfederatkę, akcentem wygody na głowę zarzuconą. I mówiliśmy tak o Rzymie, zkład właśnie że niezbyt dawno przybyłem do Paryża — o niektórych znajomych i przyjaciółach — o bracie mym Ludwiku, którego ś. p. Juliusz rzewnie kochał — o *Nieboskiej komedyi*, którą wysoko bardzo cenił — o *Przedświcie*, który miał za piękne dzieciństwo... Także o sztuce, że wpadła w mechanizm — także o Chopinie (który żył jeszcze), a o którym Juliusz pokasłując rzekł mi — *parę miesięcy temu spotkałem jeszcze tego moribunda...* sam wszelako pierwiej od Fryderyka Chopina odszedł ze świata widzialnego, umarłszy.

Do pokoiku tego, który, jak Juliusz mawiał: »zupełnie byłby dla szczęścia człowieka wystarczającym, gdyby nie to, że w jednej stronie jego kąty nie są zupełnie proste, źle będąc skwadratowanym«, — do tego, mówię, pokoiku innego dnia wieczorem wszedłem był, a Juliusz stał przy kominie, fajkę na cybuchu długim paląc, jak to używa się w Polsce na wsi, — na kanapie siedział malarz Fran-

Francuz (którego Juliusz potem egzekutorem testamentu swego zrobił), ale ten nie mówił i milczał milczeniem mało naturalnem i siedział. Nad kominkiem wisił brązowy medal, Juliusza przedstawiający, który jest jedną z najpiękniejszych w tym rodzaju robót Oleszczyńskiego.

O Francyi, o rewolucyi, o rzymskich wypadkach mówiliśmy — on, naturalnem ale kolorowanem słowem, i niespodziewanemi obrotami mowy, i niekiedy akcentem zrezygnowanego żywota, głębię apostrof filozoficznych w Maryi Malczewskiego napotykanym przypominającym. Co wszelako niezawsze z wielkimi jego, czarnymi, ognia pełnemi oczyma, i z oryentalną skronią, i z otworami energicznymi nosa orlego sprzymierzało się... Pod koniec rozmowy mówił mi: »piersi, piersi nadwreżone mam, każą mi już tylko cukierki jeść, co chwilowo łagodzi kaszel, żołądkowi za to o tyleż szkodząc. Przyjdź jeszcze w przyszłym, w zaprzyszłym tygodniu, potem... czuję, że niezadługo i odejść z tego świata przyjdzie mi«. — Wyraźnie mi to mówił, bawiąc się cybuchem fajki swojej, tam i owdzie powoli poruszającym jak wahadło zegaru ściennego. — W następującym tygodniu pośpieszyłem znowu zejść do Słowackiego, ale spotkałem kogoś (możnaby rzec z *uczniów* jego), który odeń powracał, a był

a było już ciemno — i ten powiedział mi: »jutro lepiej zajdź do Juliusza, bo dziś właśnie dlatego wyszedłem od niego, iż nieswój jest...« — »Jakże się ma?« pytałem — »nie wiem« odpowiedział mi, »ale tyle ci tylko powiem, iż, wedle słów Juliusza, bardzo wątpi o zdrowiu swem i zawzywał już dzisiaj pomocy i opieki św. Michała archaniola, tusząc, że mu to sił na jakiś czas użyczy.« Te słowa usłyszawszy (lubo bez dwuznacznego zadziwienia, bo wiedziałem, że Słowacki bardzo religijny był), na inny dzień odwiedziny moje odłożyłem.

Ten inny dzień w następnym tygodniu wypadł, ale już to o rannej godzinie było i było to tak, że, wszedłszy, pierwszy widziałem ciało zimne Juliusza, bo w nocy poprzedniej, Sakramentami opatrzony (list od matki swej, nadeszły właśnie w chwili skonanania, odczytawszy), zasnął śmiercią i w niewidzialny świat odszedł. Mało piękniejszych twarzy umarłego widzi się, jako była twarz Słowackiego, rysująca się białym swym profilem na spłowiałym dywanie ciemnym, coś z historii polskiej przedstawiającym, który łoże od ściany dzielił. Ptaszki zlatywały na niepielegnowane doniczki z kwiatami; — krzątano się około pogrzebu, a pogrzeb ten, jaki był, to różni różnie opisali. — Ja — na pogrzebie tym żeńskich istot widziałem *dwie* — jedna z tych rzewnymi łzami zala-

zalana była, co mi wspomnieniem zostało bardzo pocieszającym, na wiele dni potem, kiedy liczne podówczas społeczeństwo polskie w Paryżu bawiące się odwiedzałem był — bo wiele było (jak zawsze świetnych i niepospolitych) Polek podówczas w Paryżu... Mam rysunek Juliusza, który on w Egipcie rysował z natury, bo pejzaże zwłaszcza rysował wcale dobrze, ale przeciąłem pamiątkę tę na dwie części i jedną do albumu osoby z kraju przybyłej ofiarowałem, drugą zostawując sobie — aby sprawdziły się słowa w Beniowskim napisane, iż *»prawą rękawiczkę twoją zawieszę w muzeum jakim, a o straconą lewą będą skargi!...«* ironia bowiem taka nadobnie-bez-zjadliwa, jako ironia Juliusza, pośmiertnym bynajmniej wspomnieniem nie zawadza. Owszem brzmi ona podobnie tym słowom, które Filip Macedoński przy budzeniu się powtarzać sobie kazał: *»królu! słońce już wschodzi, pomnij przez cały dzień, że śmiertelnikiem jesteś«*.

To zaś — przypomina mi zupełnie odrębną rzecz o osobie bynajmniej sławnej, bynajmniej zasłużonej talentem, pracą lub cierpieniem — o osobie, której nazwiska nawet nie wiem a narodowość wątpliwie wiem... Dołączę tu więc wspomnienie

osoby

osoby śmiertelnej, nieznanej mi, niemniej ściśle wierne, z natury wzięte — czynię to zaś tem swobodniej, iż na wstępie zastrzegłem, co o krytyce, krytykach i o stylu książkowym trzymam i tuszę, w treści, jako niniejsza, w której za cały interes właśnie uważam ścisłą tylko wiarogodność sprawozdania.

Otóż — było to w parę lat po śmierci powyżej zapisanej — nie byłem w Paryżu — nie byłem we Francyi, ani w Londynie, ani w Anglii, ani w Europie, ani w Ameryce... byłem, na kotwicy, na pierwszym wstępnym pasie oceanu Atlantyckiego, pomiędzy wyspami kredowatej białości połamanymi w ściany prostopadłe. — *Niedziela* była, słońce na niebiosach bez chmur, niżej ciemno-, atramentowo-szafirowe ogromne fale, ale cisza taka, że żagiel żaden nie drgnął, sznur żaden niedbale spuszczonej nie poruszył się... Nie widziałem jeszcze wszystkich osób ekwipaż składających, a wszystkie dla słońca pięknego na pokład wychodziły właśnie; siedziałem na ławce pod masztem wielkim, przy mnie nowy znajomy, światły młodzieniec jakiś, z rodu Izraelita, z którym często mawiałem. Płynąć nie można było dla zupełnego braku wiatru i, kiedy się dalej popłynę, zgadnąć niemożna było...

Kiedy tak siedziałem, nieskończoną przestrzeń fal przed oczyma mając, przewiała przed nami suknia kobie-



kobieca, a obok mnie siedzący współpodróżnik rzecze mi po francusku: »...patrz pan, który jesteś artystą, jaka piękna kobieta właśnie przeszła, biednemu pieskowi w tę wielką podróż zabranemu mleka na talerzu wynosząc, w dzień, w który wszyscy cieszyli się pogodą i niedzielą, a to szczenię biedne ani wiedziało, gdzie i na jak długo zaniepodziało się«. — Że nie spojrzałem, jak mi towarzysz radził, odpowiedziałem mu więc, jak się to mówi, kiedy o czym innym właśnie myślisz: »właśnie, że dlatego teraz nie pójde jej oczyma szukać, kobiety bowiem najpiękniejsze są wtedy, kiedy nie słyszą, ani widzą, ani zgadują, że się spogląda na nie — będę więc *uważał ją innym razem — innego razu zobaczę ją...*«, co powtórzyłem jeszcze z przyciskiem, aby odmienić tok rozmowy. — Ale że to była dziwnie piękna osoba (podobno Irlandka), to, przecież i tak, kiedy przesunęła się, spostrzedz można było, boć ze stereoskopów już wyraźnie dziś wiemy, ile to człowiek obejmuje wzrokiem mimowolnie, choćby i nie patrzył się wprost na przedmiot. Słońce potem zaszło, wiatru nie było — i księżyc wzeszedł i podniósł się, i zasnąłem w kajucie ciasnej, dusznej... i straż tylko po pomoście okrętu trzymasztowego przechadzała się... krzyk jakiś rozległ się w nocy — jacyś ludzie przybiegli z latarkami — wielki murzyn, służący główny okrę-

okrętowy, tu i tam przewinał się po schodach, doktora szukając... O świcie ruch był jakiś niezwykle na okęcie — wstałem i wyszedłem na pokład. Ta osoba młoda i piękna, którą obiecałem być innym razem uważać i widzieć, nagle umarła w nocy. Zwyczaj jest, że w takim razie przeznaczonym na to czarno-szafirowym żaglem, w wielkie białe gwiazdy obrzuconym, przykrywają to miejsce, gdzie zwłoki leżą — taka plama czerniła na środku pokładu o wschodzie słońca...

— Tu, przychodzi mi na myśl, czy poezję tę, co, prawdy rylcem ścisłej, sama się w żywotach zapisuje, *warto jest* dla cynicznego czytelnictwa dzisiejszego piórem z niepamięci wywodzić i określać... Romans jaki, fantastycznie skłamany po zażyciu indyjskiego *haczysz*, przyjemniejsze i pożądańsze wrażenie zrobi!...

Później — później — kiedy do Europy powróciłem, Adam Mickiewicz mieszkał w okolicach placu Bastylii, w gmachu biblioteki arsenału, gdzie i bibliotekarzem był. Miejsce to, przepowiedziany przez niego człowiek: z dynastji Wielkiego Napoleona (dzisiejszy Imperator francuski), ofiarował świętej i wiekopomnej pamięci Adamowi Mickiewiczowi —

wiczowi — miejsce szczupłe, mało nawet jako fundusz dla rodziny licznej poety przynoszące — a ofiarowane mu, zdaje się, dobrze już potem, kiedy w dziennikach czytało się, iż profesor Kolegium Francuskiego Adam Mickiewicz i małoliczni inni odmówili przysięgi na wierność Imperatorowi francuskiemu. Około to późniejszych jeszcze tego panowania miesięcy, *bibliotekarz do Imperatora* napisał też Horacyusza językiem *Ode*, nieskończenie z formy przystającą do urzędu i miejsca powierzonego mu.

Więc to — krótko przed misją na Wschód, na jaką z bibliotekarstwa udał się był Pan Adam, zaszedłem doń, do gmachu biblioteki arsenału, gmachu ciemnego, z korytarzami i kamiennymi wschodami — było to w niedzielę, bo pamiętam, że ze mszy szedłem i książkę z sobą miałem. A szedłem go przywitać więcej niż kiedykolwiek serdecznie, bo *bliżej*... bliżej zaś z powodu, iż dochodziło mię było, że *wspominał mię*, kiedy w Ameryce zostawałem — a kiedy tam odpływałem, powiedział tylko komuś: »...to on tak jakby na Père Lachaise pojechał!...« co, że rozumiałem, było mi przyjemnie, iż ktoś mię wspominał w Europie, i dlatego też przyjemnie szedłem przywitać go. Wesoło spojrzał na mnie i uśmiechnął, i rozmawiałem z nim do zachodu słońca, bo pamiętam, że czerwono zrobiło się w oknie, kiedy

myśla-

myślałem odejść. Pokoik to był mały z piecykiem dobrze zapalonym, gdzie od razu do razu Pan Adam poprawiał nieco węgle kijem.

Ubrany był Pan Adam w futerko wytarte, szaraczkowem sukniem powleczone, które zkaąd w Paryżu można było dostać, tej barwy, kroju i podżyłości?... pytanie ciekawe — bowiem: była to zdaje się kapota, jaką zagonowa szlachta zimą nosi w prowincjach dobrze od Warszawy oddalonych. W pokoiku wisiała piękna rycina, przedstawiająca św. Michała Archaniola podług oryginału, który jest u Kapucynów w Rzymie — czy też podług tego obrazu Rafaela, który w Luwrze jest, tego dobrze nie pamiętam. Także Ostrobramska Matka Najświętsza i Domenichina oryginalny rysunek, komunie św. Hieronima przedstawiający — jeszcze także rycinka mała z Napoleona I-go, przed generalstwem jego portretowana, a pod nią daguerotyp mężczyzny sędziwego, prosto stojącego, w surducie zapiętym, jak chodzą francuskie inwalidy, a był to czas właśnie pierwszych wojennych kroków ostatniej wojny... Na biurku zaś, *od czasu niedawnego dopiero widzialne* u Pana Adama, dwa niedźwiedzie pasujące się — odlew z gipsu.

To było jeszcze przed śmiercią małżonki Adama Mickiewicza, po której to śmierci i pogrzebie na jakie dwa

kie dwa tygodnie zaszedłem znów do Pana Adama o godzinie może dziesiątej rano i zastałem go w progu drzwi, wychodzącego właśnie, tak, że drzwi kiedy otworzyłem, wpadłem nań — wrócił więc na jakie półtorej godziny jeszcze, przez które z nim mówiłem, a potem razem też wyszliśmy, bo miał być gdzieś iść jeszcze one półtorej godziny pierwszej. — Mówił mi o śmierci żony, szczegółowo, bardzo pogodnie, małe zboczenie robiąc: że nieświadomość *prawdy* tylko daje przerażenie zgonu i rzeczy śmierci dotyczących... Aż kiedy przy jednej z ulic ja miałem inaczej obrócić drogę, a on gdzieś indziej iść, ścisnął mię za rękę i mocnym głosem rzekł mi »*no... adieu!*« — Że nigdy ani po francusku, ani tym tonem nie żegnał mię był, a tyle-ć razy rozchodziliśmy się, przeszedłem potem nieledwie na drugi koniec miasta i, na schody do siebie wstępując, słyszałem jeszcze to słowo: »...*adieu!*«

Przypadek zrządził, że nie mogłem widzieć od tąd Pana Adama, ani pożegnać go, kiedy na Wschód wyjeżdżał — słowem, że to ostatnie było, ono dziwnie mi podówczas brzmiące pożegnanie... Co aby jaśniejszem było, dodać trzeba, że nieboszczyk Pan Adam miał to do siebie, iż nietylko *co mawiał* ale i *jak mawiał* zatrzymywało się w pamięci.

Przy

Przy ulicy *Tour des Dames* na wzgórzu jest dom, do którego dopiero wszedłszy, rozkład schodów i fragmenta *z gliny polewanej czternastowieczne, florenckie*, okazują, iż poważnego artysty to mieszkanie... Tam, gdy niedawno wszedłem był — a potem na najwyższe piętro do atelier p. Delaroche'a, wielki artysta raczył mi pokazać ostatni obraz swój, właśnie że skończony. Była to rzecz wielkości dużego *pół-arkusza*, malowana na drzewie. W zaułku jerozolimskim dawało się więcej *czuć* niż *widzieć* przez podobną do okna szczelinę, iż człowiek, którego zwano Mistrzem, Rabbim, Mesyaszem, królem i prorokiem, i uzdrawiającym pewnym lekarzem, a który był Chrystus, syn Boga żywego, właśnie że jest wzięty przez strażę i prowadzony od urzędu do urzędu, a może właśnie na górę trupich głów. Piotr śty, najbliżej okna owego stojąc, porywa się, jak człowiek szabli szukający, a Jan święty, na piersiach kładąc mu ręce swe, uspokaja księcia apostoła i sam zaś, przezeń czuwając, w okno patrzy.

Ta grupa jest przy ścianie okna — po niej ustęp jak w *Stabat Mater* ustępy strof — dalej kłęczy Matka Najświętsza, jak się kłęczy przed ołtarzem w kościele, kiedy jest wystawienie Najświętszego Sakramentu — za nią ustęp znowu — i grupa świętych niewiast w katakumbowej jakiejś architektury cieniach...

cieniach... Oto obraz cały z męki Pańskiej, w którym osoby Zbawiciela *widocznej niema*, ale jest ona tylko w *gamie wyrazów twarzy* osób, mękę Pańską widzących, wyrażona.

Wielce uradowany, iż jest przecie na świecie artysta... patrzyłem na ten maleńki obrazek, a że śp. Delaroche (tak, jak bywało kiedyś *Ary-Scheffer*) raczył mi pozwalać, abym, oglądając utwory jego, mówił *wszystko, co mi się zdaje*, ja zaś, na tym już stopniu stojącym artystom, nie mniemam, aby inaczej się mówiło; długo więc myślenie moje określałem w słowach ściśle wiernych. — I skończyłem na tem — że sądzę, iż obraz taki następstwa swoje mieć powinien i że sam jeden oderwanie wzięty niepełną jest rzeczą — na co mi p. Delaroche odpowie — »trzy właśnie takie robić chcę, aby to sformowało *trylogię*...« Potem pokazał mi jeszcze portret *Thiersa*, wyborny pod wszelkim względem, i znów do małego obrazka powróciwszy, rzekł mi tonem żegnalnym (bo właśnie ktoś nadchodził jeszcze): »tak, trzy dopiero obrazy tego rodzaju razem wzięte okażą całość...« i parę kroków ku drzwiom ze mną robiąc, po dwakroć dodał: — »*skoro tylko dwa inne obrazki zrobię... pokażę je Panu — pokażę je*«, co zwykł był określać dobitnie, bo nie eksponował publicznie dzieł swoich, ani nie każdemu je poka-

je pokazywał, zwłaszcza od niejakiego czasu... Odtąd nie widziałem już pana Delaroche'a, w którego śmierci ostatni promyczek *Leonarda da Vinci* mrokiem się okrył...

Dowadywałem się, czy dwa inne obrazki zaczęte były przed śmiercią wielkiego artysty, ale nie... może w szkicach...

* * *

Rzeczy tu opisane, *Czarnemi Kwiatami* zwę, wierne są, jak podpisy świadków, którzy, pisać nieumiejąc, znakami krzyża niekształtnie nakreślonego podpisują się; — kiedyś!... w literaturze, którą może *zobaczę innym razem*... pisma takie nie będą dziwnie wyglądały dla szukających powiastek czytelników. — Są bowiem powieści, i romanse, i dramy, i tragedye w świecie niepisanym i nieliterackim, o których się naszym literatom *ani śniło*, ale — te określać — czy warto?... już?...



BIAŁE

BIAŁE KWIATY.



a pewno tego nie pamiętam, gdzie widziałem płaskorzeźb, wyobrażający wychodzącego z świątyni Zacharyasza a niemogącego otaczającym mówić, iż zaniemiał do czasu narodzenia się Jana ś. Chrzciela, syna jego; zdaje mi się, że to we Florencyi, na tych brązowych bramach Chrzcielnicy ś. Jana, o których Michał Anioł Buonarrotti rzekł był, iż oczekującami raj u na ziemi bramami są, które przenieść jeszcze, gdzie raj jest, zaniechano.

Za pewne jednak uważam, iż tak trudnej rzeczy, jaką jest *rzeźba chrześcijańska*, to niewątpliwie najpiękniejszy może przedmiot. Starzec niemy jest, cisza wielka wokoło — wszystkie osoby słuchają, i pytają razem, i odpowiadają razem... milcząc...

Otóż — w jednej nieskończenie ważnej kwestyi estetycznej pod obecne czasy, u nas i na świecie, w kwestyi, dlaczego (sumiennie rzecz biorąc)

niema

niema nigdzie prawdziwego dramatu, przyszedł mi na pamięć ze względu na sztukę, mówię, ów płaskorzeźb florencki.

Kto się nie zgorszy prostotą szczerą prawdy, ten zgadnie łatwo bardzo, dlaczego w literaturze naszej dramatu być nie może... Ale dlaczego w żadnej innej dziś go niema? — Na to, doprawdy, że bawi mnie, iż ja jeden śmiem odpowiedzieć, te *kwiaty białe* zapisując; aby Francuz z czasem i inny obcy literat przełożył sobie na język swój wiadomość, z kąd ta u nich nieobecność *prawdziwego dramatu* powstała.

U nas bowiem, to z przyczyny niezmiernie prostej, czyli, iż literatura nasza nie określiła jeszcze ani jednego skończonego typu kobiety, a jakoż bez kobiety dramat być ma —? — Nawet sama Marya Malczewskiego, to tylko krzyk jeden kobiety, która *kochanką* nie śmiała być jeszcze, *żoną* nie miała i nie mogła. Aldona, jest to wieża śpiewająca — Grażyna w hełmie swym zamkniętym nic a nic już nie mówi nawet... — Inne zaś innych kobiety są tylko przegrywkami w antraktach opery *poza ich udziałem* dziejącej się. — Najjaśniej przeto widać przyczynę estetyczną nieobecności pełnego dramatu u nas, lubo najniejaśniej mistyczne i realne, to jest, społeczne wyjątkowego zjawiska tego źródło i zu-

i zupełną naturę jego, tak dalece, iż skrętnie bardzo skracam to.

Ależ — u dzisiejszych pisarzów innego narodu, gdzie ze wszech miar szeroko każdy romansista najmniej sławny na wszelaki możebny i niemożebny sposób *przedmiot ten* traktuje i uprawia!!!... czemu? mówię, tam, seryo uważając, pełnej dramy niema; tego, ile wiem, nikt dotąd niezbitnie nie okazał...

Ja też nie dowiodę bynajmniej po akademicku, bo tu wcale nie myślę o tem, tak dalece, iż wynikiem tylko jest prawie bezwłasnowolnym ta o nieobecności dramatu u cudzoziemców i przyczynie jej głównej uwaga. Powiem jednak, pokrótce, dlaczego to jest tak, z powodu, iż odpowiedź na to krytyczne zapytanie posłuży mi do toku głównej rzeczy w tych kilku kartkach zawartej.

Dramy prawdziwej nie może być, ilekroć się zatraci pojęcie dramatyczne *ciszy* i pojęcia jej natur — czyli, *jaśniej* tłumacząc, albo raczej *szerzej* tłumacząc założenie powyższe: kiedy się zatraci *basso* w muzyce, a kolor biały na palecie malarza, a pion w rysunku; cóż zupełnego tak niezupełne środki otrzymać są w stanie? Nadanie stanowczego kierunku i stopnia *ciszy* w dramatyzowaniu jest dla dzieła tej natury tem, czem w obrocie planety nieodkryta i niewidzialna planety oś.

Kto

Kto ma uszy ku wysłuchaniu prawdy, ten niech całość jej wysłucha. Ja, że za wstęp jedynie użyłem jej tu do prostego spisu kilku wrażeń, wspomnę tylko, dla korzystać chcącego innostronnie z wzmianki powyższej czytelnika, iż nie wiem, któryby dziś autor, bez potknięcia się w śmieszność, potrafił dociągnąć tam aż dramy pochod, gdzie Calderon zamyka swój i wychodzi już sam na scenę mówiąc:

»Dalej — pisarz dramatu podnieść się nie będąc w stanie... skończył«.

U Szyllera bezmowne zupełnie chwile dramy może najwyższymi są poetycznymi jego polotami. Zdaje się, że to nie inąd, ale *tędy drama w rzeźbę przechodzi* — co zazwyczaj w tańcu raczej poszukiwano, akrobatyzując przeto monumentalną rzeźbiarstwa powagę. Jakiż barbarzyński błąd tych systematyzujących tak estetyków!...

Gdzieżby *Niobe* podziła swoją twarz, gdyby rzeźbiarstwo przez sam taniec z dramą ożenione było?...

Albo — zapytanie rubaszne i beztreściwe, nie nieopiewające jako myśl, zapytanie Hamleta patrzącego, gdy aktor łyzy wylewa, zapytanie to »...*co jemu do Hekuby?*...« byłożby tak wysokie w prozie jego?...

Jakoż

Jakoż — słysząc dopiero natury *cichości* rozmaitych, przychodzi się potem do usłyszenia dramy i głębokości wyrazów bezmyślnych, bezkolorowych, *białych* (że tak je nazwę), i to zda się być wątkiem wszelkiego dramatyzowania prawdziwego.

Tędy idąc — doszedłbym jeszcze do daleko ważniejszej rzeczy — to jest, do *mianownikowania filologicznego*, i że *to* jedynie tą drogą kres swój znachodzić może, czego zasłużony i genialny Kamiński nie wiedział jeszcze, acz my przez jego zasługi, położone w rozkładaniu wyrazów, dowiedzieliśmy się — ale byłoby to za wiele o tem pisać — wspomnę tylko, że-ć *głąb* wszelka jest to i *kląb* i *gołąb*, ale dalej... uciszam się już jako Calderon w dramie swej... wiadomo jest wszelako, iż w tej pracy to, co jest filozoficznym jej kamieniem, to właśnie że ta znajomość *kresu, do którego, rozkładając wyrazy, objaśnia się, a od którego już, rozkładając je, zaciemnia się* zamiast objaśnienia — i ten to kres *mianownikiem* ja zowie.

Patetyczność nie pochodzi od παθος (choroba). Patetyczność pochodzi od πάθος...

Tylko *zdrowe cierpienia* dramatycznymi zdają się być... choroba ma na polu wiedzy patologię raczej, nie patetyczność.

Różnice tu, na polu sztuki, są takie między powyższymi

wyższemi określnikami, jak na polu życia np. między *historycznym* a *histerycznym* fenomenem jakim...

Jeżeli mówię *cisze różne*, to i *wyrazy* one białe, bezmyślne, nieopowiadające nic, a których kilka tu i owdzie słyszałem, albo którym raczej świadkiem byłem, bo od tła, na którym miejsca swe znajdowały, nieodłącznemi są.

To — pamiętam, że dawno, dawno — było to jeszcze w roku około 1836, kiedy tak odmienne było całe tło myśli w Europie, a *Dziady* pana Adama były mi potężną, *jedyną nutą myśli i uczuć*, jak każdemu... — te czytałem... Było to w dzień najprozaiczniejszej barwy, ni suchy ni dżdżysty, o dobie około południowej i bardzo powszednią barwę mającej, na zagrodzie ubogiej ojców moich, gdzie urodziłem się — na prostej, bezpoetycznej, obwodu Stanisławowskiego w Mazowszu, równej jak piaski ziemi — szedłem wzdłuż alei, która sad owocowy od warzywnej ogrodu części przedzielała — alei, bynajmniej z drzew sędziwych, i sadu wcale szczupłego — nie myślałem o niczem w tak niejakiem miejscu pod każdym względem — — gdy naraz dziewczyna, za aleją w ogrodzie warzywnym onym pieląc, głosem bynajmniej pięknym i niedokończonym tokiem urwanej pieśni zanuciła:

»...a od-

»...a odjechać od niej nudno,
a przyjechać do niej trudno...«

Stałem jak wryty, myśląc, że głos do nacytania się w dramacie Pana Adama piosenki onej zastosowałem w sobie słuchem moim — ale po chwili znowu najwyraźniej też słowa tem głośniejszemu doszły:

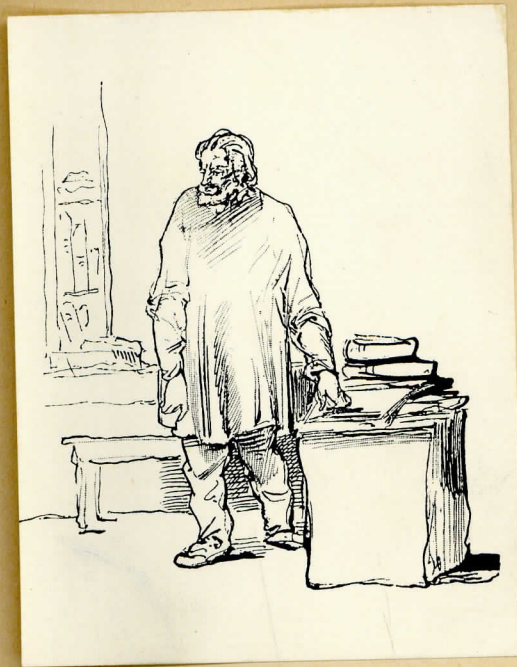
»...a odjechać od niej nudno,
a przyjechać do niej trudno...«

»Prosta pieśń« — rzekłem — »ale dobrą myśl zawiera...« (widać ztąd także, że Mickiewicz z pieśni gminnej ją przybrał).

— Niebieskiej uroczystości cisze są w *Albano* za Rzymem, nad jeziorem, które odbija w sobie *Castel Gandolfo* — tam, kiedy zadzwonią na *angelus*, a niebo jest chmurki nieświadome i jezioro nieświadome zmarszczki, laury wtedy wiśniowe nieporuszone i szerokimi liśćmi swemi cień jak one cichą rozrzucają po ścieżce krętej nad wodą a przy skale jak gzyms u gmachu starożytnego uczeplonej. Po ścieżce tej pojechałem był raz o południu ku *grotta ferrata* i powracałem wieczór tą samą ścieżką, a jadąc na osle zwłaszcza w górach pamięta się dobrze szczegół wszelki na drodze spotkany. Dzwoniono na *angelus*, kiedy zjawił się obok mnie wieśniak włoski

włoski na ośle swoim i obadwa zdjęliśmy kapelusze, po krótkiej modlitwie wraz przez toż uczestnictwo w rozmowę wprowadzeni. Widząc albowiem, wieśniak ów Włoch, że katolik jestem, nie myślał, abym był obcym człowiekiem, i mówić poczęliśmy jadąc społem o tem i o owem — nawet o niedoperkach, które już świstać poczęły nam wkoło kapeluszków, że mrok zapadał... Jakoż pomnę, iż Włoch ludowym opowiadał mi sposobem starożytną bajkę grecką o Prometeuszu i Epimeteuszu, przetłómaczoną na ten sposób, iż Pan Bóg ptaszka stwarzając błogosławił mu, a zły duch, coś lepszego wymyślić chcąc, dał życie niedoperzowi... Takie to różne rzeczy mówiliśmy, nogi mając wolno w strzemionach naszych i opuściwszy cugle niepotrzebne, gdy osiołki po wąskiej jak miedza polska skalistej wiszarze — pod spadzistą skałą a nad jeziorem — próbowały uważnem kopytem rażno zdążyć...

Naraz — osiołki stanowczo wstrzymały się, a my siedząc na nich poczuliśmy, że o zaporę uderzamy; lubo, dla mroku zupełnego, dostrzedz od razu trudno było, co zamurowało ścieżkę wąską, tam jadąc tak dobrze już poznaną. Był to zaiste odłam skały, tak jak szeroka droga, na którą się ze szczytu góry stoczył, wielki, zupełnie więc zamykający przejście... Kiedy przeto, siodła opuściwszy, opro-



oprowadzaliśmy, jak można było, osły nasze, sami przez głaz przelaząc... rzekłem do towarzysza wło-cha... »przed kilkoma godzinami przejeżdżałem tędy cwałem za dnia i pamiętam na pewno, iż tego głazu nie było tu...« A on chwilę przemilczał — potem, uchylając nieco kapelusza (jak przy zagajeniu rozmowy naszej na Angelus), w pół monologowym akcentem rzekł... »ten kamieni rodzaj nie upada kiedy chrześcianie są na drodze... ale... kiedy nikogo niema, to one się tu staczają z wierzchu skał... bywało...«

— Teatr i drama współczesna, aby sądzić, do ła, z tego punktu widzenia uważając je, krytyki nie wytrzymują i umarłemi są: to trzeba i *innej natury cisze* jaką, z teatru deskami zbliżoną, uczuć i dotknąć jej.

Kiedy — o południu, wśród tłoku i gwaru na wschodach do izby poselskiej wiodących, śmiercią Cezara upadł minister Rossi, a krew wstęgą krzywą od szyi mu się na ścianę zatoczyła, do odpasanej szarfy podobna... nadszedł, po niewielu godzinach, i on harmonijny wieczór włoski, i księżyc za nim o chwili sobie właściwej wytoczył się na niebo, tylko że przesłonięty (pamiętam) chmurą wąską, jak kiedy prosty człek rękawem ociera czoło swoje — albo oczy przysłania...

Mini-

Minister miał być zwyczaj w znanym kącie łoży, czerwonym aksamitem wybitej, jemu tylko należnej, w teatrze, o spóźnionej godzinie siadywać; a ktokolwiek uczęszczał na operę, pamiętał mimo-wolnie, że medalowej czystości rysów profil, z wiadomej strony od wchodu do sali, o pewnej godzinie należy mu się widzieć. Nocy tej — takim, jako się rzekło, księżycem oświeconej — czemu grano *po pierwszy raz* na operę przerobionego Macbeth'a... to, kazuistyczne tylko dziejów teatru filiacje wytłuma-czyłby (nie najzupełniej napróżno) może i potrafiły.

Pamiętam — że, przez ciche, bez pieśni i man-dorlinów i rozmów, zazwyczaj różnych, ulice, może i nie ja jeden dlatego się udałem *do teatru, aby pu-bliczność widzieć...*

Chwila otworzenia kurtyny wedle codziennego programu gdy nadeszła, znaczna liczba widzów w przysionku teatru nienajjaśniej oświeconym i po kawiarniach blizkich, *gdzie nikt dziennika ze stołu nie podejmował*, nieporządnie przechadzała się... Po niejakiem czasie, weszła garstka, a połowa jej wyszła i weszła znów — muzyka rozpoczęła uwerturę... W wyższych łożach tu, ówdzie, parę osób niestroj-nych albo niespodziewanie strojnych dam parę po-kazało się. Niektórzy wychylali się i oglądali naokoło, jakoby afektując, iż widzieć chcą oblicze i liczbę pu-bliczno-

bliczności; nareszcie za rozwinięciem opery sformo-wała się pewna całość gości używających teatru z nawyknięcia, jak gdy o pewnej dobie higien-i-cznie kto nawykł w wiadomym kierunku bez celu przechadzać się...

W miarę jednak jak opera przez treść swą w dramę i tragedję przechodzić z czasem zaczy-nała, pusta łoża ministra Rossi, nieoświecona jako inne (iż familijna była), ciemno-purpurowe, aksa-mitne wnętrze swoje ku światłu jak wielka rana odmykając, uprzedziła wrażeniem magiczną oną Shakespeare'owskiej tragedyi chwilę, kiedy cień za-sztyletowanego Banko na pustem krześle przy ucz-cie teatralnej zasiadać ma... I poczęło się grać po-między publicznością a sceną to, co Shakespeare w Hamlecie obmyślił był, aby zagrać tragedję na dworze, scenę na scenie dając... i kto wtedy pu-bliczność a scenę widzieć tam przyszedł był, to w czasie, kiedy aktor, Banka cień przedstawiający, wynika z trapy swej, ranę czerwoną pokazując, znaj-dował się sam pomiędzy teatru pełnią a pustką łoży ministra jako Hamlet u nóg Ofelii... i nie dowierzał sobie sam, że widzem przytomnym jest, albo: i tu i tam Shakespeare'a tylko aktorów grających widząc, baczył, ażali sam jeden Shakespeare chyba widzem prywatnym gdzie nie stoi...

Takich

Takich to *ciszą* akordy straszne są samą głębokością sądnych kombinacji swych, przytoczyłem zaś on powyższy zarys na to, aby *białe kwiaty* stosowny sobie miały cień, *lubo nic tu się nie pisze, co by nie było uszczęknęte, że tak powiem, że niw natury rzeczy*, i jeżeli mniejsza jest cokolwiek nieobecność stylu, jaką użyłem w *czarnych kwiatach*, to o tyle tylko, o ile jest wcale niemożliwem uniknąć sztuki, owszem o ile ta w tej sferze sprawuje prawdę przedstawienia.

Błogosławiony i szczęśliwy pisarz, który prawdziwej patetyczności bezbarwne słowa zna i strzeże — *pisarz i człowiek każdy!* — lubo często te, nieledwo wcale, od nas zależeć nie zdają się. — A są tem piękniejsze, z tego je stanowiska ceniąc, im mniej jako idea i myśl zawierające w sobie — im niéjaksze...

Często: że je określać trudno, zapominane są i mało baczone... zaiste — nie kryję, iż uprzytomnianie ich sztuką pisania bacznej bardzo pilności wymaga...

Mniemam wszakże, że byłoby zarówno pięknie, jak, *zdaje mi się, koniecznie prawie*, aby sztuka polska, pod tym względem *pierwszą* się w europejskiej dzisiejszej literaturze jawiąc, słupy swe żelazne zakopywała stanowczo i wyraźnie. Nowego budynku estety-

estetyki niebezpieczna jest systematami, najbezpieczniejsza prostotliwą parabolą, z życia bezstronnie przyjętą, uczuciem utwierdzać... A zaś *świadomość paraboli* sama przez się coraz dalsze pokaże kresy, braki, dobytki...

Pamiętam kilka słów, zaszłych mi w drogę tu i ówdzie, które najdobitniej uprzytomnić mogą ogólny zarys moralny i estetyczny tych notatek. — A przytacza się je (jako każdy dobrej woli czytelnik zauważyć potrafi) z wdzięcznością nawet, iż za wskazówkę poszukiwań prawd estetycznych posłużyły. Żadnej myśli nieokreślające słowa powiedział mi raz jeden z najpoważniejszych obywateli w Europie, kiedy w onych niedawnych, łunami rewolucyi świetnych latach przybyłem z Rzymu do Paryża. — Stażec ów znakomity, pogodnie rozmowę zagaiwszy, pytał mię o Rzym starożytny — ile? — gdzie? — jako? odkopywanie starożytności postąpiło... Odpowiadałem był jako osobie dotykalnie rzecz znającej i jako się mówi z kimś, co w rozmowy celu niknie przez to, iż przedmiot szczerze zna. — Że taka rozmowa w sobie samej żywot ma, wypadło mi najprościej dla porównania postępu prac zapytać — *a kiedyż książkę Jegomość ono forum-romanum widziałeś?*... Odpowiedź była najprościej, którą jednak w notatki słów onych powyżej określonych zamie-

zamieściłem — odpowiedział mi był książę — *»to było w przeszłym stuleciu«*. Trzeba być zaiste wywikłanym z fałszów estetyki schorzałej formułek, aby śmieć wytykać i poszukiwać dróg odbudowania szkoły nowej w *sztuce* czy to w *literaturze-sztuce*, wszelako, coraz bliżej (śmiem to zapowiadać) zobaczycie już w Europie kierunki te na jaw wychodzące; trzeba więc, aby młoda szkoła polska baczna była.

A inne znowu słowa, w Londynie np. które przytrafiły mi się, dały mi to dostrzedz, jak jest łatwo poddać się formułkom czczym bezpatetycznej dramy.

Artysta, też i ludowego pierwiastku czciciel, mieszkalem tam w najuboższym prawie domku najuboższej miasta części. — Wieczorem raz, przy świetle sam zostając, nie uważałem, iż ktoś wszedł, zwłaszcza iż angielski klimat wilgocią swą przygłuchnięcie moje chwilowe zwiększył... Mąż postaci zacnej (i rycerskiej nawet twardością rysów swych) stał przede mną, laskę grubą trzymając — wstałem i przywitałem: *»Nie wiem, rzekł gość, jak się odezwać mam: obywatelu, ziomku, rodaku czy Panie«*. Dekoracye tej sceny były więcej niż zaniedbane, a ja mniej starannie od gościa osłonięty — *»proszę usiąść«* odrzekłem — *»nie! — na to przychodzić —*
»pierwej

»pierwej niech wiem odpowiedź...« *»Otóż, rzekłem, widzi pan, można powiedzieć Panie i powiedzieć Bracie, powiedzieć bracie i rzec przez to panie, i wszystko w tem (wedle estetyki polskiej) zależy od tego, jako się powiada albo słyszy — a k' temu, aby widziano, dotykano i słyszano słusznie, toć są sztuki piękne odpowiadające wzrokowi, dotykaniu, słuchowi... tych sprawiedliwe uprawianie czyni*
... a muzyka
już u nas przecie kwitnie...«

Tak oto coś zacząłem mówić, — gdy przychodził pięknym męskim głosem rzecze: *»To najlepiej: rodaku!«* ale przycisk taki był na literze pierwszej, iż w głuchocie mej dalsze mi zniknęły, światło przytem mdłe i postawa i laska gruba uczyniły razem, iż zdało mi się nie *rodaku* ale *rrrobaku!* usłyszeć.

Że bez śmiechu to notuję, jako potrzebny odcień w zarysie tym, proszę również tak przyjąć; *nie celem mi tu śmiech, ani środkiem nawet*. Innych, pewniejszych środków blizkie jest to pisemko z siebie samego. Biały-ć i to kwiat!... bo zarysem jego było *serio* i *drama*, ale widno, do ila własnego tu wyrobu estetycznego i pojęcia patetyczności własnej zbywa! Może, w innych poszukiwaniach innych dróg na innych polach posłużę i ja komu za objaśniające śmiesznością swą światełko... wszyscy
służu-

służymy... estetyka zaiste że narodowa polega na tem...

.....

Ktoby myślał, że poszukiwania świadome nowych estetyki zdobytków byłoby na polu szerszem, po francusku naprzykład, stosowniej wypowiedzieć, myli się. — Swobodnie tu jest i przystępnie wszystko w tym wielkim i zacnym narodzie, dla którego szacunek mam świadomy sobie, ale... możeby trzeba *władzę* pierw mieć albo *systemat* sławny na to, a obie te rzeczy wprost przeciwne są celom takowej i mojej pracy. Mistrze zaś wielcy w sztuce, choć to i usłyszą i zrozumieją, *cierpieć będą, że nic k'temu nie uczynili, a nie uczynią nic!*... czekając zawsze, aż uczeń mistrza a pokolenie zakasuje pokolenie, z kądem *ciagu* nie ma i mieć nie może tak rozwijana sztuka... *Konkurencya* na polu *postępowi* jedynie dostępnem jest najprostszemu absurdum, a *emulacyę* zabija zawsze *konkurencya* i energię twórczą wyniszczy.

Lubo — niema co się tam przecie *ścigać*, gdzie dróg jest nieskończona liczba — to tylko jak się jedną drogę widzi, *ścigać* się może jest koniecznem, i to jeszcze może! Przy tem, *nieświadomość wartości elementów komiki i satyry* wyniszczy tu zawsze siew tej niwy...

Ciszy

.....

Ciszy, w najkolosalniejszym słowa tego tonie, nie doznałem nigdzie jeszcze wyższej nad ciszę o jednej nocy acz zimowej na Oceanie... że słów na to niema, mimo iż twarda to i prawie głodna podróż dwumiesięczna przeszło była i uprozaiczniała dobrze... pomnę, iż obejrzawszy się wkoło ani modlić się nawet słów nie miałem — *i zapłakałem tylko... że może być tak wielka cichość...* a przecież tyle mórz pierw innych znałem...

Izraelicie, towarzyszowi podróży, którego raz w życiu napotkałem i to na okręcie, patetyczne rzeczywiście winienem także słowo. — Był to młodzieniec światły, w filologii i filozofii także niemieckiej biegły, historię też znał i o sztuce miał wyobrażenie — umiał on i po polsku parę wyrazów, bo, acz za granicą wzrósł, pamiętał, że dziecięciem w Polsce był, jak to mówi się czasem u nas szlachty: *był to żydziak*.

Jedliśmy nieraz razem z jednego naczynia ryż gotowany, zwłaszcza kiedy trudno było gotować z powodu, iż burze kuchnię rozbijały, a *fale wyższe masztów* przechodniem na statku pomiały. Bo to była też niebezpieczna żegluga, dwa okręty współpływające rozbiły się, jeden *rozbity* widzieliśmy na własne oczy.

Wiele

Wiele razy na zwojach sznurów z izraelitą owym całe noce rozmawialiśmy po francusku o polityce, historii, filozofii, estetyce, o Religii Chrystusa Pana, i o tamuldzie, i o Mojżeszowym prawie, i o nie wiem już czym. Gdy nadeszła niedziela (jedna z tylu *niedzieli!*), że, ubierając się w kajucie, przymknąłem nieco drzwi, patrząc, aż ręka się przez szparę z nie-domknięcia drzwi wynikła wsuwa, podając mi *różową flaszkę olejku do włosów i białą świeżą*: rzeczy, domysleć się łatwo, jak kosztowne i rzadkie tam, gdzie już *wodę* bardzo oszczędnie rozdawano, i przy broni nabitej, aby ludzie się o wodę nie pobili... Izraelita wszakże, przynosząc mi te rzeczy, wiedział z innych niedziel, po samej książce do nabożeństwa spotykanej u mnie, iż dzień ten wyróżniać zwykłem. Otóż mówiłem z nim wiele, wiele różnych rzeczy...

Jednego razu, wpodłuz statku miotanego ogromnymi falami chodząc, że spodziewano się znaczniejszej burzy w nocy, ruch był wielki i krzyki rozkazów szczególniejsze niż dotąd... a że chodząc tak przedoną oczekiwaną burzą mówiliśmy żwawo coś o Bożoczwieczeństwie Chrystusa Pana naszego, interlokutor mój przymilkł jakoś na chwilę i ja za nim; — potem wskazując mi na fale rzekł: »A więc wierzysz i w to, że Mesjasz chodził po falach, jak po ziemi?...«

»Wie-

»Wierzę« — odpowiedziałem...

Po niejakiem przestanku obustronnym, widząc, iż mój interlokutor izraelskiego jest wyznania, a światły człek, dodałem:

»Przypominasz sobie zapewne moment i okoliczność, w których Pan przez morze szedł (boć czytujesz Ewangelię ze mną razem, kiedy mi hebrajskie czytanie na tłómaczeniu nowego testamentu w wolnych chwilach pokazujesz), był to więc moment, kiedy już rzesze całe w najwyższym stopniu zaczęły się za Chrystusem Panem porywać *w zapale tłumnym* — lada chwila królem już ziemskim mógł być okrzyknięty... otóż uchadzał w ten czas drogami najmniej od rzeszy znanymi... w takim to położeniu raz przez powierzchnię morza szedł... akt był logicznie naturalny, wynikł z rzeczy samej, jeżeli, jako widzisz, na *małej* syryjskiej zostawszy Panem, to wystarczyło już, aby panem oto był *wszech* *ziem* — tam więc, gdzie owa ziemia maleńka, kończyła się też i cała ziemia z ładami swemi, a zaczynało się morze... powiesz mi (lubo filozof jesteś): a czemu to tak nie pójdziesz, bracie, aby pokazać mi, że tak jest? *zmiierz-że pierwszej proporcje moją do Pana mego*, tudzież uważ, ażali on, *aby pokazać to, czynił tę sprawę*, czy nie raczej, *aby ukryć dostojność swą*...«

»To je-

Takich t
kością sądny
zaś on powy
sowny sobie
coby nie było
tury rzeczy,
cność stylu,
o tyle tylko
sztuki, ows
przedstawi

Błog
dziwej pat
pisarz i ca
wcale, od
kniejsze,
idea i m

Ca
i mało
mnianie
wymag

jak, zd
ska, p
dzisie
kopy

»To jedno ci powiem« (mile tu wspemi, kędy mąż ów anglików zbił, a cofających a raz spotkany) Izraelita rzecze mi: »*że już ci* (nierzy swych utrzymał tam nieraz odwagą *wasz był to może najidealniejszy człowiek...*... I pamiętaliśmy jeszcze, że towarzysz Książę pewny z... ładki mej z poważnie historycznego a książ

Książę pewny, z zaciętego a wielmożnego rodu pochodzący, liczył pomiędzy żeńskimi rycerskimi swymi właśnie że onego sławnego w Ameryce, obywatela Rzpltej zostawszy, i oną... Bohater ów — łącznie jest wiedzieć — że Kościuszki — a zaś ulubiony wielkiego wygnanca tego winieniem chwil przyjemnych i przyjacielskich z ród jej niegdyś wzgardzonego) ... był właśnie a usługi mówię dlatego, bo jest rzadkiej uprzejmą tam wygnancem i zamieszkałym nieledwie serca człowiek. Kiedy wielkim smutkiem dotarł pobojuwisku, które sławę Kościuszki zjednało! po onym wybrzeżu przechadzał się raz ze *Książę obywatel Rzpltej amerykańskiej* przyjmując a słońce właśnie ku zachodowi miało się, chwalił radośnie to: *wet za wet po wieku...* było opodal *wzgórza małego*, zielonem wówczas i mocnymi promieniami przeszytą osłonięte, *słone żyte*, w kłosał właśnie będąc — dalej, roku rzeka srebrzyła się pod słońca jasnością, *tęczy małej mury na brzegu jej i okrętu tuż resz* czerniły się...

Nie pamiętam, o czym mówiliśmy... ale mówiliśmy o rzeczach rozmaite, pamiętaliśmy, dokoła spozierając okręt ten zachowała do dziś Ameryka, na pamięć męża, co na nim przyplłynął z Europy...
Wzgórza zielone i fort...

Wzgórze zielone i forteczka pamiątkami są

DRUGI CYKL
UWAG O SZTUCE
I LITERATURZE
1852—1876.

WIDOWISKA WOGÓLE UWAŻANE.
UNA PICCIOLISSIMA OSSERVAZIONE...
O SZTUCE (DLA POLAKÓW).
CZASEM NA TE ZJAWISKA UWAŻAM...
O PORTRECIE I JEGO PRZEZNACZENIU.
KILKA SŁÓW W ZASZCZYTNEM NA CZEŚĆ
J. MATEJKI ZGROMADZENIU.
SZTUKA JAKO ŻYWY ORGAN SPOŁECZNY.
LIST I. DO J. B. WAGNERA.
SZTUKA OKOLICZNOŚCIOWA. LIST II. DO
J. B. WAGNERA.
WSZYSTKIE EKSPOZYCYE RAZEM.



WIDOWISKA WOGÓLE UWAŻANE.

GRECYA.



Widowiska u Greków dzielą się na dwa rodzaje:

1. *Gry publiczne na Cyrku,*
2. *Scena.*

Pierwsze i drugie miały związek z religią u ludów starożytnych, wszelako ta była ich różnica, że:

1. *Gry publiczne na Cyrku* — były więcej przeznaczone dla ogółu zebranej publiczności na dzień święta jakiego i składały się z wyścigów *pieszo, konno, na wozach*, z wyzywania się na *improvizacye poetyczne, muzyczne etc.* Wyjawszy *Lacedemonę*, każde miasto miało podobne widowiska, a cztery były najgłośniejsze:

1. *Olimpijskie,*
2. *Delfijskie,*
3. *Korynckie,*
4. *Nemejskie.*

Nazy-

Nazywało je — *Igrzyskami Olimpijskimi* — *Pytyjskimi* — *Nemejskimi* — *Istmickimi*. Te gry publiczne na cyrkach nazywają się po polsku wogóle IGRZYSKAMI.

2. *Scena* — czyli GRA właściwa; — ta miała bliższy związek z religijnymi obrzędami. —

P.) Jaka tedy była różnica pomiędzy IGRZYSKAMI a GRĄ?

Odp.) Że GRA była nie tylko dla zgromadzonych na dzień święta jakiego, ale i dla uczczenia samegoż dnia świętego — na cześć: 1. *Bóstwa*, 2. *Bohatera*, 3. *Uroczystości jakiej ogół obchodzącej*, gdy tymczasem IGRZYSKA były więcej dla zajęcia masy zgromadzonej na dzień uroczystości.

GRA (sceniczna, właściwa) rozwinęła się głównie w samych *Atenach*.

* * *

RZYM.

U Rzymian, podobnie jak u Greków, były *Igrzyska* i *Gra* sceniczna. — *Igrzyska* wszelako, skutkiem ogromu państwa, do najobszerniejszych rozmiarów doszły. Niema dotąd na świecie ogromniejszego *Cyrku*, a nawet budynku, nad *Colosseum* rzymskie. *Igrzyska* u Rzymian dzieliły się na *Atletyjskie*, *Gładyatorskie*, *Wyścigi* konne, piesze, wozowe,

zowe, rzucanie dyskiem, czyli rodzaj *kręgli*, — potykanie się na krótkie miecze, albo rzucanie włóczniami małymi (*javelot*, jak ta, którą ma p. Komorowski), wreszcie potykanie się z dzikimi zwierzętami. Te igrzyska rzymskie w następstwie rzeczy skończyły się zaszczepieniem instynktów krwawych, zepsuciem smaku — i, końcem końców, męczeństwa Chrześcian, rzucanych na pastwę zwierzętom dzikim, stosownie pierwszej wygłodzonemu, zakończyły historię igrzysk. U Greków nigdy nie doszło aż do tego upadku. Umysł ateński, prawdziwymi pojęciami o *pięknem* ukształcony, oddziaływał niepięknym instynktom, a współcześnie z przejęciem upodobania krwawych *igrzysk* od Rzymian, Grecya zamieniła się w prowincję rzymską. Ta piękna dziewczica, jak ją nazywa *Byron*, sama pierwszej zgasła, niżli piękny smak jej się popsował.

Pokazuje się więc, że prawdziwa *Tragedya* i *Drama* stały w obronie łagodności obyczajów.

Rzymianie nigdy nie zrównali w *Tragedyi*, *Dramie* i *Komedyi* Grekom. — *Scena rzymska* przyjęła jeszcze jeden rodzaj gry — *pantomimę*. Figura mimiczna, którą nazywamy *Poliszynel* (*Pulcinella*), datuje jeszcze od pierwszych Rzymian i daje się spotykać na freskach starożytnych z swoim nosem krzywym, brodą zadartą i garbem.

Este-

Estetyczna natura sceny starożytnej.

GRA sceniczna, jak mówiliśmy, powstała z *chórów* obrzędowych i z *solo* Bóstw, albo Bohaterów, czyli pół-bogów — powstała więc z pieśni czytanej, śpiewanej i tańczonej około ołtarzy, które przed schodami świątyni stały i na których paliły się ofiary.

I tak np., według podania historyków, wiemy, że przedstawiano *Walkę Apollina z wężem Pytonem* — to było na początku się sceny.

Te reprezentacje sceniczne, przeszedłszy do Peloponezu, nazwane zostały *drama*, co znaczy w dyalekcie tamtejszym: akcja, czynienie, życie, działanie. Niektórzy złąd pisarze utrzymują błędnie, że drama wynalezioną była w Peloponezie, ale to jest błąd, ona tam nazwaną tylko była. Wynałazł ją duch ogółu społeczeństwa, potrzeba wewnętrzna, a pojawiła się naprzód w *Sycyonie*, a wykształciła się ostatecznie w *Atenach*.

Niejaki *Tespis*, rodem z Ikaryi, za życia Solona wprowadził do Aten te pierwotne reprezentacje. Urządził on rodzaj teatru, podobno na wozach umajonych gałęzmi zielonemi w kształcie dekoracyi, a aktorowie, albo raczej śpiewacy i deklamatorowie, powlekali twarze swoje czerwonemi winnemi jagodami i odziewali dolną część ciała kozie-

koziemi skórąmi, czyniąc się podobnymi do *Satyrów*, pół-ludzi, pół-kozy. — Tym sposobem włos kozi, zwany po grecku *τράγος* (tragos), przygotował nazwisko *Tragedyi*. — Głównie więc na święta Bachusowe, przy zebraniu z pół wina, uroczystości te miejsce swoje miały.

Podczas kiedy *Tespis* tak przewodniczył teatrowi, zdaje się, że *jeden* tylko aktor grał, a *chóry* odpowiadały i dopełniały sceny.

Eschylos dodał drugiego aktora.

Sofokles trzeciego.

I tak — sformował się naprzód: 1. *Monolog*,
2. *Dyalog*,
3. *Trilog*,

czyli pełna drama,

tak, jak w rzeźbie grupa prawdziwa z trzech figur dopiero kompletuje się.

To więc, co dzisiejszą *dramę* składa, *to są całe Epoki* historyi teatru, czyli — monolog — dyalog — drama.

* * *

Pierwszym aktorem dramy onej początkowej, czyli tak nazwanym *Protagonistą*, bywał sam poeta. Schiller w Dreźnie dawał posiedzenia aktorom współczesnym sztuk swoich — Shakespeare, Molière —

Molière — to są jeszcze odcienia tejże samej rzeczy, lubo wedle cywilizacji i jej potrzeb zmodyfikowane.

* * *

Tak więc mówiło się już
o Igrzyskach,
o Grze scenicznej,
o Dramie,
o Tragedyi,
o Trzech pierwszych aktorach czyli
o trzech peryodach sceny.

Teraz należy jeszcze wzmiankować o *Chórach*. — Chóry powstały z pewnego rodzaju tańca obrzędowego, świątecznego, zwanego *χορεία*. — Następnie zaś, w skład dramy weszli, wyrażali jakoby objaśnители i nauczycieli sensu moralnego rzeczy reprezentowanej — było to jakby pomiędzy publicznością a sceną ustanowione kapłaństwo-publiczności.

* * *

O! jakże nieskończenie przemądrze rozwijają się te prace w historii...

Kiedy jedna z tych gałęzi, to jest, *Igrzyska*, z zepsowaniem smaku skończyła na krwawych męczeństwach

czeństwach rzucanych lwom i tygrysom na pożarcie; druga, to jest, *tragedya i scena*, będąc, jako się rzekło, nierozdzielna z religią, skończyła się i zamknęła, albowiem na końcu męczeństw onych nowa religia zwyciężyła i nowa scena się zaczęła.

* * *

Taki jest początek, postęp i koniec starożytnej sceny *Greckiej i Rzymskiej*.

* * *

Jest to koło, które się samo przeciwnymi końcami obrębu zawiązuje i nowe zeń wywija się.

* * *

FRANCYA i ludy chrześcijańskie.

Ze wszystkich rodzajów widowisk, jakie Rzymianie zanieśli do Galii, — *walki zwierząt i potykania się na cyrku* zaszczerpiły się i przyjęły. W roku 600 dołączyła się jeszcze do tego *pantomima*.

Clovis w poselstwie do *Teodoryka* objawił życzenie, ażeby mu przysłano *pantomima*, któryby do znajomości sztuki swojej łączył znajomość muzyki.

Ten rodzaj *histrionów* zastąpili w następstwie *Trubadurowie*, którzy w śpiewy swoje wprowadzili

MIMIKA

dzili pewien rodzaj akcyi i deklamacyi; tym sposobem na nowo mogłaby była sztuka rozpocząć od *solo* poety i *chórów*, jak w Grecyi, urabiając tym sposobem nową tragedję — ale nic się ślepo i mechanicznie w historii nie powtarza!

Wszystko, co się powtarza w historii, — powtarza się zawsze z jakiejś strony w *potężnej* *wyższej*.

Kiedy więc *Trubadurowie* skończyli na improwizacyach smaku zepsutego, w których forma wiersza zastąpiła wartość uczucia i myśli — kiedy wierszowanie wyszukane stało się ich *celem*, czyniąc z harmonii uczucia i myśli pewien rodzaj dźwięcznej gimnastyki wyrazów, skończyli swoje powołanie i zastąpili ich miejsce — kto? *Kuglarze*. — Ci długi czas we Francyi, po *trubadurach* wzięwszy miejsce, zajmowali publiczność...

Nareszcie — towarzystwo *Pielgrzymów*, którzy się potem dali poznać we Francyi pod imieniem *Bractwa męki Pańskiej* (*Confrères de la Passion*), stało się nowem źródłem tragedyi i dramy chrześcijańskiej.

Widzimy więc na nowo grupującą się sztukę dramatyczną około obrzędów religijnych.

Tu powstaje rodzaj *dramy mistycznej*, która na dnie uroczyste zajmuje i wzrusza publiczność.

Drama

Drama ta jest poczęciem się *Tragedyi*, tej samej, którą Calderon w Hiszpanii, Shakespeare w Anglii, Goethe i Schiller w Niemczech uprawiają.

Wszystkie te wielkie koncepcje dramatyczne powstały z onych *mistycznych a dramatycznych legend*, które zaszczepili pielgrzymi średniowieczni i które tak się mają do procesyj kościelnych, jak *Tragedye greckie* do chórów na cześć Bóstw i Bohaterów.

Te pierwsze zawiązki *Chrześcijańskiej dramy* nazywano *Misteryami* (les *Mystères*). Kto chce mieć o nich wyobrażenie żywsze, niech doszuka się ich charakteru w naszych polskich *Jasiekach*, które są jeszcze ostatecznym odcieniem tejże samej koncepcyi dramatycznej, — można także w poszukiwaniach K. W. Wojcickiego wielkie skarby pod tym względem znaleźć.

Bractwo Męki Pańskiej przedstawiało najwyższą Tragedję Chrześcijańską Męki Zbawiciela świata, która też w malarstwie i rzeźbie, jak widzimy, zajęła główne miejsce. Charaktery Judasza, Piłata, Faryzeuszów, a z drugiej strony Apostołów i Męczenników. Jeszcze »Kupiec Wenecki« Shakespeare'a daje w sobie poczuć pochodzenie tej dramy. A w Calderonie ciągle pośrednictwo *cu-*
dów na

dów na scenie widocznym tego dowodem, tak da-
lece, że w sławnej i najgłośniejszej dramie Calde-
rona, to jest, w *Nabożeństwie Krzyża* (La devocion
de la Cruz), sam Calderon wychodzi na końcu tra-
gedyi, oznajmiając:

że — takie rozwiązanie tragedyi przechodzi
siły moralne autora i że tu on pióro zatrzy-
muje...

Widzimy w tem jeszcze oną pierwotną tragedye,
w której Poeta nie przestaje być pierwszym aktorem.

Tak więc mówiliśmy już, zkąd nanowo wy-
rosły *drama* i *Tragedya*, jakie do dziś istnieją.

Teraz *komedya*.

Kiedy *Bractwo Męki Pańskiej* i inne towarzy-
stwa Pielgrzymów zatrudniały się wyprowadzeniem
nowego principium dramy i tragedyi — powstało
wiele innych towarzystw krotochwilnych, zakła-
dając nowej komedyi posadę.

Towarzystwo palestrantów parlamentowych
(les clerks de la basoche du Palais de Justice)
urządziło rodzaj komedyi, mającej już za cel nie
misterya i *dogmatyczne* prawdy, ale *obyczaję*. Na-
turalnie, że ludzie, poświęcający się nauce *prawa*,
wyszli z punktu komicznego, przedstawiającego wi-
dowisko obyczajów i ich zdrożności — to początek
komedyi.

P.) Jaka

P.) Jaka więc różnica *dramy* i *tragedyi* chrze-
ściańskiego świata a *komedyi*?

Odp.) Że jedną i tę samą prawdę *tragedya*
i *drama* przedstawiały w jej charakterze *misty-
cznym*, a komedya w jej stronie obyczajowej.
Pierwsza — *Ideał*, druga — *realizację ideału* i jej
zdrożności krzywe.

Takim komicznym teatrem był następnie *teatr*
dzieci bez troski (le Théâtre des Enfants sans souci),
którego naczelnikiem był *książę głupców* (le prince
des sots). Pojmuje się jasno, że te epiteta przybie-
rano na siebie, ażeby tem przyjemniej było słucha-
czowi własne często zdrożności oglądać. Tak, w na-
stępstwie rzeczy, buffony Shakespeare'a i Calderona
często są wielkimi i głębokimi filozofami, a jak owi
w Grecyi kozie skóry na siebie brali, ażeby tym
sposobem uchodziło im to, co *satyrom* przystoi, ta-
kie tych było w rozwinięciu się dramy położenie.
Ta wysoka delikatność w okazywaniu śmieszności
ludzkich własnym kosztem była obowiązkiem pięk-
nym i szerokim komików pierwotnych, z których
w linii najprostszej dzisiejsza jest komedya.

Nareszcie po »*les Enfants sans souci*« nastą-
pili *Stefan Jodelle*, zmarły już w r. 1573, i *Aleksan-
der Hardy*, paryżanin, którzy już przez *tragedye*
i *komedye* kształtowniejsze stali się uprzedzicielami
i gotu-

i gotującymi drogę Molière'owi, Corneille'owi, Racine'owi etc.

* * *

Oto jest główny szkic historyi sztuki dramatycznej u ludów starożytnych i u ludów chrześcijańskich. Dalej już źródła i następstwa bardzo jasno są znane i blizkie — zwłaszcza patrząc już z onego głównego punktu wyjścia.



UNA

UNA PICCIOLISSIMA OSSERVAZIONE AL ILLUSTRE AUTORE DEL MAGNIFICAT DELLE ARTI.



opo aver ammirato il quadro e letto la spiegazione nella quale si trovano queste parole:

(pag. 14.) »Michel-Angelo etc.etc. etc., — vogliamo sapere una cosa:

Perchè è pienamente impossibile fino al oggi di costruire una basilica (come per esempio quella di S-o Pietro, di S-o Giovanni Laterano *Madre delle chiese*, di S-o Paolo etc. etc. etc.) — *senza gli elementi dell' Architettura pagana, vuol dir, senza il Corintio, il Dorico, il Ionico?*...

E poi:

Perchè è pienamente impossibile di fare un semplice altare (non già una chiesa) senza il *sarcofago antico dallo quale abbiamo preso il altare per la mediazione delle Catacombe?*...

Ah! perchè?...

Perchè

Perchè le Sibille pagane hanno profetizzate la venuta del nostro Salvatore?

Perchè S-o Paolo nell Areopago Greco si è commentato *dagli poeti pagani antichi*?

Perchè il Dante discende nel Inferno con il duca suo *Virgilio*?

Ah! perchè?...

Amicus Plato sed magis amica veritas...

*

A tutte queste osservazioni (e un migliaio delle pare) non si trova una altra risposta che la seguente:

L'arte cantava sempre *parate viam Domini*, senza sapere, senza intendere, senza calcolare, d'una maniera particolarmente *creativa* per la profezia del cuore casto e elevato.

Ci si trovano le figure antiche tutte scoperte, tutte nude e pure molto, molto più caste nel loro effetto dagli impennati angeli di molti nostri moderni artisti!

Non è questa la colpa di *Michel-Angiolo architetto della prima chiesa del mondo*.

Non è questa la colpa della seconda maniera di Raffaele, *autore della disputa del Sacramento*.

Ce ne sono le altre colpe e più grave... non solamente di loro due ma del loro pubblico, del secolo...

*

Un ar-

Un artista che vive come Rembrandt o Teniers e studia le beate harmonie delle linee di beato Angelico commette la medesima apostasia della quale parla il libretto — le sue opere saranno non meno pagane, perchè saranno falsamente sante — vuol dir — *idolatresche*.

Un artista che vive da Christiano e ricerca le linee d' Apollone o di Venere commette la medesima colpa — Gli paesaggi di Raffaele, gli albori che si trovano intorno alle sue Madonne sono tanto beate (nello loro *grado*) che le figure stesse...

S-o Paolo dice in qualche luogo che la *natura muta* non e fuori della grazia e della Provvidenza...

.

*

Per me, che non faccio partito ni dei *puristi* ni dei *contra-puristi* e che sono un poveretto laico nell' Arte, mi pare che *il trionfo* vuol dir quando gli indifferenti e gli nemici stessi sono obbligati per la sola conseguenza della verità di riconoscerla e di renderli giustizia e di accettarla come per esempio gli elementi dell' arte pagana che vediamo nelle chiese nostre agli piedi della religione e senza le quale non siamo capaci fin al oggi di far qualche cosa di intiero e bello.

Perchè —

Perchè — il trionfo non si riporta sopra gli amici e gli adoratori ma bene sopra gli nemici e gli indifferenti.

*

Queste poche parole sono scritte da uno degli molti ammiratori di tutto ciò che Illustre Overbeck ha fatto con la grazia di Dio.



O S Z T U C E

(DLA POLAKÓW).

Są obrazy Van-Eycka z tym
podpisem w rogach umieszczanym:
»jak mogłem: V E.«

ZAWIERA TREŚCI:

- (1. Sztuka w obliczu czasu bieżącego i w obliczu ścisłych umiejętności. — 2. Sztuka w obliczu praw natury. — 3. Sztuka w obliczu życia. — 4. Sztuka w odniesieniu do Religii. — 5. Pojęcia narodowe). —

Razem: Objawienie, uzasadnienie i obrona Sztuki u Polaków.

DEDYKACYA.

Tym, którzy, z wielką Historyi zniewagą,
U słupa prawdę rozebrawszy nago,
Już, już świstali:

— Jako dziewicy obuwie wężowi,
Spadnie na czoło lada kwiat i powie:
»Dotąd!... nie dalej!...«

* * *

Tym zaś, co, serca jeszcze mając szczątek,
Nie powstydzili się wielkich pamiątek
Myślą czcić wielką:

— Palmy się schyłą od wołań anioła
I, pogiębione okrzykawszy czoła,
Łzę otrą wszelką...

C. N.

I.



isać o *Sztuce* dla narodu, który ani muzeów, ani pomników, właściwie mówiąc, nie ma; pisać dla publiczności, która zaledwo biernie albo wypadkowo obznajmiona jest z tym przedmiotem, jest to nie pisać o Sztuce, ale *objawić ją*.

Niemniej — pisać o sztuce dla Polaków i po polsku w chwili, kiedy bardzo niedawno część ta intencji i pracy obwołaną została za niewłaściwą, szkodliwą i osławienia godną; owszem, tak ponizemu przedmiotowi obywatelską godność zyskać; jest to nie pisać o sztuce, ale *uzasadnić ją i postawić*.

Trudność ta druga, gdyby nie była z braku rozwiązania onej wstępnej i pierwszej pochodząca, byłaby może nie do zwalczenia dla współczesnych.

Skoro zatem okaże się możebność korzystnego obcowania z *taką publicznością w takim przedmiocie*, znikną przez to samo osławienia i wyklina-

klinania owe, albowiem okażą się być, czem są, — *niewczesnemi!*...

Okazanie pogodne (po-nad-pamfletystyczne) niewczesności zarzutów *bywa* i zagładzeniem onych wszędzie, a *jest* nieodzownie w tym przedmiocie.

Gdyby Polska-naród nie wyczekiwała i mogła nie wyczekiwać nic od Polski-*społeczeństwa*, jak np. w kwestyi włościańskiej dziś się dzieje, owszem, gdyby bez obrazy majestatu Cywilizacyi mogła Polska-naród uważać Polskę-*społeczeństwo* za wynik tylko geograficzno-strategicznych widoków i planów swoich; zaiste, że ten promień intencji i pracy, który się sztuką zowie, mógłby być dla niej obojętnym, jak też z nim poczynali sobie wielcy nawet pisarze nasi, co wspomniało się indziej*. Kiedy albowiem *naród* dopiero uzasadnia się, a *społeczeństwa* ważność nietylko że wyrównywać mu nie może, ale zupełnie jest wypadkową i podrzędną i do dalszych poruczeń zostawioną; wtedy, zaiste, że jedyna tylko sztuka obchodzić go zwykła — *inżynierya* — lub wyłącznie sama *sztuka wojskowa*, jakkolwiek i ta jeszcze niestety... jest *sztuką!*

Owszem — dostrzedz się daje, iż wyłączenie pierwiastku *sztuki* z pośród licznych darów znamionujących wodza — owszem, ograniczenie się na hero-

* Promethidion, epilog XIX.

heroizmie nagim bez udziału tej historycznej estetyki, która Epopeję tworzy, — dawać zwykło wiele *bitw* szczęśliwych, wiele przegranych *wojen*... Tak i w ze wszech miar oddalonej na pozór *sztuce lekarskiej* bynajmniej nieplonnym jest przydatkiem, iż umiejętność ta i ta możność *sztuką* się zowie. Nietylko albowiem wśród licznych szczęśliwego lekarza darów mile witanem bywa, jeżeli jest odgadującym bystro; ale, jak dalece rzeźbiarskiego prawie ukształcenia chirurgia wymaga?... o tem nie można wątpić — co zaś *fizyonomiki* się dotyczy, jak naprzykład szanowne dzieła *Lavatera*, o tych zawyrokować nawet trudno, czyli są dla artystów, czyli dla lekarzy sporządzone? Mamże i o umiejętności *zładina* *ściślej*, to jest, o Matematyce, nie zapomnieć, iż tam, gdzie Astronomii się oddaje i usługi jej pełni, powielekroć opiera się ona na prawach profetyzmem natchnienia otrzymanych i te za posadę sobie bierze, sama indziej wszechzasadniczą będąc, tak, iż nie skłamię, jeśli powiem, iż *skrzydłom* ówdzie *cyrkiel* zdąża... Prawo z czemże obcuje, jeśli *bezprawiem* nie jest? jawność, sąd przysięgłych i obrońcy do ilaż bez oratorstwa obejść się mogą?... Historyi potrafiłżebym archeologię i paleografię i właściwą nawet monumentalną sztukę odjąć bez powalenia jej na ziemię?...

Jeżeli

Jeżeli więc wojskowa sztuka, Medycyna, Matematyka, Prawo i Historia, zdanie swoje o sztuce wiekami całemi zapisawszy, do nierozdzielnej onaż współudziału stanowczo przypuściły, nie pozostaje nam zaiste poszukiwać, gdzie jest ów głos zaprzeczny, tak niepobłaźliwie z istotą sztuki obchodzący się, ale raczej, pominąwszy go, wejrzeć jeszcze w dwie najpoważniejsze sfery bytu: w *naturę* i w *życie*; czyli czasem w tych dwóch nie jest *sztuki istota* więcej niżli w powyższych i ostatecznie uprawniona? Poczem już, gdyby tak być miało i tak okazało się, religijnego tylko jeszcze spytać należałoby się namaszczenia, czyli i to nie jest sztuce odmówionem.

Sztuka,

II.



ztuka, w znaczeniu przyjętem najpowszechniej, dlatego może, że w znaczeniu jej najniższem, będąc »*naśladowaniem natury*«, nie może być już przez to samo *w naturze* inaczej dociekana, jeno jako *piękno* i onego to piękna bezpośredni okres, czynny udział, osobna pora; słowem, *prawo*, wpośród współdziałania wszystkich innych praw natury istniejące i obowiązujące. Takowy to udział, taki okres, osobna pora taka, prawo takie, jestże w cało-sprawie przyrodzenia tak wyraźnem i dzielnie obowiązującym, ażeby, na niem się oparłszy, uprawnić przeto ową tyłowiekową pracę intencji i wiedzy, która *Sztuką* zowie się?... Natura wydzieliłaż miejsce i czas prawu takowemu, prawu piękna? — że albowiem *wszystko* w naturze pięknem jest, albo bywa, to może właśnie dlatego, że *wszystko*, nie ma jeszcze, przez to samo, osobnej istoty

istoty swojej i podejrzewać dałoby się raczej o zależność od sposobu rzeczy uważania, od sposobu patrzenia na nie. Lecz nie — prawo to, prawo piękna, ma i czas sobie osobno wydzielony w porze *kwitnienia* wszelakiego i ma przedmiot swój w *kwiecie*.

Jakoż kwiat, ta to błaha zawiązka piękna, która wdzięczy się dziś, a jutro wiatr ją zwarzy, pochłonie zwierzę paszczą grubą, człowiek nogą poważną zdepcze; kwiat, który nietylko w każdym względzie po-nad-użytecznie pięknym bywa, ale jeszcze są kwiaty jakoby na wyłączną posługę piękności, i to bardzo wyszukanej, przeznaczone; — kwiat i pora kwitnienia, we wszystkim piękna, tak dalece *»realnem i praktycznem«* (jak to dziś mówią) *prawem* jest: iż, gdyby Atyla, lub inny barbarzyńiec jaki, bicza trzaskiem zmiotł te wdzięczne fraszki i te ozdoby z pól a drzew... zaiste, że obozy jego w odwrotnym marszu nawet musiałyby wymierać głodem wielkim, za pogwałcenie onych to słabych praw pobite. Od owoców prawdy albowiem aż do ziarnka rośliny najdrobniejszej, która w szczelinie głazu twardego ma mieszkanie, wszystko przechodzić musi porę kwiatu, *porę piękną kwitnienia*, jeśli ma być owocem użytecznym i ważność mającym. »Przypatrzcie się (mówi Pan i Mistrz) liliom,
jako

jako rosną: nie pracują, ani pręda, a powiadam wam, że i Salomon we wszystkiej ozdobie nie był tak ubranym, jako jedna z tych...» (Łukasza Ś. XII. 27.).



Ale, że

III.



le, że, niżli i o religijne zapytamy się dla Sztuki namaszczenie, obiecaliśmy sobie nietylko praw jej pomiędzy prawami natury poszukiwać, lecz i w sferze moralnej *życia* wskazać, jakie zajmowałaby ona miejsce?... pośpieszamy więc orzec, że jeżeli jest w człowieczeństwa dziejach stan *prostoty*, z której się wychodzi, i tej drugiej *prostoty*, do której się dochodzi, stan *prostactwa* i stan *prostoty* doskonałej; tedy, cały on ciąg onego to właśnie dochodzenia nie może się bez arcy poważnego udziału sztuki w życiu obejść i nie odbywa się. Zaiste, bardzo prostotliwą, *naturalną* i bezwykwintną jest rzeczą oddać w dwakroć po szturg mało uważnego przechodnia w ulicy ciasnej. Zaiste, bardzo ofiarnym jest czynem policzek nadstawić po uderzeniu pierwszym — ale ani ofiarną i stygmatyczną, ani naturalną rzeczą jest wymierzyć sobie

sobie i bliźniemu swemu sprawiedliwość. Samo słowo *wymierzyć* zapowiada już coś sztucznego.

W tymże względzie, osobie nieprzyjaznej złą nowinę donieść w całej przeraźliwej jej nagości, naturalnym jest czynem i nic w sobie sztucznego niemającym, ale *zaczekać* na upamiętanie się czyje, ale *uprzędzić* one, ale temu, który zranił ciebie, okryć mogącą zabić go wiadomość, są to nienaturalne i wielkiego wymagające artyzmu poruszenia! — Jakóż podłość jest bliższą człowieczości, ale sztuka w życiu więcej jest obowiązującą i potrzebną. »*Miej serce... i patrzaj w serce...*«

Nietylko »*miej*« powiada tu poeta, ale zarazem »*miej i patrzaj*« w nie... Wiersz ten, może największy treścią, jaki kiedykolwiek napisał ś. p. Adam Mickiewicz, pomijamy z żalem, iż nie możemy tutaj, dla szczupłości zakresu, w szerokości chociażby równej całemu temu pismu badać go i wykladać.

Zbliżyliśmy się albowiem już do samego, że tak nazwę, *prądu* sztuki w życiu, gdzie pomiędzy *naturalnością* podłą, naturalnością nałogową, wolną od *udawania* dlatego, iż celu jeszcze nie ma, a pomiędzy siebie tylko na celu mającą *ogładą zewnętrzną*, jednym słowem: pomiędzy *bez-lubstwa* a *samo-lubstwa* grubiaństwem i fałszem, żaden składny dwuznacznik, żadna, mówię, doktryna upogodzić nie mo-

nie może wciąż powstawać muszących przeciwieństw na polu życia, jedynie albowiem tam aż przeprowadzonej *sztuki* jest to okres. Jakoż gdyby tu technicznego a przeto wyłącznego wolno było użyć wyrażenia, powiedziec dałoby się, iż *sztuka ekwacyą jest postępu*, — postępu nawet *moralnego*, o ile ten historii jest przedmiotem.

Ileż-bo to smutków do niewypowiedzenia smutnych, boleści ileż do niewypowiedzenia bolesnych — ileż to i trudności do niewypowiedzenia trudnych dlatego jedynie spotyka się, iż, przez niewypowiadanie tychże słuszne, aż do onego to *niewypowiedzianego* wzrosły stopnia!... Hamlet, w domu swych przodków, czemu to aż z *aktorami* przestawanie za jedyną mieni sobie ulgę?...

Zaiste, podrzędnym, przypadkowym lub okolicznościowym, a niekiedy dziwnym mienią ów głęboko mistrzowski pomysł wprowadzenia *aktorów* na dwór Książęcia w chwili, kiedy już całe dworu tego rzeczywiste, potoczne i naturalne życie wynaturzonym tylko fałszem stało się. Z stanowiska jednakże, o którym powyżej mówiliśmy, dramatyczny ten obrót najprostszemu rzeczy jest następstwem. Kiedy albowiem cały obyczaj familijny i powszednia jego rzeczywistość brudną stały się maską, wtedy *maska teatru* zamieniła się tylko w rzeczywistość nieskoń-

nieskończenie godniejszą wyboru i pierwszeństwa. Przyjęła nawet siłę akcyi i jakoby prawdą stała się. Na przykładzie następnie umieszczonym, z *aktu pierwszego, sceny drugiej* wziętym, łatwo jest dopatrzeć wszystkich tych zarysów sztuki w życiu, o których dotąd mówiliśmy, a które uprzytomnią się wydatniej za zbliżeniem spostrzeżeń z wzorem — (pomnić tylko należy, że rozmowa jest *matki z synem* po śmierci *ojca*).

MATKA.

Wiesz sam, i rzeczą jest *najprostsza* w świecie,
I tak to bywa wciąż — że, co się rodzi,
Przechodzić musi przez śmierć w nicość trzecią,
W wieczność...

HAMLET.

Wiem, Pani: tak, to tak przechodzi!...

MATKA.

Więc czemuż rzeczy nie brać, *jak są one*? —
Zwyczajne, czemu zdawać się ma dziwnem?

HAMLET.

Zdawać?... O! Pani — to nie jest zmyśłone
Czarnym kolorem płaszcz, ruchem sztywnym,
Wzdychaniem, które siłę płuc oznacza,
Bładością cery, dużym łez potokiem,
Z całą ich formą, modą i urokiem,
Który się *zdawać* może... że rozpacza.
Nie — to mię wszystko najmniej nie wyraża,
Właśnie, iż sztuka wygrać to jest w stanie,

Właśnie,

*Właśnie, iż często udać się to zdarza,
Gdy to, o cierpię ja, jest nad udanie...*

Kiedy tak, w *pierwszym* zaraz akcie i w *dru-
giej* scenie (a więc dobrze jeszcze przed ucieczką
do aktorów i sceny), zasłania się już Hamlet przed
oną radą matki, ażeby brać rzeczy, *jak są one, na-
turalnie i poprostu i nie wdać się w patetyczne
smutki*, królowa odrzuca się na stanowisko przy-
puszczające dramę w życiu i próbuje, do ila ta ce-
lom jej posłuży, mówiąc:

— Że Hamlet ojca płacze, jest przykładnie,
Bardzo przykładnie, owszem, bardzo ładnie...

.

Na tym to przykładzie, krótkim, o ile tego wy-
maga zakres pisma, ale w którym brzmią główne
tony, o przeprowadzonej *sztuce w życie* świadczące,
zamykamy nasz okres temuż pogładowi na sztukę
poświęcony i należy, a przechodzimy do uważania
onejże wobec Religii.

Kiedy

IV.



Kiedy niedawno zmarła Rachel,
która była wielką artystką dra-
matyczną, znalazła już się na po-
łudniu talentu swego i w Pocz-
damie grała przed złożoną z kró-
łów publicznością, zdarzyło się,
iż, po najpomyślniejszem z tych
przedstawień, skoro się udała na spoczynek, uczuła
była jakoby rękę wielką tłoczącą jej pierś na spo-
sób, w jaki się pędzącego w biegu zatrzymuje...
i usłyszała była głos: *»tu koniec twój — tu sko-
nasz!«* — I zdało się jej było, iż obejrzała się za gło-
sem, patrząc, gdzie skonać ma — gdzie jest jej
koniec?

— Ale zobaczyła tylko czworoboczną izbę,
wapnem prostem bieloną, pustą, i zdało się jej, że
nic w tej tak pospolitej izbie niema.

— A patrząc, patrząc dłużej, kiedy dziwowała
się onej wielkiej prostocie miejsca tego — dostrzegła
jeszcze

jeszcze klęcznik i dostrzegła postać klęczącą, ta zaś była jakoby posąg, którego nie można było widzieć twarzy, lecz który na wejrzenie przypominał statwę Polymnii z Louvre'u... Dzienników wiele powtarzało zdarzenie to, które słynna aktorka opowiadała była bliskim swoim, ale nikt snu owego nie tłómaczył. Jest on jednakże wielce jasny... Każdy *aktor*, wchodząc do celi Kameduły, przed podobnym klęcznikiem powiedzieć sobie może z onym głosem tajemnym: »*tu koniec twój...*«

— Jakoż, wobec Religii, sztuka, samoistność swą tracąc, wstępuje już w porządek potęgi wyższej życia, gdzie o tyle tylko żywa jest sobie, o ile litery światłem staje się, o ile kona sobie, a *najjaśniejszym tajemnicom* wiary objawionej jako uwidomialające ciało, postać i forma posługuje*. Ołtarz już kresem jest samoistnego sztuki bytu i, jeżeli w sztuce woj-skowej, medycynie, matematyce, prawie, historii i t. p. udział sztuki wybiera sobie właśnie że najży-wotniej samodzielne części tych umiejętności, stając się jakoby ołtarzem świętego ognia ich, to przeciwnie na stopniach religijnego *ołtarza ołtarzów* udział ów sztuki na najformalniejszej właśnie części ogranicza się — tak, iż powiedziećby można, że prawdziwej religii *forma* udziela jeszcze *ducha* wiadomościom



* *Pieśń społeczna*, karta XI, wiersz 21, 22, 23, 24.

mościom doczesnym przez sztukę. Spostrzeżenia tego, na którem budowa niniejszej pracy o sztuce zakłada się, ażeby tem wybitniej prawdę uczuć, i kresów tajemniczy przemieniania się sztuki w wyższą natury potęgę naznaczyć: nie od rzeczy będzie przytoczyć tu słowa świętego mędrca Tertuliana do Senatu Rzymskiego; te brzmią:

(14. Apologetik.) — »To pociesza nas, że bogowie wasi, czyli posągi, ażeby dostąpić bóstwa, przechodzą pierwej przez te same katusze, na które my codziennie przez ich fałszywe bóstwo wystawieni bywamy. Wy przybijacie chrześcian do krzyżów i słupów; czyliż nie tak samo rzeźbiarz, formując postać bóstw, od krzyża lub pala rozpoczyna? Nie na krzyżu-ż to odbierają one pierwsze zarysy świętości ich profilów?

»Wy i żelaznemi pilnikami rozdzieracie boki chrześcian; — ależ piła, pilnik i rylec niemniej, owszem, staranniej obrabia członki bóstw... Wy i głowy chrześcianom odejmujecie według upodobania, tak, jak się z bogami waszymi dzieje, które główby nie miały, gdyby onych rzeźbiarz nie dał im. My rzućcani bywamy na pastwę bestyj; a na czyjaż to pastwę Bachus, Cybela i Ceres podawani bywają! — W ogień rzucacie nas; a ileż bóstw tej próby nie przechodzi? — Do kopalni bywamy wysyłani; a toć z onych

z onych kopalni i bałwany wasze dobywa się. — Lecz co nad to jeszcze pewnego jest, to to, iż zaiste że równo bogowie wasi nie czują zniewag onych i ponieważ i zaszczytów...»

Wszelako oto i tu jeszcze, jakkolwiek w obrazie tak bolesnym i dla innych powodów przytoczonym, potwierdzone jest to, co właściwą, co rzetelną sztuki stanowi prawdę. Można było albowiem w ten już sposób do Rzymian odzywać się, można było w sposób nierównie snadniejszy do Greków, jak to Apostoł Paweł czynił, właśnie że dlatego, iż w samem onem rozwinięciu sztuki i estetyki leżała już pierw ujmą temu dzikiemu bałwochwalstwu, które cale wymowy nie dopuszcza a porozumiewanie się wszelakie zbrodnią mieni. Doświadczenie historii uczy, iż skoro lud jaki bogi swoje idealnej piękności podda, wraz i bałwochwalstwa potwór znika — *allegorye* się zaczynają — po nich *figury retoryczne* miejsce biorą, i prawda już odtąd te przynajmniej prześladowstwa spotyka, które i dziś godzić na nią mogą, wcielonych obrońców jej zamęczyć, ale prawdy w niczem nie uszkodzić — owszem, na tem błogosławieństwem postawić ją przeto świeczniku. Ideał albowiem, nieskończonym będąc, najnieustanniej przez to samo przewyższać się dozwala, *bałwochwalstwo*

chwalstwo zatem na tej drodze w *lenistwo* jedynie i w *błąd* nieledwie estetyczny, albo już w tę ostatnią maskę interesu brudnego się zamienia, którą pokrywał się ów rzeźbiarz dla świątyni Dyany pracujący i dlatego jedynie przeciw kazaniom Pawła Świętego Apostoła podburzający rzeszę ciemną. Nie był to już wszelako prawdziwy artysta grecki z czasów pięknych, ale właściwiej *kupiec* — prawdziwy Grek byłby raczej wędrownem jakim *bóstwem* Apostoła każącego uznał i, za takowe obwoławszy, woły mu na ofiarę przywieść radził, jak to w innem mieście greckiem miejsce miało. — W idealnem piękna uprawianiu leży pewne *uczczenie wyższego porządku rzeczy*, ku któremu wznosząc się, jeżeli nareszcie u szczytów onego napotkanej prawdy nie można *wziąć*, to jedynie dlatego, iż człowiek wziąć sam nic nie może, coby mu pierw nie było *dano wziąć*. Bałwochwalstwo przeto na tej drodze (jak to rzekliśmy wyżej) jest już raczej lenistwem, opieszaństwem i gnuśnością, prawy zatrzymującą postęp. *Amm. Marcell.*, w początku piątego wieku pisząc tak obraz stanu tego kreśli:

»I te niewiele domów, gdzie poważnie umiejętności i sztukę uprawiano, zamieniły się już na teatra zniewieściałości i uciech szalonych, które tego są następstwami. Nie słyhać już tam nic, oprócz samych

samych głosów ludzi i instrumentów; zamiast filozofa albo mówcy, grajek, trefniś lub skoczek poszukiwany bywa. Księgozbiory zamknięte są jak groby, a gdzie o treść pytać należałoby, tam raczej za fletem, lirą albo innem muzycznym narzędziem biegną, i to jedynie jako za nieoddzielnym płaskiej komedyi chórem.« —

Starożytni wprowadzie pewny rodzaj muzyki zawsze w pogardzie mieli, mowa tu jest wszelako o ogólnem raczej wygaśnięciu wszelkich idealnych poczuć i zaparciu się ich postępu. Z chrześcijaństwem dopiero bowiem święty Ambroży, a głównie święty Grzegorz papież, objawiają, uzasadniają i stanowią muzykę dzisiejszą.

Po skre-

V.



o skreśleniu zatem w ustępie pierwszym (I), jaką zastaliśmy ważność publiczną sztuki, a jakie ona nietylko w czasie bieżącym, ale w *sztuce wojkowej, medycynie, matematyce, prawie i historii* przez cały tok postępu onych zajmuje miejsce, i jest bynajmniej *tem czemścis* (!), za co ją wszyscy prawie wszystkich narodów teoretycy uważają, a *na ich wiarę nasi polscy...* — wypowiadamy z naszej strony bardzo prosto: że sztuka w obliczu umiejętności *jest sferą każdej z nich żywotną i dopóki są one żywotnemi.*

Po okazaniu następnie w rozdziale drugim (II), że wobec natury uważana sztuka wchodzi w jej *prawa;*

po skreśleniu w ustępie trzecim (III), że uważana sztuka w życiu jest *ekwacyą postępu* moralnego;

i — po tem, co ustęp czwarty (IV) zawarł: to jest, iż

jest, iż, w odniesieniu naostatek do Religii, sztuka ujście swoje tam znajduje, ale jako wszędzie indziej żywotną jest, tak, odwrotnie, u ołtarza progów w *literę* jedynie wyjaśniającą *Słowo* zamienia się i zamyka przeto całość istoty swojej;

po *objawieniu*, *uzasadnieniu* i *obronieniu* sztuki, jednym słowem, — pozostaje mi tylko z zadziwieniem wielkiem odpowiedzieć, jak mogła rzecz z siebie tak poważna obwołaną być za czczą i szkodliwą? Tudzież, o ile da się (w tak złem powietrzu), skreślić także pojęcie *polskie*, na tem obszernem polu koczujące...

Zapytanie jednakże pierwsze milczeniem tylko, albo skreśleniem ogólnem stanowiska *sztuki* do *doktryny*, albo następującem, co najlepiej, zbyć można porównaniem:

I kryształowa szyba, kiedy się wskośnie na nią patrzy, zastania oczom przedmioty...

Przejdźmy teraz do narodowych pojęć.

Zdaje



daje mi się, że dotąd nie określono jeszcze, ani w sposób wyraźny określić próbowano, czyli i o ile i jako ma się właściwie rozumieć to słowo: *sztuka narodowa*. Jest albowiem wiele sposobów, bardzo klasyczną i akademicką formę mających, a sporządzonych, zdałoby się, wyłącznie ku temu, aby treści zawile, mianowicie zaś te, których rozwiązanie owoców pochlebnych nie przynosi, omawiać, od-raczać, lub, solennem pokrywwszy milczeniem, mieć je na boku i ostrożnie, jak starą broń nabitą, wokoło której domownikom i działwie skrzętnie radzą przechodzić... Taki stary arkebuz wszakże pokazuje się z czasem, że, bynajmniej nabitym nie będąc, próżno straszył lat parę z kąta swego.

Sztuka narodowa, jako *czas*, może być tylko wyrazicielką historycznej, że tak powiem, godziny, o której naród jaki poczuwa się do udziału w wyrobie ogólnym — dzisiejsze rysunki chińskie zupełnie tej wartości są, co byzancko-włoskie przed Giottem, lubo

tem, lubo Chińczycy na tak niestychanie wyłącznej osobności trzymają się... Proszę tedy z łaski swojej zjawisko to inaczej wytłómaczyć... (!)

Sztuka narodowa, jako *miejsce*, może już być wyłączniej uważaną, ale i to ze względów następujących:

Idea, gdyby tylko myśleniem czczem pozostać miała, nie potrzebowałaby bynajmniej warunkom miejsca odpowiadać; ale że *Idea prawdą* zostać ma, a prawda nie jest tylko onem samem myśleniem czczem, *idea* przeto poddawana jest w części pewnej i warunkom miejsca, nie, ażeby przez takową próbę traciła co, ale owszem, aby jedną więcej zaletę zdobywała. *Duch* modlić się może tak *szybko*, że warunki miejsca, przed tą oną szybkością ducha zniknąwszy, jakkolwiek trwają zawsze, nie trwają już dla modlitwy jego: ale *człowiek*, kiedy modli się, potrzebuje choćby tyle *miejsca*, aby spokojnie klęknąć mógł. Tak się to ma idea do materii, czas do przestrzeni — rzecz, za niestychanie zawiła i do okazania niepodobną uważana!

Żeby jednak bliższe z tego dla narodowej sztuki wyprowadzić się dało wnioski, równanie ono powyższe nie wystarcza, trzeba jeszcze wyniku z równania tego, trzeba jeszcze tej trzeciej rzeczy, którą, owocem czasu i owocem przestrzeni naraz na drodze sztuki

sztuki będąc, świadczyła nam nietylko o istnieniu stopni i kierunków, ale i wskazywała one w pewnym względzie. Takim to więc owocem cóż jest?... *wyraz*, czyli, jak się to potocznie mówi: *słowo*.

Wyraz, *słowo*, albowiem, naraz prawie miejsca i czasu potrzebując, naraz używa onych, ani bez nich jest sobą.

Z tego to względu przeto, wyraz *piękno*, u różnych, różnostronnie i różnostopniowie rozwiniętych w obliczu sztuki ludów, gdy zważymy, okaże się nam najwłaściwiej pierwo-promień wszelakiej sztuki narodowej.

A naprzód, najzupełniej błędnem mniemaniem jest, iż owa Olimpijska sztuka grecka dla greckości swojej tak wiecznotrwałą i tak wieczno-wzorową okazała się i okazuje się — bynajmniej — była ona najwięcej *ludzką* ze wszech sztuk, a w Grecyi *miejsce* tylko miała, i wcale nie to drugie ponad innych ludów sztukę wyniosło ją. *Koło* zawsze jest *kołem*, bez względu na to, czy Euklides, czy Mag perski kijem swoim podróżnym wokoło nogi je zakreślił; ale kabalistyczna myśl chaldejska z koła tego, lubo wspólnego wszystkim, zodyak wykreśli, gdy tymczasem dzisiejszy Anglik wyiębi je raczej, na oś wsadzi i do maszyny wprzędzie. I staną się oto rzeczy dwie wcale odrębnej treści.

Tak sa-

— EX LIBRIS —

Biblioteki Kuratorium O.S.B.

w Białymstoku

Tak samo wyraz »piękny« w ustach dzieci oznacza »τέκνον«, to jest, z wszystkich kolorów najsilniejszych złożony. U ludu ruskiego »piękny« znaczy krasny, a krasny czerwony. U Sybirczyków podróżnik Castern zauważył, że dwa tylko wyrazy są determinujące piękność, to jest, wyraz »biały« i wyraz »czarny«, dla przyczyny niezmiernie jasnej, albowiem śniegu nawet leżącego ujednobarwia i ujednokształtnia subtelniejsze różnice rzeczy. Wyrazy: wielki i mały, silny i słaby, gęsty i rzadki, i t. p., określają tam zawsze jednakowo: »biały« lub »czarny«... Lelewel podobnież zauważył, że, głoskę *b*, wedle greckiego obiecadła (Kochanowski mówi *obiecadło* nie *abecadło*), zamieniwszy na *w*, zamieniał się stopniowo i wyraz *boli* biały na wyraz *weli* wielki i odwrotnie.

U starożytnych przeto Greków, wyrażenie piękna (καλός) używało się i jako dobre, zacne, a w brzmieniu swem nosiło zarys najpełniejszej i najogólniejszej formy, to jest, *koła* (polski nawet wyraz *koło* pochodzi z greckiego), i nosiło przeto jeszcze wyrażenie to ślad ruchu, życia od (κινώ) zataczać, krążyć, obrót sprawować. I nosiło w sobie jakoby wyraz puchar, toast, od wyrazu (κύλιξ) kielich... i *spełniało się*...

U starożytnych Rzymian, że sztuka nie była właściwie rzymską, oprócz wojskowej inżynierii: wyraz

wyraz przeto (*pulcher*) *piękny* z zabranego do nich kraju przyszedł — to jest, z Grecyi. Ale oni złożyli go sobie z wyrazu (πολύς) *wszech*, i z wyrazu (χορός) *chór*, i z brzmienia jeszcze (βόας) *bohater*, stanowiąc tym sposobem wyrażenie pojęcia rzymskiego o piękności, jakoby *wszech-głosu*, *wszech-bohaterstwa*, i jakoby *wszech-chrobrych chóru*...

U Germanów (u Niemców) piękność ma określnik (*schöne*); ten nosi w sobie pojęcie obserwacyjne i do czasu zastosowywane, jakoby dojrzałość i dokończoność w porę właściwą określające; dlatego to brzmi w nim i wyraz *słońce* (*Sonne*), i wyraz »już« (*schon*), i wyraz (*scheinen*) *wydarwać się*, i nareszcie słowo (*schonen*), które znaczy: *szanować*, *chronić*, *pilnować*, *oszczędzać*...

U spadkobierców Rzymian, Włochów, którzy sobie utworzyli język drugi, italski, jakkolwiek niema już onego zabranego Grekom wyrazu *pulcher* i jest raczej swój własny »bello«, ten wszelako pokrewny jest starożytnemu rzymskiemu wyrazowi, oznaczającemu *wojnę* (*bellum*) i taniec *ballo* (*ballare*), jakoby określając, iż uradowanie się ze zwycięstwa jest piękności wszelkiej źródłem. To też niema zaiste ludu, u którego by uczucie publicznej radości i ostentacyi politycznej znajdowało łatwiej i patetyczniej formy swoje. U Francuzów i u Anglików tenże sam wyraz włos-

włoski z niewielkimi wyrzutniami lub odmianami
piękność znaczy.

* * *

U POLAKÓW: określnik »*piękno*« dwa nosi
brzmienia w sobie i rozwija się w trzecie:

Złożony jest on albowiem z wyrazów »*pieśń*«
i »*jęk*«, a zamienia się w trzeci wyraz, jakoby »*po-
jék-ność*«, i jakoby nad boleścią tryumf znaczący.
Krótkość zarysu tego nie pozwala nam tu przebie-
gać wszystkich poetów polskich, i do onego otwo-
rzenia powyżej przez nas wyrazu *piękność* stosować.
Ograniczam się przeto na zacytowaniu dwóch tylko
wyjątków z dzieł ś. p. Jul. Słowackiego wziętych, raz
z przyczyny, iż poeta ten najwyłącznie ze wszystkich
poetów polskich jest *artystą*, drugi raz z przyczyny,
iż wyjątki te najbliższej treści poszukiwaną określają.

W Królu Duchu mówi on tak o *tajemnicach
liry* (Pieśń III):

XVII.

*Stary był, pomnę, Zorian się nazywał.
Gdy go palono, cichszy od owieczki,
Na lirze sobie czasami podgrywał,
I szedł przez ogień z uśmiechem piosneczki.
Ani klątw rzucił — ani wydobywał
Głosu wielkiego z małej lirczki,
Głaskał ją tylko, wyjaśniwszy lice,
Niby złęknioną białą gołębicę.*

Zdawał

XVIII.

*Zdawał się mówić i twarzą i ręką
Jakby nad brzegiem szemrzącego źródła:
Nie bój się, liro, bo śmierć nie jest męką,
Ani się lękaj cielesnego zboja! —
Nie bój się, moja mała lirenko,
Nie bój się, siostró, nie bój, córko moja:
A na tożby to nasza mądrość była,
Gdyby — przed śmiercią skonać nie uczyła.*

XIX.

*Przyjmowano cię po domach, po chatach,
Pókiś ty ze mną była wędrownicą;
Bądźże dziś wdzięczna, a nie płacz przy katach,
Bo się ucieszą i ton twój podchwycą...
Czekaj — wstaniemy oboje po latach,
Gdy błysną łuki z tęcz nad okolicą,
Wstaniemy razem z wielką jaką zgrają
Harfarzy — co jak anioły śpiewały...*

Indziej, w najskończeniiej pięknym i dojrzałym
utworze swoim, *Anhellim*, tak naucza tenże o pięknej:

Anhelli, Rozdział I. »Lecz wy będziecie w gro-
bach i całuny będą na was spróchniałe; wszakże wa-
sze groby będą święte, a nawet Bóg od ciał waszych
odwróci robaki i *ubierze was w umarłych dumną
powagę... będziecie piękni*. — Tak, jak ojcowie wasi,
którzy są w grobach, bo spojrzycie na każdą cza-
szkę ich; *nie zgrzyta, ani cierpi, lecz spokojną jest
i zdaje się mówić: dobrzem uczyniła*.«

Dalej —

Dalej — nawet o *piękności kobiety* w rozdziale XIII. »Serce jej od modlitwy ciągłej stało się pełne łez, smutków i niebieskich nadziei, i *wypiękniało na niej ciało*. — Oczy rozpromieniły się blaskiem cudownym i ufnością w Bogu, a włosy stały się długie i podobne szacie obszernej, kiedy się w nie ubierała, i podobne namiotowi biednego pielgrzyma«.

Jako jednakże Grecy mieli w wyrazie *kalos* formalne także określenie *koło*, tak Polacy nie już w jednym i tym samym wyrazie *piękno* mają formalnego onegoż podwalinę, ale w osobnym architektonicznej piękności określniku »*ładny*«, — *ładny* albowiem idzie od wyrazu *ład*, porządek i harmonię oznaczającego. I *ładny* jest wyrazem tak ściśle formalnym, jak *piękny* wewnętrznym i duchowym, tamten albowiem zastosowanie tylko harmonijne do porządku jakiegoś istniejącego okazuje, gdy ten przypuszcza dramę, boleść, jęk, a dokonania i po-konania onych, nowy zdobywając *ład*, spodziewa się. Niższym wiele od określnika »*ładny*« jest jeszcze na koniec wyraz »*śliczny*«, znaczący jedynie piękność porównawczą, krytyczną, wyborową, a tłómaczący się brzmieniami swemi, iż oznacza rzecz *obliczem z licznych pierwszą* i wyborną.



CZA-

CZASEM NA TE ZJAWISKA WISKA UWAŻAM...



zasem na te zjawiska uważam:

— W Gazecie Warszawskiej z Rzymu czy nie z Rzymu rodzaj *nowelli* — *Ród Cenci*.

Wystaw sobie opisanie ścięcia Beatryxy Cenci i matki jej, i roztrzaskanie głowy hrabiego Cenci, który, nie jak kobiety, toporem, ale obuchem był zdruzgotany, »*mażżolato*« — ułaskawienie młodego Bernarda Cenci za wymowną obroną słynnego prawnika u nóg papieskich.

— Opis trwa i trwa — tłum ludu czeka — autor opisuje krój sukni Beatryxy i amarantowe sznurki, które ciżmy jej niebieskie zawiązywały — a raczej, jak zowie, *buciki* — wszystko opisuje się nadobnie i starannie, jak na stole marmurowym, gdzie dissekują zwłoki, które już zwłokami nie są, ale trupem — i trupem nie są, ale kwasami, niedokwasami, i solami, i powietrzami różnemi — tłum czeka — »doniczka z kwiat-

z kwiatkiem spada z okna» na czerń pod mur domu z placu zaciśnioną... I w tem wszystkim na boku postawiony jest Papież, o którym autor nic nie wyrokuje i nic nie mówi, mimo szczegółów sceny głównej — tylko od czasu do czasu napomyka, że podnosił rękę i dawał ofiarom rozgrzeszenie »*in articulo mortis*«.

I jakoby akordu spadek — i jakoby przygawkę, zamieszcza autor ów gest papieski i owo *articulo mortis*.

— A portret Cenci przez Gwida namalowany, a Gwido jako kaptorny z chóru pochodnię trzymający, a cała masa ludu, a wszystko, i wszystko okrom stanowiska papieskiego, do rzeczy opisane i opisane najopisaniejszym sposobem.

— Co powiesz o tem?

— Co to znaczy?

Kto tak światłem rzuca i w cieniu tak zostawia — czy myśli, że przeto nie widzi się, jeno jako on widzi?

Cóż bowiem znaczy, że ona dziewicza postać idzie pod wyrok papieski głowę złotowłosą położyć i ucałować pierw rany Krucyfiksa, *kiedy tam masa ludu stoi tak, jak autor kreślący dziś ów obraz* — —

Jakoż ja, czytając opisanie owo w dzienniku polskim 1860 roku, to jest, w *Gazecie Warszawskiej*, bynaj-



bynajmniej nie jestem rozrzewniony, owszem, ztwardził mię ten opis, iż patrzeć mogę na tyle szczegółów tragicznej rzeczy tak uważnie, — i powiadam sobie:

Zaiste! — oto szczęśliwa jest dziewczyna, która może *ucałować rany Krucyfiksa i głowę rzucić pod topór, kiedy w całym ogromie publiczności ani jednego już rycerza niema*, któryby ją z rąk oprawców wydarł pięścią i kolanem, przed sądem błędnym zakrył geniuszu siłą, przed tem, co *fatalnego* być może w Papieżów władzy, zastawił tem, co *ofiarnego* każdy rycerski puklerz ma — któryby czynem tych rzeczy dokonał, albo słowem ku nim zapalił, albo gestem je na tłum rzucił, albo zamordowany był, iż dopiąć mu sprawy tej nie dopuszczono.

Zaiste — w czasach takich szczęśliwa jest, która nieżyć może i, ucałowawszy drewniany krucyfiks, mieć in articulo mortis rozgrzeszenie.



O P O R T R E C I E

I PRZEZNACZENIU JEGO.



ortretu płótno, należałoby, aby było tak spore, ażeby przyjąć mogło figurę wielkości naturalnej aż poniżej kolan.

Figura zaś nie powinna okazywać się na geometrycznym środku płótna, ale nieco, lubo bardzo powolnie, nie być *na środku*.

Tło, zyskując przez takowe figury umieszczenie, powinno być od strony *lewej* u spodu świetniejsze, ale całe chmurne i listopadowe i przezroczysto-polarne — od prawej strony grubą zamkniętą chmurą, a od lewej zapalone łuną pożarną tak odległą i tak lekką, aby ją widz mimowolnie mieszał z wrażeniem leniwego świtu. U wierzchu i nad głowami powinno to zimowe tło (z jednej strony podpalone a z drugiej czarne), powinno się mdławo rozjaśniać, jakoby dawało dorozumiewać się gwiazdy moźebnej ponad płótnem i ponad ramami płótna w otchłani.

A figu-

A figura na tle tem powinna być cała płaszczem koloru *stalowego* i kroju oficerskiego owiniętą, tak, ażeby tylko rąbek kołnierza munduru i guzików obłysk widać było z pod tak szerokiego stalowego płaszcza. I powinien fałd każdy, i wszystkie fałdy, i wgięcia płaszcza wszelakie, i wszystkość jego, powinny mieć zupełną *grecką spokojność* — ale nie powinny mieć w sobie nic tak nazwanej dziś *draperyi*.

A figura powinna być ozadzoną na nodze prawej, i kolano lewe mieć podane naprzód, i *ramię prawe ręki pod płaszczem zwistej podane wyraziście naprzód*. A lewa ręka jej powinna być w rękaw płaszcza stalowego wzutą i ramię lewe żadnego nie powinno mieć wyrazu okrom ciężenia: i powinna ta ręka z tem ramieniem załamywać się niżej piersi bezwłasnowolnie; a ręka ta lewa, i tak niżej piersi spoczęta, powinna być ubraną w niezupełnie dociągniętą grubą łosiową rękawicę i pomiędzy trzecim a czwartym palcem trzymać białą atlasową wstążkę *wiatrem szarpniętą*. I gdzie się wyjaśnia tło u góry, powinno być i sterczeć *pióro adjutanckie także szarpiane wiatrem*, i z jednej strony stalowego płaszcza oficerskiego peleryna *także wiatrem szarpnięta* — a zresztą cisza!...

A głowa powinna być zupełnie *en face*, lubo
nieco

nieco ku lewej stronie mająca się, i powinna być wziętą z portretu Stattlera — oprócz oczu, które powinny być w tej samej głowie o lat dziesięć starsze i w czczość przestrzeni zapuszczone.

Cypryan Norwid.

1867.

PS.

Co innego są *portrety-meble* pokojowe — co innego jest *sztuka-druk*.

Gdyby dziś żyła jaka Rzplita, to zachowanoby tylko dla ościennych przyzwoitości dekoracye — ale — wotowałyby naprzykład Senat: *na ten a ten rok*, monety bitej 5 franków *Andrzejowi Zamojskiemu* — 3 grosze *Lelewelowi* — 5 franków *Zygmuntovi Krasieńskiemu* — grosz *Makrenie Mieczysławskiej* i tym podobnie. I byłaby z tego historia popularna, w rękach ludzi bieżąca medalami bitymi, mającemi *effigies* z jednej strony, a z drugiej te napisy finansowe i administracyjne, które upieniężniają medal. Ale umarli nie mogą pojmovać życia!

Sługa C. N.

Cesarz Jegomość francuski niezadługo całą medalową numizmatykę zamieni w tę jedną głowę Slinksa, którą generał na piaskach egipskich widział — dziwno, że człowiek tak niepospolity, tyle

w rze-

w rzeczach starożytnych biegły, dopuszcza się takiego barbarzyńskiego aktu.

To, co ja o portrecie, medalu i o monetach mówię, znane było *en principe* starożytnym — bo nic nowego niema na ziemi — ale nierozwinięte do dziś z powodu, iż cywilizacya obecna jest barbarzyńska i umarła i podobna cmentarzowi okrytemu wilgotnym mrokiem — praktycznie-zmarła i umarłe-praktyczna jest, a bywa płaską.

Łączę wyrazy głębokiego poważania

Sługa C. N.



KILKA

KILKA SŁÓW

W ZASZCZYTNEM NA CZEŚĆ JANA
MATEJKI ZGROMADZENIU.

Panie i Panowie!



dyby jakie wielkie społeczeństwo, a przytem mające obfitą przeszłość i nanowo otwierającą się przyszłość niezmierną, miało jeszcze wybudować sobie stolicę nową, pełną świątyń i publicznych gmachów, to zaś wszystko w stosownie uposażonem miejscu, i powietrzu pełnem słońca, i na ziemi, co dawa bujny wawrzyn dla oczekiwanych zasług... — nie byłoby to wymarzonem prawie nagromadzeniem wszystkich pomyślnych warunków do rozwinięcia bezprzykładnej w dziejach sztuki Epoki? Warunki takie, historyczne, socyalne, finansowe i klimakteryjne, razem w jedną zebrane aurę i do najpomyślniejszego na rzecz sztuki nakierowane ustroju, a który, zdałoby się, że wyobrażnia zespala i wynęca, nie są wcale marzeniem... Istniało to wszyst-

to wszystko rzeczywiście... tak było lat temu tysiąc pięćset kilkadziesiąt, kiedy cały świat odmieniał stolicę swoją, a ruiny Bizancyum służyły architektom za podmurowania, a poza niemi w przeszłości bieleły się marmurowe chóry arcydzieł — a przed obliczem jawiła się ogromna przyszłość!... Wszystkie razem warunki tryumfalne dla sztuki istniały naonczas w rzeczywistości, ale z tego wszystkiego albo *nic*, albo mniej niż *nic* sztuka do historii swojej zaliczyła...

— Gdybyśmy zaś, przeciwnie, wyobrazili sobie polarnie zestawiony obraz wszystkich niefortunnych warunków dla sztuki i sztukmistrza, to jest: społeczeństwo wywłaszczone z posad i stolic swoich i nieledwie że grobów niepewne własnych, ani samym cmentarzy spokojem cieszące się; obraz taki byłby wiernem tłem tego tu czasu, w którym właśnie że najznakomitsi *muzycy, rzeźbiarze, malarze, architekci, rytownicy* polscy gmach w powietrzu, nie powiem, iż *stawiają* (bo wyrażenia tego używa się, *dopóki jednej sztuki promień jaśnieje*), ale powiem, iż gmach ów w powietrzu *postawili* dla tego, że wszystkich sztuk promienie weszły już w czynność.

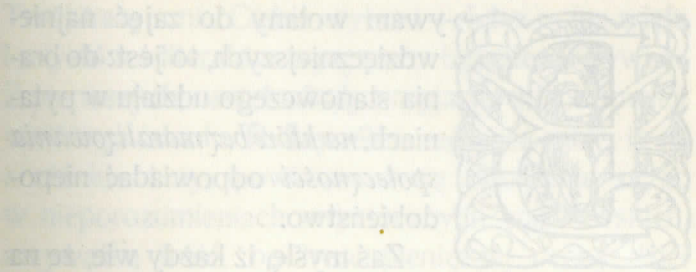
Dwa te, zarówno historyczne, jak polarnie przeciwne sobie fakta okazują, jak dalece beztryumfal-

umfałnemi warunki nieusprawiedliwiona jest nigdy obojętność gwoli twórczemu postępowi. Fakta te dwa (mówię) nieledwie że namacalną stwierdzają oczywistością, iż królestwo nasze »nie z tego« tu »świata« zaszczepienie latorośli swoich i rozwój onych bięra — — »*Deus, scientiarum Dominus est...*«

Jeżeli jednak dziś sposobność mamy obejrzyć tę sprawę w jej całości ze stanowiska sztukmistrzów, tedy niemniej godne jest pamięci, iż nie tylko pracowników samych obowiązują powyższe dziejów przykłady podobnie heroiczna bezogłędność także i w publiczności odpowiednio i równolegle do tamtej skoro pocnie się szerzyć, utrafi bezzawodnie na leżące ku temu w łonie społeczeństwa środki wielorakiego i wielostronnego przemysłu, które, tak samo zadziwia, iż kraj ubogi *posiadł*, jak zadziwia dziś, że mało pielegnowana niwa *wydała*. Dwóm tym głównym czynnościom towarzyszyć powinna *umiejętność oceny*, czyli krytyka prawdziwa, to jest, krytyka *oddająca wszystko, co jest czyje*, i na swoim miejscu i w świetle swoim *stawiająca* każdy zalet szczegół.

Dlatego to i sama sposobność wypowiedzenia tych kilku słów ubogiej a publicznej prawdy gdy
w zaszczy-

w zaszczytnem »na cześć Jana Matejki« zgromadzeniu znalazła się, nie jest Mu to zapewne jednym więcej wieńcem wawrzynowym, ale jest z wieńca jego jednym więcej naturalnie puszczonej liściem.



SZTUKA

JAKO ŻYWY ORGAN SPOŁECZNY.

LIST I DO J. B. WAGNERA.

Kochany Panie Józefie Bohdanie!



ywam wołany do zajęć najnie-
wdzięczniejszych, to jest: do bra-
nia stanowczego udziału w pyta-
niach, *na które bez moralizowania*
społeczności odpowiadać niepo-
dobieństwo.

Zaś myślę, iż każdy wie, że na
tym planecie przez kilka tysięcy lat prac umysłowych
JEDEN tylko był moralista, który nie był zniepo-
czestnionym, upoliczkowanym i oplwanym. *JEDEN*
TYLKO na lat kilka tysięcy, i to nawet nie w Euro-
pie. Był to ten, którego Europejczycy zowią Kon-
fucuszem, to jest, *kung-fu-tzeu*. On jeden przez
kilka tysięcy lat rozwoju moralności cywilizacyjnej
był uszanowanym, i to w Chinach, nie na tym kon-
tynencie, gdzie nauka Boga wcielonego rozszerza się,
a zarazem i tego, którego oplwano i kijami wybito.

Po takowym wstępie wypowiem Ci lub po-
wtórzę

wtórzę, że do arcy-niewdzięcznych powoływanym
bywam zajęć, to jest, do takowych, które uważałoby
się zewnątrznie i prawie żartobliwie, gdyby się do
społecznej nie zstępowało moralności. Że, jak, i ile
ja to przyjmam? to ocenić należy do sumienności
tych z obywateli, do których odnaszam się.

Odnaszam się zaś dziś do Ciebie, Józefie Boh-
danie! dlatego, że Twa literacka przeszłość i wiek
Twój każą mnie Ciebie wybrać — lubo przez wielu
i artystów i literatów wyzywany bywałem i bywam.
Z pierwszych, nawet młody przyjaciel mój, człowiek
wielkiego talentu, P. Szyndler, nadrzuca mnie, iż ja,
a nie kto inny, powinienem się publicznie orzec
w nieporozumieniach artystycznych warszawskich,
arcyważną treść, bo treść pieniężnej oceny dzieł
sztuki podnoszących i znamionujących.

Trzeba Tobie wiedzieć, Drogi Panie Józefie
Bohdanie! iż lat temu nieco, kiedy całego obecnego
estetycznego i artystycznego nie było w Polsce ru-
chu, występowali biegle publicyści, a między, lub na
czele onychże, Doktor Juliusz Klaczko, głosząc, iż
Polacy ani kiedykolwiek byli lub będą, *ani powinni*
być Społecznością artystów posiadającą. Za-
pewne jesteś zdania tego, iż 300 franków jest coś
warte u Emigranta (bo-ć i wielcy magnaci tego by-
wają zdania!), otóż, niżej podpisany zapłacił takowe
300 fran-

300 franków za wydruk broszurki odpowiadającej na owe zarzuty, a którą to, nie myślił na on czas, że niemiecki edytor pism jego odkupi w Lipsku i po drugi raz wyda w tomie pierwszym dzieł jego. Atoli za takowe dwa wydania *najpierwszej z obron sztuki, jakie polska liczy literatura*, nikt autorowi nie powiedział nigdy »*Bóg zapłać*«, — dowodząc przeto, iż rachować na poparcie opinii nie ma wcale walczący obywatel, ale że od czasu do czasu w okolicznościach trudnych zawołają na niego i z góry krzykną, aby nie oglądając się na nic był na zawołanie tak estetycznie wdzięcznej społeczności i służył jej. Wspominałem Ci był kiedyś, że to są zawsze też same charaktery z czasów *pańszczyżnianych kmiaci*, tylko z odmianą gleby.

Dzisiaj nie idzie już o to, czyli Polacy będą mieli kiedykolwiek artyzm i artystów, ale nagle, po pewnym małym peryodzie rozwoju artystycznego, powstawa pytanie *oceny* dzieł sztuki dotyczące, i przeto rzecz nie już o bycie lecz o *interesie sztuki* zagajona. Podobno że, na równą owoczesnej pamiętliwość, wdzięczność i poparcie opinii licząc, godzi się wypowiedzieć, co następuje; zaś, jeżeli w tem, co następuje, dotknie się mimochodem i literatury publicystowskiej, to wyniknie jeno z całości uważanego przedmiotu.

Ponad

Ponad wszystko, zawsze i kardynalnie należy uważać, że co innego, zupełnie co innego jest *asymilacya* a co innego *zbudowanie się*. Pierwsza *formuje*, drugie *rozwija*.

Przez asymilację można mieć artystów, jak np. mają Węgrzy lub Amerykanie (a artystów niepospolitych zaprawdę), lecz nie można jeszcze mieć *SZKOŁY* własnej, *ani nawet sztuki własnej* — to jest, utwierdzonej w społeczeństwie nie na lekkiej warstwie *mody i amatorstwa*, ale pośród organów żywych tegoż społeczeństwa jako organ miejsce i prawa swe biorącej.

Ku temu już nie wystarcza mieć przez asymilację podobnego Vernetowi *KOSSAKA*, albo Kaulbachowi *MATEJKĘ*, i t. p., ale trzeba, ażeby całość sztuki w Polsce, organem społecznym stawszy się, jako taki zajęła miejsce żywe i sprawowała się.

We Francyi i w Anglii *ETC.* ona taką jest — dlaczego?... Dlaczego ona organem jest (mówię) nie opartym na jednej modzie i jednej koteryi amatorskiej, a przeto właśnie wyczerpującej się fatalnie. Pochodzi to z przyczyny, iż *organ*, aby istotnym był, musi być *u dwóch biegunów swoich żywotnie w ciele utwierdzonym*.

Jednym z tych biegunów jest sztuka aplikowana do *rzemioł*, drugim, do spraw *moralnych*.

Inaczej,

Inaczej, będzie to zawsze zewnętrznym asymilacyjnym momentem, przeczerpliwym i przechodnim — istnieje *fenomenalnym* tylko, ale nie istotnie żywym.

We Francyi, która przytem wydaje blisko półtora miliona na rok w interesie estetyki, artyści nie bywają zadowoleni z ocen (zaiste więcej niż *paręset rubli* wartujących), atoli niema najdrobniejszego sprzeciku lub ulepszenia lub jakiegokolwiek rękodzielnej nowości sprzedającej się lub fabrykującej, któraby nie zależała bezpośrednio od sztuki aplikowanej do rzemiosł i jej ciągłego postępu przez postępy sztuki właściwie estetycznej.

Tudzież, z drugiej strony uważając, niema, nie było, nie bywa nigdy we Francyi i w Anglii *ETC...* takiego wypadku nieszczęśliwego: powodzi, ruiny, smętku nawet niekiedy prywatnego, w którymby sztuka i artyści czynnego ze społeczeństwem udziału nie brali. Będąc przeto u jednego bieguna swego za *CAŁĄ PRACĘ* i jej wytwory zaczepioną, a z drugiej kończyny za *CAŁĄ SPOŁECZNĄ MORALNOŚĆ* i pochod onejże, Sztuka utwierdziła się jako funkcjonujący, żywy i istny organ.

I nie jest to już ozdoba fraszka wisząca u zegarka kieszonkowego, lecz poniekąd zegar sam lub tablica skazówek jego. Z tej to pochodzi przyczyny, iż, że

iż, że tak rzekę ekonomicznym wyrazem, *konsumenci* nie są tu policzoną na palcach liczbą amatorów i koniecznie przeto koteryjkę stanowiących, ale jest to — mniej lub więcej oświecenie i udatnie — cała publiczność, całe społeczeństwo! — przeto życie i rozwój.

Lat temu nieco, skoro w *oczach moich* księżna M. zapłaciła za pejzaż wielkości metra kwadratowego *czterykroć sto tysięcy* franków, nikt się o tem publicznie *tu* ze zadziwieniem nie odezwał.

Dlaczego? czyliż taka suma jest gdziekolwiek-bądź drobną? Nie — ale gdyby w odpowiedzi zadziwionemu oceną okazało się, ile rocznie przynosi sztuka społeczności francuskiej we wszystkich formalnych rzemiosłach, poczynawszy od artystycznego złotnictwa i *od świeczników przy ołtarzu*, a skończywszy na formie trzewika niewieściego — ile milionów rąk za sobą wiedzie — jakie sumy porusza i w obieg stroi; z drugiej zaś strony, gdyby się dołączyło, ile miłosiernych na rok dzieł dokonywają ciała artystyczne, — wypadłoby, że *czterykroć* franków w porównaniu wyglądałoby na nic zadziwiającego.

Ztąd to pochodzi, iż działanie mistrzowskie żywym organem, np. ręką, nie zadziwia, ale, gdyby niezgrabne litery pisał drewniany automat, byłoby godnem podziwu.

Konclu-

Konkluduję: iż przez *asymilację* można mieć wszystko, pisarzy, artystów, dziennikarstwo, literaturę *etc.*, atoli dwóch rzeczy nie można mieć — 1-o *własnej żywej metody*, 2-o *niepoliczonej na palcach*, lecz ustawnie zwiększającej się liczby konsumentów. Rzeczy te dwie nie zyskują się przez *asymilację*, ale przez wewnętrzne *zbudowanie się*. Pierwsza albowiem, jako rzekłem powyżej, *formuje* tylko, a przeto ma swój *kres*, drugie *rozwija*. Można zaś być uformowanym, a nie rozwiniętym, i przygotować sobie nieuniknioną w następstwie czasów *zdradę*.

Konkluduję jeszcze: iż czas jest, aby najwyraźniej upowszechniła się powyżej wyłożona treść, okazująca czemu? jak? zkąd i dokąd? sztuka winna organem żywym, o dwa opartym bieguny, ustalić się. Podobnego wielce jest coś i z literaturą, lubo to niniejszego treścianu nie dotyczy, każdej wszelako *całej* prawdy bywa cechą, iż, mówiąc o jednym, obejmuje drugie i trzecie...

Ograniczam się, Józefie Bohdanie! na kardynalnej rzeczy, pod te czasy, i kwestye podnoszone obowiązującej, i dlatego tak treściwie ograniczam się, ażeby, całe światło na jeden punkt skupiwszy, dal-sze następstwa zostawić dobrym umysłom i wszelakim.

Doskonały wyraz polski *»guzdranie się«* dochodzi



chodzi wprawdzie aż do istotnego *za-gużdżania się na śmierć* — tak dalece, iż bywa, że najpotrzebniejsze treści zalegają w życzeniach lub rękopismach zachowanych »u *Telimeny w biurku...*« i które po latach, jakich pięćdziesięciu, odgrzebywa się... atoli, mimo wiedzy o tem, wiem ja jeszcze i coś innego, co też *skłoniło* mnie do nakreślenia tego długiego do Ciebie listu. — — — Dołączam wyjątek z jednego leżącego opodal u mnie rękopismu:

*Lecz wytwór słowa nie jedną ma stronę,
Jest strona warg i strona Ducha,
I bywa z dachów rzeszom ogłoszone,
Co rzekł prawy głos do ucha!...*

Cyprian Kamil N.

1876.



SZTUKA OKOLICZNO- ŚCIOWA. LIST II DO J. B. WAGNERA.



adaniem krytyki jest *wszystko po-*
stawić na właściwym miejscu
i otworzyć okno — pozostawiając
resztę światłu i czasowi — nic
więcej! — Chwalić, ganić, zalecać,
stręczyć, poddawać, nastrojać,
przedawać... etc... to do kryty-
ków wcale nie należy. Ztąd właściwie *rzeczy sztuki*
a nie *okoliczności* do krytyki należą. Góra skalista
Athos podobno że największa w Europie, i cała
przecież przekutą miała być na popiers Aleksandra
Makedończyka: i cóż z tego? to nic do sztuki nie
należało. Tam, gdzie tego roku rozczepiają płótno,
przedstawiające »*la Municipalité*« czy »*la Loi*«, na
przyszły rok będzie inna treść, i ten sam model, po-
prawnie narysowany i namalowany biegle, służyć
będzie do figury przedstawiającej »*la Legitimité*« lub
»*la Pisciculture*«.

Cóż o tem mówić?... właściwiej może to do
Admi-

Administracyi należy. Atoli nie trzeba tego mieszać
z weneckim republikańskim pędzlem, bo tamto wła-
śnie że *nieokolicznościowe* było i jest — też same
gołębie, co lecą przez Weroneza płótno nad głowami
obywateli weneckich, jedzących z Chrystusem i arty-
stami, pensyonowane są przez miasto *do dziś...*
Tamto nie jest *okolicznościowość* — brać jedno za
drugie jest zupełnem nieuctwem. Niemniej okoli-
cznościowy jest »*Christianisme*«, potem będzie grupa
przedstawiająca »*Antichristianizm*« lub Kapitalizację
i t. p. i t. d.

Doré jest *osobistość* — biegły rysownik, ma-
larz, rzeźbiarz, ale we wszystkim jest koniecznie
ilustrator — zaś ilustrator *nic nigdy sam nie wy-*
raża, bo ilustratorem nie byłby — Rzecz dziwna!
Doré jest najjedniej artystą prawdziwym *w akwa-*
reli tylko.

Utwory okolicznościowe do administracyi a nie
do estetyki należącami są dlatego, iż naprzód ogra-
niczoną jest ich liczba, jak np. talii kart lub dekora-
cyj w teatrze. Brać to za republikański wenetyzm
jest brać np. kawiarnie śpiewające za żywe *circenses*
historyczne i monumentalne!

Tak, błędą ci, co każde przewracania się ką-
piących się obnażonych obywateli i urzędników
w niedziele nazywają grupami Michała-Anioła, u któ-
rego

rego można być zawsze pewnym, że jeżeli kto się nagości tyłem do widzów obraca, to zapewne dlatego, że ta figura wtedy, coś ważniejszego od widza robiąc i uważając, może o nim nie wiedzieć.

Vale!

Cyprjan Norwid.



WSZYST-

WSZYSTKIE EKSPOZYCYE RAZEM.



ziś poświęciłem 3 godziny i kilka franków, ażeby zdać sobie sprawę z ekspozycji. I skoro sobie onaż zdałem, spostrzegłem się, że mówię o *wszystkich ekspozycjach* 19^o wieku.

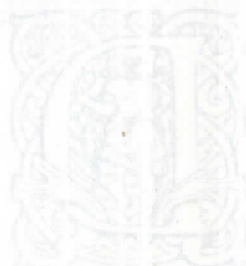
— Co innego jest bazgrać i bałamucić, a co innego mówić rzecz.

Rzecz jest tak:

Ilekoć co jest magistralnie oddanego (np. ciało kobiety *Loëve*), tylekoć jest *bez serca i pomysłu*, tak dalece, że sztukmistrz, coś biegle zrobiwszy, woła przyjaciół i pyta: »co to będzie? jak to zwać? czy to Kleopatry, czy Matka Boska?«

Ilekoć co jest uczute i pomyślane (np. le pauvre pêcheur de Chavannes), tylekoć jest niedołężne w egzekucyi i nieledwie śmieszne. Ilekoć co jest *zarazem uczute i wykonane*, np. Kolumb Brożika, tylekoć brak temu geniuszu, który w dziełach zupełnych

pełnych jest koniecznością, bo bez niego same ramy wszystko w *mierność* obracają. Ilekroć co jest genialne, jak *le Pavé de Paris*, tylekroć woła o *zupełny* *przewrót* *wszystkiej estetyki*. Oto cały sens — rzekłem — dixi.



O JULIUSZU SŁOWACKIM

W SZEŚCIU PUBLICZNYCH POSIEDZENIACH
(Z DODATKIEM ROZBIORU BALLADYNY).

1861.

...servi inutiles sumus... quod
debuimus facere, fecimus.

T R E Ś C I A N.

LEKCJA I.

Słowo *publiczne*, słowo *prywatne*. — Różnica ich parabolą określona. — Jasność stylu ile od kogo zależy? — Stanowisko poetów w społeczeństwie. — Różnica pomiędzy zadaniem poetów u ludów starożytnych aż do objawienia i u ludów chrześcijańskich. — Nie tracą posłannictwa swego, ale je przemieniają. — Tworzą języki. — Poszukiwanie poety cyklicznego tej drugiej epoki. — Byron. — Błędne i błahe pojęcie Byronizmu. — Mickiewicz powtarza nazwisko dane Byronowi za życia jego, ale nieokreślające stanowiska i ważności tego poety.

LEKCJA II.

Odpowiedź na zapytanie, skutkiem lekcji pierwszej uczynione, a dotyczące pojęcia *nadziei*. — Zdanie sprawy o Byronie i Byronizmie, nie jak dotąd błędnie je na świecie rozgłaszano, ale jak jest w istocie. — Byrona obraz w obliczu historii. — Epopeja w życie przenika. — Mickiewicz, Lamartine, Kossuth, zwłaszcza O'Connell.

LEKCJA III.

Pojęcie *oryginalności* fałszywe i prawdziwe. — Umiejętność czytania fałszywa i prawdziwa. — Odpowiedź na zarzut, skutkiem przeszłej lekcji uczyniony, a dotyczący Lamartine'a. — Książki, jako cel uważane, są zawadą. — Definicja *słów*, iż te są, aby *wyrażały ludzi*: nie wystarczająca!...

LEKCJA IV.

Odpowiedź na zarzut, skutkiem lekcji trzeciej uczyniony, a dotyczący pojęć *o czytaniu* w niej rozwijanych. Słów nawet pojedynczych często nie umie się czytać. Dowód na wyrazie *szlachta*. — Czytanie poe-

nie poetów tryumfującego społeczeństwa i poetów walczących jak jest różne. Pojęcie cywilizacji. — *Politycznie i socjalnie* jak daleko zaprowadziła ludzkość cywilizacja? — Abrys ogólny promieni cywilizacyjnych w świecie. — Anhelli. — Kardynalna myśl poematu, pole jej, osoby w utwór ten wchodzące co znaczą? — Wartość literacka.

LEKCYA V.

Historia cywilizacji i wykrzyknik *Ach!* — *Beniowski* jako natura utworu — jako wybór bohatera. — *Przekleństwa* co są? — *Król Duch*. — Ciemność stylu i popularność poetów. — Wytlómaczenie Króla Ducha, i określenie stanowiska utworu tego w dziejach epopei.

LEKCYA VI.

O utworach pomniejszych tego poety i formie ich. — O języku wogóle i o zasługach Słowackiego w historii mowy ojczystej. — O służbie jego w obliczu współczesnych elementów i o *współczesności*. — Dodatek do M... S... o Balladynie, z wytłómaczeniem natury tej tragedii, tudzież wszystkich osób, tak pojedynczo wziętych, jako i w ogóle dramatycznego ich działania uważanych.

LEKCYA PIERWSZA.



łowa publiczne i prywatne nie różnią się przez tła i formy, ale więcej przez ich naturę samą; prawda ta ważna jest szczególnie dla nas, jako niemających bytu politycznego, a przeto opierających się na bezwzględnej ważności słowa. Pod klasycznymi filarami frontonu Magdaleny widzieliście dorodnego człowieka w hełmie rzymskim, odzianego szatą podobną do *sagum* i mówiącego patetycznie; tło tutaj klasyczne, forma klasyczna, jednak słowo człowieka tego publicznem nie jest, — jest to bowiem sprzedawca ołówków. — Gdyby zaś Kopernik kilku poufnym przyjaciółom zwierzał prawdę, objaśniającą harmonię światów, słowo jego, lubo przy mniej patetycznych warunkach, należałoby do całego świata. Taka to wielka jest różnica między słowem prywatnem a słowem publicznem. Obowiązkiem mówcy publicznego jest:

jasność

jasność w Prawdzie, nie jasność *w literze* samej, a która przeto zależy od wielu poza nami będących warunków, niekoniecznie zaś od nas samych. Jasność w sferach nieumysłowych nawet jest to *przezroczystość*, światło jest przezroczyste, mowa niemniej jasną jest wtedy, gdy jest przezroczystą. Tak na przykład, gmach architektury doskonałej przezroczysty być może i powinien, chociaż z granitu, a jest on nim wtedy, gdy fronton pozwala odgadnąć plan i budowę wewnętrzną gmachu całego. Gdy tymczasem szyba kryształowa może owszem zakrywać przedmioty za nią będące, skoro ten, który patrzy, obierze niewłaściwy, t. j., obierze *wskośny* punkt zapatrywania się. Od mówcy więc samego nie zależy tu wszystko: jeżeli albowiem dla uprzytomnienia jakiej prawdy potrzeba pierw długich komentarzy, uwaga słuchaczy odciąga się poza *oś* Kryształu tej szyby — poza *ogół* planu tego gmachu, i oto zarazem przezroczystość owa zatracą się.

Jeżeli wiecie, co jest poeta? nie dziwię się; każdy, kto nie medyk, wie przecież w pewnym względzie, co jest krew; dość, aby się skaleczył... Jeżeli akademie nie żądały definicyi poety, nie dziw, — najłatwiej definiować to, co w oddali.

Ale jeżeli kto zna stanowisko poety w społeczeństwie i jego służbę pojmuje, ten wie bardzo
wie-

wiele, więcej, niżeli wszyscy wiedzą, więcej, niżeli wiedzieć można, więcej, niżeli jest uznanego w rzeczywistości. Kiedy się mówi *żołnierz*, *urzędnik*, *rzemieślnik*, daje się zarazem pojęcie pewnego tła ich działalności; kiedy się zaś mówi *poeta*, nie określa się tego. Żołnierz, urzędnik, przyjmuje to ze społeczeństwa, co ono mu dać i co on przyjąć może, gdy tymczasem poeta przyjmuje to jedynie, czego mu zaprzeczyć nie można. Nawet urzędy i stopnie akademickie udzielane bywają poetom wtedy jedynie, kiedy im onych odmówić niepodobna.

Język uświęcił to formą osobną wyrażenia, zarówno potocznego jak głębokiego, to jest: »*nie można odmówić mu talentu, nie można odmówić zasługi*« i t. p. Byłóż tak zawsze? jest-że poezya tak młoda, że nie miała dosyć jeszcze czasu, aby wyrobić dla swych zwolenników stanowisko w społeczeństwie? nie — zaprawdę; pytania te są ważne choćby dlatego, że nigdy dotknięte nie były. Spójrzmy w przeszłość.

U ludu izraelskiego, od którego poczynam, gdyż chronologia i archeologia społeczna nie poczyna się pierw, poeta miał zupełnie jasne i społeczne stanowisko; urząd i godność jego odpowiadały owdzie temu, co dziś nazywamy sędzią przysięgłym; prorok nie był przypadkowym — lud, urząd, i królowie

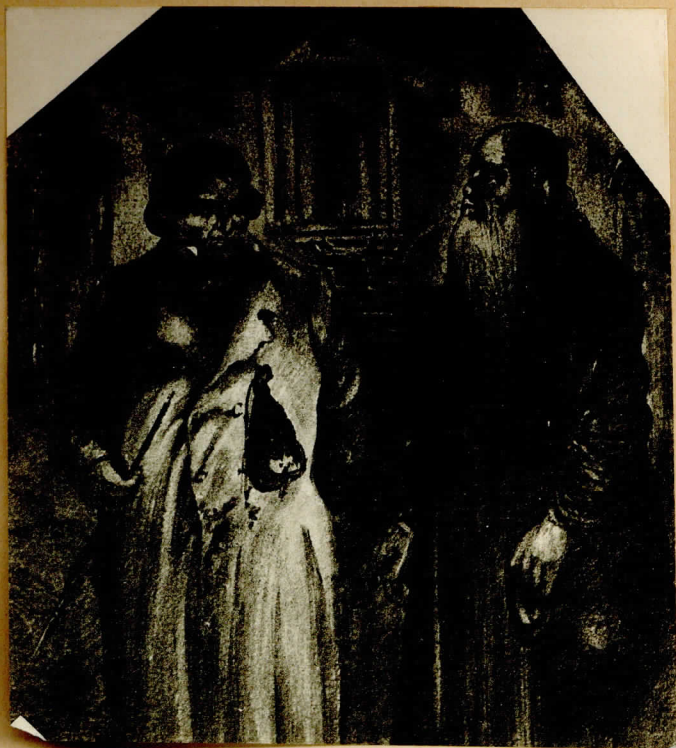
lowie wiedzieli, co jest prorok, owszem, to było właśnie piękne i wielkie, że *osobistość* tylko proroka mogła ulegać krytyce, że, powiedziałbym, wątpić można było, czy *ten* i *ów* jest prorokiem prawdziwym, nie wątpiąc wcale, że prorok jest, co jest, i jakie jego stanowisko.

U Greków, poeta *orfeiczny* wielce do proroka izraelskiego podobny, *dramatyczny* — to kapłan, albowiem ołtarz jest przed sceną, *bohaterski* zaś — to znów historyk, albo muzyki wojennej przewodzca. Ci, co z Koryntu do Rzymu z kapitulacją miasta wysłani byli, to już oratorowie, nie poeci, poeta do tak praktycznej misji nie byłby zdolny! Proza historyczna, oratorstwo i dyplomacja u Greków zaczęły się dopiero pod koniec ich istnienia, gdyż historia Grecji na epeji się raczej opierała. U Rzymian dopiero, których misja była najmniej wyłączną, najmniej, że tak powiem, rzymską, gdyż na cały świat się rozlewała, — poeci przechodzą już na stanowisko wyłącznie literackie. W miarę zaś jak do objawienia się zbliżamy, prawdziwi poeci milkną, albo są to już pedagodowie, nauczyciele i klienci, co bez Mecenasów się obejść nie mogą, z powodu, że ich stanowisko społeczne jest wątpliwe. Horacy pisze *wierszem sztukę wierszowania*. Od tego więc czasu *pieśń na samą siebie się obejrzała*, i ujmuje swoje prawa w formę, i odtąd

i odtąd-to aż do Tyberyusza wszelka praca intuicywna ucicha; Sybille zaczynają przestawać mówić — jest to godzina, w której na krańcach państwa rzymskiego przechadza się *Słowo wcielone* z uczniami swymi. — Niemniej, za czasów Nerona, to jest, współcześnie do 1-go prześladowania chrześcian, rodzi się Plutarch, a ten za rzecz niezbędną uważa upowszechnienie już rozprawy swojej prawie akademickiej o zasadzie pojmowania poetów i o *sposobie ich czytania*. Tak dalece nietyłe już tworzenie, ile z utworów korzystanie obowiązuje. Egipt zostawiłem na boku — o jego poezji nie wiemy nic, jest to dom niewoli, naród, w którym martwa symbolika pożarła wszystko; gdyby się tam poeta zjawił był, to nie mógłby być kto inny, jak Mojżesz — lecz ten egipskie tylko mleko ssal, ale przez krew i ducha do Izraela należy.

Dlaczegoż socyalna godność poety upada i korony poetyckie zlatują, w miarę jak ku godzinie objawienia się zbliża, i dlaczego na pole literackie poezja przechodzi? Tajemnica tego bardzo jasna, kapłanowie nadziei nie mieli już co robić u Betleemskiego żłobu. Nadzieja wszelako odsłoniła nam przez to samo opony i pokazała pierwociny całokształtu architektury swojej, objawiła się niejako i stała się *jedną* z 3 cnót, gdy pierwiej była *jedyną*. Gdzież więc

więc ci kapłanowie nadziei, od chwili, w której spełnia się na ołtarzu święta Ofiara, od czasów pomiędzy Horacym a Plutarchem, od chwili, w której poeta niechrześcijański z kartek sybilijskich spisuje proroctwo, że się narodzi syn z dziewicy, który będzie królem wieków, od czasów, kiedy i Druidy w Galii dzikiej na kamieniach wnijsia do Świątyni kładli napis »*Virgini Pariturae*«, od chwili, w której Sybille przestają mówić... Gdzież więc, mówię, ci kapłanowie odchodzą! oto odchodzą oni poza Niedzielę tej nadziei, oto odchodzą w dnie jej powszednie i robocze, albowiem dla człowieka pojedynczego nadzieja jest już spełniona, ale dla człowieka zbiorowego, narodu i narodowości poczynającej się, spełnienia nie było. Tam więc oni odchodzą, a przeto urzędu swego *Kapłaństwa nadziei* nie składają, który zaś nie poruszył się z miejsca i przy ołtarzu pozostał, ten stawał się świątecznego języka poetą, jak nasz Sarbiewski, gdy tymczasem inni odchodzą witać całość, co jeszcze blasku Zbawicielowego nie doznała. Idą na pola, gdzie światłość Pańska nie zaśniała jeszcze, idą do tego, co ma się nazwać ojczyzną, a czego ludy starożytne wcale nie rozumiały, albowiem doskonałość ciał ich zbiorowych nie była w stanie nigdy wytrzymać doskonałości człowieka pojedynczej — owszem, w walce z nią
była



była i jakoby na zatrzymywaniu onej własny zyskiwała rozwój.

Bo choć Izrael posiadał wszystko, aby całością wielką stanął, jednakże rozwoju prawdy chrześcijańskiej wytrzymać nie mógł. Nie wytrzymał on tego, co ta prawda nauczyła, że nietylko święty, ale i obcy włóczęga, to jest, Samarytanin, równych praw miłości doznawać powinni, i że *pożytecznem nie jest wcale, aby jeden dla narodu zginął*.

— Widzę się obowiązany objaśnić tę peryfrazę, wziętą z wniosku senatorskiego żydowskiego, kiedy szło o sprawę obywatela izraelskiego, czyli obywatela narodu, w prowincję rzymską i gubernię jedną zamienionego. Wtedy albowiem wniosek ów brzmiał: iż *pożyteczna jest*, aby Jezus Nazareński, czyli, jak tam mówiono, *aby jeden dla narodu zginął, albowiem Rzymianie mogliby po zaburzeniu, które nastać mogło, przyjść i gorzej ucisnąć tę ojczyznę, to jest: tę Gubernię Rzymską*. Wykazując przeto, o co się rozbiła izraelska całość, położyłem na boku rzecz Religii w tym względzie i mówię jedynie, *dajmy na to*, o proroku izraelskim, stawianym przed sąd izraelski — Sąd zaś ten o obywatelu i proroku swoim pontyfikalnie wyrokuje, że pożyteczna jest, aby zginął dlatego, iż najeźdźcy ojczyzny mogliby przez życie jego uszwankować i obrazić się. Jest to
pierw-

pierwszy i ostatni dyplomatyczny krok, którym zakończyła się pielgrzymka izraelskiej ojczyzny do nicości. Długo wypadałoby określać, i czas na to nie pozwala, aby w całości wypowiedzieć, iż polarnie-przeciwnie stanowisko zajęła w tym względzie najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska w rozwoju dziejów ludzkości — gdzie *liberum veto* nauczyło przeciwnie, to jest: że *dla jednego sprawiedliwego cały naród na kartę postawić można*: w czem wszelako drogą mi jest rzeczą, iż do tak nieroztropnego narodu mam zaszczyt się policzać. I nie mniemam bynajmniej, aby *liberum veto* (ten przezacny i wielki klejnot) zgubiło Polskę, ale że *nieoświecona onegoż liberum veto aplikacja* uczy: iż nie należy wielkich narodu myśli zniżać do nieoświeconych obywateli, ale raczej umysły ludzi do wielkich narodu myśli wznosić.

Była też i Grecya ponad wszystkie nieledwie ludy uposażona, ale ta nietylko Zbawiciela, ale nawet przezacności Sokratesowej znieść nie mogła i, podawszy mu truciznę, aby narodu nie przerósł, poniżyła się sama. Gdy tymczasem na zewnątrz wywiódł ją właśnie najpiękniejszy jej bohater i profilem podobny do stawianych przed narodzeniem się jego posągów w świątyniach... Ten to najpodobniejszy do niej i najukochańszy jej syn, to dziecko jej wykołysane pieśnią, które zasypiać nie mogło bez Ili-

bez Iliady i miecza pod głową — Aleksander! On *wywiódł ją poza nią i immolował jej egoizm...* Byłci nareszcie i Rzym, ale ten znów zamiaru nigdy nie miał, aby się kusić o otrzymanie tej ojczyzny, do której my zdążamy. Rzym też nie miał być nic potemu, aby taką całością stał się, *nie miał nawet jednej rodziny*, była to bowiem szajka zbiegów, zmuszona sąsiednich narodów niewiasty porwać, aby pierwsze utworzyć stadła. Nie miał niemniej granic ani środka; środkiem dla niego była kolumna na forum, na której naznaczone były odległości od miast i koczowisk ludów świata, gdy znów granicami państwa — granice świata. Nie mógł się więc Rzym kusić o zrozumienie słowa *Ojczyzna*, i jeśli w nim błyszczą postacie wytwornym patryotyzmem, są to raczej resztki greckiego słońca, jest to patrycyat rzymski, wychowany na greckiej pieśni i wiedzy. Ja sam, przy kagańca świetle, w grobach Scypionów widziałem zamiast *c* rzymskiego greckie *k* na napisach, a jeżeli kto ortografią obcą na rodzinnych grobach pisał, zaiste, że musiał być mniej na żywiole rodzinnym wykarmiony!

Jeżeli zatem powiedziałem, że poeci odchodzą w te strony, w których światło Zbawicielowej prawdy jeszcze nie świeciło, i idą przeciw, nie tracąc właściwego im kapłaństwa nadziei, powiedziałem rzecz

rzecz słuszną. Od tej chwili albowiem zajaśniała dla historii prawda nowa, że ojczyzna nietylko w chrześcijaństwie się zaczyna, ale zawsze jest ziemią obiecaną, że, ściślej mówiąc, pierwaj była *ziemią obiecaną*, potem społecznością obiecaną, a teraz, mówię, że razem i ziemi i *społeczności obiecanaj* wygląda się. I poczęła się oto dla poetów służba nowa, której świadomości lubo nie mają, dziś wszelako, po wyciskach stóp ich, domyślamy się kierunku dróg, które przebiegali, i natury owoców, które przynieśli. Mając oni za jedyną potęgę i środek słowo, słuszną, iż rozpoczęli od języków; gdy więc jedni zatrzymali się przy ołtarzu rzymskim, jak Sarbiewski, drudzy szli we właściwym im kierunku kapłaństwa nadziei. Ten i ów lud albowiem, dziś polany wodą, dziś też policzony został w księgę i epopeję chrześcijańską, aleć języka lud żaden z dnia na dzień nie przemienia, języka, mówię, pasy uczyć i całej dramy życia, które się za przyjściem chrześcijaństwa odmieniło — zwłaszcza, iż lud takowy składał się z rozmaitych warstw; kapłanowie więc owi podnieśli od dołu język ludu. I byli to truwersy, minesingery, bojanowie i resztką skoldów, którzy, uchrześcijańczając języki, choćby wytwornością i formą onych wyższą, nadzieję nową przynosili. Aż, po czasach służb takich, powstawały potęgi ogólniejsze, jak Dant na przy-

kład

kład, który nietylko już ojcem chrzestnym języka swojego został, ale teologicznego tłumaczem i politycznego twórcą. — Postwarzali oni też wiekom i czasom swoim języki; a o socyalnem jednak poety stanowisku i w tej drugiej erze ich działania nic się nie dowiadujemy, owszem na mecenasach kaźden się z nich opiera. Scaliger jest Danta mecenasem, Kalderona król Filip uwzględnia, Jana i Piotra Kochanowskich król Jegomość. Nie mówię też tu o zasługach wyłącznie filologicznych tych poetów: kwestya *języka transfiguracyj społecznych* i samego wreszcie *języka fenomenów* jeszcze nie była spostrzeżoną. Ważności zaś takowej między innemi najlepiej dowodzi to, że pod ostatnie czasy, gdy Chiny (acz przy niewidzialnym chrześcijaństwa oryflamie) poczęły się już rozłamywać, największą trudnością, jaką sprawy tej ogromnej spotkało rozstrzygnięcie, było nic więcej, tylko *jednego wyrazu używanie*, to jest: że nie wiedziano, czy wyrazu *czing* lub też *czing-ti* użyć na określenie chrześcijańskiego Boga? Kiedy więc już wszystkie języki gminne stanów i narodów utworzone były, rozpoczęły się znowu, że tak powiem, nowe *języki fenomenów*, właśnie że z samej składni i z samego postaciowania się i ruchu ciał zbiorowych powstałe. — Bez tych zaś języków nie możemy zaiste poznać epoki, w której się ży-

się żyje, chyba że po liczbach kalendarzowych i matematycznych cyfrach, nieomylnych tam zwłaszcza, gdzie właśnie że już życia nie ma! Od tej to zaś chwili prace poetów na dwie się połacie rozłożyły: *przeszłości i przytomności*. Na jedną, aby rozwiązać mowę wieków w ustach sfinksa, i na drugą, aby mowę chrześcijańską odtworzyć nanowo w chwili, gdy dąży do ubóstwienia formy samej, a przeto do spogańszczenia się, lubo częstokroć bezwłasnowolnie i bezsamowiednie. Skoro zaś poeci odeszli w te już strony, nastąpiła dla nich straszna próba. Ileż razy albowiem musieli spotykać te momenta, w których formy prawd samych zamieniały się w fałszu bałwany, i trzeba było walczyć z tym chaosem form, który przez wszystkie wieki we wszystkich wyobraźniach rodził potwory, Sfinksy, Chimery, Minotaury i Smoki, zawsze i wszędzie u ludów wszystkich wyrażane: *zbiegowiskiem bezładnem rozmaitych form w jedną poczwarę*. O tych to straszliwych walkach pięknie mówi Juliusz Słowacki:

»Cierpienia moje, i męki serdeczne,
I ciągłą walkę z szatanów gromadą,
Ich bronie jasne i tarcze słoneczne,
Jamy węzową napelnione zdradą...
Powiem... wyroki wypełniając wieczne,
Które to na mnie dzisiaj brzemię kładą,

Abym

Abym wyśpiewał rzeczy przeminięte
I wielkie duchów świętych wojny święte!« —

Zajmujemy się tu wyjaśnieniem obowiązków poety, bo i jakże możemy oceniać, jak je wypełniał, skoro nie wiemy pierwiej, jakie miał obowiązki? Krytyka dzisiejsza mało się tem zajmuje, owszem, opiera się ona zawsze na *smaku recenzenta*, kryterium ze wszech miar względne i nieuprawnione niczem! Poszukujemy więc zasad, rysujących obowiązki poety, krytykę zostawiwszy na stronie. Jestem przekonany, że wszelkie prawo i na innych polach obowiązuje zupełnie o tyle tylko, o ile zupełnemi, żywemi postaciami prawych obywateli zapieczętowało ważność swoją. *Ludzie prawi* dają dopiero obowiązującą moc *prawu ludzi*!

I tak na przykład, prawda ta, iż *Mądrość* nie jest samą tylko *wiedzą*, lecz że ona w *życie* przejść musi i je ogarnąć, jak i ta druga, że dusza jest nieśmiertelną, dawno były znane: pierwsza u wszystkich mędrców, druga u Egipcyan; ale prawdy te nie obowiązywały były tyle, aż dopiero od chwili, gdy w życiu samego Sokratesa kielich jego prawdom tym moc nadał. Grek ten jest tu pieczęcią: kielich dopełnił i na *statuę* żywą obowiązku zamienił *statut* pisany. Byłże wszakże poeta, któryby w dziejach poezyi to zajmował miejsce, które Sokrates w filozofii dziejach

zajmu-

zajmuje! któryby przeto, niemniej jak ów mędrzec na polu swoim, wcielił żywot poetyczny i zapieczętował śmiercią?... Pytanie to jest arcy śmiałe — gdzież albowiem obróć oczy, aby znaleźć *Cyklicznego*, że tak powiem, poezyi męża!

— Miałbym się aż wrócić do owego, który był piękny i złotowłosy, jak Apollo — silny, jak Herkules, gdyż lwy rozdzierał, skoro napadały trzodę... który, skoro mu królewską podają zbroję, przenosi nad nią kamienie z potoku wzięte: który na biodrach nagich czuje wiatr z poświstem pędzonej przez zazdrość włóczni — i przebacza, który śpiwając walczy — zwycięża i rządzi pieśnią. — (Dawid). Orfeusz jeden, gdybyśmy więcej o nim wiedzieli, może się do niego przybliżyć! A jakkolwiek Dant był najcelniejszym z poetów i w kilku bitwach udział wziął i w politycznym życiu i na wygnaniu — idzie nam tu przecież o takiego, którego by nie już fenomenologiczny późniejszych wywód tak postawił, ale któryby sam współcześnie świadczył i wiedział, czemu świadczy.

— Tu — uczynię przerwę i zapytam, *coż jest Byronizm?* odpowiedzią będzie:

»Najpowszechniej bajronizmem zowią rozczarowanie tchnące niesmakiem, pieśń samobójczą, epopeję antysocyalną, antyreligijną, tudzież bez wątku i koń-

i końca». Trzydzieści siedm lat za dni naszych wystarcza zaiste na epokę polityczną: ale trzydzieści siedm lat nie wystarcza jeszcze na wydanie sądu o człowieku, bo, przy obecnych rękojmiach prawdy, plotka nawet wypowiedziana pobieżnie trzydzieści siedm lat trwać może. Otóż, właśnie że trzydzieści siedm lat dobiega temu, bo to było jak dziś, około *Wielkiej nocy*, gdy w miasteczku greckiem zerwała się burza pod tę porę nieprzewidywana. Wicher wielki porywał dachy i figowe drzewa w piasku okręcał wierzchołkami, a lud pokazując palcem na okno niepozornego domostwa wołał: »*Burza jest wielka, albowiem kona człowiek wielki*«. Człowiekiem tym był Archistrategos Noel Byron, o którym Mickiewicz powiedział był, że jest Napoleonem poetów, a co jest jednakże niewłaściwe. Mickiewicz albowiem powtórzył tylko słowa współczesnych, którzy tak Byrona nazywali za życia, i gdyby był chciał swoją myśl powiedzieć, znalazłby odpowiedniejszą dla niego nazwę. Za czasów Napoleona wszelką doskonałość na każdym polu mężczyźni nazywali Napoleonem, kobiety zaś Janem Jakóbem Rousseau; takby i dziś jeszcze jakiego figlarza zwano małym Meterlichem. Matka Noela Byron zwała go — J. J. Rousseau, jest to zaś *język czasu*, echo czasu — znaczenia istotnego niemające. Tak samo i za czasów Cezara ludy

ludy dzikie wszelką potęgę zwały Kaesar (Caesar), i ztąd wyraz niemiecki *Kaiser*; tak i za Karola Wielkiego ludyszcza północne wszelką potęgę zwały *Karól*, i ztąd wyraz polski *Król*. Odrzuciwszy więc *te okrzyki, nie zaś zdania*, współczesnych na stronę, ze stanowiska historyi powiedziałbym raczej, że: *Byron Sokratesem jest poetów*, umiał albowiem żywić poetyczny w życie i w czyn wprowadzić, z wiedzą tego, co czyni, a poparł to myślą, pieśnią, energią czynności swojej — owocem, przez nią otrzymanym, i śmiercią wreszcie. — *Ecce poeta!*

Na posie-

LEKCJA II.



a posiedzeniu zeszłem zapytywa-
liśmy siebie, co jest poeta i jakie
są jego obowiązki? Ponieważ zaś
nikt o to nigdy nie pytał, prze-
szliśmy cały tok historyi. I widzie-
liśmy stanowisko poetów staro-
żytnych, od Izraela przez Grecję
i Rzym przeszedłszy. Widzieliśmy, jak umilkła pieśń
w imię spełnienia nadziei człowieczeństwa, w miarę
jak do objawienia się zbliżyło, i jak poeci na nowe
pola idą nowej szukać nadziei Ojczyzny! Widzieliśmy
następnie, że jedni przy ołtarzu rzymskim zostali, jak
Sarbiewski (wyraźnik całego tego cyklu poetów);
drudzy aż na krańce formujących się dopiero na-
rzeczy gminnych podążają, a inni nareszcie, w jedną
rękę pieśń gminną, w drugą harfę kościelną wzięwszy,
tak pośredniczą w onem rozejściu się, jak Zaleski.

Widzieliśmy albowiem, że jakkolwiek lud jaki
był już sakramentalnie ochrzczony, nieprzeto jednak
istota

istota jego z dnia na dzień całej swojej nie odmieniała treści, bo trzeba było nietylko dusze pojedyncze do słowa objawionego chrztem powołać, ale i ducha narodu i ducha języka nową słowa potęgą uszlachetnić. A idąc tak za dziejami poezji i poetów losami, i przeto obowiązki ich wysledzając, doszliśmy aż do elementów poprzedzających dzisiejszą epokę. Alieć pojawiła się nam tu zaranna mgła, czy chmura, i nie zadziwiło nas bynajmniej, że za takową tak nazwany *bajronizm* uważany jest, owszem pocieszyło nas: że ilekroć się z fałszywego wychodzi punktu, tylekroć i punkt dojścia nie może zadowolnić. Jeżeli albowiem, przez tyle wieków krytykując, uwielbiając lub prześladowając poetów, nie pytano się o ich obowiązki, jakże i ocenienie tak stanowczego zjawiska mogło być słuszne?

Tu, zaiste że pora jest obrócić się do tych, o których powiada Byron: »*pocięci scyzorykiem, atramentem żłani*«, i dostroić, czem urywa strofę Juliusz Słowacki: »Chociaż mi serce pęka, śmiech mię bierze...«

Posiedzenie więc to miało być poświęcone wyłącznie Byronowi, wszelako posłyszawszy, iż zdanie moje — że po niedzieli historycznej są przecież i poniedziałki historyczne i że nadzieja przeto, jakkolwiek spełniwszy się za przyjściem chrześcijaństwa, nie przesta-

przestała jednakże być nadzieją — ostatecznie zrozumianem nie było, winien jestem naprzód to objaśnić.

Ja umyślnie unikam *bezpośrednio religijnych subtelności*, ale jeżeli miałbym kogo gorszyć, to i owszem gotów jestem się z tego wytłómaczyć, proszę tylko o wyłączną indulgencję na minut dzieśnięć dla przytoczenia anegdoty, ze zdarzenia istnego wziętej, a która za wstęp mi posłuży do wykazania ciemności określeń moich i do objaśnienia *tezy*, że nadzieja wieków nie przestała przecież za chrześcijaństwa nadzieją być; że znowu zeszła do dni powszednich swoich.

Kiedy podróżowałem po Polsce, byłem na górze Ś. Krzyskiej i ostatni Benedyktyn pokazywał mi bibliotekę. Ze stosu zakurzonych foliałów podniósłszy książkę, dostrzegłem tytuł: »*O szlachetnem z zacnemi domy paragonowaniu*«, to jest, *Manuel du bon ton du XV (II) siècle*. W rozdziale, w którym uczono, jakie formy ma przybierać młody człowiek starający się o rękę panny, ojciec jezuita radzi, aby młodzieniec, wchodząc do komnaty, gdzie są antenatów wizerunki, do żadnej figury malowanej tyłem się lub bokiem nie obrócił. Posądzają jezuitów o chytryść i przebiegłość: tu widna, że i owszem najszybciej autor rzecz określił, gdyż, im ród szlachetniejszy, tem więcej wizerunków, tak dalece, że nareszcie do arcy-

arcy-starożytnego rodu wcale bez obrazu wejść nie można, ludzką mając ciała budowę. Takie samo jest właśnie położenie i każdego pisarza, skoro głos podnosi w społeczeństwie, które nie mogło się ustrzedz ekstremów, chociażby one najszanowniejszymi były. Wobec osób historycznego znaczenia, objawiający publicznie zdanie swoje stawia zaraz w pozycji owego młodzieńca — pozycji niejasnej, a w której przeto bardzo łatwo niejasnego użyć wyrażenia...

Jeden z historyków francuskich napisał te słowa: *«Przedwieczny wciąż historię pisze i żadnemu ludowi jej nie zbraknie, dopóki są białe karty, na których pisać można»* — bez tych to kart białych słowo traci wartość swoją pierwotną i przyrodzoną, a mianowicie odrodzalną... Po tym wstępie wracam do tezy naszej.

Nadzieja, mimo zwycięstwa na Golgocie, od nadzieja się nieraz napowrót, to zwycięstwo albowiem bynajmniej nas od prac i obowiązków nie uwolniło, z kąd jest też wiele do walczenia we dnie powszednie nadziei, chociażby dlatego tylko, że z poగాństwem się ciągle spotykamy, bo znów przez 19 wieków nagromadzały się i nagromadziły żywioły barbarzyńskie. Nieraz przecież jeszcze, chrześcijański trup kładzie się od chrześcijańskiego miecza tysiącami, i pytanie jest, czy nie jak gladiatorowie raczej dla ucie-

dla uciechy patrzących walczymy, a nie wiemy czy na *Via crucis* idziemy! Nie trzebaż to nam jeszcze filozofię uczłowieczyć, politykę i ekonomię uchrześcianić, praktyki religijne odserdecznic choćby w nas samych? salonowe formy uprostodusznić, a rubaszość gminną wzniesć nad poziom! Jeszcze przecież, w postępie pogwałconym lub opóźnionym, jakby antropofagi spychamy starców, a młodzieńcom dostępu nie dajemy, jeszcze bibułą drukowaną zaklejamy sobie oczy, a słowa natury i liter palcem pisanych Bożym czytać zaniechaliśmy. Jeszcze ja sam widziałem, jak czcionkami ołowianymi strzelby nabijano na bratobójczy okrzyk, ale karty narodów rozcinano w biurach kościanym nożem, jak karty książek. Jeszcze się pchamy, jeszcze się wałesamy, między tą cywilizacją *atradycyjną*, której wielka praktyczność jest często wielce niepoczciwa, a pomiędzy naszą ukochaną cywilizacją tradycyjną, której wielka poczciwość jest wielce niepraktyczną, jeszcze jednym słowem jesteśmy DOPIERO ludźmi 19 wieku. — Ale głównym przedmiotem naszym, po zarysie historii poezji, było na dziś wyświecenie pojęcia o bajronizmie, do tego przeto powracamy. Ilekroć pojawi się pisarz, który wonie i kwiaty historyczne ułoży w piękne tomy, tylekroć arcy-budująca sława jego rozejdzie się po wszechświecie, i chociaż

i chociaż tylko z żywych praw chrześcijańskich ułożył on kilkanaście tomów encyklopedyi podręcznej, np. *Encyclopédie du Christianisme pour les gens du monde* — imię jego zaskarbi sobie rozgłos. Często wszakże pisarz takowy wziął oto przejrzystą chustę S-ej Weroniki i z tej ulotnej tkani uszył codzienną bieliznę dla współczesnych! Ale ilekroć prosty żołnierz jakiego zakonu Maltańskiego, braciszek jakiego templariusza, szczerzy jaki i wolność kochający duch, w imię miłości i w kierunku prawdy, prosto a samodzielnie dąży, tylekroć na potępienie jego rozpowsechnię się tylko wątpliwości sumienia, jeżeli jakie miał, lub licenrye i klątwy, które z ust niedosyć zaciśniętych wylatywać mu mogły. Niechże się nikt rzeczami temi nie gorszy, a kto łaskaw, niech do mnie się odniesie, abym objaśnił je. Licenrye niczyje mnie nie obchodzą: przyjęto jest albowiem usuwać się od krat konfesyonału, zajętych osobistością cudzą. — Wątpliwości zaś sumienia ludzi publicznych pomierzać się zwykły na łokcie kościołów i społeczeństw, z których indywidua te wychodzą: co zaś do przekleństw, te co znaczą i czy ich poetom używać wolno? powiemy osobno, jak będziemy mówili o poemacie Słowackiego, Beniowskim. Wtedy niemniej i klątwy, które w pismach Byrona spotykamy, lepiej się nam wyjaśnią.

Reli-



Religijnym był Byron więcej od kościoła i wieku swego. — Lord, nietylko był za emancypacją katolików w Anglii, w czem zaiste że ponad swobody, przez oficjalny kościół angielski uznawane, wznieść się umiał, ale nawet, jak sam to wyznaje, bał się dlatego starości, aby nabożnisiem z czasem nie zostać. Oto bowiem (powiada), kiedy pod sklepienia katolickich świątyń wchodzę, czuję jakoby promień pociągający mnie. Był on zaś nietylko więcej tolerującym, niżli kościół i społeczeństwo, w którym żył, ale bardzo nad ton wieku wyższym. Dowiedziawszy się, że nieznana mu osoba zmarła, a ta odmawiała była modlitwę na intencję poety, zawołał: »największa sława, która uolbrzymia człowieka w oczach jego, nie może iść w porównanie ze znaczeniem takiej modlitwy!« wszystkie wieńce Homera i »Napoleona, gdyby je razem na jedno czoło wkładać można, — nikną mi w porównaniu do tak bezosobistej intencji«. Nie od rzeczy tu będzie, jeżeli przypomnę, że Jego Świątobliwość Pius IX papież, kiedy przyjmował Mickiewicza, a poeta, ukląkłszy, odezwał się: »oto jestem syn marnotrawny« »ecco mi il figliuol prodigo«, odpowiedział: »syn najukochańszy« »figliuol carissimo!« Ja zaś od Papieża większym nie jestem katolikiem. A któż, zawołam przeto, marnotrawnijszym synem był i tak wychylił do dna truci-

trucznię pieśni, jak to uczynił Byron, pieśni Sokrates?

Urodził się on w ojczyźnie lordów i był lordem, więc miał ojczyznę: mógł przeto wielkim mężem w społeczeństwie szczęśliwym zostać. — Jak zaś pojmował to zadanie, najlepiej pokazuje pierwsza jego depesza do lorda Holland, której treść prawie dosłownie brzmi, jak następuje: »Odsyłam raport, dotyczący wypadków w Nottinghamshire, przekonanie moje w zapatrywaniu się na nie jest zupełnie różne. Usprawiedliwiam zbuntowanych i stoję w ich obronie. Klasa rzemieślnicza jest bardzo upośledzona, jeden człowiek przez mechaniczne środki zastępuje siedmiu i wraz reszta pozostawiona jest bez pracy; należy się cieszyć z postępu machin, ale, Milordzie, nie godzi się, aby *machin doskonałość okupywać człowieka degradacją*.« Oto pierwsza depesza wstępującego do parlamentu angielskiego męża stanu: — Poeta!...

Urodził się on pod kotarą, w Palestyńskich rycerzy godła ubraną, ale herb jego nikomu nie zawadza, zabłysnął on trzy razy tylko na trzech hełmach, gdy do Grecyi wyjeżdżał... — Poeta!

Był on obdarzony wytwornością mowy i dziwnym słowa czarem, ale często w listach swoich schodzi do najniższej prozy, są albowiem listy, w których

rych pisze o trzewikach dla emigrantów włoskich... Poeta!

Wielkim mógł być zapewne dyplomata, jeżeli pokolenia, zbuntowane i niechące służyć powstającej Grecyi, w imię Byrona tylko przystępowały do Konfederacyi — jeżeli baszowie tureccy z nim się tylko znosili, tak, iż do dziś szkołą byłoby dla dyplomatów rozpatrywać się, jak od pierwszej chwili przybycia do Grecyi umiał Byron zażywać wszystkich języków dla każdego stronnictwa i stanowiska zrozumiałych. — Ale do Komitetu niepodległej Grecyi pisząc, ten lord angielski mówi:

— »Myślę, że wystarczającym celem jest wolność i niepodległość narodu, że jednak u Anglików, rodaków moich, nałóg do handlarstwa i przemysłu górę bierze nad wszystkim, tedy dołączam i konsyderacye o handlu angielskim w stosunku do położenia Grecyi...«

Poeta!...

Poeta! — powtarzam, albowiem dyplomaci, a nawet i niedyplomaci, uważaliby raczej za stosowne rozpoczynać przez okazywanie owszem, iż nałogi i zła ojczyste są drogocenną spuścizną pamiątek lub głębokimi na przyszłość narodu widokami: — Poeta!...

Mógł on też swobodnie, jak to mówią, karyerą swoją

swoją zająć się przy tak znacznym majątku, jaki posiadał, ale on pieniędzmi długo wspierał ludzi nie-szczęśliwych — potem powstający naród, a pod koniec tej Byrona służby zastawione były nawet jego książki prywatne: — Poeta!

Mógł nareszcie militarną karierę wziąć za cel swój, zwłaszcza, że urodzenie dawało mu już stopień w armii, co więcej, że strzelał jak Tyrolczyk, bił się na pięści jak najlepszy bokser, pływał jak nikt na świecie; ale archistrategos przeniósł, nad to pojęcie wojska, zreformować raczej system karny w garnizonie greckim: — Poeta!

Pierwsze słowa jego, w parlamencie angielskim powiedziane, były: *»nie poświęcajcie człowieka dla machinacyi i dla machin«*, ostatnie w Grecyi: *»nie poświęcajcie narodu dla rutyny.«* Pomiedzy temi dwoma wszakże są całe dzieje Europy aż do dzisiaj jeszcze!

A gdy już tak na Homera ziemi Iliadę wskrzesił, tedy w Fidyaszów i marmurów ojczyźnie niema jego posągu, Europa zaś literacka naucza, że bajronizmem zowiemy antyreligijny, antysocyalny, antyrealny pierwiastek. Wolę ja za Juliuszem Słowackim powtórzyć: *»pobielanym grobów nie godzi się być cyprysami«* — albo westchnąć z nim razem: *»żeby też jedna pierś była zrobiona nie po-*
dług

dług miary krawca, lecz Fidyasza!« Żeby też jedna!...

I oto jest jakoby *Ultima Thule* pieśni, albowiem Epopeja tu przenikła w siebie samą, siebie w rzeczywistość odradzając. Napoleon Wielki przymuszany był pojmować kosmopolityzm *de la manière défensive* i pobito go; ale tylko Kościuszko w Ameryce i Byron w Grecyi pojmowali kosmopolityzm ze strony dodatniej i zwyciężyli też dla Ameryki i dla Grecyi. —

Nie wiem, *kto* w 30 roku był tym Archistrategosem Epopei, co na sztandarach napisał *»za naszą i waszą wolność«*, — ale wiem, że to był on: potwierdza to albowiem kwestya włosciańska, agitująca właśnie państwo rosyjskie z inicjatywy polskiej i nie gdzieindziej czerpiąca pierwotną siłę swoją. — Do Belwederu z bagnetem idzie poeta, — dalej powstaje O'Connell i Lamartine, — dalej jeszcze Mickiewicz we Włoszech zakłada to, co się teraz robi: a przed oczyma naszymi Ludwik Kossuth też samą kończy Epopeję, co się w Missolongi rozpoczęła. Dlaczego epopeja na tym Europy pasie jest większa od sił trzech gabinetów? dlaczego Mikołaj do tyła obawiał się i zabraniał poezyi, do ła prochu? czyliż nieprzyjaciele nasi mają być bystrzejsi od nas samych! — O! zaiste, że służba poetów jest powa-

poważna, ale prawda ta dopiero na wstępie do epoki dzisiejszej świtać poczęła, u bram której z Homera lirą i Leonidasa mieczem spoczął Byron, trzy słowa o sobie rzec mogący: *veni, cantavi, vici*.

LEKCJA III.



o zakresleniu całego widnokregu poezyi, a przeto Epopei, aż do granic onego i aż do wrębów, które się już w licencye nawet przelewają lub przelewać mogą, pozostaje nam utrwalić cztery pojęcia: *pojęcie oryginalności poetów, profetyzmu ich, naśladownictwa i czytania*.

Umysł francuski ma to do siebie, iż wyściga się, nie powiedziałbym czynem, lecz praktyką. Jakoż gdyby nam przyszło szukać u sławnych filozofów francuskich, *co jest oryginalność?* nie znalazłoby się na to odpowiedzi. — Czyn a praktyka to dwie rzeczy, których definicye i różnica nie obowiązują nas w tym momencie. Powiem tylko, że jakkolwiek filozofowie nie wyrobili pojęcia oryginalności, jednakowoż, ile razy autor komedyi jakiej użyje zwrotkę jedną z komedyi przez kogo innego napisanej, wraz jest kodeksu francuskiego artykuł, do odpowiedzialności

za to

Po zakre-

za to przywłaszczenie powołujący. Kodeks i żandarmy wyprzedzają tu filozofów. — Nie moja w tem rzecz pytać, co *godniej a co wygodniej?* czy przez *rozjaśnianie pojęć*, czy przez *karanie braku pojęć* działać?... ale artykuł taki w kodeksie karnym zupełnie odpowiada prawdzie, i kodeks jest tu profetyczniejszy od teoryj literackich współczesnych, i policyi przeto należałoby miejsce w Akademii. Zdaje się on albowiem mówić, że oryginalność *jest to sumiennosc w obliczu źródeł*. Jakto? czyż ona sama nie jest źródłem? zapyta kto. — Takiej oryginalności niema. Sokrates, który nie szukał, aby uczniowie jego zgrawitowali do słońca *piersi jego*, zatacając indywidualną siłę obrotu około osi umysłowej każdego z nich osobno: który przeto szanował w uczniach swoich ludzi wolnych, który przeto miał mądrość; — gdy mu dziękowano (mówię) za udzielanie wiedzy, upraszał i zaklinał, aby dziękowano raczej Temu, który sprawia, iż ze słów jego korzystają. Sokrates, tak postępując, sumiennym był w obliczu źródeł. A względem osób? zapyta kto. — Wytlómaczę to przykładem z lekcyi poprzedzającej. Skoro określałem, jak prace Epopei wyrzały w sferę czynu i jak cała epoka zużytego słowa zniszczyła się, jak czcionkami ołowianemi nabijano karabiny, a drukowane papiery roztarto; pojawił się fenomen najważ-

niejszy,

niejszy, jaki jest w wieku XIX, to jest, że w całej Europie: w Irlandyi, w Węgrzech i we Francyi postawiono *ludzi słowa* na czele rzeczy dziejących się, — i określając zjawisko to, przechodziłem koło pana *de Lamartine* i pokłoniłem mu się. Niestety, czułem, że nazwisko to nie jest sympatyczne, ale czyż dlatego, że on nie dopełnił obowiązków swoich, ja miałem nie ocenić fenomenu współczesności i być niesumiennym w obliczu wskazującej mi źródła swe prawdy? Ja nikomu się nie kłaniam i dlatego mogę się pokłonić prostemu krzyżowi, złożonemu z suchych gałęzi, a pominąć z nakrytą głową rdzenne dęby i cedry wielkie w dziewiczych lasach Ameryki. Dzieje stoją więcej na tem, co się mimo ludzi stawa, niż co oni z własną świadomością dokonali. Lamartynowi było dane fenomenowi najważniejszego w XIX wieku być wyobrażeniem, i to mi wystarcza. Poeta ma to tylko przedewszystkiem, czego odebrać mu nie można, i mówi on do świata, jak Faust do Mefistofelesa: »was kanst du mir, der arme Teufel, geben?« Poeta potrzebuje tylko zwyczajstwa prawdy! Ja nie kłaniam się nikomu, tylko źródeł źródłu, i ztąd to uszanowanie moje dla Mickiewicza, Kossutha, chociaż z ludzi tych O'Connell sam tylko może ma moje rzeczywiste sympatyje. — Z karafki napić się można, uściskawszy ją za szyjkę i pochyliwszy ku ustom, ale kto

ale kto ze źródła pije, musi uklęknąć i pochylić czoło.

Ktoś mi powie, że sumienna wzajemność wobec źródeł nie daje samosily i że trzeba dla indywidualnej oryginalności mieć źródło w sobie, ale ja powtórzę i powiem, że takiej oryginalności absolutnie indywidualnej niema, nie było i nie będzie. — A Sokrates? nieśmiertelność duszy przed Sokratesem znaną była egipskim kapłanom. — Aleksander? Aleksander do Arystotelesa, zdrowia mu życząc, pisze te słowa: »Te rzeczy, których ja poufnie od ciebie się nauczyłem, nie dobrze jest, że publikujesz, albowiem lepiejby było, żebym to ja je sam tylko wiedział«. No, ale Cezar? — Ach! Cezar nie załamywał tak rąk na piersiach, jak na kolumnie Vendôme, — wszelako Plutarch donosi, że załamywał on je tak samo, tylko że z tyłu. Napoleon? zapewne, ale trzeba mieć komentarze Cezara, które go nie opuszczały nigdy i przeczytać dopiski robione na marginesach. — A Dante? — Dante kroku nie zrobił bez Wirgiliusza nawet w piekle, a bez innych w czyscu i w niebie. O, wołając do nich nieustannie: »maestro mio! dottore mio! duca mio!« — Ależ Kopernik? i starożytność przecież znała okrągłość ziemi. Ale ktoś mi powie, więc chcesz oryginalności nieledwie takiej jak Zbawiciela? — Tu odrzekę, że ani jednego słowa

słowa Zbawiciela niema, któregoby wprzód w prorokach i przypowieściach ludowych nie było. I owszem, nie już ludu wybranego prorocy, ale i greccy nawet mistrzowie wiele z tych praw moralnych znali. Sam Zbawiciel powiada, że *nauka jego nie jest jego*, że nie przyszedł nauczać, ale dopełniać; — więc, że oryginalności wcale niema absolutnej, — na to już zgoda! Oryginalnym właśnie dlatego jest każdy prostotliwy i zacny człowiek w rozumie swoim, — każdy pocziwy człowiek ma coś oryginalnego w sobie. Oryginalność ma człowiek prosty z ludu. Oryginalność więc jest tylko sumiennością dodatnią w obliczu źródeł. — A ktokolwiek uważał, jak określona była wyżej oryginalność, temu o naśladownictwie ostateczną prawdę odkryć można odrazu i bezpiecznie. Naśladownictwo bowiem jest albo niewiedomością, albo najohydniejszym fałszem, i tu pojęcie kodeksu francuskiego jest właściwe. — Kto albowiem pochwyli dziś Szekspira, cóż robi dla postępu? — próżniak jest, i oszukaniec, i na cał jeden dla rzeczywistego postępu kroku on nie zrobił, i nic dlań nie ucierpiał. Bo czyliż jedną noc zimową konie przed teatrem trzymał za to, iż wyższy teatr grał się w piersiach jego?... bynajmniej!... Dlatego to po epokach szarlatanizmu jeden atom oryginalnej i sumiennej pracy przeważa góry naśladownictwa. Malenie-

lenieczka książeczka Kopernika porusza światy, a ty-
 siące woluminów leży bez życia. Widzieliśmy Byrona
 zastawiającego książki i widzieliśmy naród powsta-
 jący z niewoli, z najcięższej niewoli Jasyru — gdy
 tymczasem nikną wolumina strategii, a naśladowni-
 ctwem wypchnięte ekspedycje cofają postęp sprawy.
 Tylko oryginalność dobrze pojęta, tylko twórczość
 prawdziwa może utrafić i postawić się czynną w pla-
 nach Bożych, to jest, zwyciężyć, — bo jedyny Pan,
 Mistrz nasz i nauczyciel, jest twórczy wiecznie. —
 Naśladownictwo martwe, przy coraz silniejszym po-
 ściepie eksploatacji wszystkiego, co nowe i dodatnie,
 dojdzie aż do zużycia samego ładu i rytmu następstwa,
 wtedy zaś zastąpione być może jakim fenomenem
 magnetycznym, co zostawiam na boku. Wspomnę
 tylko, co poeta nasz mówi. »Ostatniego nędzarza jęć
 policzon między tony harf niebieskich. — Twoje
 rozpacz i westchnienia opadają na dół, i szatan je
 zbiera, dodaje z radością do swych kłamstw i złu-
 dzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprze-
 czyły Pana!« — Oto jest, co się dotyczyło oryginal-
 ności i naśladownictwa, więcej rezultatami, jakie one
 w życiu społeczeństwa sprawiły. — Tu nastąpiłoby
 z kolei mówić o *profetyzmie* poetów, który jest tylko
 sumienności w obliczu źródeł najwyższą i najczyst-
 szą potęgą, albowiem mieliśmy zamiar wszystko
 uprzą-

uprzątnąć i w pamięci odświeżyć, aby przystąpić
 przygotowanymi do ocenienia dzieł Juliusza Słowa-
 ckiego. — Profetyzmu jednak będziemy mieli spo-
 sobność dotknąć przy samym rozbiórce, teraz zaś
 mamy mówić o czytaniu. Ktoś powie, że czytać ka-
 żdy umie; zaprawdę, mało kto czytać potrafi, — ale
 kiedy, jak uważano, zdarzyło mi się już w ciągu
 tego kursu głosić rzeczy, literaturą pierwszej i prze-
 de mną nieobjęte, mam tu zaraz sposobność zaru-
 miałość tę ulegalizować — oświadczając, że wszystko
 to, acz nowe, z czytania przecież nabyłem. — Znam
 albowiem kogoś, który wielkich korzyści z podróży
 odległych nie odniósł, ale starał się chociaż czytać
 Tacyta w Świątyni Pokoju, a Wirgiliusza opodal
 grobu jego, tragików greckich w amfiteatrach pom-
 pejańskich, Józefa Izraelitę i Ojców Kościoła w oko-
 licach katakumb, pierwochrześcijańskie rysunki sym-
 boliczne oglądając, Danta we Florencyi, a Szekspira
 w Londynie, noc pierwszej całą po miasta tego nędz-
 nych ustroniach przechodziwszy, Byrona na pełnym
 oceanie, a Emersona w Ameryce na dachu płaskim,
 gdzie jest zwyczaj przechadzać się. — Nie nowy to
 zapewne, nie jedyny i nie główny czytania sposób,
 aby miejsce, mówię, odpowiednie przedmiotowi do-
 bierać. Niektóre indyjskie poezye w lasach tylko
 się czytywały... Ten miejscowości warunek bezwie-
 dnie

dnie siłą się dziś zastąpić ilustracye, ale ilustracye te do treści drukowanych jako tło stosownie dobierane być winny, czego jeszcze nie bywa — pokazuje to wszakże, że nie wystarcza już dziś czytać jednym tylko organem, i że jakoby trzeba czytać wieloma razem władzami umysłu. Sokrates przez usta Platona o wynalazku pisma mówi: skoro Theut Tamusowi przedstawił wynalezione przez siebie piśmienne znaki, Tamus zawołał, gdy litery ujrzał: »Liter ojciec, zaślepiasz się miłością aż do niewiedzenia celu liter. — Oto uczynisz ludzi niepamiętnymi i nic więcej, albowiem dałeś sposób przypominania sobie i reminiscencyi, a ci, którzy się tych liter uczą, — pewni będą, że powierzyli im tajemnicę wiedzy własnej i że się obejdą bez Mistrzów«; to przytacza Platon z ust Sokratesa. Wyrażenie zaś »bez Mistrzów« znaczy spiritus rector i odnosi się do Mistrza mistrzów, albowiem, jakośmy wyżej, o oryginalności Sokratesa mówiąc, nadmienili, odsyłał on owdzie uczniów swoich. Po tylu też wiekach piśmiennictwa nie wystarcza już jednej formułki czytania, aby przeto, jednostronne reminiscencye powtarzając, nie łudzić się, że się postępuje! Ale tu ktoś mi może zrobić dwa zarzuty: 1° Czyliż słowa jednostronnem ich używaniem nie wykoślawiają się i nie wykrzywiają, jak źle noszone obuwie, i czyż dlatego

nie trze-

nie trzeba ich jedynie czytać tak, jak autor sam je tworzył? Odpowiem i dodam świeży przykład na wyrazie »*szlachta*«. W gazecie warszawskiej był niedawno szeroki artykuł, w którym dawano egzegezę wyrazu *Szlachta*; autor nie zaprzecza, że wyraz *Szlachta* ma niemieckie brzmienie i znaczy bić, ubijać, a mianowicie *klepać blachę*; lecz, kołując tak około pierwiastku wyrazów, nic z nich ostatecznie nie wyciąga. Nie lepiej było po krążgankach gotyckich kościołów naszych przejść się, aby się przyrzec śpiącym rycerzom, z marmurów chęcińskich wyciosanym? — zaprawdę, należy cofać się na tła, na których znaczenie wyrazów odbija się i formuje, a wtedy zrozumiałoby się, że słowo *schlagen*, klepać blachę, w staro gotyckim języku znaczy uderzać po pancerzu, to jest, pasować na rycerza. Oto jest odpowiedź na pytanie, czy wyrazy jednostronnie używane krzywią się i zużywają aż do zatracenia ich wartości. 2° W drugim zarzucie, ktoś mi powie, że w czytaniu należy odwracać się do potęgi pierwotnej, z jaką autor tworzył, a któż tak za czasów Szekspira pojmował go, jak my dziś? Ale ja odpowiem, że czytanie autora zależy na wyczytaniu *zeń tego, co on tworzył, więcej tem, co pracą wieków na tem urosło*. — Jest to cień, który z łona najnieskończonej wyższej prawdy upada na literatury papier, i świad-

i świadczy albowiem, że poza słowami naszymi jest jeszcze żywot *Słowa!* Prawda najpoważniejsza, a której w żadnym literatury kursie nikt nie uczy!...

Słowa autorów mają nietylko ten urok, tę moc i tę dzielność, którą my im dać usiłujemy lub umiemy, ale mają one jeszcze urok i moc żywotu słowa; czytać więc niekażdy umie, bo czytelnik powinien współpracować, a czytanie, im wyższych rzeczy, tem indywidualniejsze jest. Im bliższe umarłych sfer świata dzieło się czyta, łatwiej go pojąć: każdy zrozumieć może rejestra kupieckie, kucharkę doskonałą albo regulamin batalionu — w miarę zaś, jak ku wolniejszym sferom wznosić się będziem, czytelnicy różnić się poczną w tem, co czytają... Koniec końców, książki są niesłuchanie szanowną spuścizną i byłoby Omaryzmem zamachnąć się na te drabiny do Olimpu — ale na cóż się zdały i drabiny, po których nikt nie chodzi? Wcale się więc nie wstydzę, że mówię, jak drugi Omar: *popalić księgi... ale sercem...*

Do tych uwag do czytania, a niezbędnych uwag, należy dodać, co następuje: W wiekach średnich nietylko że nikt z prawdziwą miłością i przyjaźnią nie krył się, ale wielu było sławnych jedynie z tego, że kochać lub przyjaciołmi być umieli, dziś przeciwnie; czemu dziś miłość i przyjaźń chronią się i nie wytrzymują ludzkiego wzroku? Oto nadużyły się już tych



tych słów formy określne, czyż niema na każdym rogu ulicy ogłoszenia miłości nowych i siedemkroć siedemdziesiąt siedm romansów, drukowanych w Paryżu i Londynie, a czytanych aż do wybrzeża rzeki Amur, aż w Syberyi! Żaden rzymski patrycyusz nie napisał dwunastu tomów o *patryotyzmie*, bo to jest rzecz nieprzyzwoita. Rozgadaniem albowiem takim można ucodziennić i na bok usunąć nietylko *przyjaźń, miłość*, ale same nawet słowa wolność i ojczyzna... I nietylko, mówię, prawdy Boże można usunąć za kulisy, ale i sejm, gdy się w dystrybucyi i formach słowa *uprywatni*, można odesłać do domów — bo to będą już nie symbole, ale prywatni jegomoście, i ci pójdą do domów! Nie o obskurantyzmie ja tu mówię, ale o onkcyi, która jest nerwem prawdy i bez której prawda nie może żyć.

Mowa ludzka gdyby nie składała się więcej z niczego, jak z pewnej tylko liczby wyrazów i z pewnej kombinacyi wyrażień, nie byłoby różnicy między literaturą a matematyką: literatura byłaby tylko błędną matematyką! Jeżeli więc mędracy i filozofowie dzisiejsi nauczają nas, że *słowa nas wyrażają*, — przepraszam i ostrzegam, że jest to mimowolna zdrada, bo wyrazy i słowa nasze są także i na to, że *nas sądzą, nietylko że nas wyrażają*.

Skoro

LEKCJA IV.



koro zapowiedziałem, że w miarę uzbierania się pokładów cywilizacji czytanie niemniej musi w wyższe potęgi urastać, i trzeba mi było okazać na przykładzie wynaturzanie się wyrazów, co więc pokazałem na słowie niemieckiem *schlagen* i wytłómaczyłem, że słowo to odbrzmiewa uderzeniu płazem po pancerzu,—zarzucano mi w tem tłómaczeniu niewłaściwość. Nie mogę się szeroco rozwodzić nad zarzutem, który mi zrobiono, bo zbyt wiele zabrałoby to czasu, ale powiem tylko, co też wystarczy, że Bolesław Chrobry, jakkolwiek dobry patriota i wielki człowiek, był tylko *Grafem państwa niemieckiego*, i że nie mógł być czem innem jako monarcha katolicki. Państwo rzymskie człowieka zbiorowego w pancerz ubrało, tak, jak dziś koleje żelazne przez kompanie nie rodzime ale zagraniczne w Rosyi i Polsce budują się — lubo

ja wiem

ja wiem, że jest szkoła patryotyczna, która *samородności szuka jakiejś, której żaden naród mieć nie może pod karą zeschnięcia*. Nietylko forma i rytuał zakonu rycerskiego na świecie całym jedne były, ale nawet cechy i bractwa wniosły germańskie nazwy do rzemiosł naszych. Wyrazy nazw tych przebrzmia kiedyś w narodowe pierwiastki słów, i każdy *ślusarz* będzie je wywodził ze słowiańskiego początku, ale dzisiaj są one tak jak fraki, właściwe tylko romańskiej cywilizacji, które nosimy i które nas wcale nie dziwią, ani patryotyzmowi szkodzą, póki umiemy być trzeźwymi i od kroju fraków nie zależeć. Wracając zaś do początku zarzutu, trzeba przypomnieć sobie także, że wcale nie uczucie *szlachetności*, ale raczej uczucie *teokracji* jest przyrodzonem człowiekowi, a przeto nieprzenośnem. Uczucie teokracji jest wspólne wszystkim narodom i nawet na wyspie odludnej wyradzać się samo potrafi gdy przeciwnie *szlachetność* jest już uczuciem artyficyalnie naturalnem, a przeto przenośnem i z obcowania z ludźmi i ludami wziętem. — Tym sposobem i brzmienie wyrazu i natura rzeczy, którą ten wyraz określa, podwakroć dowodzą, że samorodnym on być nie mógł, jak fraki i koleje, mimo pewnika, iż szlachectwo polskie zaowocowało w prawdy większe i piękniejsze, niżeli kiedykolwiek jakikolwiek naród

naród miał!... Idąc dalej i zastanawiając się z kolei nad wyrazami innemi, mógłbym pokazać, że wyraz *gmina* od niemieckiego *gemein* pochodzi i t. p., a takim sposobem w całej nomenklaturze społecznego języka zobaczyliśmy ukrytą architekturę gotyckiego gmachu; — to są rzeczy, które narodowości nie ubliżają bynajmniej... są *socyalne*, nie *nacyonalne*.

A teraz przystąpmy do właściwego zadania tej lekcyi, to jest, do zgłębienia i objaśnienia narodowego arcydzieła Juliusza Słowackiego pod tytułem »*Anhelli*«.

Gdyby wydumaną przez wygnańca na odludnej wyspie Apokalipsę dał kto do czytania literatowi i poecie rzymskiemu, choćby tak doskonałemu jak Horacy i tak dobrze umięjącemu po grecku, cóżby ten doskonale umięjący po grecku z Apokalipsy wyczytał? oto uczyniłaby na Horacyuszu Apokalipsa wrażenie takie, jakie na nas czyni Tysiąc Nocy i jedna. Jest więc błędem najszkaradniejszym, gdy nie wiemy (a prawie występkiem, gdy wiemy), czytać utwory narodu nieszczęśliwego temi oczyma, któremi się utwory poetów tryumfujących czytają. — Nie moja wina, że wpraw o całej i o wszystkich cywilizacyach mówić tu muszę, zanim przystąpię do cywilizacyi naszej i do Anhellego, ale sumienie każe mi śmiało rzeczy i nie oględnie mówić, proszę więc

o uwa-

o uwagę, albowiem gdyby opinie moje nie dobrze zrozumiane były, moglibyśmy sobie zaszkodzić i temu poecie, który tak źle pojmowanym i tak źle znanym jest: nie było jeszcze kompletnego wydania dzieł Juliusza Słowackiego, a trzecia część pism jego tuła się po Galicyi do dziś dnia.

Aby być człowiekiem *ukształconym*, dość zdać się na wiarę cywilizacyi, którą się napotkało; ażeby być *kształcącym się*, potrzeba coś z siebie dodać i niedość już potulnej bierności. Ale, ażeby być *kształcącym*, do źródeł wrócić należy. — Najwygodniej być ukształconym, człowiek wtedy ma horyzont ducha pewny, zakreślony i skończony, jako posąg w formie bezjegowolnie wpraw zrobionej odlany; stan taki Włosi określają wyrazem »*tondo*« a Rosyanie dobitnie i malowniczo wyrazem »*кры-гомъ*«. — Jeden i drugi wyraz, *tondo* i *крыгомъ*, znaczą *okrągły*, czyli, jako ujemna forma posągu, wypadkowy bezwłasnowolnie, różnemi naciskami zewnątrzniemi... tak to byli niewolnicy rzymscy aż do dni Spartakusa, który gwałtem i krwią poprzedził oliwne słowa Chrystusowe. Ale człowiek, co w kręgu tym duchem nie zamieszkał, lecz tylko przeszedł pod nim, jak pod tryumfalnym łukiem, który przeto pamięta, że Spartakus już był a Chrystus Pan był i jest, — człowiek taki jest kształcący się, nie okrągły,

gły, i owszem ciągle wyokrąglający się współdzielnie. Tu dopiero słowa Montaigne'a »ondoyant et divers« są prawdziwe; człowiek bowiem taki to już nie kryształ, wedle praw matematycznych rozwijający się i rosnący, i za to martwy; człowiek taki to nie niewolnik! Żeby zatem korzystać z cywilizacji, trzeba nie być jej samym tylko logarytmem, gdyż w takim stanie *napotkanym* i gotowym pocóżby duch na planetę wchodził? Jeżeli człowiek tak ukształcony jest to człowiek spotkany, i gdyby tak pozostał, byłby homunkulusem przez doktora Fausta w retorcie szklanej zrobionym. — Zkądże to pochodzi? z jakich źródeł wypływa? oto ztąd, że cywilizacja każda, jako skończoność uważana, jest fałszywa, że każda jest względna i żadna z napotkanych nie jest ostatecznym i tryumfalnym ludzkości owocem. Cywilizacja, mówię, każda podobna jest do rusztowania, które ma kształt gmachu, i jest arcywinioste, i okazałe, i zdaje się być niebotyczne. — I ma piętra i sklepienia, a z tem wszystkiem razem nie jest jednakże niczem więcej, jak tylko płaską i poziomą deską, schodem jednym, na to tylko służącym, aby po nim deptać i chodzić. — Kto zaś nie zna architektury i na rusztowanie takie patrzy, tedy widzi księżycę i gwiazdy przez ażurowy gmach przesuwające się. — I mówi sobie »to *gmach wielki*«,

ale

ale biada temu, kto tu sfinksa zagadki nie odgadł, albowiem ani zamieszkać w tem rusztowaniu, ani wzgardzić niem nie jest rzeczą słuszną i prawdziwą — prawda mówi i woła: »*nie bądźcie niewolnikami ludzkimi*«. Ja nie cenię Spartakusa za przegrane bitwy i popełniane gwałty, ale mu to jako wolności wieniec oddaję, że na kilkanaście tysięcy trupa z jego obozu nie było żadnego rannego w plecy... bitwy on przegrał, ale męstwem wyrównał szlachetnym, a przeto kastę zniósł. — Między cywilizacją starożytną a cywilizacją chrześcijańską ta jest główna różnica, że w tej ostatniej zarówno już idzie, *jak być pobitym i jak pobić*. Starożytny Rzymianin o koniec swej dramy i jej moralny wątek nie dbał; gdzie fortuny i wątku nie stawalo, tam kazał się niewolnikowi lub truciźnie z następstw dramy wyręczyć, zarzucał tylko płaszcz na oczy przed widokiem niewolniczego miecza lub najętej płacą truciźny; tak też i ludy starożytne dwie tylko konieczności ostateczne przed sobą miały: *eksterminację*, albo *pochylenie szyi*, wyciąć w pień, lub dać się uwiązać u pnia... Dziś się to odmieniło, cywilizacja chrześcijańska ludu żadnego w pień już wyciąć nie może, nie dla czego innego, tylko że na dnie rzeczy wycinanej miecz wycinający napotka część samego siebie, prawie część własnej rękojeści, prawie że jelce własne i stal własną

własną, a wtedy przerazi się i cofnie*. Oto i tyle jest zwycięstw prawdy chrześcijańskiej, *politycznie ją uważając*, tylko tyle, — ściśle odmierzam. — *Socjalnie* zaś, nie już politycznie, proszę mi powiedzieć, jak daleko zaszło chrześcijaństwo? Parabolą rzecz tę określam, bo parabole mają to do siebie, że nie tylko prawdy przedstawiają, ale i dramat życia prawdę wyrabiający — dlatego też, między innymi powodami, parabolami Zbawiciel określał niektóre prawdy — filozofia niemiecka jest w błędzie pod tym względem, bo nie wie, że jest tylko pewna warstwa prawd i że są tylko pewne strony prawdy, które się idealnie przedstawić i idealnie formami myśli objasnić dają, ale że drugi prawd okres dla uwydatnienia swojego potrzebuje dramatu życia — *paraboli*. Powieści i pogadanki paraboliczne Mickiewicza dramatyzowały życie prawdy opowiadanej — ale któż je spisywał i cenił w ostatnich Mickiewicza latach? Oskarżę tu: że upominałem o to za życia Adama — któż to podjął?! zginęły!... Otóż, chcemy określić, jak daleko zaszło chrześcijaństwo *socjalnie*? W najucywilizowańszym narodzie i kraju niech człowiek mający z głodu skonać ukradnie bułkę chleba i niech powie przed sądem, a nawet przed sądem przysięgłych, gdzie pomiędzy nim a sędziami krucyfiks stać będzie

* Wykładane na rok blisko przed warszawskimi wypadkami.

będzie: »Pan i Bóg mój z cudzego zboża kruszył kłosa dla uczniów swoich«. Zaiste, skazany będzie taki człowiek jako złodziej na więzienie. Dajmy na to nawet, że *Jury*, jako z postępu chrześcijańskiego wyszli, nie skazą człowieka takiego na więzienie, wtedy ja się zapytam, kto mu odda cześć jego, kto żeń zdejmie to piętno hańby, że był o kradzież posądzony? Powiem nawet, że niechby, współcześnie do takiej sprawy o głód człowieka, *polityczna* jaka reakcja w społeczeństwie miała swój rygor, — *Jury* przenieśliby polityczne usposobienia na pole *sprawiedliwości* i potępiliby takiego człowieka dla porządku i przykładu. Ja nie jestem urzędowy profesor ani rewolucjonista, więc mnie ani deklamacya, ani regulaminu fawor nie obowiązuje. Człowiek na to przychodzi na planetę, ażeby dał świadectwo prawdzie. Trzeba przeto wiedzieć i pamiętać, że cywilizacya każda uważana być winna jako środek, nie jako cel, — dlatego też zaprzedać cywilizacyi duszę swoją i przytem modlić się w kościele, jest to być Tartuffem. — Jesteśmy synami narodu szlacheznego i idziemy do ojczystej ziemi obiecanej, a jest ona ziemią obiecaną nie dlatego, że winne grona w niej będą większe, niż gdzieindziej, i że w niej mleko i miód płynąć będzie — ale dlatego, że zapowiedziano nam na Golgocie, iż *prawda zwyciężyła*

żyła, i że my przeto w sukcesyę dokonanej prawdy onej wchodzimy.

Już przecie z jednej strony na *Psiem Polu* pokazanem było, że nie jesteśmy na szwadron jeden jazdy cudzej i indywidualnego sumienia niemającą posyłkę przeznaczeni, gdy znów przeciwnie pod *Wiedniem*, że potęgi własnej i tej indywidualności bytu dla siebie samych nie chowamy... cywilizacya przeto, która dla tego szuka, że tak powiem, okrągłości, całości i skończoności swojej, aby się poświęcić, ma swoją racyę — *raison d'être* — i sprawiedliwa jest; kijem się podeprzeć wolno pielgrzymowi i nie jest to słabością wobec celu pielgrzymki jego. — Eunuch króla jednego pogańskiego, przez usta Elizeusza proroka poznawszy prawdziwego Boga, pytał się, czy to jemu za złe wziętem nie będzie, jeżeli skoro król na ramieniu jego oparłszy się do świątyni słońca się uda i pokłony dawać będzie, czy on wtedy także pochylić się pod ciężarem ramienia królewskiego może?... Elizeusz powiedział: *idź w pokoju — idź* — to jest, nie zatrzymuj się na drodze prawdy, a ona sama wskaże ci skrupułów miarę, jeżeli *iść*, to jest, postępować nie zatrzymując się będziesz. — Tyle też tylko cywilizacyi wolno pochylić się przed wieku wymaganiem, tyle tylko i nie więcej na jeden atom! Powtarzam więc raz jeszcze, że cywilizacya każda

każda, o ile za skończoną, o ile w siebie zatrzymaną i nieodwołalną uważa się, może być sprawiedliwie podporą tylko a nie celem, rusztowaniem nie zaś budową.

Powiemy dalej rzeczy, które są niesłychanie ważne, a te będą ciemnymi się wydawać. Cywilizacya każda, nawet u ludów starożytnych, miała dwa bieguny, punkt wyjścia i punkt zamierzchu swego. U ludu wybranego *punkt wyjścia*: to Jeruzalem z Syonem, a im odpowiada Samarya, gdzie punkt zamierzchu promienia wychodzącego z Syonu. Tam już lwy pożerały ludzi, ludzi, od których nawet wody napić się było zdrożnością. Wprawdzie, pod koniec ludu wybranego, nie Syonu obywatela, ale Samarytanina Pan okazał być pierwszym i wybranym, ale to w nawiasie! — Przechodzę do państwa rzymskiego, aby też samą architekturę okazać: miało ono dwa punkta: Kapitol — punkt wyjścia, i cały pas północny Cyzalıpiński, a mianowicie Galię z jej nadbrzeżną *Marsylią*, *Marsa* kolonią militarną, coś, jakoby *Botany-bay* rzymskie, *punkt zamierzchu*. Ztąd to o wygnanych wogóle mówiono: »poszedł ten i ów na ryby do Marsylii«, to jest, na zatracenie. Jakkolwiek znowu z Galii na Kapitol weszli mężowie silni, a chorągiew Łazarza i Magdaleny, do Galii wygnanych, powiała nad murami Watykanu — i tu drugi jest na-

jest nawias. Wspomnę tylko, że Tacyt w życiu Agrykoli, jeżeli się nie mylę, powiada, iż w Marsylii dawnie osobna wyrabiała się filozofia. Jak zaś Jeruzalem do Samaryi i Rzym do Marsylii, tak następnie całe średniowieczne katolickie imperyum ma się do Ameryki. Samarytanin i Marsylczyk amerykański w osobie Washingtona pogroził znów staremu światu palcem, a w osobie Anglii odepchnął go, ale to znowu jest w nawiasie. — Oto jest jakoby obraz geograficzny i przewodnik podręczny wartości moralnej tych cywilizacji. Takiej geograficznej lekcji nikt wprawdzie dziś nie uczy, ale podobno, że tak uczyć będą, skoro umiejętności ściśle będą pojmowane w duchu chrześcijańskim, a który to duch radzi i wymaga, aby, od punktu tryumfującego do cierpiącego, czuwanie usilne jasno miało wytkniętą drogę. Umiejętność taką historyi nazwałbym archistrategią dziejów, ale dając jej oś i nazwisko zastrzegłbym, aby nigdy nauką ścisłą nie stała się — pieśnią żywą zostać ona powinna... Zakreśliwszy takie to linie i osie, mogę powiedzieć, że są jeszcze następujące drugiej potęgi osie. I tak, dla Ameryki ujemnemi biegunami będą Murzyni, dla Anglii Irlandya, dla trzech mocarstw Polska, dla Rzeczypospolitej Polskiej — w pewnym okresie jej dziejów — Zaporoska sicz, dla Niemiec emigracye niemieckie do Ame-

Ameryki, dla Francyi własne jej rewolucye; wszędzie mamy *a* i ζ , Ω i *A*. Może kiedyś mąż stanu nie będzie inaczej pomierzał ważności kwestyj społecznych, jak tą tylko moją trzciną, którą wskazuję, ale dziś byłoby to jeszcze niebezpiecznie, bo któż wie, czy tej trzciny moją jeszcze nie oddanoby bursie i czy z tej laski źródłotwórczej nie zrobionoby łokcia kupieckiego? Nie ja przecież pierwszy nazwałem wiek ten materyalnym i ze wszech miar przedajnym!...

Nakreśliwszy bieguny wszystkich cywilizacji głównych — bieguny dodatnie i ujemne — moglibyśmy jeszcze uogólnić te szczegóły, wypowiadając: że cały nareszcie krąg każdej cywilizacji miał u krańców obwodu swego koczowiska, t.j., osoby zbiorowe dziczy wszelakiej, które nazywano olbrzymami, potworami i biczami bożemi, a których to koczowisk ogniska dalekie były jakoby czatami ogni bożych mieczów i biczów bożych, czekającemi, aż głos krzywdy, choćby tylko oddany powietrzu westchnieniem i jękiem, nie zaświeśnie z burzy gwałtownością, aby zagnęła poruszyły się te chmury mieczów, biczów, ogni, i szły, karę za krzywdy niosąc. Tak było zawsze! i silniejsze to są gesta i majestatyczniejsza ich rzecz, *aniżeli dyplomatów formułki**. Tak jawiły się światu

* Kiedy to było publicznie mówione, nikt w Europie nie przewidywał najścia Druzów na Syryę chrześcijańską i rzezi, które

światu Galle, Germany, Hunny, Tatary, rewolucye socyalne: a razem znów biorąc tę masę całą i jednym oka rzutem obejmując ten obraz, będziemy mieli świat pogański na wierzchu i świat katakumb spodem... Polska tylko jedna i Grecya może druga nigdy biczami bożemi nie bywały: Polska mieczem tylko, i to bynajmniej nie rdzawym, miała zaszczyt być razy parę... Lecz gdzież, Polskę tak jak świat mierząc i cywilizacyi jej całej biorąc promień, gdzież więc punkt wyjścia, Syonowi i Kapitolowi, a gdzie punkt dojścia, odpowiadający onym Samaryom, Marsyliom, Ameryce...?

Oto, niestety, punkt dojścia znajdziemy wszędzie, albowiem niema kraju takiego, gdzieby wygnaństwa polskiego już nie było, wszelako najstateczniej miejscem tem jest Syberya. Takim to więc sposobem do założenia głównego lekcyi naszej przeszliśmy i oto jesteśmy u bram, u tła, a poniekąd u samej istoty Anhellego. Że przeto Syberya dla Polski jest punktem zamierzchu cywilizacyi, widzimy w tem przyczynę, która powoduje, iż w poemacie tym są sceny, należące do całego wygnaństwa. Poeta tutaj za tło wybrał najwyraźniejsze tylko

miejsce

z Libanu zawołały na Europę, aby całością solidarną poczuła się. W kilka dni po tej lekcyi wiadomości o tem przyszły, i trzeba było upowszechnić wiedzę o Druzach, co oni są? — bo publiczność nie wiedziała wcale.

miejsce w biegunie ujemnym. Ten przedewszystkiem z żywych i czynnych może być spokojnym, kto od początku do końca widzi obowiązujący wolność jego cały regulamin cywilizacyi w czasie danym, odwróćmy się więc i poszukajmy punktu wyjścia, abyśmy cały przebieg zestroju cywilizacyi polskiej widzieli, a przeto tem łatwiej wrócić do końca mogli. Marco Polo nie wstydził się być naiwności, z jaką szukał źródła wiecznej dla człowieka wiosny sił w pustyniach Azji, i odnalazł te same skrzydła, któremi poleciał Kolumb i któremi jedynie człowiek źródło młodości odkryć może. — Nam idzie tu o to, z kąd byli ci pierwsi ludzie, którzy ziarno cywilizacyi ludzkiej przynieśli, boć cywilizacyi takiej niema, która by jak grzyb wyrastała, wyjąwszy wierzące w ten mineralizm Chiny. — My zaś nie ogników błędnych szukamy, ale mówimy raczej o słońcu prawdy. Tym przeto punktem wyjścia, tem źródłiskiem dla nas jest Rzym. Słońcem rzymskiem są katakumby rzymskie, przemienione w noc Nerona na świeczniki, albowiem on to zatkniętych na słupach, materyami palnemi okręconych i zażegnionych, w kagańce zamienił Chryścian pierwszych i po raz pierwszy. To zaś, nie aby *chrześcian* prześladował, ale aby *Chrystusa* palił, albowiem dlatego jedynie, aby zakryć rozpustę swą przed ludem, i z trwogi. Ztąd to, mówię,

wię, promień chrześcijaństwa popłynął na świat i tutaj też cywilizacyi polskiej źródło jest. Kiedy przeto Słowacki u bieguna zamierzchu cywilizacyi polskiej t. j., chrześcijańskiej w Polsce, z lirą swoją stanął, albo raczej na biegun ów posłany był, wtedy uczyniło się przez nieobjawioną wówczas archistrategię poezyi, że inny poeta na kampanii rzymskiej zatrzymał się, aby nam ocalić przytomność historyczną. A jeżeli wspominam Rzym, mówię tu o ś. p. Zygmuncie Krasińskim, którego gdy chrzczono, Napoleon Wielki dał mu stopień adjutanta króla rzymskiego, a którego więc jakoby odnoszenie się do Rzymu było zarazem legalne i ponad-wiednie patriotyczne; o autorze, jednym słowem, który ponad-przyrodzonych używał środków dla utrzymania historycznego ducha w społeczeństwie bliskiem zgminienia przez niebyt polityczny. Mamże dodać, że, nie mając sejmów i prawie dziennikarstwa, słuszną byłaby rzecz przynajmniej postarać się chociaż o trawienie dobre arcydzieł, które, zbiorowego umysłu będąc zawsze poniekąd ideałem, nie mogą Sejmowej (Zejm-owej) zbiorowej nie mieć ważności... — A jednakże iluż na stu czytelników z głębszą myślą do ręki je biorą? czyliż tylko przez gruntów łany i to sznurem karbowych pomierzać mamy obszar ojczyzny naszej? Wiedzmyż o tem, że epoka polityczna



tyczna Milikowskich, o których przedmowa do pism Ligenzy mówi, skończyła się za Sasa. Aby przeto nie być cywilizacyi manekinem, ani w retorcie przygotowanym homukulusem, trzebać przecie z tej cywilizacyi zdać sobie sprawę i od rana do wieczora plany jej mieć przytomne. — Boć tym tylko sposobem, realności własnej nie mając, trzeźwość obywatelska zyskuje się. Znamy to niby rzeczy cudze, słyszana więc jest postarać się o poznanie i epopei własnej; groby i posągi stawiać umiemy, ale to coś przypomina groby, które prorokom stawiano, a o których Zbawiciel ze zgrozą wspomina.

Anhelli Juliusza jest to świecznik, w mrokach sybirskich pałący się: przeciwny zaś, a odpowiadający mu poemat jest Krasińskiego Wigilia Bożego Narodzenia; dwa poemata, bez których — śmiem powiedzieć rzecz, która się wyda napuszoną i dziwną dlatego, że ją powiem poprostu — bez których, mówię, przewodnictwa nie można być oświeconym patryotą polskim! Tem więcej, że zamiast sejmu mamy koterye, a zamiast dziennikarstwa mamy mechanikę dziennikarstwa *od obcych wziętą* i coś, co we mgłach embryonu jeszcze spoczywa. — Jeden z tych dwóch, tak dalece przeważnych, poematów idzie od Syberyi, gdzie są dzieje serca pojedynczego człowieka, bo tam dzieje narodu kończą się, a drugi
z Rzy-

z Rzymu, gdzie są dzieje narodu, bo tam ogólność właśnie indywiduum chłonie. Otóż może nie należałoby inaczej tych dwóch arcydzieł czytać, jeno razem, jedno obok drugiego kładąc. Pomiędzy Juliuszem Słowackim a Zygmuntem Krasińskim ta odpowiedność rzeczy i to braterstwo były zapowiedziane, a nawet i śmiercią stwierdzone, o czym w ostatniej powiem lekcji. Są to *dwaj wodze* epopei polskiej, na czatach swych stojący — za ich dni, mieliż oni wojsko?

Abym się zaś ograniczyć choć tylko na tem, co w szczupłym zakresie czasu zrobić można, zobaczmy też przynajmniej *wstępy* i *końce* tych dwóch poematów, z których podobało się pieśni przedwiecznej i wiecznej, aby jeden stał u *początku*, drugi czuwał u *końca*, i ażeby człowiekowi i społeczeństwu, to jest, narodowi, uprzytomniały cały promień cywilizacji jego, przywodząc go do uczucia własnego i sprawiedliwego »/a«. Pamiętajmy przytem, że to co innego jest czytać Poetów, co gadają o *lirze*, ale to chyba o tej, którą drukarz wyciska na okładkach ich tomów, gdyby im zaś lira Amfiona z niebios zleciała w ręce, wzięćby jej nie umieli: co gadają i o twórczości, ale gdyby im kazano śpiewać tak, *aby kamienie się składały w mury miasta*, to każdy z nich paleczy w atramentie umoczył... i wasy sobie zrobił.

W poe-

W poemacie Słowackiego, Anelli, idąc z Szamanem przy blasku gwiazd »po śniegiem okrytych stepach, spotyka obóz cały małych dzieciątek i pacholąt, gnanych na Sybir, które odpoczywały przy ogniu. — A we środku gromadki siedział pop na tatarskim koniu, mający u siodła dwa kosze z chlebem. I zaczął owe dzieciątka nauczać podług nowej wiary ruskiej nowego katechizmu i pytał dzieci o rzeczy *niegodne*, a pacholęta odpowiadały mu, przymilając się, *albowiem* miał u siodła kosze z chlebem i *mógł* je nakarmić; a były głodne. Oto zapomniały już płakać po matkach swoich i tu się wdzięczą do chleba jak małe szczeniątka, szcękając rzeczy złe i które są przeciwko wierze — powiadając, że Car jest głową wiary, i że w nim jest Bóg, i że nic nie może rozkazać przeciwko duchowi świętemu, *nakazując nawet rzeczy podobne żbrodniom, albowiem w nim jest duch Święty*«. Pomijam rzecz, której byłoby wielkim wstydem nie znać, to jest: iż wszystkie ludy do Olimpów swoich zawsze podobne! że przeto dogmat Popów uczy, iż *Duch Święty* od samego tylko Ojca z góry i »*był po siemu*« pochodzi, *katolicka* zaś forma *chrześcijańskiego* dogmatu określa, iż Duch Święty, *zarówno* od Ojca i od Syna, od *Boskości* i *człowieczności* najświętszej płynąc, *wolności jest przeto* zakładem. Widzimy przeto tutaj, w obrazie po-

wyszłym

wyższym, zapomnienie miłości i wiary, a jednakże anielską przytem niewinność. — Potwór to nieznany starożytnemu światu. Koniec złego zarazem i koniec dobra, koniec wszystkiego: *niewinność równa rozpuciu!* »zresztą cisza«, jak mówi Shakespeare. — Teraz spojrzmy w odwrotny biegun.

U Krasińskiego, w wigilię Bożego Narodzenia poeta błądzi po polach kampanii rzymskiej, spalonych słońcem, »przy niebie czystem jak zawsze«, i nie napotyka tego, co pierwszy, ale widzi, że »daleko na wodach *stoi* plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku *niemu*. — Wielki to i posępny okręt, bez płócien i masztów, a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność« — (okręt ten jest to arkan cywilizacji całej, w której żyjemy: wozy i okręty parowe, mechanicznie wiążące i popędzające ludy). Dalej Krasiński mówi: »Stały tam postacie w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących, usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most, od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach wiją się te postaci i dążą ku mnie. A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: »kędy droga do Rzymu?...« — Jam odparł: »niema tu drogi, tu pustynia«. A oni odrzekli: »prowadź nas zatem«. —

A kie-

A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: »Myśmy ostatki szlachty polskiej* — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z nieba zesłan — a on nas tu posłał, długośmy płynęli — wielkie tam były wichry i słoty na morzu, lecz dopełni się woła pańska, jeśli dziś o północy staniam w Bazylice Piotra«. — To było pisane lat temu dwadzieścia, a nie wczoraj, po przeczytaniu gazet z Rzymu. — Około tegoż samego czasu pisane było arcydzieło Juliusza.

Spojrzmy teraz na *końce* tych dwóch biegunów i tych poematów, tak niesłychanie ważnych dla trzeźwości Rzeczy Ojczystej (Rzeczypospolitej).

»Anhelli był umarły!... Eloie siedziała nad ciałem zmarłego, z gwiazdą melancholiczną na rozpuszczonych włosach. — I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem. — Śnieg szedł przed niemi, przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią. — A w ręku rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniście litery paliły się. — I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem: tu był żołnierz**, niech

* Na wiele lat przed przyjęciem *welonu żałobnego* w r. 1861.

** »Żołnierz«, nie rycerz...!

niech wstanie! — Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza, tam, gdzie się rozweseli w ogniu. Oto zmartwychwstają narody! — oto z trupów są bruki miast! oto lud przeważa! — Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej. — Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte. — Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła. — Kto ma duszę, niech wstanie! niech żyje! bo jest czas żywota dla ludzi silnych. — Tak mówił rycerz, a Eloë, powstawszy z nad trupa, rzekła: Rycerzu, nie budź go, bo śpi. — On był przeznaczony na ofiarę, nawet na ofiarę serca. Rycerzu, leć dalej, nie budź go. — Jam jest w części odpowiedzialna, że *serce jego* nie było tak czyste, jak dyamentowe źródło, i tak wonne, jak lilie wiosenne, znaczy: ja jestem kobietą i zawiązaniem człowieka w społeczność, gdybym mu przeczystości serca *nie zaćmiła*, tedy byłoby to dyamentowe źródło, pierwotny kryształ mineralny, i byłaby to woń wegetalna lilii, ale nie byłoby to *słowo stworzenia ciałem człowieka*. — Eloë chwali się tu przed rycerzem z chrześcijańskości swych spraw, — rycerz zaś szuka *sołdatów* na dzień fatalny bicia Bożego, — zrozumcież! — »To ciało do mnie

do mnie należy i to *serce* mojem było. Rycerzu, koń twój tętni, leć dalej! — I poleciał ów rycerz ognisty z szumem, jakoby burzy wielkiej; a Eloë usiadła nad ciałem martwego. — I uradowała się, że *serce jego* nie obudziło się na głos rycerza i że już spoczywał.

Anhelli jest personifikacją serca ludzkiego wobec tragedii historii: gdzie serce już wytrzymać nie może i kończy, tam sąd się zaczyna, bo ulegalizowana jest bezserdeczność. Czas jest, ażeby Anhelli obudził się, ale, skoro obudzi się *bez serca*, czyliż tak wypełni misję swoją, jak ludzkość chce, a jednakże on jest sercem cywilizacji — Eloë »uradowała się«, że serce człowieka nie nadużyte: jest to prawdziwa kobieta chrześcijańska!...

Kraśiński mówi już o sercu narodu w obliczu dogmatycznej całego chrześcijaństwa sprawy. Okręt parowy, to jest, cywilizacja, nadewszystko przez sam interes mechaniczny zbliżająca ludy, przywodzi do Rzymu resztki szlachty polskiej, której nie sama machina parowa, ale anioł żałobny iść kazał. Narody wszystkie idą ze swemi chorągwiami do grobu Piotra. Ciało i krew, jako budowa zewnętrzna, miota się i transfiguruje, sklepienie upadkiem grozi, a narody, aby sklepienie owo nie przygniotło chorągwi ich, ruszają z miejsca. »I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać«. Polacy zostają jedni i zbliżają się ku wiel-

ku wielkiemu ołtarzowi, »a cztery kręcone filary ołtarza pękły, jak ścięte drzewa runęły — i baldachim śpiżowy runął — i kopuła cała, jak zstępujący świat, biała spadała na ziemię. I wszystkie portyki, i pałac Watykanu, i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny, jak dwa gołębie, przypadły do ziemi, konając, a lud uciekał coraz dalej, jak morze wyparte z brzegów...« Kardynał wstąpił na ten olbrzymi kopiec, »szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną... — Zbliżyłem się do niego — mówi poeta — i rzekłem właśnie w chwili, gdy wschodziło słońce: Panie, czy prawda, że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś niema? A on z dziwnym uśmiechem odrzekł mi: Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi, bo odtąd już na wieki wieków jest i będzie na ziemi. — A ja, to słysząc, zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: — Panie, a ci, których przywiodłem wczoraj, czy na zawsze już leżą pod temi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca? A ów biały święty odrzekł mi: Nie trwóż się o nich. Za to, że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli tak jak żywi, są z Pana, owszem, im lepiej będzie i synom synów ich. A gdym zrozumiał (powtarzam,

»zrozu-

»zrozumiał«), ucieszyłem się i duch mój się przebudził — (powtarzam, »przebudził«).

Nie potrzebuję dodawać, że dzień, w którymby narodowość chrześcijańska jakakolwiekbaż powiedziała, że Kościół chrześcijański do niej tylko »od wieków i na wieki« należy, byłby dniem, w którym narodowość ta stałaby się przez toż samo żydowską, nie chrześcijańską. Jak również, mamże tu dodawać, że gdyby od rozwoju dziejów ojczyzny odjąć to, iż byli pierwsi *obcy ludzie* i nie rodacy, co przynieśli słowo Ewangelii, i odjąć następnie kodeks rzymski, a za nim gramatykę, na której się język budował, pozostałyby pieśni dzikie ludu, panowanie ras — przywilej mocy dominacyjnych — fatalność zamiast Boga, który jest miłość — i uważanie siebie za centrum ziemi, jak to Chińczycy utrzymują. Nie parowym też mechanizmem wyźródliły się narodowości, a ztąd i pełnoletność synów w obliczu matki starej nie rachunkiem taryfy, ale żywą dramą się odbywa — *najemnicy i niewolnicy* tylko kwitują się — taki będzie też i sąd transfiguracyjny *na obie strony*, tak dla ludów, jak i dla Kościoła.

Ponieważ Anelli i Wigilia Bożego Narodzenia pisane były lat temu 20, kiedy rozgadanej dziś, a niezgłębionej kwestyi rzymskiej nikt nie dotknął, i z wygnańców także sybiryjskich (których wygnańcami w ojczy-

w ojczyźnie znów oglądamy) nikt nie wracał; muszę więc tu słów parę o profetyzmie poetów powiedzieć. Nie godzi się, powtarzam raz jeszcze, czytać utwory narodu nieszczęśliwego temi tylko oczyma, któremi się utwory poetów tryumfujących czytają, owszem, powiem to, jakbym na sejmie mówił, że jest występkiem przeciwko Rzeczypospolitej nie znać epopei własnej, takich przynajmniej, mówię, buletynów ducha, jak Anhellu i Wigilia Bożego Narodzenia, lekce czytać nie godzi się. Ktokolwiek raczył zapamiętać rys posiedzenia pierwszego, wie, że tam była zakreślona różnica między dwoma pielgrzymkami poetów starożytnych i późniejszych, takąż sama też jest różnica proroków właściwych, izraelskich — proroków greckich, jak Epimenides, którego Paweł apostoł *Prorokiem* zowie, a nas, poetów nowożytnych, tamci bowiem mogli *najwyraźniejsze rzeczy w szczególności mówić, bo szli do osobistości pojedynczej*; ci zaś tylko mogą ogólne i jakoby fenomenologiczne dawać proroctwa, bo do *ogólności chrześcijańskiej*, bo do zbiorowości idą. Jeżeliby więc kto wyraźnej — nie osoby, ale osobistości Anhellego na Syberyi szukał, widocznieby się omylił, i gdyby kto Polaków, pod kopułą Piotra, z czapką czerwoną i z kordami w prawicach szukał — zaiste, że w tej samej mierze błędu byłby. — Wyraz *kord*, z greckiego naprzód,

a po-

a potem z łaciny idąc, znaczy *cor*, serce, a wyraz *pałasz*, od słowa *pałać* idzie...

Pokazawszy gdzie stoi? jaką ma ważność, jak jest zbudowany i jak się czyta? poemat Anhellu, przeprowadziwszy myśl jego przez wszystkie stacye mąk dziejowych, pozostaje nam jeszcze po szczególe osoby, albo raczej fenomenologiczne typy, w tym poemacie rozebrać i wiarogodnie z nich zdać sprawę, tem bardziej, że sam Słowacki o każdej z nich własne noty zostawił. Skreśliwszy więc tło ogólne i ważność tego tła, okazawszy i wytłómaczywszy każdą osobę, nic już więcej do powiedzenia nie zostanie, wszystko tylko zostanie do czytania. Każdemu zaś z temi wiadomościami czytać będzie możebnem ten poemat; czytać nawet lepiej ode mnie — i to mi jest najdroższe, że lepiej. W Szekspira dziełach znajdują dziś myśli, których on za dni swoich literalnie nie poczuwał. Czyta się poetów, że tak powiem, w coraz głębszych głębiach — tak, że czytanie każdego dzieła jest nieskończone, aż przyjdzie dzień, w którym wszystkie konsekwencye jego aż do dna wyczerpią się, a wtedy gama wtóra treści powstaje. — I tak: o Anhellu, jako osobie głównej, powiada Słowacki przez usta Eloë, że jest to serce przeznaczone na ofiarę, to jest, które odmierza sprawiedliwość cywilizacyi, tak, jak w poemacie Zygmunta występuje serce narodu w obli-

czu nie

czu nieinnej ostateczności historycznej. O Szamanie poeta powiada raz, że to czarownik, drugi raz, że sybirskiego ludu Mojżesz; jest w nim jedno i drugie, Mojżesz sam poczynął sobie i z wolą Pańską czarodziejско wobec mądrości magów egipskich, a idąc z misją Pańską do ludu, pod czarem będącego, skoro mądrość czaru tego pobił, żądał wtedy, twarz w twarz królowi patrząc, jak męczennik, aby lud celowi prawdziwemu oddany był. Dobrze następstwa te misji tego *największego* męża pojmiemy. Mojżesz, będąc poprzednikiem Zbawiciela i człowiekiem, nie mógł legalniej tej sprawy rozpocząć — jest to broń najdzielniejsza. O'Connell tak samo poczynął sobie w Anglii, i jeżeli sztuk czarodziejskich nie robił, bo nie miał do czynienia z magami onej potęgi, to retoryka jego, którą z ciemnycami walczył, jest ową magią, niczem innem, a nawet powiem, że w budowaniu form swoich nie wyszła zina. O'Connellowi tylko nie *było dano* dramy swojej dokończyć, co znaczy, że ma ona na szerszy horyzont wzrość. Takie jest wytłomaczenie Szamana. Na tem zaś tle krańcowem obowiązuje ta laska Mojżeszowa i ten miecz, o którym mówimy: powiedziałbym, dlaczego u Anhellego *Szaman* istni w sobie Mojżesza, gdzie koniec toku dziejów — i dlaczego *Kardynał* u Zygmunta, w prorocztwie jego, współcześnie istni w sobie Ja-

bie *Jana Ś.*, przyjaciela Zbawicielowego, — ale to są ciemne rzeczy i nie mamy czasu na wszystko! Walenrodyzm jest to romantyczna powiastka i niezupełna jeszcze pochew miecza tego. Mickiewicz miał prawo mówić: Walenrodyzm, ja mówię Winkelrydyzm. — O trzeciej postaci, o *Eloe*, także sam poeta mówi, z kąd się poczęła i co znaczy? a my, ponieważ od początku kursu nie chcieliśmy nic od siebie narzucać, i teraz też na słowach autora najwierniej opierać się będziemy. »Urodziła się ze łzy Chrystusowej na Golgocie, z tej łzy, która była wylana nad narodami«. — Tak mówi Juliusz, a my tłomaczyliśmy w rzeczy rozejścia się poetów od ołtarza: że słowo *ojczyzna* rodzi się właściwie i stanowczo z chrześcijańskiej potęgi; — poeta dodaje, »że Eloë zgrzeszyła, ulitowawszy się nad męką ciemnych Cherubinów, i umiłowała jednego z nich, i poleciała za nim w ciemność« — a myśmy mówili o Byronie i o *licencyach* nawet *Epopiei*, i rozświecaliśmy całe pole narodowości, niestety, krańcami obszaru swego graniczyć mogące z nieuniknionym a względnym fałszem. Zło albowiem, przez litość wielką popełnione na politycznym polu, jest to uwzględniona owocami swemi i ofiarą indywidualności licencya *poetyczna*, która, jakkolwiek na widnokrąg historii nowonarodzoną i bez oczyszczenia wprowadza postać, grzechem jest przecież Epopei, ależ grze-

ależ grzechem *ciała zbiorowego*, które nie może być odrazu doskonałem. Wiele jest w Anhellim scen, na tej przedewszystkiem opartych myśli; wychodzi tam i ksiądz, który do miecza porwał się i dosiadł konia, wołając: za ojczyznę! i biskup, który przeto, księdza tego święty bunt sądząc, nie może wszakże zdjąć zeń kapłaństwa — pastorał z rąk mu wypada przed klątwą z ust mającą wyjść — i inni... O osobie nawet, lubo podrzędnej, Ellenai, powiada Juliusz, że była zbrodniarką na Syberyę zesłaną, a jednak koniec jej życia wieńczy pociesającym i poezią wonnym cudem, jakby zerwany koniec srebrnego pasma, przetykanego kwiatami z życia jakiej średniowiecznej świętej. Sceny zaś tej zbrodni, która jest świętą, występku, który jest obowiązkiem: *sceny konieczności* są właśnie że genialnym obrazem kończyn. Tam zbrodniarka jest już przez niebo kanonizowana, tam kościół wojujący przez kościół tryumfujący wyręczan bywa i zastępowan. Zły ksiądz jest dobrym, niewinność jest zbrodnią — tam wszystko się przesila — śmierć jest życiem, bo tam jest już polarny zamierzchu cywilizacji narodowej! — Dla tych to samych przyczyn powtarza się i w przedśmiertelnej scenie Anhellego legenda o Aniołach do Piasta posłanych, tak, jak w łunie zachodu są też blaski do wschodu podobne, i tak, jak ostatni władzca Rzymu nazywa się

Romu-

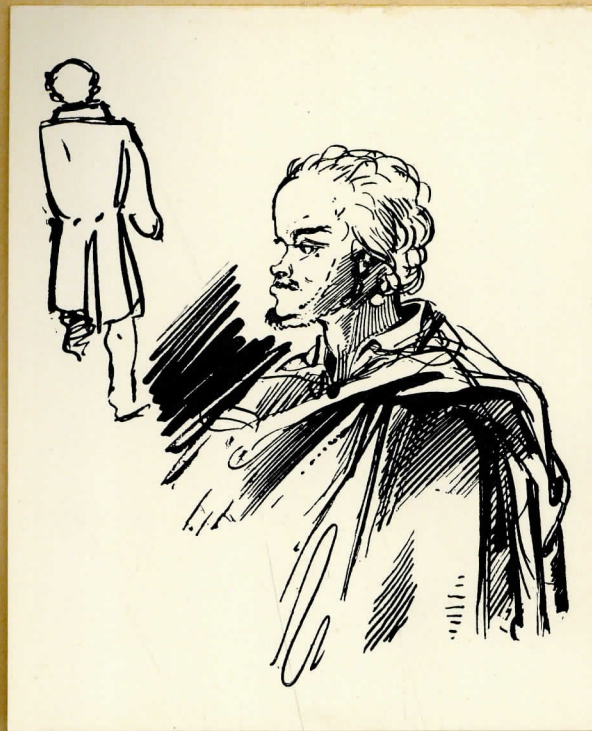
Romulus Augustulus, bo pierwszy Romulusem był. Widzimy więc, bez naciągania, że zadaniem poety było po szczególe uprzytomnić narodowi biegun zamierzchu cywilizacji jego. Jest w Anhellim jeszcze jedna scena, nie sybirską wcale, albowiem wchodzą do niej trzy partye polityczne, krzyżujące trzech bladych ludzi w czerwoności zorzy polarnej. Ukrzyżowanie to objaśnień żadnych nie potrzebuje, bo ukrzyżowań takich (bez żadnych metafor) było i będzie niezmiernie wiele, *niezmiernie wiele* na wszelkich polarnych zamierzchu punktach! Wszędzie, gdzie jednostronności tak się rozepną łokciami rubasznymi, że aż tło, na którym rysują się postacie, popęka, to chociażby na płótnie tła owego wymalowane były osioł, żaba i kozioł, zawszeć będzie za takim płótnem krzyż drewniany i tablicę obrazu utwierdzający, który z za porozdzieranych nici wyjrzy.

Otóż całe sprawozdanie moje o Anhellim, ale nie moja rzecz jest mówić tak, jak się mówi z katedr literackich, albowiem pytanie jest, czyli godzi się przyczystą łzę narodu podnosić na widok na to, i na to tylko, aby ją mierzono i ważono? Katedry nie są dzisiaj w celu, aby *testamenta pieśni ojczystej narodu otwierać*, ale raczej ku temu, aby nauczać gramatyki i, że tak powiem, samej kaligrafii sztuki.

Błędne jest też mniemanie (jeżeli je wiernie w pamięci

mięci zatrzymałem), objawione przez Doktora filozofii Klaczkę, że w literaturze naszej niema dzieł dopełnionych i pogodnych; dziełami takimi są: Anhelli, W Szwajcaryi, Grażyna, Irydyon, którym, jako pogoda twórczości, jako całość toku i rytmu i języka skończoność, równe są tylko, a wyższych niema nigdzie. — Dziwić się tylko raczej trzeba, że są tak pogodnemi! Utrzymuje Doktor filozofii Klaczkę, iż właśnie że zaletą poezji polskiej jest to łamanie się i rwanie, które w *Dziadach* np. spotykamy, gdy nam zdaje się, że tego zbyt upiększać i poetyzować sobie nie trzeba, bo to nie poeta, ale społeczeństwo temu winno.

Na zakończenie rysu tego, w dowód wysokiej Anhellego wartości, oświadczamy, że ś. p. Zygmunt Krasiński, dowiedziawszy się przez list mój o zgonie Juliusza Słowackiego, pisał mi z Heidelbergu: »dowiedz się, czy nie zostawił wiadomości co do nagrobka, jeżeli nie, to połóżcie mu napis »*Autorowi Anhellego*«, a ten jeden wystarczy dla zapewnienia mu sławy na pokolenia przyszłe«, lubo bezpośrednio współczesne to zdanie o Anhellim niemniej przynosi objawiającemu je zaszczytu.



LEKCJA V.



amy przed sobą dwa poemata »Beniowski« i »Król Duch«, obydwa są niedokończone, stanowią one jednak moment najdzielniejszy w piórze Juliusza Słowackiego.

Historia cywilizacyi jest tak młoda, że pełnoletności swej nie dorosła, oczekuje albowiem na papiery legitymacyjne z mumij egipskich i z azyackich pomników, a których pismo i słowa ledwo że sylabizować dotąd umieją: ale, zdaniem mojem, czego jest brak najwięcej, to *pamięci serca!* Dobrze to bowiem czytać postęp idei porozstawianych jako równania algebracyjne, jedna po drugiej, ale czy kto pomyśli, ile boleści, ile rozdarć każde narodzenie się myśli potrzebowało? Dopatrzoneo nareszcie, że we wszystkich semickich hieroglifach opuszczone są samogłoski, co już jest wielką zdobyczą, a kiedyż to dopatrzą, ile jest w historyi opuszczonych łąz, łkań, rozdarć i tortur,

i tortur, które są powszednimi towarzyszami narodzenia się i wydojrzenia każdej prawdy. Jako więc Królowa Jadwiga, kiedy dano jej wiedzieć o zapłaconej krzywdzie, pytała — *a kto łzy zapłacił?* — tak pyta się dziś dusza Chrześcianina, czytając historię tryumfalną. Wdzięczny przeto jestem poecie, który stara się uwieczniać nietylko pobożowiska, ale i jęki z boleści i wrzawę i cierpienia walki dokonywanej, bo są one dla dziejów właśnie że tem, czem owe wyrzucane samogłoski z pomników semickich. I gdyby się dziś mogło rozejść to brzmienie wykrzyknika *Ach!* jakie szło przez wszystkie wieki i narody, byłoby to tysiąckroć lepiej od wielu ksiąg wyjaśniło dziejów tajniki.

Wielkiej zaiste odwagi trzeba, by uwiadamić i uwieczniać współczesne i potoczne momenta. Słowacki miał tę wielką i największą odwagę, i on jeden podobno że miał ją czasu swego. W Beniowskim na każdej karcie czuć się daje powietrze jakieś, nie miejsca ale czasu, kiedy otwierać ust nie można, a milczyć się nie godzi, i można tylko sykać z bólu i być przeto uważanym za sykającego węża, chociaż się jest syczącym z bólu niewolnikiem. Pod tytułem tego Juliuszowego utworu czytelnicy w myśli podpisali wyraz *»powieść«*, tak, jak na murze owym, gdzie, dla wymagań policyjnych, pod rzeźbionym *ortem* —
podpi-

podpisano *»paw'«*. Ta też książka rymów *o różnych wielkich boleściach*, nazwana Beniowskim, za poetyczny a urwany romans uchodzi! Treść jej ścisła, nagą określona prozą, ukróciłaby poecie czas pracy, ale dla społeczeństwa ojczystego zmarnotrawiłaby go może napróżno. U inkwizytorów weneckich były stoły, z otworem okrągłym w środku, a otwór ten nakryty był hełmem: wokoło stołu urzędnicy spisywali, co wyglądająca głowa z hełmu mówiła, gdy ciało tak posadzonego winowajcy pod stołem poddawano torturom. Mało też sensu było w tem mówieniu, ale słowem i ideą łączącą porwane wyrazy był *gwałt*, a zaś echem gwałtu, odpowiadające mu z łona sprawiedliwości przekleństwo! Tak rymy Beniowskiego, związku i toku na pozór niemające, nie miałbym do niczego innego przyrównać.

Przekleństwo albowiem jest nierozłączne z każdą pogwałconą prawdą, każda prawda narodzona krzywo i ironicznie dlatego tylko, że jej nie dano narodzić się inaczej, sądzi przez to samo społeczeństwem, i jest to najsilniejszym siebie samego przekleństwem. Zniepokój tak słowo prawdy, aby nie mogło w spoczynku i pogodzie dojrzeć, a ludzie się niem strują o tyle, ile zniepokoił je... Przemilczenie nawet samo potępia: sułtan pewien dlatego tylko z lekkiej choroby umarł, iż nie wolno było domyślać się

ślać się i mniemać, jakoby chorować mógł słońca pokrewny — milczenie rzuciło na niego klątwę — i umarł!

Na posiedzeniu drugim odłożyliśmy na później rzecz o przekleństwach, dodam więc tutaj, kiedy miejsce po temu, że przekleństwo jest przeciwbłogosławieństwem, które w formie modlitwy się wyraża. Powie mi kto: »jakż może modlitwa mieć związek z przekleństwem?«, a ja mu odpowiem: czyż ten, który przeciwko samemu sobie nie modlił się — modlił się kiedykolwiek? zaiste nie. Jeżeli więc modlimy się przeciwko sobie samym — tedy przeklinamy się. Każde bowiem dążenie do doskonałości jest przez to samo jakoby przekleństwem samych siebie w niedoskonałych popędach naszych. Poema Beniowski tak dalece pełne jest przekleństw, iż treścią jego jest to właśnie, co jest podrzędnem; forma tak ironiczna, że nawiasy są celem. Jest to jakoby rozmowa z próżnymi, formalnymi i zewnętrznymi ludźmi, do których, po gawędce potocznej o pogodzie i o wielu innych rzeczach, mówimy nawiasem: »a czy nie pogadalibyśmy teraz trochę o prawdzie lub o łzach, które poród prawdy wyciska?...«

Po wytlómaczeniu zaś, do ila Anelli jest poematem u bieguna zamierzczy cywilizacji stojącym, rozumiemy już wierność tego, że sybirski bohater daje

daje znowu nazwisko swoje zbiorowi rymów, ostateczności socyalne mających za przedmiot. Anelli jest Beniowskim po olimpijsku, po wiecznemu, i odwrotnie Beniowski jest Anellim po *dzisiejszemu*.

Przechodzimy następnie do drugiej części, to jest, do najciemniejszego poematu »*Król Duch*« i dlatego słów kilka o ciemności wyrzec musimy. Od osobistości autorskiej Adama Mickiewicza nie można odjąć pierwszej części Dziadów, utworu, który poetę stanowczo przed światem ukazał, tak, jak od pierwszego wydania poezyj Mickiewicza nie można nie mniej odjąć listu jego do krytyków i recenzentów. Bohaterem Dziadów jest głęboko czujący człowiek, miany za obłąkanego przez ludzi małych, dla których wszystko to, co przechodzi ich szkiełko kieszonkowe, istotnem przeto samo nie jest. Tak wystąpił Mickiewicz, którego utworów część spora i dzisiaj jeszcze nie jest jasna, a był sławny i jest sławny. Zygmunta Krasińskiego prawie połowa pism niezrozumiałą pozostaje, a był sławny i jest sławny. Dla Danta stworzono osobny wyraz »*dantesco*«, co znaczy: zawile, ciemno i niezrozumiale, a był sławny i jest sławny; o Szekspirze też samo... Jakże więc może być, aby krytycy, ci tak logiczni ludzie, sławili to, co za niezrozumiale ogłosili? — nie chcę na to bynajmniej odpowiadać, niech się tłómaczą ci, co sądzą,

sądzą, a nie ci, którzy *objaśniają*; co do mnie, dam tylko, że niema pisma peryodycznego polskiego, w któremby nie było świadectwa dla mnie, że wyłączone mam o ciemności stylu pojęcie. To zaś, tak jak i tamto, nie dziwi mnie, jedno i drugie jest nie-logiczne i właśnie dlatego jest mi jasne. Nie mogę ja albowiem utrzymywać, że prawda jest teorią samą, gdyż nie wiedziałbym, czem się sprawdza, gdyby, mówię, praktycznej i sprawdzającej ją strony nie miała. Prawda obejmuje życie, jest więc niejasna, bo obejmuje rzecz ciemną; gdybym odjął prawdzie życie, odjąłbym jej to, co ją sprawdza, ale byłaby jasnym fałszem. Winszuję zaś tym, co życie jasno widzą, dla mnie jest ono sprawą pełną stron dramatycznych a nie automatycznych, a więc i zawitych, skoro zaś musiałbym od prawdy oddzielić życie, musiałbym zaraz podejrzewać, że ona jest fałszem, i dopuszczając tylko, że do niej wchodzi życie, — dopuszczam, że jest prawdą. Ja myślę, że to jaśniejsze jest od zarzutów, jakie krytycy robią.

Wstęp ten nie jest od rzeczy, i niepodobna zamilczyć, co jasnością, a co ciemnością zowią, skoro się ma o najciemniejszych z utworów mówić. Zwierciadło płaskie i oko suche, a nie strudzone czuwaniem, jasne są i jasno odbijają przedmioty, ale co innego bywa z oczyma, które zalewały łzy: woda także

także rozlana na talerzu jasną ma powierzchnię i wyraźnie ciasny świat odzwierciadla, ale co innego jest z *Okiem Morskiem w Tatrach*, w którego głębiach burze huczą, rozpamiętywając znany im zbliiska potop świata. Sama nawet igła magnesowa stale i niezmiennie do jednego punktu nie zmierza, ale dewiuje na mil wiele... Nauki też, tak zwane ścisłe, *sciences exactes*, zyskują jasność swych teoryj przez to właśnie, że mają za cel tylko *połowę prawdy*, i dlatego powiedziałbym raczej, że w obliczu prawdy są *inexactes*. Wprawdzie dziesięcioro Bożych przykazań, jakkolwiek życie ma na celu, jest jasne i logiczne, ale to pochodzi z tej przyczyny, że w nich nakazano tylko to, czego *nie trzeba robić*, a zatem są one połowiczne. Dzikim ludziom powiedzmy *np.* »nie kradnij«, to pojmą jasno, ale nauczmy-no ich *np.* »przebaczać nieprzyjaciołom«, to zaraz — z powodu, że myśl ta objęła już całą prawdę — będzie ona dla nich niejasną, i poraz pierwszy ci dzicy spostrzegą, że trzeba prawdę nie tylko *usłyszeć*, ale *usłuchać*. I oto będziesz im niejasnym, i oburzą się, i postawią ci może jeden z krzyżów owych, któremi przez XIX wieków na planecie kreśliła światłość pochod swój... Kżden przyjmuje prawdę teoretyczną, ale nie jeden odepchnie ją, skoro się pokaże, że ona nie tylko logiczna jest, ale i współpracy wymagająca — a więc, jeżeli

jeżeli wołamy o jasność, czyż nie wołamy czasem o nasz spokój, o naszą bezwładną wolność — o inercję. Słowacki powiada w jednym z listów swoich, »że za Sasa — jeżeli na sejmie lub sejmiku człowiek który o wyższem pojęciu ducha narodowego przemawiał — to z kąta gdzieś najciemniejszej sejmowej ławki wydobywał się zaraz Głos wołający: jeżeli co masz — w trzech słowach jasno nam wytłómacz, a nie czmuć oczu«. Umysły takie są zaiste więcej jak ubóstwione same w sobie i przez siebie — cóż podobniejszego Tytanowi?... Wszechmocny poddał bowiem samą wszechmocność prawom świata, jeżeli sześć dni pracował, a siódmego od pracy odpoczął, gdy tymczasem ludzie owi, podobni do azyackich władców, żadnego wyższego prawa nad osobiste bezprawie uznać nie chcą i nie sięgają nigdy wzrokiem duszy poza ciasny widnokrąg arbitralnej swej jaźni: głos ich: »Ja jestem harmonią i sądem wieków — Ja jestem środkiem i celem«, głos od Azyi wołający: »Ja i Hurrah!« Czy poznajecie jego tony i zkład płyń? — równał się on Bogu i pienił się, a potem trawę gryzł, jak zwierzę ciche w obłąkaniu swoim. Nazywał się on Nemrod i Semiramis i Neboh-odno-car, — aż w Judei puszczach głos ów »Ja jestem...« napotkał głos inny, który kazał owszem: »Ja jestem niczem, jam głos tylko wołającego na puszczy«, a potem wraz

onemu

onemu *Ja* odrzekło *nie Ja* w osobie Zbawiciela. Ale chciał on jeszcze spróbować, czyli »*nie Ja*« prawdziwe jest, i poznał, ale to było już przy pękaniu się skał, było przy ciemności słońca jako włosianej tkaniny ciemność, było za późno. Więc rzucił włócznie swoją, przebódl i przez szramę rany zobaczył dopiero twarz w twarz — to »*Nie Ja*« i zadrżał... Czy mam teraz objaśniać i poemat »*Król Duch*«, który właśnie że dopiero co wytłómaczyłem, czy też mam zejść w szczegóły i powiedzieć, że w utworze tym bohaterem jest »*Ja*«.

A naprzód, w utworze tym, »*Ja*« jest to Her Armeńczyk, trzeba było albowiem wziąć powieść grecką o przechodzeniu dusz, dlatego, iż cały pas wieków budowa poematu obejmuje — tem więcej, iż w przedchrześcijańskiej karcie Grecya republikanizmem swoim onemu azyackiemu *Ja*, przez samo jej demokratyczne *my*, technicznie zaprzeczała była. W poemacie zaś *Król Duch*, napotyka się na drugim pasie dziejów Iwana Groźnego (ostateczne jakoby tegoż azyackiego *Ja* wcielenie), a który, dopiero gdy żerdź oparł żelazną na nodze sługi Kurbskiego, słuchać mógł o tyle prawd czytanych, o ile w ciele zwiastuna onych ranę uwiercił — krwi utoczył i ducha zmacał. Najjaśniejszej Rzeczypospolitej tarcza, pod królem Batorym, staje tu mocą Bożą, jak Judea. Książę Andrzej Kurbski biblijnym nawet stylem w liście swo-

ście swoim odzywa się, mówiąc do Cara: »za co pomordowałeś silnych w Izraelu?« Król Stefan, niemniej dziwnym na pozór sposobem, chce *osobiście w pojedynku* z tem »Ja« się spróbować: wiedział król zaiście, co robił, jeżeli sam wyraźnie pisał: »*gdzież ty jesteś, panie Boże rosyjski — wystąp przede mną*«, ale pojedynek ów mistycznie-heroiczny dopiero bosa i rozdarta noga na Golgocie kończy, mówiąc: »*Nie Ja*«, i zwycięża przy komety blasku. Przypomina mi to ustęp pieśni, który znalazłem był u Benedyktynów na Święto-Krzyskiej Górze, kiedy podróżowałem po Polsce:

»Tak kościół trzyma, że gdy Pan umierał,
Na *północ* głowę skłoniwszy spozierał,
— Gdyż w oliwnym
Gaju dziwnym
Wszcząwszy mękę,
Sklaniał rękę
Ku *północnym* ludziom.«

Oto więc najciemniejszy poemat, skoro go się będzie czytać, ze strony życiowej nań patrząc i ze stanowiska chrześcijańskiej cywilizacji go uważając, — zrozumiałym się wyda.

Zygmunt Krasiński był w Rzymie w czasie tym, kiedy wyszedł »Król Duch«, ale zachwycony był pięknością samego języka i mawiał mi nieraz, że uważa

go za

go za piękniejszy, co do formy, nawet od przekładu Jerozolimy Wyzwolonej Piotra Kochanowskiego, acz winienem przecie i to dodać, że kardynał Mezzofanti, mówiąc raz ze mną, wyraził się był, »iż Tassa w oryginale nie czytuje, bo milej mu jest czytać tłumaczenie polskie Piotra Kochanowskiego!« Mimo to Krasiński Króla Ducha nie pojmował i wyrozumieć ogółu jego nie mógł. Ktokolwiek też życzy sobie czytać poemat ten tak jasno, jak się czytają dzienniki, — ten celu swego nie otrzyma. Ciemna to zaiście i burzliwa historia azyackiego »Ja« w dziejach, a koniec tej mono-epepei naznaczony zwycięstwem tego »Ja« nad sobą samym:

»Śpijże, mój kształcie pierwszy... z ducha zdjęty...
Świecący w dali jak księżyc na nowiu;
Upiorny, za krew wylaną przeklęty...
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Kłątwa na Ciebie! jak na dyamenty,
Na bazaltowe kolumny, w pustkowiu
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemności, w chmury i w piorun ubrane...«

Cały ten tok energii historycznej, rozbijając się o koniec własnej osobistości, wypowiada:

»Lecz *ja* na tobie nogę postawiłem
I *dalej* szedłem; a *jużem* był Boży. —
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,

Gdy du-

Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem,
 Duch — ukazany w pierwszej świata zorzy...
 Któremu Pan Bóg swych zasłon uchyla,
 A lat tysiące są jak jedna chwila.»

Od Armenii, gdzie wedle podań Arka zatrzymała się, przechodząc przez Iberję, Kaukaz, Scytyę, Roxolanię, Markomanię, Kimbryę, aż do Kaledonii, napotyka poeta różne ludów przedświty, napotyka je tam i sam bezładnie. W dwóch wierszach maluje dwieście lat, w jednej łunie sto pożarów, a w zamachu jednym i jednym miecza poświęście rzezie całe; każdy też czytelnik, obznajmiony z historyozofią mytów, zrozumie, że, gdyby w toku epopei, mającej za bohatera »Ja«, było więcej ładu, — epopeja ta byłaby raczej systematem filozofii dziejów. Albo tu zamęt jest konieczny, albo pomysł całego poematu niewłaściwy. Myśl wszelako ogólna mono-epopei wyraźnie i bez właściwego jej omroku czytelną jest w ostatnim momencie, to jest, kiedy przesilenie osobistości w owem »Ja« dotyka praw Bożych i przechodzić się zdaje wszelką miarę, a jest jednak *spowiedzią* tylko:

»I któżby to śmiał w księgi ludzkie włożyć
 Dla sławy marnej, a nie dla *spowiedzi*? —
 Postanowiłem niebiosą zatrwożyć,
 Uderzyć w Niebo, tak, jak w tarczę z miedzi,
 Zbrodniami przedrzeć błękit, i otworzyć,
 I kolumnami praw, na których siedzi

Anioł

Anioł żywota, zatrząść tak z posady,
 Aż się pokaże Bóg w niebiosach *blady*...»

Co znaczy ten Bóg *blady*? oto *Bóg Syn*, *Bóg umęczony* — Bóg człowiek w chwili śmierci i w chwili zwycięstwa swego na ziemi! Poeta określa spotkanie z Azyi przeprowadzonego »Ja«, w Iwanie Groźnym, z wszechmocnem cywilizacyi chrześcijańskiej »nie Ja«. Dlaczego zaś Królowi Duchowi też sama forma jest nadana, jakiej Tasso, a za nim Piotr Kochanowski, do pierwszej epopei chrześcijańskiej użyli, — to się lepiej wyjaśni tem, co powiem niezwłocznie.

Gdybym miał otworzyć zdanie moje o epopei, wtedy co do epopei chrześcijańskiej postąpiłbym tak, jako gdyby wszystkie pejzaże, jakie kiedykolwiek malowano, przyszło w całość ułożyć. Możliwy zaś tego dokazać, pod czterema warunkami światła: wschodu, zachodu, północy i południa, je ustawiwszy. — Tak samo też i epopeje, które mają za przedmiot ciąg chrześcijańskiego żywota i cywilizacyi, możnaby w cztery ułożyć postacie. I oto najpierw Jerozolima Wyzwolona poczynalaby się o świecie dziejów, w czas tej jutrzni młodej, którą wszyscy poeci głoszą jako natchnień źródłisko — jako gwiazdę zauranną, w samej młodości sił pocztą. Dlatego to Tass nawet rozpoczyna przez obraz Jutrzni. —

Drugą

Drugą w następstwie epopeją, odpowiadającą pierwszej, lecz jak zachód odpowiada jutrzni i wschodowi, jest Don Kichot. Bohater właśnie że nie twórczy, ale tylko już zamagnetyzowany przeszłością i resztą jej fantastycznego płomienia zażegnietą, porywa on się z łoża do dziennych prac, w chwili, gdy go noc zaskoczyła: zdało mu się, jakoby że to przedświt, a to był ostatni słońca blask — jest to *epopeja restauracyi*. Godfryd jest typem energii twórczej. Don Kichot typem energii nadrobionej i sztukowanej; jakoż najnieszczęśliwszy to w historii człowiek, wszystko na nim złatane aż do zapału; nie kontynuator to, nie ekspiator, ale opętaniec rzeczy przeszłych, podobny do tych antykwaryuszów urojenia, którzy sami przed sobą gotowi są kłamać rzadkości bibliograficzne lub na starej broni herby podrabiać, aby choć na chwilę się ułudzić! Najsmutniejszy to typ — płakać można, czytając Don Kichotą, gdy przeciwnie grzać się młodości ogniem przy czytaniu Jerozolimy.

Oto więc wschodowy i oto zachodni blask wszelkiej epopei — ale że dziejów całość nietylko ma twórczość żywotną i rozstrój kryty blichrem łatanego naśladownictwa; ale że ona ma jeszcze i momenta wczasu, wypocznienia prozy, któreby południem nazwać można: w te więc czasy wakacyi, i bohater-

haterem takiej epopei nie byłby już Godfryd, nie Don Kichot, ale pocziwy chłopiec jaki dzielny i szczerzy — Pan *Tadeusz* — i oto jest *trzecia* epopeja w toku chrześcijańskiego życia. Co zaś do *czwartej*, której światłem nie byłby ani zorzy promień, ani zachodu czerwoność, ani południowego słońca realizm, tę musiałby oświecać księżycowych przesilen moment lub godzina północy; takiej to epopei początkiem zdaje się być Król Duch — miała to być, zdaje się, epopeja fenomenologiczna, jakiej dotychczas jeszcze nie ma żadna literatura.

W duchu czasu jednakże zarodek tego leży — charakterem dzisiejszej poezyi jest to, że za bohaterów bierze ona idee, albo bezosobiste fenomena — wszystko to są jeszcze Manfredy, Hamlety, Wertery, Gustawy, Fausty i t. d.; nie są to właściwie epopeje. A jednakże śmiem mniemać, że poza obrębem czterech powyższych — chrześcijańska epopeja nie istnieje. Luzyady albowiem nie można uważać, jeno za drugą połowę Jerozolimy Tassa. Komedia Boska Danta nie jest również epopeją, bo w niej bohater współczuje tylko, nie zaś działa, jest ona prędzej Odyseją, bo jest wędrówką — do ojczyzny: jakkolwiek tą ojczyzną nie Itaka już, ale niebo. Jest jeszcze i więcej ksiąg różnych, bohaterskim rymem pisanych, ale te są tylko epizodami treści powyższych.

Gdyby-

LEKCJA VI.



dybyśmy do pojęć o najoryginalniejszych Słowackiego utworach dodali sprawozdanie o dramatach i powieściach, pozostałoby tylko ocenić rzecz języka jego, poczem moglibyśmy utrzymywać, żeśmy dopełnili zadania. Co zaś do biografii, tej całkowitego rysu mamy prawo oczekiwać od tych, którzy całe życie, jak np. Józef Reitzenheim, — a nie jedną część jego, jak ja, znają. — Tu wszelako winien jestem wskazać jeden szczegół — szczegół to już pośmiertny, ale ma związek z metodą przeciwstawienia Anhellego i Wigilii Bożego Narodzenia, wyżej przez nas przyjętą. W roku 1840 ta część Paryża, co jest parafią ś. Filipa du Roule, nie miała jeszcze pięknych gmachów, które ją teraz zdobią. — W końcu 1839 r. Juliusz Słowacki mieszkał tam i pisał *Lillę Wenedę* — w kwietniu zaś 1840 roku, kończąc list do Zygmunta Kraszińskiego, który



który jej za wstęp służy — tak się odzywa: — »niech ta postać do nas obojgu należy, niech będzie jako łańcuch, łączący dwóch Wenedów ręce nawet w śmierci godzinie. — A tych dwóch wodzów! czy ty myślisz, Irydyonie, że, tworząc ów myt jedności i przyjaźni, nie łudziłem się słodką nadzieją — że kiedyś — i nas tak we wspomnieniach ludzie powiążą i na jednym stosie postawią...« Jeżelibyśmy teraz obyczaj palenia na stosie usunęli, zobaczylibyśmy, że tak w rzeczywistości, jak we wspomnieniach, wypełniło się Juliusza przepowiedzenie; zwłoki bowiem jego postawiono w kościele parafialnym ś. Filipa. A gdy wiele lat upłynęło i gmachy okazalsze tam w tej części miasta stanęły, jeden z tych gmachów nabyty został przez rodzinę Zygmunta Krasińskiego, gdzie też wielki poeta umarł, a zwłoki jego, iż wedle prawa w parafialnym wystawione musiały być kościele, położono przeto na tychże deskach, gdzie lat temu kilka Juliusza spoczęła trumna. Trzeba było wszelako, aby wpraw cała ta część miasta przebudowaną została i aby tamże, a nie gdzieindziej, wśród ogromnego Paryża stał gmach, w którym Irydyona autor skonał. Wiersze, do których w tragedyi odnosi się ten wypadek, są następujące: »O! patrz zabity brat na pierśiach mi śpi. — Czy rozciąć łańcuch między wami dwoma? — Nie rusz łańcucha. — Gdzie stos dla

umar-

umarłych? — Masz zgłiszczę — burza zgasła pochodnie». Kończąc czytać te wiersze i wiedząc, jakiego to wypadków składu trzeba było, aby się te rzeczy z sobą powiązały, chce się powiedzieć słowo — Amen. Co wszelako piękniejsza, to że do tego brata w pieśni, kiedy mu to pojęcia obywatelskie nakazały, nie wahał się Juliusz tak piorunową rzecz napisać, jak ów wiersz do autora psalmów — chciał go on nawet spalić potem, ale obecny temu Pan Edmund Chojecki z ognia rękopism wyrwał i w Lipsku wydał. Polityczna osoba Juliusza wierna była klejnotom republikańskiej przeszłości naszej wedle świecznika konfederacji barskiej; — co do przyszłości, siedł on promieniem krzyża prosto i śmiało: widoczne to jest w liście pisanym do Xięcia A. C. — W liście do Emigracyi widzimy go niemniej proszącego o pamiętanie, że nie tylko stanowcze wypadki, ale i ciągłość idei zbawia społeczeństwo, z normalności swojej wytracone. — Gdy religijność źle przetrawiona i jednostronne stanu naszego pojmowanie narobiły rozdarć tyle, — Słowacki nie uległ czasu elementom i widzimy go do instancyi najwyższej, bo do grobu Zbawiciela, boleści swoje i kielich swój zanoszącego. Kiedy był czas, że chciano Korab' Piotrowy zastąpić balonem, steru jeszcze niemającym, — Juliusz od tej reformy na narodowej drodze się odsunął,

sunął i, w Beniowskim, robiąc aluzję do Nadniemeńskiego wieszczu, tak się odzywa, rzekę swoją rodzimą na świadki biorąc:

»Ty także sławna, że fal twoich gwary
Jakoby z Niemnem w olbrzymiej rozterce
Gadają. — Tyś zmusiła Niemen stary
Wyznać, że wielki, że w sławę płyniemy.
Lecz rzekł: Niech idzie tam, gdzie my idziemy.
Ha! ha! Mój wieszczu! Gdzież to wy idziecie,
Jaka wam służy — gdzie? portowa wieża?
Lub w *Stawiańszczyźnie bez echa* toniecie,
Lub na koronę potrójną papieża
Rzucacie w górę podniesione śmiecie.
Znam porty wasze — znam, i znam wybrzeża.
Nie pójde z wami« i t. d.

Tak się to określa na wsze strony narodowy jego republikanizm z ducha. —

Po obrazie tym, polityczno-socyalnym, stanowiska poety na straży swojej stojącego, przechodzimy do języka wogóle. Na posiedzeniu pierwszym widzieliśmy, że, przed zaświtem na narodowości, poeci, rozpoczynając języków nowych tworzenie, nie przestali być wieszczymi: owszem, same językowe ich prace, intuitywnego natchnienia potrzebujące, słusznie tego domyślać się każą; w pracy tej dla przyszłości, oczywista, iż wieszczymi byli. — To objaśnia nam mnóstwo następstw, a mianowicie tłómaczy ten

czy ten fenomen, że wszyscy poeci, postępu nieco przynoszący, zarówno w rozbracie ze społeczeństwem swem bywali; — jakże albowiem, posuwając społeczeństwo w przyszłość i język uczuć przyszłych mu przynosząc, porozumiewać się jasno z obecnością — jakże można swobodnie rozmawiać z ludźmi, których język się tworzy? Nie jestże to tak, jak gdyby kto zdawkową monetą płacił wtedy, kiedy ta jeszcze od stempla oderwać się nie może, albo gdy jest gorąca i do czerwoności rozpalona! Ale kiedy poeci, najbardziej nad jej utworzeniem pracujący, doraźnie ze społeczeństwem współczesnem pogodzić się nie mogą, — za coby znowu mieć przyszło tych poczciwców, którzyby woleli, aby monety owej, parabolicznie określonej, wcale nie było, lub którzyby trudności jej tworzenia znać nie chcieli. Nie byliżby podobni do wdziękoszów, którzy przeglądają się w zwierciadłach, merkuryuszem od spodu powlekanych, ani wiedząc, iż otrzymywanie tych zwierciadeł febry śmiertelne sprawia. Krytycy tu przedewszystkiem odpowiedzialni są, jeżeli nie przestrzegają bacznie o wzajemnych pracy obowiązkach. Gdyby zatem przyszło całość poetycznej służby Juliusza na tem polu, na polu, mówię, języka ocenić, zaprawdę, że należałoby z góry wyznaczyć, iż tu on równego sobie nie ma. Żaden: ani Adam, ani Zygmunt, ani Bohdan, ani

dan, ani sam Jan nawet Kochanowski, nie mieli, tak jak Juliusz, w jednej lirze języków wszystkich wieków, wszystkich, że tak powiem, płci: od języka Bogarodzicy do pamfletu, od rycerskiego słowa do dziewczyny, dźwięk słowiczy mającej w swym akcencie. I oto jest jakoby klejnot korony jego, i dlatego to jasnem będzie, co ktoś powiedział, że gdyby się słowa mogły stać nagle indywiduami, a gdyby więc ojczyzną był język i mowa, tedy posąg Juliusza stałby głoskami stworzon — z napisem *»patri patriae«*. — Kochanowski bowiem miał tylko jeden język, Mickiewicz jeden, Zygmunt, Bohdan, Malczewski i każdy z tych filarów słowa narodowego jeden, ale Słowacki Juliusz wszystkie wieków, czasów, społeczeństw, typów i płci języki miał. — W tej to zapewne myśli rzekł o sobie, jako czoło wielkiemu Adamowi stawiający:

»Choć mi się oprzesz dzisiaj? — przyszłość moja!

I moje będzie za grobem zwycięstwo!...

Legnie przede mną twych poetów Troja,

Twe hektorowe jej nie zbawi męstwo.

Bóg mi obronę przyszłości poruczył...«

W narodzie bez publicznego bytu, w publiczności bez własnych form, w społeczeństwie *chcenia* iskierkowate, ale chęci stałej niemającym — podobało się Opatrzności, że trzech postawiła poetów, sybil-

sybilicznym natchnionych duchem, a przeto obejmujących prawdy wieszczce w fenomenologiczny form całokształt. — Mickiewiczowi było dano, że Mojżeszowy język gniewu narodowego lwią nasrożył grzywą, jakby bój trwał. Zygmunt Krasiński tegoż czasu sejmowy, senatorski, publiczny słowa majestat tak uprawiał, jakby za dni wielkich Rzeczypospolitej. I kłamali obydwaj. Mickiewicz ów gniew narodowy, Zygmunt życie — kłamali, jak niańki dzieciom chorym, powieściami bezsenne króćąc noc, albo jak Korybantowie starożytni w miedziane uderzając tarcze, aby Saturn, płacz dziecka usłyszawszy, całej przyszości w niem nie pożarł!

— Wszelako i to nie dość; potrzeba było także i westalski, dziewiczy język stworzyć; dziś albowiem jeszcze na palcach policzyć można damy polskie, poprawnie mową swą mówiące. Bohdan Zaleski pracę tę zaczął, a i Teofil Lenartowicz, któremu się wydaje, że przedewszystkiem ludowy język odtwarza, żeńską właściwie stronę onego odnalazł. — Jakkolwiek bowiem mamy dwie poetessy: Żmichowską i Deotymę, pierwsza jednak daleko więcej męskim piórem od wielu męskiej płci poetów pisze; Deotyma zaś wcale żeńskiego słowa nie uprawia i jest raczej arcy-szanownym teozoficznym fenomenem. Muza jej sybiliczna, ale niewieściej służby w chrześcijańskim

skiem już społeczeństwie ani spostrzegła; — tem więc większa ważność jest, powtarzam, niewieściego języka. — Badacze natury nieomylnie roślinom płęć przyznają — trawce nawet, którą człowiek nogą potracą, nie odmawiają jej bynajmniej, ale korona zmysłów, mowa, wcale pod tym względem ważona nie jest. Kiedy, po upadku literatury narodowej, bywali młodzi ludzie skazywani do lochów i więzień za jednej książki przeczytanie, zdarzało się, że damy, gotowe nieść ulgę więźniom owym, na niebezpieczeństwa narażały się, ale wiele było, które piękną polszczyzną mówić nie były w stanie. Jest to zarówno krwawe jak śmieszne; — czyliż albowiem nie mógł więzień tak heroicznie pocieszany odpowiedzieć: »nie narażaj się, Pani, ale raczej mowę ojczystą szacuj, bo za to właśnie ja tu cierpię«. — Trzeba było więc odrodzić albo też i stworzyć w literaturze naszej żeńską mowy ojczystej połowicę, aby przeto zagaić dźwiękiem i muzyką jej właściwą życie potoczne. Albowiem gasło i to także, a skutki tego wygasania dotychczas jeszcze są widoczne. Dla tych to jeszcze przyczyn, skoro weźmiemy poezye innych ludów, znajdziemy tam typy niewieście, gdy tymczasem poezya polska typu niewiasty polskiej prawie że nie wydała. Malczewskiego Marya — to raczej krzyk kobiecy, która ani kochanką ani żoną rozwinąć się nie może

może — mogła była być wszystkim, wszelako zaduszona jest w chwili upostaciowania swojego. Mickiewicz lepiej i dyplomatyczniej się wywiązywał z zadania tego; on Grażynę swoją hełmem przykrył, i tak dosadnie, że nie wiesz do końca, czy to mąż jest czy to niewiasta? Aldonę w wieży schował i nieprzejrzanym murem przed oczyma samego męża jej osłonił. Telimeny, myślę, że za typ polskiej niewiasty brać nie można, a Zosia jest jeszcze małoletnia! Charaktery niewiast Zygmunta Krasińskiego są to notatki na marginesie jego poematów. U Słowackiego Balladyna jest personifikacją z pewnego wysnowania ballad gminnych wynikłą, Lilla Weneda legendowym obrazem albo jedną z tych architektonicznych masek, podpierających gzymsy, masek, których czoła wyzierają, ale których szyja, pierś i ciało w płaskość ściany przepada. Jednem słowem, poezyja nasza pod tym względem podobna jest coś do tego okrętu Lambry, który rozstrzeliwać kazał żeglarzy swoich, skoro się w kobiecie pokochali. Nie wiem, czy to dobrze, że poezyja tak młoda surowszą się być okazuje od samego Pisma ś., ale jest szkoła, która brak ten za teologiczny bierze nabytek. Szkoła ta ułomność ma za całość skończoną, a chorobę wszelką nazywa umartwieniem i nędzę ludzką mieni wolą Bożą. Do tej to szkoły z Zygmuntem Krasińskim powiedział-

wiedziałbym: »...Poezya, wszystko to ozłoci... kiedyś!« — ale czy wytłómaczy?... czy przetworzy?...

Kiedy tak Opatrzności podobało się, zsyłając narodowi wieszczów, nad rozłamaną istotą jego społeczeństwa czuwać, Słowackiemu, jak to widzieliśmy, dostało się w podziale utrzymać język: wszech-język-narodowy — dlatego nie tylko czuł on to natchnieniem, jak inni, ale wiedział jasno, co wypełnia, wiedział, co czyni, i zaiste że winien był to wiedzieć; bo w robotę taką wchodzi nie już sama poezyja, ale artyzm techniczny i sztuka w całej swej nagości. Powiada on przeto wyraźnie, o co mu idzie:

»Chodź mi o to, aby język giętki

Powiedział wszystko, co pomyśli głowa;

A czasem był, jak piorun, jasny, prędko,

A czasem smutny, jako pieśń stepowa,

A czasem, jako skarga Nimfy, miętki,

A czasem piękny, jak Aniołów mowa...

Aby przeleciał wszystko ducha skrzydłem.

— Strofa być winna taktem, nie wędziłem.

Z niej wszystko dobyć — zamglić ją tęsknotą,

Potem z niej łyskać błyskawicą cichą,

Potem w promieniach ją pokazać złotą,

Potem nadętą dawną przodków pychę,

Potem ją utkać Arachny robotą,

Potem ulepić z błota, jak pod strychą

Gniazdo jaskółcze przybite do drzewa,

Co w sobie słońcu wschodzącemu śpiewa...

I gdy-

I gdyby stary ów Jan Czarnoleski
 Z mogiły powstał: toby zrozumiał,
 Myśląc, że jakiś poemat niebieski,
 Który mu w grobie nad lipami szumiał,
 Słyszy, ubrany w dawny rym królewski,
 Mowę, którą sam przed wiekami umiał.
 Potemby, cicho mrząc, rozważał sobie,
 Że nie zapomniał mowy polskiej — w grobie.
 Więc nie mieszkajcie mi się tu, harfiarze,
 Którym dziś klaska tłum! — precz mowo smętne,
 Co myślom własne odejmujesz twarze,
 Dając im ciągłą łzę, lub ciągłą tętne;
 Wolałbym słuchać morza na wiszarze
 Jakiej opoki, co, wieków pamiętna,
 W szumie, jakoby nie w skończonym rymie,
 Odrzuca fałom jedno — wielkie imię...

Po takowem zdaniu sprawy z języka Słowackiego, przejdźmy do poglądu na tragedye i powieści jego, ale następujące słów kilka pierwszej są niezbedne. —

Hymny i psalmy, nawet rapsody heroiczne, nawet powieści pojawiać się w literaturze mogą od razu, ale *dramat* jako Minerwa z mózgu Jowiszowego wyskoczyć nie może. Grecy do dramatu mieli przygotowaną drogę przez bachiczne Tragos; Kalderon zaś i Szekspir przez chrześcijańskie misterya. Gdzie zaś teatr z własnego nie wzrósł korzenia, tam czekać on musi, stojąc na boku gmachem dużym,
 a ra-

a raczej próżnem i bezużytecznem rusztowaniem, — czekać, karmiąc społeczność pożyczonemi tworymi. I jeżeli Solon gorszył się poczynającą namiętnością Ateńczyków do dramatu, utrzymując, że wprowadzenie tych przedstawień kłamstwu, naśladownictwu i intrydze da początek; — to zdanie jego tak surowe odnieść można prędzej do wprowadzonej obcej, nie zaś do tej z korzenia rodzimego wyrosłej dramaturgii. Jednem słowem, aby życie w siebie wglądało, potrzeba przecież, aby za sobą pozostawiło formy swoje; czas więc przygotować musi pierwszej szczeble, na które wszedłszy, rozglądanie się społeczeństwa w sobie samem nie może moralnych korzyści nie przynosić. Cały przecież ogół naszego bytu i form będzie na scenie kiedyś, jak widzimy wiek zeszyły: ale pozostanie zeń to wszystko, co żywotne, co wieczne. W świecie nawet moralnym, wszystko to, co lada kto udać już potrafi i przyoblec, wchodzi pod tę samą kategorię, co ubrania wieku zeszłego... Dlatego to miłość wyrażała się tyle wieków, a przecież list miłosny z przeszłego wieku każdy, trochę talentu i archeologicznych wiadomości posiadający, naśladować potrafi, gdy tymczasem listu współczesnej nam formy uczucia nie tak łatwo byłoby udać. Czas niekoniecznie *naszym*, ale i my czynszownikami czasu jesteśmy, nie *dzisiaj* więc jest *nasze*, jak

szę, jak zwykle mówią, ale *wczoraj i onegdaj*, a dziś warunkowe bardzo; prawda ta obowiązuje bezpośrednio dramę. Gdyby dramata czyli tragedye Juliusza Słowackiego były pisane przed Kochanowskim, postawiłyby nas na równi z literaturą hiszpańską lub angielską; dziś są one ekspiacyą szczodłą za teatr warszawski, karmiony od kolebki winem szampańskim, i to tem jeszcze winem, którego Szampania nie wydaje. I jeżeli Fredro, Korzeniowski, Bogusławski są dramaturgami, ale nie mają języka epok, to Lilla Weneda, Sen srebrny i Mazepa wymaganiom tym zupełnie odpowiadają, — jest to nietylko zaleta, ale obywatelska zasługa.

W powieściach Słowackiego, bajrońskiej formy nie godzi się uważać za naśladowczą, tak, jak Walenrod i Marya Malczewskiego mimo tejże formy naśladowczemi nie są. — Na posiedzeniu drugim, Byrona kreśląc ważność, tłómaczyłem to — tu tylko dodam, że naśladownictwo w stosunku do tych, którzy coś obowiązującego cały rozwój ludzkości przynieśli, nie jest rzeczą naśladownictwa, ale człowieczeńści, i że jak kopernikistami nie godzi się zwać astronomów, tak bajronistami poetów. — Słowacki w przedmowie do Lambra mówi wyraźnie, że *są to dzieje tych znajomych naszych, po których zgonie przedwczesnym bliscy długo mawiają, czem oni być mogli,*

mogli, a dalecy, że nie byli niczem, — mówi więc nie o urojonych typach, ale o znanych i żywych. Było to pisane w roku 1833. Miał on dziwną współczesność i może dlatego właśnie współcześnie był niepojmowany. Współczesność albowiem jest dwójaka. Kiedy w Warszawie 1836 r. nocą budzeni byliśmy przez kolegów, aby choć obecnością naszą zasłać pożegnanie wysyłanym na Sybir, Słowacki wtedy z drugiego końca Europy Anhellego ojczyźnie przysyłał — to jest pierwsza współczesność. Tej samej zaś zimy, w zacnym polskim salonie mówiła mi pewna pani domu, »że rozповідаją coś ciągle o zsyłkach, a przecież z nas nikogo w czwartek nigdy nie brakuje«. — Oto druga współczesność. — Słowacki miał tę pierwszą, bez której poeta jest tylko kaligrafem lub notaryuszem.

Literatura żadna pewno takich nie miała czytelników, jak ci młodzi czytelnicy w Wilnie i w Warszawie, którzy krwią i łzami kartki czytanej poezji okupywali. Katastrofy te były, zaiste, rzezią niewinątek w wigilię odrodzenia się słowa narodowego. — Ani laury żadne, ani rozgłos nie ozłacały im czarnych więzienia kątów! Cześć więc oddaję Słowackiemu za to, że on ze swoją lirą na tych polach bywał przytomny. Okazał on tem prawdziwy patrycyat serca swego, i ta to obywatelska współczesność dała mu

mu igłę magnesową zamiast stylusa w rękę. Tem chętniej zaś oddajemy tu Słowackiego zasługom sprawiedliwość, im wyraźniej sam świadczy, o ile mu to za życia odjętem było. Pisze on do Zygmunta Krasińskiego: »stary i ślepy harfiarz z wyspy *Scio* przyszedł nad brzegi morza Egejskiego, a usłyszawszy z wielkim hukiem łamiące się fale, myślał, że szum ów pochodził od zgietku ludzi, którzy się zbiegli pieśni rycerskich posłuchać. — Oparł się więc na harfie i śpiewał pustemu morza brzegowi: a kiedy skończył, zadziwił się, że żadnego ludzkiego głosu, żadnego westchnienia, żadnego pieśń nie zyskała oklasku. Rzucił więc harfę precz daleko od siebie, a te fale, które śpiewak mniemał tłumem ludzkim, odniosły złote pieśni narzędzie i położyły mu je przy stopach. I odszedł od harfy swojej smutny Greczyn, nie wiedząc, że najpiękniejszy rapsod nie w sercach ludzi, ale w głębi fal Egejskiego morza utonął« — Współczesności zatem dwie jest zawsze, a dzień, w którymby jedna z nich wygasnęła, byłby albo dniem dojścia postępu do kresu, albo wygaśnięcia zupełnego wszelkiej energii postępowej, ale zbliża się pora — zbliża się dzień — i już, już jest we drzwiach, kiedy to, co tu zowiemy *Współczesnością*, większe rozmiary przyoblekłszy, stanie się jedyną formą i jedynym organem... koinspiracyi! Pojmując to jasno i wszech-

stronnie,

stronnie, nie można się zaprawdę nie radować, — doszliśmy więc do obowiązującej wiek potęgi — do *współczesności uważanej jako siła, potrzeba i obowiązek razem*.

DO

DO M... S...

O BALLADYNIE.

(D O D A T E K.)



obie — Sewerynowi i komuś trzeciemu winienem podziękować, iż chcieliście powyższe mówienia spisywać, tudzież tym przyjaciom naszym, którzy uważali za słuszne koszt wydawnictwa podjąć. Ale ty dałeś mi także sposobność wywiązania się, bo życzyłeś sobie, abym, dołączyszy rozbiór *Balladyny*, dołączył przez to samo *wzorzec* do czytania *tragedyj Juliusza*, o których szczegółowo mówić, w kursie tak szczupłym, byłoby to stracić całość obrazu. Czynię przeto ci zadość i sobie, bo życzeniu twemu zadość uczynić mogę.

Na pierwszy rzut oka *Balladyna* wydaje się fantazją w luźnym bardzo znaczeniu tego luźnego określnika — tak wydała się ona doraźnej masie czytelników po ukazaniu się świeżo wyszlą książką. Tak, niestety, podobno, że i dziś dla większej bardzo liczby
lite-



literatów wydaje się ta tragedia. A przyczyna tego leży raz w tem, iż Juliusz nie był *architektem* jak Zygmunt, ani *rzeźbiarzem* jak Mickiewicz, ale był to poeta-malarz, choć mógł bywać i tym i owym — i poetą-muzykiem nawet, co wszelako po szczególe Opatrzność Bohdanowi wydzieliła. Drugi raz — przyczyna tego leży także i w tem, że do tragedyi własnej stawiał zarazem Juliusz teatr, jakoby przenośny, w okładkach, że tak rzekę, książki schowany. Są tam dekoracye z liści rosami mokrych uwite — rzutami pstrego światła ozłacane — malin woni i konwalij pełne. Rozpruj książkę i przeciągnij po stole, pionowo karty jej stawiając, a okaże ci się gajów zielonych i chat i baszt połamanych perspektywa, Ojcowskiemu i Pieskowo-skalnemu podobna wąwozowi. A to wszystko jasności planu pierwotnego i, że tak rzekę, harmonii zasadniczej szkieletu samego nie uwidoma — osi dramatycznej nie okazuje — typów nie uwydatnia — owszem, zamglewa rysy główne i nieczytelnia rzecz, lubo w sposób dziwnie powabny.

Wszelako zdam ci sprawę z moralnego budownictwa, które tragedję tę wydało, i wypowiem wszelkiej osoby herb stanowczy, ale pierwszej nadmienię to, co powiedział czy napisał gdzieś August Cieszkowski o *apo-kryfach*. — Mędrzec ten powiada, iż nietylko pierwotnej epoki *apo-kryfy* (to jest, po-

nad-

nadzwyczajnej budowy pisma), ale nawet i te, które *udawanie* za cel miały, w epokach późniejszych pisane, należy pomiędzy źródła prawdy historycznej *umieć kłaść* — to jest: że z jakąkolwiek bądź wolą rzucane światło, skoro się je sprawiedliwie zebrać i uśrodkować potrafi, wielce użytecznem bywa. Nadmieniam to dla osób, które wszystko, cokolwiek poza literaturą czarną druku-książki wyczytuje się, uważają zaraz za poetyzowanie i naciąganie do rzeczy, których drukarz ołowianą czcionką nie zagwoździł, a o których przeto, jak to mówią, »*autor ani myślał*...«

Po tym wstępie — od czegoż zacznę?... Oto powiem ci naprzód, że razu jednego, może we śnie, zdarzyło mi się znajdować jakoby w miejscu, którego piętra i posady, noga moja nie czuła, iż uwęgielnioną miały podwalinę, a którego sklepień czy firmamentu pojąć naraz nie mogłem... Ale w światła smugu, który szeroką ciemność jakby wielkim pasem przepływał, zobaczyłem, iż stał człowiek-muzyk przed organami. — I widziałem, że, jedną ręką grając, drugą w górze ruchy i zwroty czynił, jako gdy kto gesta magiczne rzuca. A kiedy wpatrywałem się długo i postrzegłem, że muzyk ten *współcześnie gra i sklepienie mularskim robi narzędziem, aby echem tonów przezeń wygranych właściwem było*; tedy bardzo mi żal się zrobiło i chciałem płakać, myśląc, jak dale-

dalece trudne jest życie pieśni! — A głos przyjaciela mego jednego, co już tu nie żyje, zawołał na mnie, mówiąc »*oto jest Polak*...« I od tego to czasu, ani na polu sztuki, ani życia, ani wiedzy i czynów politycznych, nie dziwi mię mnóstwo bardzo wyjątkowych tak położeń, jako i zawiłych na pozór gmatwanin. Owszem *jasne* częstokroć i oficjalnie okazałe więcej mi zadawa trudu, skoro uczytelnic je zamierzam, niż *zawile*.

Czy pamiętasz te czasy, kiedy po 1830 roku całe prawie polskie piśmiennictwo w góry i lasy poszło gminnych poszukiwać podań — kiedy wyraz *bajka* nabrał powagi — wyraz *gawęda* stał się między stylu rodzaje policzonym nazwiskiem — wyraz nieznany pierwej *klechda* od-nie-pomniął się — kiedy *przystawie* Salomonową nieledwo koronę filozoficzną wdziało — kiedy w kraju Wójcicki Kazimierz Władysław akcenta nieznane salonom świetnym bez fraka wprowadził w towarzystwo, a w Paryżu Chopin grał mazurki i obertasa, których nieraz *porcelanowe pasterki z czasów Ludwika XV* (ani wiedząc o tem, co czynią) słuchały!... — Kto ten czarodziejski flet dał w ręce myśli polskiej? — czy to zrobiło się przez statut jakiego towarzystwa, ku temu zorganizowanego, z prezydentem wieku, i kasyerem, i podkasyerem?... bynajmniej!... Po listopadowego powsta-

nia

nia upadku — po upadku powstania, które gminnych elementów objąć i uhistorycznić współ-udziałem nie mogło, czy nie umiało, czy nie chciało — *nastąpiło przecież lat kilkanaście literatury wyłącznie gminnej...* dura lex, sed lex est — tak było! — *Balladyna* jest dzieckiem 1839 roku na świat wyszłem — ale pocznę od siostry jej *Aliny*, z dzbanem swoim glinianym na głowie w las zabłąkanej i stojącej tam, jako się spotyka karyatyde grecką, po zwalonej świątyni jakiej pozostała. Któż ona jest, ta smukła, cicha, piękna — prawie że w tragedję niewchodząca, a bez której właśnie że tragedji nie byłoby! — Ta wypchnięta nożem siostry z bram żywota i śmiercią barankową dramatyzująca bezosobiście całość sprawy? — ta, o której poeta jeden kiedyś mówił:

»...cicha, jak baranek
Na chorągwi kościelnej...«

— — jest to właśnie że kryształ sam najczystszy tego wielkiego i bezwyraźnego pojęcia, które nazywamy słowem *Lud*. — A siostra jej? — a *Balladyna*, zabijająca ją jakoby trafem i za fraszkę — za dzban jeden malin, jak sama mówi, lubo i dlatego zarazem przy tej fraszce, aby zostać Grabi Kirkora żoną... kto to? — kto jest tą Ludu siostrą?... *Parafiańszczyzna*!

Dlate-

Dlatego to ona wyprze się starej matki swojej, skoro sama już w zamkowym rozbłyśnie życiu świeżością dworską — potem godności zajętej obowiązkiem pojedna, kłamstwem i tajemnicą, z wszelakiej natury licencyami i rozpustą — potem tajemnica w niej *rozdzieli ją*, i pocznie wiedzieć, co spowiednik, a co konieczności położenia i godność zajęta każą. I stanie się *fatalną*, a siły fatum dziejowego w ręce jej się kłaść poczną, wcieleni sobie szukając — więc i *panować-koniecznie* będzie musiała, ale już nie będzie sobą nigdy, bo larwa jej zostanie na udziałem tle włóknami wypadków rozciągnięta, jak malowany obraz — piorun ją zabić musi, bo ona jest *elementem* już, nie *osobą* — bo ona jest piorunem, który nie uderzył jeszcze, a więc nie zabił się sam, niszcząc miejsce własnego skonu. Oto ona — oto panowanie jej — koniec i początek:

»*Król-kobieta*, piorunem boskim zastrzelony.

Zamiast w koronacyjne, bić w pogrzebu dzwony.«

Kiedyż zaś to się stało, że *Parafiańszczyzna* odsunęła w gróbową ciszę siostrę swoją rodzoną *Lud*, sama pnąc się wyżej i panowanie rozszerzając bez-historycznymi sposobami? Gdzież *Tradycja* wtedy znajdowała się z pontyfikalnymi mocami senatu swego?... Oto — dramatyzuje dalej Juliusz sprawę

sprawę tę zawiłą, skoro uosabia Tradycję w *Pustelniku-królu*. — *Pustelnik* jest Tradycją, tak, jak *Alina* Ludem, a *Balladyna* Parafiańszczyzny postacią. Do pustelnika, do tradycyi, wiednie i bezwiednie, przypadkiem i umyślnie, gościńcem i ścieżkami zarosłych cierniem manowców, wszystko końcem końców zabłąkiwa i ostatecznie wraca. Jedyna, cale określona osoba, z tej Tragedyi osób wszystkich wyjątkowa skończonym charakterem, *Kirkor* — rycerz — szlachcic republikański — mąż, jakiego istoty żaden polski poeta nigdy tak nie określił, — człowiek serca swobodnego, wiary prostej i ręki dużej, — sam powiada w sobie, na początku:

»Rady zasięgnąć warto u człowieka,
Który się kryje w tej zaciszy leśnej,
Pobożny starzec —«

I oto takiemu serca odrodzonego mężowi Tradycya w osobie pustelnika daje naprzód klejnotów korony Rzeczypospolitej zrozumienie — kluczem odmyka Dawidowym mistyczną pieśń zaczątków sprawy narodu, co w następnych Homera godnych rysach i wierszach jest objęte:

»...ku ojczystej stronie
Wracali niegdyś od Betleem żłobu
Święci królowie — dwóch Magów i Scyta.
— Ów król północny zaszedł w nasze żyta,

Zabłą-

Zabłądził w zbożu jak w lesie — bo zboże
Rosło wysokie jak las w kraju Lecha.
Więc, zabłądziwszy, rzekł: *wyprowadź, Boże!*
Aż oto przed nim odkrywa się strzecha
Królewskiej chaty — bo Lech mieszkał w chacie;
Wszedł do niej Scyta i rzekł: »królu bracie,
Idę z Betleem, a gwiazda błękitna
Twoich bławatków ciągle szła przede mną,
Aż tu zawiodła...« i t. d.;

a dalej o klejnotach dziejów Rzeczypospolitej mówi:

»...*złota nasza korona.*

Zbawiciel niegdyś, wyciągając rączki,
Szedł do niej z Matki zadumanej łona
I ku rubinom podawał się cały,
Jako różyczka z liścia wychylona,
I wołał *caca!...*«

Jakoż pięknie to i po cudownemu staje się, iż taki tylko mąż, jak *Kirkor*, bezpośrednio dojść mógł Tradycyi wątku, lubo tyle się postaci rozmaitych około królewskiej pustelnika chaty okręca. Ale też to jest człowiek, u którego *Dziś* jest jeszcze historią:

»*Dzisiaj* (mówi on) odrobić chcę całą pańszczyznę,
A odrobiwszy całą, żyć szczęśliwy
Z drogą małżonką — całą ci Ojczyznę
Włożę na barki — a gdy będziesz dźwigał
Rzeczy i ludzi, to ja się zakopię
W zamku spokojny... Niechby mi dościgał

Sad

Sad owocowy — niechbym małe chłopię,
 Dzieciątko moje na ręku kołysał,
 O to się modłę... *Ty mi zaś co roku*
Z tronu do chaty listy będziesz pisał;
 Niechaj raz na rok spadnie mi z obłoku
 Biały gołąbek i pod skrzydełkami
 Przyniesie powieść, pełną *tych wielkości,*
Co budzą uśmiech i sen pod lipami
 Dają smaczniejszy...«

A indziej znów do ludu się odzywa ten rycerz, miecz
 ocierając:

»— O! Lachy, ja nieznany rycerz
 Nie mogę przesławnemu władać narodowi;
 Com uczynił, czyniłem nie dla wyniesienia
 Głowy mojej — czyniłem to dla szczęścia ludu;
 — Jam stworzony do ciszy wiejskiej i prostoty;
Dla mnie za ciężką była nawet godność Grafa,
I zniżyłem ją szczerze, pojąwszy w małżeństwo
Zamiast jakiej królowny ubogą chłopiankę».

Tą chłopianką wszelako *Alina* miała być, nie
 zaś uosobienie Parafiańszczyzny w postaci Balladyny,
 która, słysząc słowa rycerza ludowi rzeczony, najko-
 losalniej już w charakterze swoim dramatycznym
 występuje, bo zapiera się tak ulubionego swego dla
 malowanego na herbie garnka malin, jako siostry
 i matki swojej krwawo wyparła się. *Rozsądny czło-
 wiek* powiedziałaby, iż błąd jest wielki, ze strony tak
 nieska-

nieskalanie karmazynowego jak Kirkor człowieka,
 łączyć się miłości węzłem z dziewczką jakąś w legen-
 dowy sposób... *Prokurator* — odrzekłby na to, iż
 kryminalne podstępstwo uwikłało Grafa w tę spra-
 wę. — Tragik zaś ani rozsądnym tylko widzem, ani
 prokuratorem być nie może. Trudniejsze, nad te dwa
 stanowiska, wydzielono jemu od wieków! Urzędni-
 kiem on królestwa, co *bywa* tylko z tego świata, ale
 które *jest* wcale nie z tego.

Felicissima culpa Kirkora jest tylko następ-
 stwem usunięcia się tradycyjnych sił od realnego
 wątku w pustelni zaciszę. Tradycyi dość jest odkłąć
 się i wyjść za kulisy, aby przekląć. Gdyby władzy
 tej tradycya nie miała, władzy, mówię, przez samo
 usunięcie się swoje, cóżby *władzą spirytualną* było? —
 Sofoklesowskie »*niestety!*« czyli dzisiejsze »*zapóźno*«
 tu się odgrywa:

»...Czemu się ten rycerz
 Dwudziestą laty pierwej nie urodził?
 Byłem na tronie — to kraj cały płodził
 Same poczwary: jak niezdatny snycerz,
 Który w kamieniach szuka ludzkiej twarzy
 I czyni ludziom podobne kamienie,
 Ale bez duszy... Czyli przyrodzenie,
 Nim stworzy, długo o stworzeniu marzy,
 Długo próbuje, naprzd tworząc karcze,
 A potem ludzi — jak Kirkor.«

— Smu-

— Smutne to jest i bardzo smutne, to malin pełnego dzbanka rozbicie, w Tragedyę Juliusza rozwinięte — *Lud* omackiem w lesie zabity — *Tradycya* odklęta w pustelnictwo — *mąż* jedyny, przy którym wszystkie męże przez poetów naszych kreślone błędniej, przy którym *mąż z nieboskiej komedy* jest niepewnym siebie deklamatozem, albo wielkim tylko na pocztą postać zarysem — Mąż osobny, *Kirkor*, fatalnością tragedyi na zgubę wiedzion — *Parafian-szczyzna* jedna dalej i coraz dalej, rozlicznemi larwami swemi, pnąca się, a w ostatnim sług pocztę *karyerzystów* już (jakich uosobieniem jest *von Kostryn*) chwytająca się... *czasu* coraz mniej — pokradziony intrygami — pogwałcony!... — pioruny, te elementów sobie zostawionych wyraziciele, już blizkie. Tacyt mógłby czytać Balladynę i może łęby w oku poczuł, a czytało ją kilkanaście tysięcy rodaków czytających — — — czytających? —

Osobyfantastyczne, Goplana, Chochlik, Skierka, przeznaczone są do odmieniania dekoracyi tego teatrum przenośnego — są one *tłem*. — A ktoś mi powie przecież: »zkażdę się bierze znowu, iż *tło* natchnąć może takiego *Grabca*, syna pijanego zakrystyana, i, w dniu *tabula-rasa* społeczności, trafem na najwyższą wynieść godność?«

— Ah! kochany M...., jest to tajemnica stanu; —
gdzie

gdzie indywidualności zaprzestaną dziejowej pełni służby, *tło* zaczyna być wszystkim i nazwiska nawet różne, arcy poważne nosi — czasem nazywają je: *la force des choses... raison d'État... fusion... confusion* etc... A w społeczeństwie, tak ochwianem w posadach swoich, zkaąd pochodzi nareszcie, że nymfeiczna postać ukocha właśnie że rubasznego Grabca?... To może znów z powodu, że *nymfeiczna*, że, jak powiada tragik, *galaretowa*; — może wyanieiliła się ona technicznemi środkami pielęgnowania i toalet, może, że tak powiem, *technologicznie ciało swoje ubóstwiwszy*, trzeba jej za to potem kości twar-dych, jak bezszkieletowemu polipowi, i gotowa jest rzucić przejrzyste ręce swoje na kark rubasznego zakrystyanowicza — na pierś podpiętego Grabca — nie wiem! — To wiem tylko napewno, że *Filon*, pasterz, po zabiciu *Ludowej Aliny* cały liryzm swój do Greków liryki odnieść musi — nie ma on już od kogo się wywiedzieć, co z rodzimej poezyi w gajach i polach szumi. Straszny to jest człowiek, który płakać po pęknięciu drogiego sobie serca *na swój sposób nie potrafiłby*. Z fletem wierzbowym w ręce jednej, a z mythologicznym słownikiem łacińskim w drugiej ręce, zdaje się przechadzać po Zofiówki parku — a to cmentarz! — Przed sądem kryminalnym postaw tego płaczka, aby świadczył, to właśnie że on

że on pierwszy *zdradzi*, bo precyzyę sumienną lirycznemi zagmatwa frazesami — i rozplącze się. Ze społeczeństwa tak rozstawionego — z typów tak postawionych, jakież grupy nareszcie rozdzielić mogą między siebie ogólnego życia tajemnicę?...

Kostryn: Dwóch językami walczyło po mieście,

Lud namawiając do boju...

Balladyna: Gdzie oni?

Kostryn (wskazując): Pan Burmistrz *Kuryer* i *Pismo*.



»BOGA-RODZICA«

PIEŚŃ,

ZE STANOWISKA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO

ODCZYTANA.

1873—1874.

»SZLACHETNE PRAGNIENIE MUSI SIĘ W NAS
ZAPALIĆ DO PRZYZYCINIENIA SIĘ TAKŻE
DA-
TKIEM Z *WŁASNYCH ZASOBÓW*, ABY POWIE-
KSZONYM BYŁ OWY BOGATY SPADEK PRAWDY,
OBYCZAJNOŚCI I WOLNOŚCI, KTÓRY ODZIEDZI-
CZYLIŚMY...«

Schiller.

»BOGA-



ierwszymi historykami są *poeci*, a pod ich nieobecność *starcy*; dalej *kronikarze*, i dopiero właściwi historycy; ci, którzy, za dni naszych, użaliwszy się, że dotychczas »*historia przez poetów pisaną bywała*«, zapowiadają jej rzeczywistą prawdę odkryć. Słowa te ich są bardzo obiecujące i oczekiwać na owoce pozwalają.

Atoli, w obecnym stanie rzeczy, historia jest poniekąd umiejętnością najmniej mającą podobieństwa do nauki ustalonej. Dowodów ku temu za wiele przysłoby okazywać z łatwością potoczną. Same *określniki zasadnicze*, bez których żadna nie istnieje umiejętność, są u historyków tegoczesnych tak dalece niejasne, iż policzać onychże w szereg umiejętnościowych środków niepodobna. Wyraz np. »*autochtony*« jest urojeniem, albowiem nigdy nie było autochtonów, i dopiero, skutkiem zachwiania biblijnych tradycji, na miejsce *jedynego-autochtona* stało się koniecznością dydaktyczną spłodzić autochtonów

nów milion. Jest to więc nie rozwoju wiedzy, ale systemu wynikiem. Nieprawdą jest podobnie, jakoby wędrówki ludów jednorasowymi pokładami człowieczeństwa, tam i sam odpieranemi, zaludniły obszary krajów... Tak niekoniecznie było, gdziekolwiekbądź albowiem lud jaki przybywał i osiedlał się, zastawał zawsze słabe, rzadkie, ale odeń na miejscu starsze osady. — Dalej!... ktokolwiek nie ze samych dzisiejszych pism, lecz i ze życia pouczał się historyi, ten wie, iż tak zwanych *ludzi dzikich* nigdy i nigdzie żaden głębszy nie spotkał badacz. Byli to i są raczej *ludzie zdżiczeli* a nie pierwotnie *dzicy*. Przemysłni w oszukaństwie i w podstępstwie, wyrafinowani w zadawaniu okrucieństw, biegli w imponowaniu zewnętrzną ciała postawą i tonem. Żadnego podziwu niemający dla cywilizacyjnych płodów naszych, lecz, i owszem, spokojną tylko pychę, iż wytworniejsze znają użytki... Tak są przecież *rudoskórzy amerykańscy*, zarówno nadzy, jak przesadni we wymyślaniu ozdób i strojeniu się, a ze wszech miar okazujący jakoby ostatnią jakąś *modę* spotworzonej pod koniec swego bytu, ale kiedyś byłej cywilizacji. Ani, mówię, *autochtonów*, ani *dzikich ludzi*, ani *jednolitych całości ras*, rzeczywiście i prawdziwie te rozejrzawszy pojęcia i nazwy, wcale że niema. Lud sam żaden ze stworzenia następstw na swoim miejscu nie



scu nie wysnuł się — wszystkie przychodnie są i wszystkie spotykają się... Ludzkość idzie... zawsze...

Dlatego to, wśród tak zasadniczych błędów, zarówno czytelnik chce się dziwić: czemu *żaden historyk nie wie, odkąd rozpocząć swą historię...*? i zarówno dziwić się temu nie może, albowiem, kto chaosu nie zamknął, nie zna poczęcia. Kronikarze w tym względzie głębszymi są i bliższymi prawdy, ale oni są pojęci płytko i kroniki są źle odczytane. Wyrażenia, na których częstotliwie oparło się *wszystko*, bywają zaledwo że w zbliżeniu dotykane z właściwej ich strony. Całe przeto karty pierwsze np. polskiej historii są nieodwartymi, całe ostatnie z tej samej przyczyny bezwyrażnemi i obowiązującej siły niemającymi. Nareszcie i samo pojęcie człowieka historyczne jest zniżone i obłąkane. Na źródła brak, do pierwotnych kart dziejów, użalanie się jest filozoficznym *absurdem*. Jeżeli albowiem historia tak jest pojętą, *iż same jej braki, wyszczerby i przemilczenia nie oświecają i nie mówią*, tedy to nie jest wcale umiejętność pełna, ale zbiorowisko inwentarzów, mniej lub więcej kompletnych i których nigdy dość nie będzie. — Umiejętności pełność dopiero tam zaczyna się, gdzie i samo jej przemilczenie coś wyraża! Nareszcie, *regułą* jest powszechną, iż skoro gdzie badania historyczne do tego koniecznego kresu dojdą,

dojdą, w którym ciągle i ciągle też same *cytaty* tych samych kilku pisarzy starożytnych w kółko powtarzają się, wybija naówczas godzina zamknięcia ksiąg, a otworzenia archiwów kopalnej ziemi i językowych pokładów. Wszelako ruina żadna w Słowiańszczyźnie nie jest historycznie odkopaną...* *Odkopanie*

histo-

* Natura publikacji rękopisów polskich pociąga za sobą przypiski, w miarę zalegań wciąż rosnące i powoli wyrównać mogące samej-że tekstu obszerności. Kiedy się pisało o godzinie otworzenia archiwów ziemi kopalnej, nie było jeszcze odkryć, które nareszcie zaczyna się uznawać. Pięć cmentarzysk przedchrześcijańskich w Polsce zachodnio-południowej poruszono. Ze zdania sprawy atoli wiele jeszcze doczytać się nie można, z tej przyczyny, z jakiej na innym miejscu publicznie mówiłem był:

»Cóż Grek w *Tartarii* znajdzie, jeśli jak Grek szuka...?»

I dalej w tejże rzeczy:

»Swoja własna metoda jest piętnem własności,
NIC bez niej mieć nie można, nawet dziadów kości«.

Hrabia Zawisza utrzymuje, iż znalezione starożytności (które są wszystkie z ŻELAZA), oznaczają EPOKĘ BRONZOWĄ z tej przyczyny, iż archeologowie innych narodów, gdzie brąz był w używaniu pierwotnem, utworzyli *epokę brązu*. — Podobnie jest wystosowane i całe sprawozdanie odkryć, które jednakże zasługują na uznanie pracy i starań tak Zawiszy jak wszystkich innych członków ekspedycji. Tylko mówi się, iż tym sposobem tłumaczenia wszystkiego z obcej Minerwy na swoją i bez żadnej własnej twórczości niepodobna będzie nigdy nic znaleźć.

Tak samo wątpię bardzo, czy »*palafit*« znalezione jest palafitem, lubo nie wątpię, że to jest mieszkanie i *zamek nadwodny*. Rzecz, o której w przypisku za długo pisać. Więcej powiedziałbym, gdybym ufał, że to się może na co przydać. Nietylko całe karty historii, ale *kapitały w złocie srebrze i w skarbach leżą w Polsce*, i można ołówkiem na karcie narysować nie miejsca same, ale region,

historyczne a *odkopanie ogrodowe* są dwie rzeczy. Dla pierwszego niekoniecznie trzeba i samych nawet kształtów gmachu, częstotliwie natura pokładów piasku i atomy onegoż wystarczają. Jest to już dziś umiejętnością, nie dowolną igraszką, a której aby się nauczyć, trzeba i przy wykopaliskach różnych krajów czynnym bywać. Mnogie zaś *historyczne europejskie towarzystwa* są ku temuż, aby o właściwej godzinie i epoce umiejętności ostrzedz czytający ogół; tak, jak *zbiorowe ciała* ku temu są, aby obowiązującą siłę wyrobić i utrzymać; jak wydawców i księgarzy oświeconych bacność ku temu jest, aby nie dać się przeczerpywać chorobliwym smakom literatury, które same sobie zostawione do zupełnej muszą doprowadzić obojętności i do koniecznego bankructwa; tak, jak nareszcie godność osobista oświeconego i religijnego człowieka ten ma publiczny obowiązek, ażeby, *nie płaszcząc* krańców prawdy, wyznawać ją. To zaś, razem wzięte, zwie się *pracą sumienną*...

Szczęśliwymi, zaiste, są ci pisarze, którzy mogą trzymać się ściśle przedmiotu głównego i nieociemniać

w którym spoczywają. Lecz w Polsce tylko jedna arcy cieniutka warstewka ziemi bywa poruszana pługiem i niejako oblizana z wierzchu. A to nie na samem polu agrykultury, lecz i na innych niwach nieinaczej jest. CYPRYAN NORWID. 1874-o.

mniać stylu przez uboczne albo długie wycieczki poza krańce ram właściwych rzeczy. Ta wszelako wielka przyjemność należy jedynie do właści pisarzy *szczęśliwych*, to jest, w ogóle żywym literatury znajdujących się, czyli przeto w takowym, który nieustanną pracą dopełnia swojego współpracownika i nie wyniszcza onegoż ani zatracza. Słowem jednym i prostem, jest to tam tylko, gdzie jest *miłość* i bezosobista *potrzeba ciągłego uwielbienia praw postępu*, niby ogromna i udatniająca się nieustannie modlitwa wzdychającego za prawdą i wolnością ducha ludzkiego... Tam, mówię, gdzie przeto niepotrzeba jednocześnie zajmować miejsce swoje i też miejsce robić, albo jeszcze pierwej onegoż miejsca przestrzeń uzasadniać.

Żyjemy zaś (jeżeli się nie mylę?) w epoce łatwego czytania rzeczy płodzonych szybko, ponętnych i głośnych. I to stało się jedną z pięknych pobudek do wywołania równocześnie *odczytów*, z powodu, iż przy szybkim umysłowych płodów spożywaniu, *odczytywać* na nowo godzi się. Ta wszelako charakterystyka epoki naszej nie przynależy się szczególnie ludom zachodnim, to jest, właśnie iż tym, które tworzenie rzeczy głośnych, małowalych i ponętnych, aż do industrii posunęły, z powodu, iż te ludy umieją zarazem świat zarzucić romansami, doryw-

czem

czem dziennikarstwem i sensualną dramaturgią — i zarazem wielkie, poważne, cywilizacyjne kroki robić. Literatura owa jaskrawa i przelotna u ludów tych zewnętrzną tylko jest oponą, a przeto umiały one równocześnie *hieroglify* odczytać nad Nilem, assyryjskie z cegieł podjąć napisy, z mroków islandzkich *Eddę* v. *Eddas* zbliżyć do nas i odszukać zarzucone książkami *Nibelungen*. Atoli wszystko to objaśnia tylko, gdzie mniej dobitnie lub dobitniej wycisnęła się cecha epoki, lecz bynajmniej onejże nie usuwa. *Czytanie*, o którym na innym miejscu wypowiedziałem, iż jest *sztuką*, znajduje się obecnie i pogłównie na stanowisku sensualnej potrzeby i rozrywki. Cechą jego główną w starożytności i aż do połowy średnich wieków było *czytanie głośne*, deklamacyjne, modlitewne. Tak wygłaszano *Epos* i *Legendę*, której ztąd osobna idzie nazwa. Czytaniu zaś owemu powinniśmy tok i nastrój wyższy, bo publiczny; tudzież poszła zeń eufoniczna ogólnosc względem dyalektów i ich odcieni, a nawet szczególny rodzaj *onkcyi*, która potem, we wtórej *epoce czytania samotnego i badawczego*, stała się zarodem rozględnej krytyki i etymologicznych prac poczęciem.

Niezbadaną jeszcze w głębiach swoich ale istną zdaje się być prawdą, iż postęp *twórstwa* warunkuje się postępem *czytelnictwa*. Ażeby mieć *bezwzględnie nowe*

nowe utwory, trzeba pierw istniejące w zupełności mieć odczytanemi. Te albowiem, które co miesiąc nowemi zwą ludzie bawiący się czytaniem lub wydawcy, są *odmiennemi tylko, nie nowemi*, to jest, iż np. po utworach osnowanych na materyalizmie, następują feeryczne i na mistycyzmie osnowane, lub po patryotycznych kosmopolityczne i t. p.... Ruch taki, jest *przemianą* tylko postawienia się na temże samem miejscu i utwory takowe wcale *nowemi* nie są. Jest to, zaiste, że zupełnie nowy wynalazek, za cel mający nietylko samemi przeciwstawianiami względów i obrazów, czyli samą *tęczy irradycyą*, ubawiać, i wyniszczać poczucie istotnych potrzeb umysłowych, ale nadto dawać kłamne uczucie, iż takowe przestępowanie na jednym miejscu jest postępowaniem i pochodem. Ostrzedz o tem czytający i opinujący ogół należy do obowiązku zbiorowych ciał umiętniczych, które ku temu uwzględniane i posilkowane bywają przez społeczność. I zapewne tę rzecz ciała owe sumiennie podnieść zamierzają, lub ją podniosły. — —

Od statecznego, zupełnego i dogłębnego odczytania istniejących już płodów literatury jak dalece pochód onejże i następna zależy autorska twórczość? to, na najpiękniejszym z przykładów, łatwo okazać. Podobno, że JEDYNYM z autorów społecznych

snych polskich, umiejącym *czytanie wyższe*, jest Szajnocha. Jemu to, gdyby naród za kilka kartek o *Popielu i myszach* (*»Szkice«*) ofiarował medal złoty z obywatelską koroną, nietylko iż takową społeczeństwa przyzwoitością nie byłbym był bynajmniej zadziwiony, ale byłbym ledwo zadowolony!... Te wszakże kilka kart Szajnochy, gdyby on sam był *dogłębniej* je odczytał, powinny były otworzyć lub dać hasło do otworzenia mnogich a wielkich milczeń przedkronikarskiej historii polskiej i powinny były już do teraz całą szkołę wywołać. Nic się jednak nie stało w podobnym względzie i samo nawet tak świetne Szajnochy odkrycie, zamiast dać polot, wstrzymało się...

Przyczyna tego jeżeli leży w obojętności czytelnictwa polskiego, to patrz wyżej, iż autor zatrzymał się na wskazaniu pierwszych liter głównych i uważał za dobre nie posunąć się aż do odczytania całej treści dlatego, iż takowe, bez narażenia się na pomyłkę, rzadko się dawało uskutecznić. Ale ja się pytam, czyli ktokolwiek z nas ostatecznie zaręczyć sam może za istotną podawanej przezeń prawdy historycznej pewność i czyli czasowi coś zostawiać w próbie tej nie mamy? Gdy, przeciwnie, zdaje się to być pewnością, iż zupełne jedynie i całe treści jakowej określenie powołuje interes czytelników.

Wyraz

Wyraz *mus*, w żyjącym polskim języku, znaczy po dziś dzień *pianę* — *musować*, znaczy *pieńić* — »*écumeur de mer*«, zapieniający morze, znaczy *pirat*. Tenże wyraz *mus*, niemniej po dziś dzień, w języku żeglarskim znaczy *pachotka okrętowego*, albowiem zarówno w *żeglarskim języku* (który jest osobny i słowniki swoje posiadający) jak w całym przyborze i ustroju dzisiejszych okrętów zachowały się w pewnej tylko części dawnego żeglarstwa spadkobierstwa. Szajnocha, toż samo innemi gdy stwierdza wyrazami, cytuje *dziwięć* egzekucyj, dokonanych przez »*myszy*« na osobach, mniej więcej zawsze *możnych*, wśród których jest arcybiskupów czterech. Z czego dopiero ten genialny pisarz wyprowadza wniosek (*niedoczytany*), to jest, iż łupiezcy na bogatych głównie godzili. Otóż ten właśnie wzgląd jest zaledwo że podrzędnym, i z pewnością że każdemu innemu wojsku i wojownikowi owoczesnemu równie spólnym, jak Nortmanom, tak dalece, iż w niczem on Nortmanów nie wyszczególnia ani nie objaśnia. — Przeciwnie nawet, wywnioskować można np., iż pod czasy owe tylko możni, bogaci i omurowani w swoich zamkach, załogi potężne trzymać mogli, trzymali i lada *myszy* nie jadły ich... Dla czegoż przeto taka plaga choćby na one dziesięć możliwych głów upadła??...

Nortma-

Nortmanowie, nieco za pośpiesznie nazwani korsarzami, nie byli bryłą rasy wypełniającą najazd. Coś, zaiste, wyższego ten posiadać musiał, kto, *narodem* nie będąc, po dwóch krańcach naraz morzami Europę oblegał, na *Oceanie*, *Śródziemnem morzu*, *Czarnem* i *Kaspijskiem* ARGONAUCIŁ... (słowo to, argonaucić nowe jest i moje — przepraszam za nie) — — kto Saracenom Sycylię wziął, a Imperatorom greckim i lombardzkim królom część Italii — zatrząsł Konstantynopolem — przykazał Anglii i uzasadnił się we Francji, A potem jeszcze, w Ameryce, *Kanadę* odkrył i *Luizyanę*, i założył *Quebek*; kto, na polu praw, dotrzymał wielkiego *Trybunatu* (Echiquier) *konstytucję* i okrzyk »*haro!*« — tudzież na dzień wielki Chrześcijaństwa: »*Diex el volt...*«

Północy-syn, *Nord-man*, skandynawski »*viking*«, *zatok-król* (»*vik*« zatoka — *king* — *kyning* — *könig*), nietylko umiał nawoływać wielkie burze i ciemne noce, by nastrojał wtedy żagle swoje, i nietylko w religii miał swojej, iż śmierć na spokojnem łożu (*strä od*) obrzydła jest niebiosom; ale on jeszcze miał *dogmaty* zawiązujące towarzystwo:

słowa dotrzymać rycerskiego — przeniewiercą brzydzić się, *sponiewieranego*, *uciśnionego*, *wdowę* i *sierotę* ochronić i pomścić...

Bystro

Bystro wyraża się o strategii Vikingów historyk, mówiąc: »la terre marchait devant eux et subjuguaient par avance...«

Wiedzieli oni dobrze i »par avance« przez »musów« swoich, że gdzie? na kogo i za co? skoro Boży sąd upadł, pozostanie on mimo dostojęństwa i mimo bogactw we wieży swojej albo odbiegnięty przez załogi i lud w godzinie próby, albo, co straszniejsza, umiejętnem i dwuznacznem milczeniem rzeszy i opóźnieniem ratunku, przejdzie w groźne Vikingów ręce*. Monarchowie tak nieraz podsuwali Nortmanom całe te prowincje swoje własne, które zasługiwały na niełaskę, a nieinaczej czynił i głos ogółu tej lub owej miejscowości względem możnych. Ztąd-to i u kronikarzy w zapisywaniu zdarzeń o »myszach« jest niejaka metaforyczność i oględność wielce delikatna... Jakoż, to z wielości ciał potrutych, które się wodami jeziora rozplynęły... wyszły były natychmiast myśli owe, co — mimo iż (niekoniecznie z wielkim zapalem i przez całe *pospolite ruszenie* narodu) bronionego — monarchę zagryzły!...

Wieści o sprawach miejscowych od brzegów Polski dochodziły były w dniu jarmarków nawet i do samego świętego miasta Odyna!...

Adam

* Pozostawić coś na zjedzenie myszom, to jest porzucić na ustroni i opuścić.

Adam Bremeński mówi o mieście *Birka*:

»miasto położone w środku Szwecyi, opodal *Upsali*, świątyni najslawniejszej u idolarów Sueonów, tam, gdzie golf barbarzyński czyli *Baltycki* ciągnie się ku północy...

»... droga jest niebezpieczna... i wszelako najpewniejsza z dróg u brzegów Szwecyi — tam okręty duńskie, norweskiskie, *słowieńskie*, tudzież *Sembów* (mieszkańców Prus) i innych Scytyjskich ludów, zatrzymywać się zwykły dla jarmarków, na których jest wymiana produktów ziemi«.

Vitalisy późniejsze (*przyjaciele Boży, a nieprzyjaciele ludzkich względów*) byli już arcy-upadłem i nieumiejętnem religii Vikingów naśladownictwem. Siły historyczne tak dziwnie bywają trwałe, że Byron, tworząc typ *korsarza*, i on sam i krytycy utrzymywali, iż na widoku miał jakiś typ idealny, gdy tymczasem to tylko idealne określenie tego normandzkiego człowieka, którego Byron we krwi swojej nosił... i nic więcej! —

Wyznałem, iż szczęśliwymi są ci pisarze, którzy mogą bezzbocznie samego się przedmiotu trzymać; przyszło jednak rozszerzyć niniejszy *wstęp* i o napozór ustronnych mówić rzeczach; przeto, iż za cel mam rozejrzenie i odczytanie starożytnej pieśni polskiej

skiej »Boga-Rodzica«, od ośmiuset lat z różnym wygłaszanej zapalem, lub z różnego stopnia i rodzaju uwagą czytanej. Do ła zaś zbyt długim albo niewystarczającym ten wstęp jest, okaże się to dopiero w ciągu rzeczy.

Mniemanie jest moje, iż, pomimo *akademickich definicyj* i skrzętnych poszukiwań, nie ma jednak lud żaden onej właściwej Epopei, która skarbem jest Greków. Są zaprawdę arcy-piękne i napozór podobne do Epopei utwory, to późniejsze, to starożytne, tak, iż one, w sensie potocznym mówiąc, za należące do tegoż samego dzieła rzędu liczy się. Nie przyjmuje ich jednakże sąd ścisłejszy. Obraz z nich literacki złożyć można, lecz poddać pod krytykę niebezpieczna. Atoli, porówni mniemam i widzę, że *każdy lud, jako Grekowie*, jeżeli nie tak wytwornie upojedyńczoną Epopeję, to onejże żywioły lub pracę posiada. I że Epopeja przeto jest żywotnym warunkiem ludów historycznych, który tylko najformalnie u Greków wyraził się, ale niemniej każdemu jest właściwym. Policzyłbym zapewne *Torquata Tasso* i *Cervantesa* nawet, *Mickiewicza* lub *Słowackiego*, między Epopei twórców, lecz *tam*, gdzie i o samym *Virgiliuszu* możnaby nie zwątpić!... Sąd jednakże właściwej krytyki estetycznej nie może być na stopę zwykłego poglądu literackiego.

Epo-

Epopeja jest utworem nastroju wysokiego, opiewającym bohaterstwo o *czynności jednej* i wybranej jako określnik całości jakiej sprawy obchodzącej naród i epokę. — »*Achilla gniew!*...« jest wszystko.

Nadto, ma ona jeszcze rozwojowe warunki *intrygi*, *osi*, czyli *węzła* swojego żywotnego, a po szczególe *inwokację* i *zakłęcie*. *Cudowności* także używa, lecz i sami to gramatycy zgodnie przyznają, że »*poecie tej tylko cudowności używać wolno, w którą on sam wiarę pokłada*...«

Tu — — ażeby wstęp mój, i tak już nieco przydługi, uhamować, wypowiem: że powyższa definicya znacznych rozszerzeń dziś wymaga. Że *formalnego potomstwa* taka (lubo właściwa) Epopeja nigdzie nie ma. Że praca ta jednakże, wszędzie istniejąc, stanowi u ludów innych rodzaj *wielkiej księgi* narodu, choćby księga taka nie była sposzytą w jeden tom; lecz że *ona moralnie wszędzie istnieje i istniała*. Niekiedy nazywają ją i »*Literaturą!*...« Pochodzi to z przyczyny, iż nietylko pojedyncze umysły pracują, ale i wzajemne ich ześrodkowanie i całość... Tak Epopeja pojęta zda mi się *opiewać dzielność jakowego ludu*, a *dzielność* jest to jego *praca* i *nabożeństwo*. — U Homera też, dwie te rzeczy gdyby odjęło się, zostałyby romans lub powiastka.

Dla tychto więc zasadniczych elementów i ażeby do

by do pierwotnych źródeł Epopei Polskiej przybliżyć się, biorę sobie za cel rozejrzenie i odczytanie pieśni »Boga-Rodzica« ze stanowiska historyczno-literackiego.

C. N.

TEKST.

BOGA RODZICA DZIEWICA, BOGIEM SŁAWIONA
MARYA — U TWEGO SYNA HOSPODYNA

MATKO ZWOLONA,

MARYA — ZIŚCI NAM — SPUŚCI NAM

KYRIE ELEJSON TWEGO SYNA

CHRZCICIELA ZBOŻNY CZAS.

USŁYSZ GŁOSY, NAPEŁNIJ MYŚLI CZŁOWIECZE,

SŁYSZ MODLITWĘ — JENŻE CIĘ PROSIMY,

TO DAĆ RACZY — TEGOŻ PROSIMY:

DAJ NA ŚWIECIE ZBOŻNY POBYT,

PO ŻYWOCIE RAJSKI PRZEBYT,

KYRIE ELEJSON.



karbnica archeologii żywotnej, Kościół Katolicki Rzymski, przechował nam najstarszą formę literacką nazywania rapsodów *od wyrazów pierwszych wiersza pierwszego*. Przed papieskimi bullami, uznane za ogólną własność hymny, rapsody, pieśni, i jakoby do *wielkiej księgi narodu* policzane, wyzywano po pierwszych onychże słowach. A to że źródła tego, iż *śpiewający-pierwszy* zagajał jakoby chór, lub uwagę lub uciszenie się zboru powo-

powodował, wyzywając, co ma być głoszone. Tak np., jakoby dziś gdziekolwiek polski lud zebrany miał się do pieśni i jakoby *pierwszy śpiewak* zawołał: »*Kto się w obronę!*...« intonując przez to *Dawidzki psalm* według tłumaczenia Kochanowskiego.

Pytanie jest wielkie, acz w tem piśmie *osobne*, i które po części tylko tu nadmienię: czyli *Odysseja* w obyczaju wulgarnym u Acheów nie nazywała się, jak my ją piśmiennie zowiemy: »ΟΔΥΣΣΕΙΑ« — ale raczej: »Ἀνδρᾶ μοι ἔννεπε...«?

Wytlómaczenie to nazwy hymnu świętego Wojciecha zarazem jest od pierwszego słowa dowodem, do ila ta pieśń żyła w duszach i od jak nieskończenie dawna do *wielkiej księgi narodu* należała.

Wyraz »*Boga - Rodzica!*...« wyrzeczony po pierwszy raz na krakowskim rynku, a potem powtarzany »*wszerż i wdłuż całej Polski*« ówczesnej (oprócz *Gniezna*), bez pominięcia »*najmniejszego nawet siola*« (Długosz w *Dziejach*), gdzie przez lat 3, jako Zbawiciel, ewangelizował św. Wojciech: wyraz ten »*Boga-rodzica!*« tłumaczył naraz wszystko zbierającemu się ludowi. On, że »*dobra nowina*« jest potwierdzana albo i przyniesiona, głosił sam przez się. Słowa zaś wielkiego męża Bożego »*prędko po całej rozechodziły się krainie*«. —

Co wię-



Co więcej — mniemanie jest moje, ze starannego uważania budowy ogólnej »*Bogarodzica*« powzięte, iż składa się ten poemat modlitewny z części *dwóch*. I że pierwsza część, poczynająca się od wyrazu »*Boga-rodzica*«, zaokrągla i zamyka sens swój pierwszy na finalnym obrazie ostatecznych widzeń skrós nieba »tam« — gdzie już tylko jest »*widzenie Twórcy anielskie bez końca!*...« a po jakowem słuszną jest, iż nietylko żaden *Dante* ni *Calderon*, ale nawet i ścisły teolog, nie potrafiliby cokolwiekbaż za rozwijające też samą treść dalej uznawać. — Jakoż, po takowemto tej pierwszej zamknięciu części, spoziera jeszcze raz oko śmiertelne na padół, mówiąc z westchnieniem:

»*Tu — — się nam zjawilo dyable-potępienie!*«

I rozpoczyna się odtąd *część-wtóra* tegoż samego poematu, taż sama treścią, ładem i żywotnością teologii, ale we wszystkim bliższa warunków historyi doczesnej Kościoła wojującego i *Pasyi Boskiej*. I ta znowu *po wtóryraz zamyka się, jak pierwsza*, po siedemkroć wyśpiewywanem »*Amen*« przez wyznawców i chóry radujących się *sił niebieskich* przy odwarciu bram Raju.

Zbudowanie takowe *dwóch sfer hymnu* arcywidoczne jest, choćby tylko z przyczyny *dwóch ostatecznych końców* treści.

Pierwszej

Pierwszej przeto części — pierwszego wiersza słowa pierwsze dają nazwę rapsodu sposobem bull papieskich i początkują inwokację przez tę patetyczną formę deklinacji, która zamiast *piątego* przypadku używa *pierwszy*. Zamiast odrazu »O! Maryo...« jest jeszcze trzykroć pierwiej Imię w przypadku pierwszym, lub przymioty toż Imię zastępujące, — dając tym sposobem wyraźną *Litanie* wstępną:

Boga-Rodzica-dziewica!
 Bogiem sławiona Marya!
 (u Twego Syna *hospodyna*)
 Matko Zwolona —
 Marya!...
 Ziści nam — spuści nam:
 Kyrie Elejson...

Twego Syna, Chrzciciela, zbożny czas.

*

Zupełne zbliżenie tych wyrazów »Syna« i »Chrzciciela« cechuje epokę ewangelizacji u Słowian, gdzie syn Zacharyasza i Elżbiety nie uprzedza o nieco czasu Zbawiciela, ale gdzie *Chrzest* i *Chrystus* razem się jawią. »Zbożny czas« nietylko w tymże *tu* jest sensie, ale opiewa on zarazem i *czas zbiorów zboża*... raz, z powodu, iż wszystko w tej pierwszej części poematu kreślone jest na jednym tle sielskiem i *kmiecem*, drugi raz, iż odnosi się to wyrażenie do podo-

podobnego jemu lub wzorującego je, u Ewangelisty Mateusza (IX, 38): *Proście-ż tedy Pana żniwa, aby wysłał robotniki na żniwo swoje* — czyli — »u Twego Syna« — Pana (*hospodyna*) »ziści nam, spuści nam — — *zbożny czas*...« — czas zbiorów zbóż należących do »Pana żniwa« — »dominum messis«.

»Kyrie elejson«, które w tej pierwszej strofie części pierwszej użyte jest dwukrotnie, a później już w całym ciągu pieśni niepowtarzane, — raz, zamyka wstępną *Litanie*, która może w oryginalnych pierwszych rękopismach była lub bywała dłuższą i więcej rozwiniętą; drugi raz, zdaje się być muzycznym strofą odcinkiem. Że albowiem ta pieśń *długo i częstotliwie była śpiewaną*, to znać jest na niej samej tak, jako dziś ją mamy, i to każdy nieco we filologii biegły zapewne uważał.

*

Usłysz — GŁOSY...
 Napelnij — MYŚLI...
 Słysz — MODLITWĘ...

Stopniowanie to umyślne, bo które jeszcze pierwiej spotyka się we wyrażeniach po sobie idących »ziści«, »spuści«, — jest tak prawie że bezprzykładnie pięknem i arcydzielnem, tak zarazem głębokiem i estetycznie udziałanem, iż, gdyby tylko te jedynie

dynie z całego utworu wiersze zostały, już umieli-
byśmy wyraźnie poczuć, dlaczego i *Wujek* i *Skarga*,
o tej pieśni gdy mówią, są w niej jakim zachwycie,
ze stylu ich, słów i określeń do dziś czytelnym.

Jest to, zaiste, że prawdziwa i podobno jedyna,
jaką my posiadamy, GLOSA pierwo-chrześcianańska.

I dlatego-to dalej, po takiej *Glosie*, idzie już to
jęczenie, które bywało u pierwszych Chrześcian sto-
pniem pewnym i przymiotem *glossolalii* właści-
wym — — »*jenże!*...« czyli: *jęcząc prosimy Cię...*
i stopniowany jeszcze docisk jęku: »*to* dać raczy,
tegoż prosimy...«

Rozjęk zaś takowy, modlitwą wewnętrzną i śpie-
wem ustopniowany, należał był tak nierozłącznie do
modlitwy śpiewnej, jak i niektóra część białego rę-
cznika, jakiej używa kapłan przy Mszy św., począ-
tek swój wzięła od potrzebnej *chusty do ocierania*
łez. Czytanie pomników albo musi się archeologią ży-
wotną posilkować i oświecać, albo pozostać uzala-
niem się na brak źródeł (których częstokroć jest za
wiele), a nieodczytawszy prawie NIC, wszystko ob-
mierzić, bo uczynić i *ślawnem* i *nieżnanem!**. —

Nieo-

* *Umiejętność mowy*, będąc najmłodszą z nauk, albowiem dopiero
kilkadziesiąt lat licząca, a w postępach swych będąc może najszyb-
szą, wynika z tego, że należy się jej albo równie szybka poręka
wydawnictwa i ruchu umysłowego, albo spóźniane lecz przytomne
rektyfikacje. Co do *glossolalii*, zaden filolog (oprócz C. N.) nie pod-

Nieocennie drogą jest to rzeczą, iż w najpierw-
szych *trzech słowach* pieśni:

»*Boga — rodzica — dziewica*«

lat temu osiemset był już obwołanym dogmat, o któ-
rym, skoro za dni naszych stało się solenne i pon-
tyfikalne kościoła orzeczenie, wielu ze spółczesnych
publicystów jakoby »*o wynalezionym nowo*« dogma-
cie prawo!...

Do osobnego zaś podniesienia należy w tym
ustępie użyty wyraz: »*hospodyna*«. Wyraz ten jest
podobno jednym z najstarożytniejszych fragmentów
pierwo-słowieńskiej cywilizacji, lecz u Polaków,
gdzie się społeczność wcześniej uzasadniać poczęła,
wyraz ten wcześniej się rozmnożył na »*gospodarzy*«
i jedną z pierwotnych swoich stradał godności. U po-
łudniowych Słowian dłużej trwał on w jednym z pierw-
szych znaczeń swoich, ale na Wołoszczyźnie i to zna-
czenie

nosił jeszcze tej kwestyi w Europie. — Co do formy Litani, którą
tenże za jeden z peryodów Glossolalii okazuje, nie jest dotąd jasne,
czyli ta forma, za czasu pierwszego najścia Tatarów, gdzieś wśród
chroniących się i zmodlonych utworzoną i wyłkaną poczęła się,
a dobrze później w obleganym Wiedniu austriackim wybrzmiewała;
czyli, jak mniemają inni, *niemniej pod ogólnym ciosem*, i pod przewo-
dnictwem świętego Mamerta, we Wiedniu Delfińskim (Vienne en
Dauphiné), wygłaszana poczęła być? Archeologiczna ta wątpliwość
nie odmienia natury źródła, w każdym razie albowiem *litania* ze
zbiorowej glossolalii poczęła się. C. N.

czenie spotworzyło się tak, iż niektórzy etymologowie, pod jednej epoki wpływem będący, tłómaczą »Hospodar« od greckiego i bezpośrednio wyraz ten z »Despotą« łączą. Indziej, wybrzmiewa on jeszcze: »pan — sir — mon-sir v. monsieur«.

Atoli pierwsze, kardynalne znaczenie słowa tego wiązało się było z praktyką pierwszych religijnych zasad. — *Gościnność*, na początku, nie była samem tylko uczuciem i obyczajem, ale *religijną* praktyką, osadzoną na tej wierze, iż bóstwo może posyłać ludzi wędrownych, czy jak później usubtelniono: *przybierać ich zewnątrzność* — że *postańcy* czyli *aniołowie* przyjmami być mogą w gościnnych domach pod mniemaniem, iż ludzi przyjima się. Ci zaś, bez zostawiania *darów* nie odchodzili, i należało baczność mieć dla wszystkich czujną i ochotną. »*Gospodyn*« jest to »*Gość a Pan*« a »*jedyny*« — a we skandynawskim dobrzmieniu »*Gość-a-Odyn*« — a w dobrzmiennach innych jeszcze toż samo. Nie ażeby etymologij wiele miał jeden wyraz, ale iż starożytność wyrazu udziela mu wiele wpływów wielu epok. *Hospodyn* jest to hebrajski »*Emmanuel*« poniekąd, wyczekiwany i spodziewany *Gość*, ale i *Pan!* — ku czemu, po przemianie praktyk religijnych, pozostało już obyczajowe, ale arcy stare przysłowie:

»Gość w dom, to *Bóg* w dom« — a to jest »*Gospodyn*«.

spodyn«. — Nazwa ta po żeńskiej stronie pozostała z powodu małżeństw chrześciańskich, które z *jednożeństwem* uidealizowały kobietę (»*Gospodyni*«) i niejako anielski charakter przyznały jej.



T E K S T.

NARODZIŁ SIĘ DLA NAS SYN BOŻY,
W TO WIERZYI, CZŁOWIECZE ZBOŻNY,
IŻ PRZEZ TRUD — BÓG SWÓJ LUD
ODJĄŁ DYABŁU Z STRAŻY.

PRZYDAŁ NAM ZDROWIA WIECZNEGO:
STAROSTĘ SKOWAŁ PIEKIELNEGO.

ŚMIERĆ PODJĄŁ, WSPOMNIAŁ CZŁOWIEKA PIERWSZEGO.
JESZCZE TRUDY CIERPIAŁ BEZMIERNE,
JESZCZE BYŁ NIE PRZYŚPIAŁ ZA WIERNE,
AŻE SAM BÓG ZMARTWYCHWSTAŁ.



Wyrażenie, iż Syn Boży »dla nas«
narodził się, jakimkolwiek bądź to-
nem określające *wyłączność*, za-
trzymywać nie może teologicznej
myśli, ale jest ono niesłychanie
ważnem dla historyka. — Owszem,
wątpię zupełnie, ażali, bez wyro-
zumienia historycznego tych słów, można jakakol-
wiek mieć pretensję do oświeconego patriotyzmu?
który jeżeli nie jedynym jest celem historycznych
prac, to pewna, iż z głównych nieostatnim. Dla Be-
thleemu, pod panowaniem rzymskiem, i dla Sanhedry-
nu w Jeruzalem, nie tak zaświtała gwiazda pańska, jako
dla wscho-

dla wschodnich trzech książąt i mędrców. Inaczej oka-
zał się Zbawiciel na Via-Appia w Rzymie, kiedy już
w powietrzu siarczył się pożar miasta i gotowały się
początki *Dziesięciu prześladowań krwawych*, ażeby,
z tych wyszedłszy jako w purpurze, wywalczał nią
na nowo Chrześcianizm u *genialnych impostorów*
i u pełnych *talentu* herezyarchów.

Nowy i zupełnie starożytnemu państwu nie-
znany stopień *posłuszeństwa* trzeba było nadto do-
skonalemu rzymskiemu przedstawić *urzędowi*, a skro-
mną *męczeńską niezłomność* pompatycznemu *heroi-
zmowi*. Ze wszech miar wyrobionej *elokwencji* prze-
ciwstawić zdrowe i szerokie słowo *Ojców Kościoła*,
a *attykom* przeciwstawić *apologistów*. Metaforyzm
przeto wyrażenia — iż »narodził się dla nas Syn Bo-
ży...« — w tymto sensie znaczenie ma i osobne i nie-
poślednie.

Prawda, jako meteor Epifanii, nad Arameeńskim
starożytnym światem przeszła, objawiła się we wy-
branem izraelskiem człowieczeństwie; ale, już ona
we wszystkie historyczne i cywilizacyjne potęgi od
stóp do głów oblekła się była pierwszej w sferze grecko-
rzymskiej, nim pojrzały na nią i pokłoniły się jej ku
ziemi ludy *pod-północne*, nim *północne* na chwilę osłu-
piały, na chwilę wyzwały ją na nierówny, lecz szczery
i rycerski pojedynek, lub, po rozmyśleniu głębokiem,
rzekły

rzekły jej »amen«. — Szwedzki *Olof* na zgromadzeniu ludu, na *Tingu* jeneralnym, na *allshärjarting*, przedstawia kwestyę chrystyanizmu. Rzucone są gałki losu i kwestya na porządku dziennym stawia.

Wtedy podnosi się jeden starzec, w te słowa mówiąc:

— »Usłuchajcie!... Ty, narodzie, i Ty, królu!... Wiemy już wszyscy, iż chrześcijański Bóg spomaga tych, którzy weń wiarę mają. My dowody tego mieliśmy i w niebezpieczeństwach na morzu i w innych... Za cóż to odrzucać, co nam użyteczne być może? lub gdzieindziej tego poszukiwać, co samo *do nas* przyszło — ? Niejeden już z naszych, ażeby o tej religii nowej powziąć języka, udawał się aż do *Dorstadu* — a przeto to wam radzę, ażebyście przyjęli wdzięcznie sługi Tego Boga, który wielmocniejszym jest nad wszystkie inne i u którego zachowanie zawsze jest mieć dobrze, skoroby się inne bogi przeciwni dla nas okazały«.

Na mocy tychto słów, ogromnym oklaskiem całego *Tingu* utwierdzonych, rozpoczęła się ewangelizacya Szwecyi.

W *Danii*, cesarz Otton I-szy, pobiwszy Harolda, kładzie możność ewangelizowania narodu za warunek istnienia jego i korony. I miecz odpiera mieczem. W *Norwegii*, świtający jej chrystyanizm tak
ze wszech

ze wszech miar groźną i otwartą spotyka postać ludu, iż chrześcijański *Jarl-Hakan* nie ośmiela się wiary i celów swoich wyznać na publicznym *tingu*. Owszem, wyciąga rękę ponad sakryfikatorski kubek starców i, dla sumienia swojego krzyż zakreślając w powietrzu, daje ludowi zrozumiewać, iż czyni *znak młota Odynowego*... Alić tamże *Olof Tryggwason* inaczej rzecz tę rozstrzyga: »...chcecie (mówi on do zgromadzonych), ażebym jako *Hakan-Jarl* w ofiarowaniu idolatryjnym udział bierał...? czynić to gotów jestem i immolować będę nie już podrzędne jakie ofiary niewolników, lecz naprzykład sześć najwyżej podniesionych głów ze szlachetnych waszych przywódców... temu zaś gwoli, myślę, że idole się uradują!...« a to rzekłszy, gdy sześciu z pierwszych w tłumie mężów skazał na gardło, pochrzcili się.

Północny człowiek nieinaczej i w *Ultima Thule* z krzyżem się spotkał. *Thormod* wylądował w Islandyi, z desek kościół postawił, odprawił mszę. Potem siedmiu klerków z kadzidłami wyszło na przodku w miejscu idolatryjnego zgromadzenia i obwołaniem zostało chrześcijaństwo jako obowiązujące wyspę. Spółcześnie iż wulkan cisnął był ognie, wróżyli jedni, że bogowie za Odyna czcią się ujmują, drudzy, iż nowy bóg z mocą wziął królestwo. Naówczas *Thorger*, mąż idolatryjnemu prawu wierny, wysłuchawszy

chawszy te i owe wnioski rzeszy, cofnął się do namiotu swojego i, na głowę płaszcz arcykapłański zarzuciwszy, pozostawał tak, milcząc, jedną noc i jeden dzień. Zaś dnia następnego podał ludowi prawo, obowiązujące wszech-Islandyę do przyjęcia chrztu i chrześcijaństwa z obaleniem posągów i świątyń i z uderzeniem banicyą, ktobykolwiek o ofiarowaniu bałwanom był przekonany. Wielką wszelako nędzę ludu islandzkiego mając na względzie, przyzwolił on pożywać jeszcze mięso konia i eksponować dzieci zwyczajem dawnym.

Rzecz ta, gdy przez cały *Ting* jednomyślnie została przykłaśniętą, *Thorger* uchylił czoło swoje i przyjął chrzest.

Moc ubóstwić — męstwo dla samegoż męstwa praktykować i energią dzielności upajać się, — że jedynym było dogmatem walhalicznym, przeto i chrześcijaństwo tam nie weszło, jak do Aten lub Rzymu, ale raczej *z sądem i z mieczem*, pomiędzy twarde, siwe krocząc skały i pod niebem ciężkimi chmury osłupionem. Jeżeli wszelako to, co *rozsądkiem* nazywa się, może być przyrodzonym i etnograficznym darem, tedy zaiste że tylko *północny człowiek* jest z przyrodzenia *rozsądny*. —

Arameeński mąż, *Heber, Abraham*, na czemś więcej niżli na *rozsądku* osadzał się, skoro mu przychodzi-

chodziło wyjść z Chaldei, lub na syna własnego ponieść nóż... U *Greka*, rozsądek jest wynikiem estetycznej symetrii, ale żaden grecki bohater przez rozsądek nie słynie pierwszorzędnie, i raczej przez zapał tylko, lub przez dowcip. Rozsądek, nareszcie, Rzymianina zależy na patrycyalnej ciała powadze, na panowaniu nad sobą samym i na dyplomatycznej mierze słowa, jakoby tam nie zapominać umiał szlachcic o pontyfikalnym swojego pochodzenia obowiązku. — Zaiste, że te osobliwe geniusze ludów dopiero się w całej posagowej ich nagości wtedy ogląda, kiedy do nich chrześcijańskie światło zbliżyło się, ten a nie inny uwydatniając profil postaci. — I dlatego arcy jest godnym rozejrzenia wiersz ten »*Boga-Rodzica*«, że: »*narodził się DLA NAS Syn Boży*«.

Świadomość ta, iż ze wszech miar prawomocnie — i nieledwie powiedziałbym, że właściwie i *rozsądnie* — do pod-północnych ludów ewangelizowanie ich nadeszło, — należałaby do prostego rozglądu samychże historycznych następstw, albo do obecnej o nich wiedzy, i nic ona w sobie nie miałaby dziwnego ni osobnego. Wszelako jeżeli sam apostoł, na miejscu i w czasie czynności swojej świętej będący, tak samo o przyjściu chrześcijaństwa do Polski powiada i za *nieuniknione koniecznie je uważa*, —
tedy

tedy godzi się i można to poczytywać za charakter godziny, w której słowiaństwo polskie do chrześcijańskiego ogółu przystępowało. Zaś pracy tej, i po szczególnie niniejszego tejże pracy paragrafu, właśnie iż myśl ta celem jest. We wypowiedzeniu albowiem, iż »*narodził się DLA NAS Syn Boży*«, widzieć chcemy nas samych onejże godziny ku temu zgutowanych. — (Constant. porph. de adm. imp.⁶³). »We Wisłicy« (podobno tej samej, w której o wiele potem późniejszy Łokietek miał widzenie Matki Zbawiciela) »*we Wisłicy, stolicy Wiślan*, nad Nidą, rządził *Wyszisław v. Wyszewit*, Βουσεβουτςες, bałwochwalca, który wyszydając chrześcijaństwo szkodził onemuż. Do niego apostoł Metodyusz te słowa wyraził, mówiąc:

»Radzę-ć, synu! *ochrzć się sam i na własnej ziemi twojej...*

»albowiem gdybyś tego nie dopełnił, tedy będziesz ochrzczonym, *lecz na cudzej...*

»I naonczas mnie spomnisz. — — —«.

(»Krestiti synu woleją swojęą na swojej zemli — da ne plenen nadmi budieszi kreszczen na zemli czużej... pomeneszi me!«) — (Method. — u Polewoja).

Nie było to więc ani tajne samymże wiary ścieżki krzewicielom, ani oni tego uważali za niewypowiadania

dania godne, iż do słowieńskiego ludu Chrystus przyszedł w majestacie i w mocy.

»*Północ*«, w sensie biblijnym, oznacza stronę mężów i grzeszników — jakoż, dla człowieczeństwa przyszedł Zbawiciel i nie dla niepotrzebujących lekarza, lekarz.

Łatwość przeto tę zapewne bacząc, z jaką słowieńskim dane było ludom przystąpić do chrześcijańskiej ogólności, — obwołuje dalej pieśń apostoła, aby nie zapomniano, iż

»*przez trud*, Bóg, swój lud
odjął dyabłu z straży«.

Istaranniej jeszcze kładzie on na tem przycisk, iż w *Kościele Cierpiącym* też samą treść podnosząc po śmierci:

»*Jeszcze trudy* cierpiał bezmierne,
Jeszcze był nie przyśpiał...«

Podobno, że po wszystkie czasy, u *umiarkowanego naturalnie* temperamentu Słowian, a zwłaszcza i dlatego, Słowian geograficznie *środkowych*, bywało rzeczą łatwą, zyskać ogólne przyklonienie się. Czy to jest dobrze, albo źle, tu nie roztrząsam, ale pewną jest rzeczą, iż ostatecznie wszystko za ogólnem przyznaniem i że tak od wieków się u nas rozstrzygało. Samowładztwa nawet najwyższe były z elekcyą razem. Słowianin zasadę tę, która z natury

tury swojej miała być naturalnym despotyzmu hamulcem, aż do przymusu sam posuwał, — tak dalece jest ona u niego główną. Wybór »*Piasta*«, na końcu bieżącej historyi polskiej, jest tenże sam, co *Piasta kruszwickiego* albo *Czarnego Leszka*... (*Tratka*, 1279, mówi: »Po Bolesławie przez wybór nastął Leszek«). — I dlatego to »*Piast!*« za ostatniej epoki królów, jako okrzyk zarazem i jako *Idea*, już wybrzmiewa! Podobno, iż narody w kardynalnych kryształach swojego zasadniczego principium nie odmieniają wcale — podnoszą je, rozwijają, doskonalej lub mniej doskonale aplikują, lecz nie zmieniają.

Ku północy i morzu — ku południowi i jego słońcu, opór, jaki stawiał Słowianin chrześcijaństwu i ewangelizacyi, zapewne był więcej stanowczym i wyraźniejszym. Co do właściwego »*skruszenia bałwanów*« na słowiańszczyźnie środkowej, wiele jest w tem kronikarskiem wyrażeniu do istotnego *odczytania*. Książęta nowo pochrzczeni zamach ten przejęli od braci monarchów, gdzie on twarde granity za cel miewał. *Świątynie* były, wprawdzie, niekoniecznie jak one opisywali *wędrowni kupcy* w swoich bogatych opowieściach, lecz na pośrodkowej słowiańszczyźnie arcy mało w świątyniach tych było do *kruszenia*. Co innego jest symboliczny pierwszy zarys



zarys budownictwa, a co innego właściwa architektura. Wyprowadzenie »*komina*« na dach dopiero za Łokietka w powszechne użycie wchodzi, lubo symboliczne budownictwo leży i w posadach *mogił*. Toż samo jest i co do *pisma*, które zawsze i wszędzie z budownictwem ma związek. *Litera*, w umiejętnym i obowiązującym jej sensie, niekoniecznie swoje ugruntowanie znajdowała była w umyśle i temperamencie Słowian, lubo, że przedchrześcijańscy Słowianie mieli swoje PISANIA, jakkolwiek nieodnalezione dotąd, ja najmniej nie wątpię o tem. Z poszukiwań własnych, gdyby ramy tej tu rzeczy dozwalały, zdołałbym mówić w tym przedmiocie. Najstarsze »*runy*« pisały się w krąg koła (patrz np. *kalendaryz Runiczny*) i kreślone były jako wełna strzyżonego barana ofiarnego, zwijana w krąg i rozwijana, co dlatego wybrzmiewa »*Runo wełny*.« Nie uważam także za wieści »*czcze*« i »*podstawy niemające*« (według zdania pisarzy naszych), jakoby Bolesław Chrobry kazał być jakieś z czasów pogańskich »*księgi popalić*« — lubo *deski* te albo ich szczątki nie są znalezione. — — Dzisiejszem zapewne pismem Bolesław »*wydawał edykty*«, ale jakowemi urobionemi w społeczeństwie drogi i środki edykty te roznosiły się i na prądach jakiego sposobu publikowania onychże?... to, z istotną ścisłością, nie jest jeszcze dotąd rozej-

rozejrzane. Atoli, monarcha ów, doraźnie i ręką silną, *cały jakowys zborny porządek rzeczy* przełamał i stłumił, skoro tenże, za pierwszym *stanu* osłabieniem, zgarnął się był natychmiast w dawne koła i pod pierwo-słowieńskie *cechy* i *znaki*, za Masława, z którego *kosami* (herb — *kosy*) podniosło się przeciwchrześcijańskie od-działywanie. I ogół to ten sam, cały, odwrócił się przeciw kościołom, który temu *kilka-dziesiąt lat tylko* (czyli w historii jakby *zeszłego wie-sięca*) ze świętym Wojciechem całą wiecą narodu »Bogarodzica« śpiewał, a teraz zapewne pierwotny onej rękopis, wraz z »fundacyjnemi dokumenty i pierwszych przywilejami biskupstw« (Długosz II. 96), płomieniami pożarów zatracił. Lecz to jest zarówno i tenże sam ogół, który niemniej, skoro po dobie upamięta się, wyraz »*hospodyna*« (podobno, iż jedyny w polskiej poezyi, a w onejże użyty pieśni wielkiej) odpomni nanowo w hozannie dla Kazimierza (»A witajże nam, witaj, miły *Gospodynie*« — *Bielski*).

Tak łatwy to umysłów ogół na względzie mając, zarówno wypowiada święty Poeta, iż »*narodził się dla nas Syn Boży*«, i zarówno coraz to silniej dodawa, aby pamiętano, »iż przez *trud...* i *przez bezmierne trudy...*« utwierdzają się w ludzkości owo-

owoce *dobrego poselstwa* i dzieło zbawienia gruntuje się.

Wyrażenie »*starostę piekielnego*«, lubo wobec rozbioru treści, który tu podjęliśmy, jest podrzędne, — godzi się wszelako zważyć jako dowód zupełnie swobodnej wolności słowa i naciskiem żadnym zewnętrźnie nieupodejrzliwionej. Godność albowiem starostów jest arcy słowieńska i pierwotnie od powagi wieku samego pochodząca, a którą to po szczególnie *przedchrześcijańska moralność* do zupełnego doprowadzała despotyzmu, tak, iż starzec-starszy rozkazywał jeszcze młodszym-starcom i że przeto moralny sens w archeologicznym tracił się wątku. Urzędy z tegoż wprost wyrosłe nazbyt w kwalifikacjach swoich objęły były *prawo przedawnienia*. Zaś chrześcijańskie pojęcie o godności wieku na szerszej się uzasadnia prawdzie. Literalnym nadto powodem, iż użyto tego wizerunku »*piekielnego starosty*«, stała się i ta wierność świętemu pismu, jaką, obok filozoficznej i poetycznej twórczości autora, w całym utworze jego ciągle napotyka się. Starosta tu albowiem odpowiada (u Ew. Mateusza XII. 29) Mocarzowi w grodzie obronnym, którego złupić nie może człowiek, »*ażby pierwej związał mocarza onego*«, czyli, jak wyraża pieśń:

»*starostę skował piekielnego*«.

Szczegó-

Szczegółem tym jednego wyrażenia nie oddalając się zanadto od głównego w tej strofie i pogłównie tu rozglądanego poetyckiego sensu we wierszu, iż »narodził się dla nas...« — winniśmy domieścić, iż święto Narodzenia Pańskiego jest »*jedynem świętem Północy*«, pod osobną tą nazwą u wszystkich chrześcijańskich znanem wyznań.

Jakoż gdyby kto w czas wigilii, o tej właśnie mistycznej nocy, podniósł się nad glob na wysokość, z którejby mógł północny jego obejrzyć profil, zobaczyłby, od odległych krańców Kanady, przez Ocean, grupę angielskich półwyspów, Skandynawię, Germanię, Polskę, i przez Polskę aż do niektórych osad Syberyjskich, wielkie jedno koło zapalonych gwiazd ognia radosnego!...

Ludy inne mają i *millenia* swej historii poza dniem narodzenia Chrystusowego — ale historyczny człowiek północny narodził się równie...

Arcy historyczny, a jednak poetycki sens tych mówień ażeby pojąć, — trzeba, we *wigilię Narodzenia Bożego*, stać gdzieś na kotwicy, w jakiej zatoce portu idolatryjnych jeszcze do dziś ludów i mocarstw, i od strony jednej uczuwać idące ponad falami resztki odległego tyfonu, a od drugiej słyszeć echa armat chrześcijańskich ku uczczeniu święta przez noc całą grzmiące z okrętów... i dymy ich
biało

biało się ciągnące ku pagodom miast widzieć samotnie.

Historya albowiem nie tylko *była*, lecz i *jest*, i dlatego z pisanych dokumentów udziela się w niektórej części swojej. —



TEKST.

ADAMIE! TY BOŻY KMIECIU,
TY SIEDZISZ U BOGA W WIECU.

DOMIEŚĆ NAS, SWE DZIECI, GDZIE KRÓLUJĄ ANIELI:
TAM RADOŚĆ, TAM MIŁOŚĆ, TAM WIDZENIE
TWÓRCY — ANIELSKIE, BEZ KOŃCA!...

*

TU — SIĘ NAM ZJAWIŁO DYABŁE POTĘPIENIE...

*



ielskość ma i mieć zawsze będzie osobny urok, tak dalece, że oto i w jednym z najdonioślejszych pieśni nastrojów czuć się dawa i nie przestaje być wdzięczną. Przyczyna tego arcy głęboko leży, bo jeszcze w niej jakim szczątku pierwotnej religijności ludzkiej z tak zwanego biblijnie Patryarchalnego czasu. — Jest uwarunkowaną naturalnie, samem sielskiem życiem, pewna *moralność*... i ta ma zarazem urocą stronę dawności swojej czyli *pierwotności*, i ma niemniej swoją ograniczoną, jak wszystko, co naturalnem jest. *Arkadya* pozostanie żywiołem poetyckim i utęsknieniem tego złote-

złotego wieku, który jeszcze pod jej formami nawet prorokującemu poniekąd Wirgiliuszowi objawił się — ale ona zapóźno w *historyczny interes* Grecyi wejdzie, ani na czas *Ligi Achejskiej* nie pojmie!... Naturalnie poniekąd moralnymi pasterze ażeby bywali, to — jest im od patryarchalnej podane tradycyi, lecz Zbawiciela światłość na niebiosach poleciała i pasterzom iść do Bethleem...

Naiwne zaś podanie u polskiego ludu przechowywa się, że byli to właśnie pastuszkowie słowienscy (!).

Wyrys pierwszego człowieka, jako »*kmięcia Bożego*«, zasiadającego we wiecy u Najwyższego, mniemam, iż dla każdego czytelnika, który nieco bliżej Homera poznał, zdaje się być jego samego ręką na polskiej ziemi i polskiemu utworzonym słowy. Nic równego niema temu ustępowi pieśni »*Boga-Rodzica*« w całej pięknej literaturze polskiej. —

Sioto też, we właściwem onego rozumieniu, oprócz niektórych szczęsnych momentów u *Izraela*, kiedy każdy pod własną spoczywał figą, — oprócz *pelazgijskich* chwil *Arkadyi*, szybko w poezję przeszłych, — nigdzie na świecie całym tak istotnie bytu swojego nie miało i nie ma, jak w Polsce. *Germańska* wieś, od najdawniejszego swego początku i zawsze i do dziś, była i jest *małym miasteczkiem* — *burgiem*.

U la-

U latyńskich ludów *wieś* jest *villā*... Tak, iż wsi właściwej nigdy i nigdzie nie było, oprócz w *Polsce*. Przymioty tego osobnego charakteru i ujemne one- goż strony stanowią jedną z najważniejszych tajemnic historii narodowej. —

Jeżeli zaś tak jest i dotychczas, jakąż to musiała być wiosenna i świeża młodość, cała kwiaty białemi wonna i pierwotna, za onych dni, w których do pierwszego człowieka śpiewał słowianin: »*Adamie! ty Boży kmięciu*«.

Poeta też (wedle mojego sposobu rozdzielania »*Boga-Rodzica*« na części dwie) skłania się tu do tej najpierwotniejszej głębi ducha narodu i uświęca ją ostatecznemi widzeniami rzeczy niebieskich.

Kadłubek w tym zda się mówić sensie o ś-tym Wojciechu, że »— *Polaków, jako młodziuchnych we wierze wzmocnił*«.

»Domieść nas, swe *dzieci*, gdzie królują anieli«.

Co do próśb o spółkrólowanie *ze światem anielskim* po błogosławionym żywocie, te zapisywane były na grobowcach *królów Jerozalemskich*, a przeto później od naszej wielkiej pieśni.

»— Mądre tedy jest (kreśli *Skarga*), w tej pieśni, wszelkiej wiary wkrótce wyznanie, utwierdzenie na-

nie nadziei i nauka pokuty, trzeźwa i roztropna modlitwa«. — Dalej zaś wymownie dodaje tenże o przymiotach *rycerskich* tegoż utworu, co dało nam myśl do poszukiwań, czyli się on nie z *dwoch* składa części, — i na tem jest rozbiór nasz osnuty.

WTÓRA CZĘŚĆ.

T E K S T.

NI SREBREM NI ZŁOTEM NAS Z PIEKŁA ODKUPIŁ,
 SWĄ MOCĄ ZASTĄPIŁ.
 DLA CIEBIE — CZŁOWIECZE — DAŁ BÓG PRZEKŁUĆ SOBIE
 BOK, RĘCE, NODZE OBIE.
 KREW ŚWIĘTA SZŁA Z BOKU NA ZBAWIENIE TOBIE.
 WIERŻE W TO, CZŁOWIECZE, IŻ JEZU CHRYST PRAWY
 CIERPIAŁ ZA NAS RANY.
 SWĄ ŚWIĘTĄ KREW PRZELAŁ ZA NAS CHRZEŚCIANY.

JUŻ NAM CZAS, GODZINA, GRZECHÓW SIĘ KAJACI,
 BOGU CHWAŁĘ DACI,
 ZE WSZEMI SIŁAMI BOGA MIŁOWACI.
 MARYA DZIEWICA, PROŚ SYNA SWEGO,
 KRÓŁA NIEBIESKIEGO,
 ABY NAS UCHOWAŁ ODE WSZEGO ZŁEGO.
 WSZYSCY ŚWIĘCI, PROŚCIE,
 NAS GRZESZNYCH WSPOMOŻCIE,
 BYŚMY Z WAMI PRZEBYLI,
 JEZU CHRYSTA CHWALILI.
 TEGOŻ NAS DOMIEŚCI, JEZU CHRYSTE MIŁY,
 BYŚMY Z TOBĄ BYLI,
 GDZIE SIĘ NAM RADUJĄ JUŻ NIEBIESKIE SIŁY.

AMEN, AMEN, AMEN,
 AMEN, AMEN, AMEN, AMEN.

TAKO

TAKO BÓG DAJ,
 BYŚMY POSZLI WSZYSCY W RAJ,
 GDZIE KRÓLUJĄ ANIELI.



zając pieśń, jak ją dzielę, na
części dwie — i nietylko że do-
 puszczając, ale budząc, aby kto
 ode mnie lepiej to arcydzieło
 pojął i rozejrzał, — wypowia-
 dam myśl moją, iż *wtóra część*
 od słów »*Ni srebrem ni złotem...*«
 rozpoczyna się a po tej jednowierszowej pauzie:

»*Tu się nam zjawilo dyable potępienie!*«

i która to pauza pomiędzy dwiema całego poematu
 częściami stanowi przedział, jakoby pomiędzy *Chó-
 rami* dwoma w starożytnych lirycznych utworach
 obrzędowych.

Zaś, o ile cała moralna strona pierwszej części
 opiera się na pojęciu *pracy i trudów*, o tyle ta druga
 mówi wyłącznie o *Ofierze*.

Kolorytu sielskiego i kmieckiego nietylko w czę-
 ści tej niema, ale założone jest jako główny wstęp
 nieufanie w *srebro ani w złoto...* Jest to po szczególe
chór rycerski, chór wyłącznie dla rycerskiego skre-
 ślony stanu i towarzystwa. Tak dalece, iż mniemał-
 bym, że

bym, że naprzód całą *pierwszą część* lub początkową *litanie* śpiewało razem wszystkie zebranie głosów, a wtórą część *stan rycerski* intonował, — że przełamywały się *dwa chóry* pauzą... i zamykało się narreszcie odśpiewanie całego tekstu tą znowu litaniją, którą spotykamy w końcu hymnu, ale która już jest ze wszech miar widoczniejsza i w jej formie i w sensie. — Niema tu już w części tej »*Adamie! Ty Boży kmieciu...*« ale jest, z osobnym tonem, zagrożenie: »*Ni srebrem ni złotem...*« dziwnie o wiele i wiele późniejszemu podbrzmiewające wyrażeniu »*ni z roli ni z soli...*« Tajemnicze bo jest wzajemnictwo tych szczególnych w Epopejach narodów wierszy, tonów i wygłoszeń, na których cała harfa wyłącznej jakiego narodu energii stroi się...!

Podział takowy pieśni, o którym dosłownie Skarga nie mówi, zdaje się on jednakże widzieć lub mieć przed oczyma, skoro dwa przyznaje charaktery utworowi temu, *katechistyczny* i *wojenny*. Lubo dwu tych razem pod właściwym stopniem wystosowanie stanowiło *jeden*, albo mało, albo nieumiejętnie dziś czytelny: to jest, charakter *rycerski*. Szczegóły pod tym względem są tak zatarte, jak to bywa i ponieważ być musi z dawnymi arcydziełami, których delikatniejsze zarysy przez czas tępieją i — tylko grubsze gdy są widocznymi — czyni się rodzaj *palimpsestu*,

psestu, wymagającego odczytania na nowo. Sprawa, o której już w tej naszej pracy mówiliśmy*.

Za czasów blizkich *Arturowi* albo *Wielkiemu Karolowi* wystarczało rzec wyraz ten: *Rycerstwo* — *Kawalerskość* — ażeby nie było potrzeby dodawania, iż to stopień jest historycznego kapłaństwa i nabożności. Figurę pamięci na sakramenta miało rycerstwo każde, jako to *Chrztu* w *Łażni rycerskiej*, *Bierzmowania* w *dotknięciu mieczem nagim*, przyjęcia w zbór i w uczestnictwo *Ciała zbiorowego* w *uczęcie okrągłej*, mistycznego *małżeństwa* w idealnem dla damy uwielbieniu i przeto uczczeniu niewiast... *Inwestyturę* też swoją w pasowaniu czyli zapięciu *pasem bioder* na znak wzięcia się do dzieł rycerskich.

Gotował się też rycerz w duchu do spraw swoich, a tego wielki teolog *Wujek* nie potrzebował za czasów swoich opowiadać i do niego to wyłącznie nie należało, jednym wszakże pióra pociągiem o »*Boga-Rodzica*« powiedział dość, skoro ją:

»KATECHIZMEM POLSKIM«

nazywa.

Dla tychto samych powodów, pióra późniejszego duchowieństwa, albo, że tak powiedziałoby się, i *nie-*

* »Postęp twórstwa warunkuje się postępowaniem czytelności«. Patrz wyżej, we *Wstępie*.

się, i *niedopasowani* poniekąd pisarze — znajdowali w »*Boga-rodzica*« teologiczno-filozoficzne usterki i niewłaściwości. I dla tejże przyczyny śpiewanie tego arcydzielnego rapsodu zwolna wychodzi z użycia pod epoką, w której *zakonność rycerska* ustępuje z szeregów tak nazywanej po dziś *regularnej armii państwowej*. W sposób, iż z nieodczytanego słowa: »*Rycerskość lub Kawalerstwo*« zatrzymanym naprzód zostawa sens rzeczy, a potem podawanym w podejrzenie i do wyziębionej doprowadzonym obojętności*.

Dobre poselstwo Chrystusowe, na cierpliwości, znoszeniu uraz, lubo pogłównie na *nieustannej miłości* oparte, nie dopiero wtedy dotknęło było *sumiennosc wojskową*, kiedy Ojcowie Kościoła osobnemi traktaty rozstrzygać musieli, czyli *znak honorowy militarny* godzi się chrześcianinowi albo nie godzi przyjmować i nosić?? (Patrz »*O wieńcu*«). — Ani też zagajenia takie, dopiero na osiem wieków przed »*Boga-Rodzica*« i dopiero — mówię — wtedy, zatrzęsły sumieniami ludzi mieczowych, kiedy już Maksymilian z Medyolanu do Galii z legionami rzymskiemi wchodził i w *Octodur* (dziś *Marigny* dans le Va-

* »Jest to, zaiste, że zupełnie nowy wynalazek, za cel mający... wyniszczać poczucie istotnych potrzeb umysłowych...« (Patrz wyżej we *Wstępie*).

le Valais) zatrzymał się, kędy mu Dioklecjan zaciężny *legion Tebańczyków* pod Maurycym nadesłał był. Wtedy albowiem już przeszło tysiąc żołnierzy, mieczami wyciętych co dziesiąty z szeregu, uzasadniło było znajomość rycerskiego rzemiosła, taki od reszty legionu do Imperatora pisząc list:

»Twoimi jesteśmy żołnierzami, o! Imperatorze, ale wypowiadamy otwarcie, iż jesteśmy i Boga wojskiem. — Powinność wojskowego Tobie oddawamy posłuszeństwa; życia niewinność — Jemu. Od Ciebie, Cezar! płacę bierzemy, a istnienie od Najwyższego...«

W odpowiedzi, że cały legion do szczętu wyciętym został, nietylko już ślad mamy historyczny, że wątpliwości takowe teologiczno-moralne podnoszonemi były, ale że i swoją miały solucję. Atoli nie dopiero w on czas kontrowers tak wielki i historyczny począł się być i doskonałego rzymskiego legionistę obchodził. Nad Jordanem jeszcze, gdy Jan chrzczył i kazał (patrz u Łukasza Ew. III. 14), pytali go też i *żołnierze*, mówiąc:

»a my, co czynić mamy — ?«

»I rzekł im — żadnego nie bijcie potwarzając, ale na żołdziech waszych przestawajcie«.

Większy wszelako i do rozwikłania w pozornych sprzecznościach swych trudniejszy bezkierunek i zeń

nek i zeń idący smutek owładnął był nie owe orły udyscyplinowanego wytwornie żołnierza rzymskiego!... Całe tam albowiem społeczeństwo, organicznymi członkami ruch przyjąwszy, nie dawało przez to samo zaciemniać prawd i uczuć, lubo twardziej decydowało i walkę.

Ale ku północy i wśród ludów na poniekąd bezorganiczmem pospolitem ruszeniu opierających wojenne siły narodu, — czyli przeto tam, gdzie bohaterski osobisty zapal mniej się na świadomem opierał posłuszeństwie, — doktryna chrześcijańska *zasmuciła* (wyraz jest historyczny: »*zasmęciła*») półbóstwo bohaterskie. W *Odyna* ojczyźnie poprostu i twarz w twarz na pojedynek wyzywał *Odynowicz* nowego *boga*... — Znane jest to przesilenie dnia z nocą w Skandynawii, niedostępne do dziś dla historyków, iż tak zamkniętą była na czas.

U Słowian też, ku południowi, wyśpiewywał pobity wojownik smutki swoje...

»Krugulce święte wypłoszył z gaju,
Sprowadził bóstwo z obcego kraju,
Jedną rai Towarzyszkę
Mieć — na całą ścieżkę
Od wiosny... do Marzanny!«

Czas zaś nie tak prędko przemienia się tam, gdzie organicznie społeczeństwo nie rusza się, lecz pogłó-



pogłównie na uczucia przetworzeniu, albo na ogólnej opinii opiera postępek. Myślę, iż Bolesław Wielki organizacją *rycerstwa* i wielce się zajmował, i wiele jej dopełnił, skoro i *tażnię rycerską* (wytlómaczoną nieco po mongolsku przez kronikarzy i pisarzy polskich), jak mógł, tak postanowił. Wszelako — zakon ten rycerski, widoczna, iż nie rozweselił się był jeszcze w *Prawdzie* nowej, i że stary smętek heroicznego zuchwalstwa niezupełnie musiał być za czasów apostoizacji św. Wojciecha odrodzonym, jeżeli za reakcy przeciwchrześcijańskiej wystąpić i zwyciężyć nie mógł, owszem, jeżeli Masławowi dozwolił podchwycić się kosami gminy. Tudzież — jeżeli jeszcze *Bolesław Zuchwały* towarzyszków i rycerzy znalazł w zamachu swoim na świętego Stanisława u ołtarza, a którzy »*ni srebrem ni złotem...*« — podobno — nie gardzili.

Śród takich-to żywiołów *Ad-Abert*, z rodu i ukształcenia zupełny patrycyusz, a przeto świadomy historycznego rozwoju prawdy chrześcijańskiej, lubo — jako apostoł — zupełnie prosty i pokorny sługa, — stał się i *pociechą wojska* (*wojciech*).

Wewtórzej przeto części hymnu »*Boga-Rodzica*«, która, według mojego rozglądu, zda mi się być pogłównie rycerskim instrumentem, — do uważania
jest to,

jest to, iż nie mówi się już »*człowiecze żbożny*«, lecz tylko »*człowiecze*«:

»*wierzże w to, człowiecze*« —

i wyżej:

»*dla ciebie, człowiecze*« —

i że po pierwszy raz w całej pieśni użyte jest nazwisko »*chrześciane*« w ogólności:

»*Swą świętą krew przelał, za nas Chrzęściany!*«

Widoki też *przebitych rąk, boku, stóp, krwi leżącej się i przelewanej i ran niezamkniętych*, w zbliżeniu zupełnem, pokazywane są w tej części wtórej, która za swą treść ma natchnienie ofiarą, gdy obrazów tychże w *części pierwszej*, która samem streszczeniem jest głównych prawdy tajemnic, wcale nie ma. Lecz opiewa ona pogłównie trudy a prace dla tryumfu wiary, tudzież tryumf sam i zeń spadkobierne dary. —

Jakkolwiek i tu, ze stałą, w ciągu całej pieśni, wiernością pismu świętemu, autor w tym ustępie obziera się także na List *pierwszy św. Piotra apostoła*, PONIEKĄD DO OJCÓW TYCH POLAKÓW PI-SANY, dla których »*Boga-Rodzica*« skreśloną była... i jest...

— Albowiem, bezpośrednio pisze *Cephas* też same słowa do *wybranych PRZYCHODNIÓW, ROZPROSZONYCH PO PONCIE*, etc. etc.:

— Wiedząc

(I — 18.) — Wiedząc, iż nie rzeczami skazitelnymi, *złotem albo srebrem*, jesteście wykupieni... (»*ni srebrem ni złotem*« w pieśni);

(19.) Ale drogą krwią, jako baranka *nienaganionego*... (w pieśni — »iż Jezu Chryst *prawy*«, — wyraźnie, że »*prawy*« v. »*nienaganiony*«).

— Od zamknięcia ustępu pieśni, który właśnie rozebrać staraliśmy się, poczyną się już przyspieszać rytm, jakoby gotującego się do wielkiej próby męża westchnienie.

Nareszcie stanowcza jakaś nadchodzi chwila — pieśń mówi:

»*Już nam czas!... godzina*

...*grzechów się kajaci,*

Bogu *chwałę daci,*

Ze wszelmi siłami Boga miłowaci...«

*

To wybicie *godziny* i to *wszystkich sił* nawoływanie, niewątpliwie, iż stanowczą — i nie za wiele powiem, że *przedwojenną* — określa sytuację. Co więcej, iż długo jeszcze potem trwał ten sposób prowadzenia wojny i bitwy, iż od dojrzałego, a jedynego uderzenia i ciosu, zależało całej sprawy rozstrzygnięcie. Takowy zaś leżał *we wewnętrznem uczuciu chwili*... doktryna, którą wyraźnie wypowiada
Dziwi-

Dziewica Orleańska przed jedną z bitew swoich i podobnież woła, że: »*już czas!*«

A skoro tu dochodzi »*Boga-Rodzica*«, w tej wtórej części pieśni, następuje jeszcze to konieczne niedoufanie dojrzałości ofiary swojej i ta prostotliwa obawa, która bywa prawdziwego nieraz męstwa towarzyszką:

»Marya Dziewica! prosz Syna Swego,
Króla Niebieskiego,
Aby nas uchował *ode wszęgo złęgo*...«

*

A następnie, tak jak na początku, litanijne zamknięcie hymnu:

»*Wszyscy święci proście*«
— — — — —

I dopiero po pierwszy raz w całej tej pieśni, przez ciąg i jednej i drugiej jej części, *bezpośrednie do Chrystusa Pana* zawołanie — ostateczne i jedyne: —

»Tęgoż nas domieści, *Jeżu Chryste miły!*«
— — — — —

Mistrzowskim zapewne jest to układem, iż na końcu dopiero znajduje się *bezpośrednie słowo do Najwyższego*, i że, przez cały hymnu ciąg, modlitwa idzie *hierarchiami i wstawieniami się*, jakoby coraz we wyż-

we wyższe kręgi niebieskie. Ale śmiałybym uważać, iż to zarazem okazuje, że niekreślona ona jest o tyle dla bezpośredniego *kapłaństwa ołtarzowego*, ile właściwiej dla chórów ludu i dla *stopnia rycerskiej* pobożności.

Co zaś znaczy po *siedemkroć* wyśpiewywane »AMEN«?... to wedle mojego rozpatrzenia budowy poematu, tudzież symboliki pierwo-chrześcijańskiej, zdawałoby się, iż dodane to było już po śmierci św. Wojciecha. A może zwłaszcza w onej bitwie pod *Santokiem* wygłaszane, gdzie (mówi Długosz) Polacy, skoro Pomorzan zwyciężyli, modlili się, śpiewając »*in laudem et gloriam S-ti Adalberti*«. — I że siedem »*Amen*« oznacza *siedem włóczyń*, któremi zapieczętował męczeńsko ten święty swoją drogę na ziemi.

Nareszcie do uważenia jeszcze jest, iż po wyśpiewaniu onych to *siedmiu* »amen« mówi pieśń:

»...TAKO, Bóg daj,
Byśmy *wszyscy* poszli w Raj,
Gdzie królują anieli«.

Inaczej albowiem, cóż znaczyłoby »TAKO«...?

*

Tu, zapewne, dołączyć należy odniesienie do znanych i częstotliwie cytowanych słów naszego proro-

CZĘŚĆ WSTĘPNA.

I.



zy śpiącego można przebudzić *grzecznie*?... Podobno, że nie: gdyby albowiem budziło się go upadkiem na twarz najlżejszego listka róży, jeszcze byłoby to tylko bardzo wykwintnie albo poetycko pomyślanem, lecz nie byłoby *grzecznie*, bo, końcem końców, trzeba śpiącemu przerwać snowania myśli jego — i to przerwać doraźnie, nie powoli, lecz nagle przenosząc go jednym ruchem w rzeczywistość i w oczywistość inną. Nie można przeto z oczywistości jednej przerzucać nikogo w drugą sposobem *grzeczny*m, i pewne brutalstwo nieodłącznem zdawa się być od roboty takowej. Ztąd to głównie i pierwszorzędnie pochodzi ta odpychliwość, jaką na samym wstępie spotyka u ogółu każdy nowy pomysł lub wynalazek, o ile jest początkującym lub posiłkującym nowe koło rzeczywistości i oczywistości; — budzić albowiem grzecznie w żaden sposób nie daje się.

Owszem,

Owszem, większość ogromna społecznych, ażeby stanowczo uprzedzić wydarzenia i spoczynek utrwalić, starała się i bardzo pilnie stara uzasadnić i rozpowszechnić przekonanie, iż *nic nowego* pomyślanem i okazanem nie może być i że wszelka umysłowa w tym kierunku podejmowana praca przez to samo jest płonnym zachodem.

A co (należy ostrzedz), że się może na pozór udowodniać z tej przyczyny, że, wszystkość rzeczy i spraw świata tego będąc w jedną harmonię obejmowaną, — łatwo jest odwrotnie w tejże harmonijnej jedności dopatrzeć wszystkiego zaczątków, jakoby przeto już *nic nowego* być nie mogło! Jest w tem jednak błąd ogromny, to jest: że *absurdum* bierze się za *nowe*... tylko albowiem *absurdum* leży poza ogólnym prądem harmonii bytu wszystko ogarniającej.

I wielokrotnie i do syta nasłuchany w tym względzie cudzych zwątpień, byłem raz użytym w delegacji do jednego istotnie zasłużonego człowieka, któremu koledzy ofiarowali byli dobrze zasłużony medal. Rzeczę tę cenną oddawałem w ręce uradowanemu i nie spodziewałem się być bynajmniej żadnych patetycznych utrudnień w tem poselstwie, osoba albowiem i prawdziwie zasłużoną była i szczerzej prostoty pełną.

Atoli, skoro uznawany i oceniony, przyjąwszy swój

swój medal, począł starannie go obzierać, dostrzegłem nagle na jego licach przeblýsk podobny do uśmiechu, pomieszanego z wielce głębokiem wrażeniem, — to zaś było tak dziwnie wyraziste, iż długo jeszcze potem nasuwała mi sama wyobrażnia ten psychologiczny obraz. Aż we wiele czasu po delegacji, znalazłszy się raz bardzo poufnie z mężem, o którym tu się mówi, podniosłem umyślnie okoliczność i zapytałem o przyczynę szczególnego wrażenia...

— Rzec jest niezmiernie prosta! — odpowiedział, — po pierwszy raz w życiu zobaczyłem czoło, usta i *nos własny* w profilu... I, gdyby nie wasz medal, może, jak bardzo wielka liczba ludzi, położyłbym się w grób, nigdy pierwej własnego nosa mniej jednostronnie niewidziawszy. Ja, który przecież ze wszech stron piramidy oglądałem!... Otóż myśl mi przyszła była, że zaiste muszą być jeszcze rzeczy *nowe* do okazania ludzkości, jeżeli, mówię, własny jej nos można zwiastować!

— »szkoda wielka — rzekłem — że tego właśnie nie raczyłeś nam być powiedzieć« — —

— »kiedy... jakoś... sam przyznaj, iż takich rzeczy się *nie mówi*...« — — — — —

*

Są-ż za-



aż zatem głębiny i stopnie szczerości ducha i oczywistości, które się jakoby *spółmilczeniem* ogółu uznawa, ale którym jawność społeczna odmawia wygłosu, co okres, co wiek takowych to zniknień nieuchronnie dla rozwoju swojej pełności potrzebując? Za całego okresu heroicznego greckiej filozofii, to jest, aż do Arystotelesa (lecz nie policzając tego mędrca), nikt nie pojmowałby takowej *jawności-względnej*, zakreślone z góry szranki mającej, ani ona komu wystarczałaby! Nieledwie że na ulicy zapytać było przecie można, co jest dusza? jak i ile nieśmiertelna? co życie i żywot? na co i dla czego filozofia?... Zapytywany z niemiejszą odpowiadał prostotą — »tyle a tyle wiem, lub nie wiem; co do filozofii, ta za cel ma uczynić człowieka *moralnie szczęśliwym!*«*.

Staro-

* I uczony Arystoteles podziela to dogmatyczne filozofów uznanie, że filozofii celem jest uszczęśliwienie moralne człowieka, —

Starożytni *nie znali wcale* pewnego rodzaju uśmiechu, który dopiero myśmy wynaleźli, a który też wynalazek zapewne nam przynosi niemały zaszczyt. To jest, oni nie znali uśmiechu zatęchłego umysłu i zupełnie zwątpiałego serca, z jakim odpowiadają dziś mędrkowie na zapytania ludzi naiwnych, świeżych i coraz rzadszych! — Zacny Dyogenes przeczuwał zbliżanie się tej epoki wtórej, skoro, w księgozbiorze akademii, widząc zapracowanych starców, pytał, ktoby to byli? — Ci, co prawdy szukają — odrzeczono. — »Ah! a *kiedyż oni będą mieli czas ją praktykować!?*...« Te wielkie słowa jego, i inne, brzmiące żywo, jakby wczora rzeczonemi były, nie spotkały były na razie naszego społecznego uśmiechu i ostrzeżenia, iż »*takich rzeczy się nie mówi...*«, że do takich głębów wielkiego zadania bytowego nie zstępuje się, że *wiedza* (mianowicie od Arystotelejskiego podziału na umiejętności specjalne) ma zadanie inne... a *jakie zadanie??...* tego się także nie mówi! — — — — —

Słowem — że mądrość oczekiwać spokojnie winna na uzupełnienie wiedzy przez pojedyncze roz-

winie-

dodaje on wszelako dwa jeszcze warunki, to jest, ażeby człowiek *był urodziwym i posiadał majątek* (sic). — Jest to jeden z powodów, dla których mędrca tego policzamy do nowszego okresu. C. N.

winięcia umiejętności wszystkich, i że wtedy czas przyjdzie praktykowania prawdy! To jest bardzo piękne, tylko, z jednej strony, nie zaspokaja wcale, i owszem, prawie potwierdza Dyogenesa zarzut, z drugiej, jesteśmy w stanie zrobić tę małą uwagę, że podział na specjalne umiejętności zaskoczonym bywa i może być przez pojawienie się całych nowych umiejętności, których prąd i kierunek od naszego umyślnego systematorstwa nie zależy.

Rzecz szczególna! ze wszystkich mędrców starożytnych jedyne Dyogenesa powiedzenia wybrzmiewają nam do dziś jako utwory społeczne. Moglibyśmy go nazwać *Hamletem filozofii*, gdyby na myśl też samą nie wpadał był Plato, nazywając go *»obłąkanym Sokratesem!«* Wszelako, omyliłby się bardzo, ktoby Dyogenesa poczytywał jedynie za improwizatora dorywczego i za bezkierunkowy jaki *humor*. On nie jest dotąd jeszcze obejrzany w całości umysłu swojego. Zwłaszcza, iż sam powiada: *»Ja, przesadzając we wszystkim i pełniąc nazbyt, — czynię to ku temu, ażeby ci, co przyjdą po mnie, nie potrzebowali pełnić nazbyt, lecz w samą miarę...«* Filozof, który to i z taką wyraża trzeźwością, nie jest samym tylko genialnym humorystą.

Lecz planetarna wartość wielkiej Dyogenesowej gwiazdy mniej była i mniej jeszcze bywa oceniona

nioną od jej błyskotliwych tęcz dowcipu. Na mędrcom tym zamyka się ta filozofia, którą ja *heroiczną* nazywam. Wedle tegoż uważania mojego, filozofia ta nie zaczyna się wcale od *Thalesa*, lecz od *Ajschylosa* dramatycznych przedstawień, gdzie wykladało się posady mądrości tradycyjnej i wypowiadało się *idee postaciami*, zaś zamyka się i kończy niemniej dramatycznie, jak ją Ajschylos początkował, to jest, zamyka się *dyalogami platońskimi*, tak, iż to, co sztuka nieledwie techniczna w Sofoklesie podziwiała i ceni, nie należy bynajmniej do filozoficznego pochodzenia i rozwoju myśli greckiej, lecz *dla dziejów sztuki* zostawa. Gdy tymczasem platoński *dyalog* ludzi zwykłych, ludzi na ulicach Aten spotykanych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty wśród doczesnych i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linii ostateczną jakoby rzeczywistością onych dyalogów olimpijskich, Ajschylońskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze niema, lecz gdzie święte i mądre *fata* człowiekiem dla idei pogardziły. Pogląd ten, *osobistym moim* będąc, może nie znaleźć usłusznienia, ale on usuwa na swoje miejsce pojęcia *szkół*, które sprawiedliwymi być nie mogą względem czasów, w których jeszcze szkół nie było i w których to, co później jedną ze szkół zowie się, było raczej powszechną ogólnością. *Szkoły* świadczą wię-

czą więcej o miejscu niż o ciągu rzeczy, a niekiedy są tylko nominalne*.

Także i dostąpiona z pochodem czasów doskonałość specyjalna (np. tragedia Sofoklejska), nie godzi się, ażeby przeto wstecznie upodrządniać miała objaw pierwotny, bo ten pierwotny objaw, lubo zaczątkowy, miał także swoją doskonałość, będąc wyznaniem publicznem wiary i wiedzy swego czasu.

Czy, przez *przybliżenie* (*à peu près*), jak pierwotni czynili, czy (jak po-Arystotelejscy) przez *system*, otrzymuje się udział słusznie światła i dobro?...

Oto już pytanie etycznie kardynalne i wprost podejmujące zacny ów Dyogenesa utysk względem akademickich pracowników, skoro, widząc ich, prawdy szukających (*»quaerere verum«*), słusznie wołał — *»kiedyż oni czas będą mieli, ażeby znaleźć praktykować!?*« Zaiste, jakniebądź i czujnie i spółpracowicie oczekuje człowiek na owe, których do-
stąpić

* Dla tak różnowzględnych przyczyn szkoły filozoficzne brały nazwy swoje, iż nie można wiele się na tem opierać. Np. szkoła *eliacka* (Veliacka) dlatego, iż w mieście *Velia* trzech się filozofów narodziło było; — szkoła *eliacka* (Phedona), która, przeniósłszy mieszkanie do *Eretry*, zowie się i *eretryacką*... Pojmujemy nazwę *szkoły jońskiej* dla wielkiej doniosłości żywiołu jońskiego — ale czy naonczas cała umysłowa Grecya nie była jońską?... Szkoła *italska* jest tak dalece szkołą samej wielkiej osobistości Pytagora, iż po śmierci jego wyprzedaje się z rękopismów za pieniądze... i to *platońska akademja* zyskuje na owej pozgonnej likwidacyi.



stąpić mamy, doskonałości, zaręczone nam postępowem, ulepszeniami potwierdzone i jaśniejące coraz nowym, coraz pełniejszym (lubo zawsze niewystarczającym) systematem, jednakowoż tenże sam człowiek i społecznie zajmuje przecież także żywe miejsce w codziennej dramie doczesności, a na jej powołania odpowiadać i dopisywać onym jest obowiązany. Miałżeby on przeto jedną wiedzę podrzędną i zdawkową na codzienne takie wypadki? — drugą zaś w zapoczątkowanych pracach ludzkości i jej spodziewaniu domniemaną? Jedną *tymczasowo posługującą*, drugą *obietaną*... Ztąd obiedwie niezupełnie trwale mu właściwe, obiedwie warunkowe.

Śród takich to wiedz i tak się znajdując postawionem, uważa człowieczeństwo za dobre używać częstotliwie, zamiast odpowiedzi, *niewypowiedzianych odwołok* zdania, *przemilczeń i niedogłębień* wątpliwych.

Atoli, takowe właśnie że umyślnie czy prze-myślnie *niewypowiedziane odwołoki* zdania, *przemilczenia i niedogłębienia* są przecież utajoną myślą, więc są tylko koniecznie niedopowiedzianym ciągiem rzeczy!...

Czy *system* posiłkuje w czemśkolwiek prawdę? czy sprawdza ją albo jej świadczy?... on, który zarówno rzeczom fałszywym jak niefałszywym może służyć!...

służyć!... gdzie i poco wciąż nowe i zastępujące dawne systemata prowadzą, przewalając uprzedzicieli swoich?... czy nareszcie system, sam w sobie uważany, kształci się także i postępuje?... Myślę, że nie! albowiem, system się budując na pojęciu *zupełności, całości i harmonii*, takowym brakować nic nie może; mógłby tylko na szerz postępować, coraz większą obejmując wszystkość następstw, pojawisk i szczegółów. I byłoby nareszcie do wnioskowania, że ostatecznem dostąpieniem doskonałości systematu musiałoby być jego porównanie z systematem świata naszego. W tem wszystkim wszelako nic nam prostośliwie nie powiedziano dotąd, i dlatego z wątpliwością wyrażam się. Wiem, że, czemu niebądź system służy, zawsze on nie większą, ani mniejszą częśćkę prawdy obejma, to jest, że, budując się na pojęciu *całości, zupełności i harmonii*, jużci że wyrażać musi ideę *symetrii, miary i promienności*... oto wszystko!...

Zaś, co do działania *przez przybliżenie* (*approximative*), to — wydawa mi się być najwłaściwiej doniosłym atrybutem ducha ludzkiego. Nie wiem, zaprawdę, czyli jest jaka forma działalności umysłowej odpowiedniejsza położeniu naszemu, jak *przybliżenie!* Jesteśmy w każdym zmyśle i rozmyśle naszym otoczeni kryształem przezroczystym, ale uobłądniającym poglądy nasze. Podobno, że, co-
kolwiek

kolwiek bądź czynimy, zagaja się albo uzupełnia przez *przybliżenie*. Jesteśmy sami poniekąd nieinaczej istniejącymi na wirującym planecie szybciej od uderzeń pulsu... A przeto możnaby nawet rzec, iż działanie przez *przybliżenie* nie jest dla nas przypadkiem, lecz podbitym sobie warunkiem *. Ztąd to, obejmując, ono, i jednocząc dwa wielkie klejnoty umysłowe, czyli: *rozwagę umiejętności i nierozwagę instynktu przyrodzonego*, jest zupełnie *człowieczem*. To też my, tak rzecz pojmujący, nie odpowiadamy *przemilczeniami* na pytania żywotne — bynajmniej...

*

Po kil-

* Godziłoby się zapytać czynnego *generała*, doświadczonego *kapitana okrętu*, biegłego *człowieka stanu*, do ila oni w głównych i stanowych działaniach swoich opierali się na *bystrem à peu près* — a o ile na systematycznym działaniu?



o kilkunastoletnim pobycie w jednej z najświetniejszych stolic Europy, kolega mój, gdy miejsce miał opuszczać i skoro już wszystko do podróży przygotowanym było, rzekł do mnie: »Oto będę miał teraz nieco swobodnego zupełnie czasu, zechciej przeto o stosownej godzinie czekać mię jutro w małym parku przed budynkiem głównej Biblioteki — a ja będę się starał nadbiegnąć z jednej *czytelni* (cabinet de lecture), gdzie mam jeszcze z kimś spotkać się i na papiery potrzebne okiem rzucić — poczem zajdziemy też zobaczyć Bibliotekę... inaczej przecie wyjechać nie godziłoby się!...«

W słowach tych, zupełnie naturalnych, cóż usłyszał każdy obecny i wszelki współczesny? a co usłyszałby milczący przez lat parę Pythagorejczyk?... w tychże samych, mówię, wyrazach, które wszelako wystarcza cokolwieczek odmiennym wygłosić nastrojem, ażeby, piorunującą stawszy się satyrą, cały przedsta-

przedstawiły obraz błędu i nieszczęścia głębokiego naszej wiedzy i za nią idącej cywilizacji?

To też, prostem i logicznem następstwem stało się, że kolega mój nie dopisał i spóźnił się. — Oczekiwałem go spokojnie w przyjemnym cieniu bukszpanów, patrząc na maleńkie dziecko złotowłose, bawiące się kamyczkami z piasku wygrzebywanymi ze starannością nieprzerwaną...

Skoro zaś oczekiwany wreszcie nadbiegł, już zaledwo wystarczyło nam czasu na obejście wokoło gmachu Biblioteki i na architektoniczne uznanie jego zalet. Otóż! — mówiło się, — skoro spojrzymy na te szerokie i rozszerzające się jeszcze bardziej masy pełnego muru, a spojrzymy ze stanowiska starożytnych literatur, czyli, że tak rzekę, kilku ksiąg sanskryckich i zendyjskich, kilkudziesięciu greckich i rzymskich, i hebrajskiej *jednej i jedynej*... zaiste, że sama się myśl, beznakłonną ku temu, zapytuje, jeżeli nie: na czym skończyć ma ta nasza literacka płodność? to: na czym ona zatrzyma się i w co się odrodzi? — Będzież potrzeba, ażeby być jako tako, z gruba czytany, tyle pierw oczu sterać, ile ich zaniepodziewa w księgach swoich mandaryn chiński, do ostatecznego egzaminu przygotowujący się?!

Dziś — gdy jeżeli gdzie naprzykład dziewięć set peryodycznych pism wychodzi, to oneż dziewięć

więć set dzienników daje tyleż romansów i powieści we felietonach, a przeto samych już romansów dzie więć set na rok, coś jakoby trzy na dzień, spotyka się... i to jeszcze, w jednym tylko kraju Europy i w jednej ze stolic!

— Dopowiedzieć co rychlej przynależy, że to zawsze jeden tylko romans, ów ostatni, *ów interesujący romans obchodzić winien*, ów, co obchodzi wszystkich, i że to zawsze jedna tylko broszura, owa ostatnia, owa, która to zainteresowała wszystkich, ta jest tylko obowiązująca. I że nawet nie czytać można innych, a jednak być człowiekiem...*

Tymczasem, niefortunnie rzucone i wdeptane w śmiecie osobistości moralnie zaniedbane, przy błędnej świeczce, z trudem zakupionej, czytywać będą na dorywczo wpadłych im w ręce drukach to, co przypadek sam im nastręczył i w oczy cisnął przy zbytłokowaniu i rozpuszczeniu umysłowej szczęśliwszych śmiertelników. I udarty jakiś kawałek papieru drukowanego świecić będzie tym chciwym rozwinięcia umysłowego oczom i sercom.

Atoli, jak, według chińskiej karygodności, wybiera

* Czytelnictwo opieszale bywa nagłone napisami wykrzyknikowemi na rogach ulic: »Czytajcie to a to!!« przyczem rodzaj ręki, z palcem wskazującym ów nakaz, w rysunku kolosalnym... rodzaj pięści ściśniętej... »Czytajcie!! ten albo ów nowy romans!« — C. N.

biera kat z podanego mu kosza pełnego nożów ten lub ów nóż trafem w rękę jego wpadający, a noszący na sobie napis — *ucho, nos, oko, serce...* i wedle takowego to napisu zakrwawia go na członkach skazanego; tak, nieszczęśliwy ów a chętny ukształcenia umysł, tulając się za *beż-celnie* i *beż-szczęrze* postawioną pracą umysłową, natrafiać musi i natrafia na pojawy więcej daleko zakrwawień i *ran*, niżli *pojęć* mu przynoszące! — W całości zatem naszej umysłowej rzeczy jest coś sfalszowanego, coś zakłamanego powierzchownie i nieznoszącego szczerzych prostych zapytań, jak to zwykło się zdarzać w fałszywych położeńiach! Że albowiem wiedza, dla użytku jakowego bieżącego uprawiona, zawsze końcem końców musi ostatecznie, nawet przez otrzymane swe rzeczywiste owoce, służyć *wiedzy dla wiedzy*, to jest tylko doskonałej architektoniki rzeczy umysłowych wypływem — lecz człowiek w tem, nic sam nie postanowiwszy, bywa tylko jakoby arcyinteresującą igraszką ciekawości bezgranicznej!... ciekawości, która, jeżeli wycofanemu z interesów i dostatnio postawionemu w rzeczywistości, a przyjaznemu wiedzy umysłowi może robić przyjemność umysłową (zwłaszcza gdy innych przyjemności tenże już nie używa), to niekoniecznie dawa się (mówię) sama ona *bezdenna ciekawość* stawić rodzącej się, rosną-

rosnącej i postępującej wciąż Ludzkości jako jedyny umysłowego bytu interes.

Człowiek chce wiedzieć: *gdzie i po co pracuje myśla?*... choćby tylko dlatego, że bez tej wiadomości niecała jego energia w dzieło zagaja się. Byłoby to zapewne czemś jak bardzo *niegrzeczną* rzeczą, gdyby kto do społecznego mędrca słowa te wystosował:

»Racz powiedzieć, Mężu! czy człowiek może *wszystko wiedzieć?*

»Czy on oczekiwać ma, aż wypojedyniczone umnictwa dokwitami swojemi ostatecznymi stworzą wieniec i koronę światła? A tymczasem, czyli należy, ażeby codzienne jego życie świadczyło zastałym nałogom lub przesądom i posługiwało przyjętym hierarchicznie pychom? — Mężu! rzeknij...»*

Parabaża takowa, zaiste, że byłaby rodzajem *niegrzeczności*, i to tem wyraźniejszej, że na samym wstępie (niniejszej *części pierwszej* MILCZENIA naszego) dostatecznie się udowodniło, jak dalece jest niepodobieństwem śpiącego *grzecznie* przebudzić.

* Na pytania te, ze zupełną prostotą, gotowi jesteśmy odpowiedzieć i poniekąd, dla umiejętnie czytających, odpowiadamy na nie w ciągu *niniejszego tekstu*. — C. N.

DRU-

DRUGA CZĘŚĆ WŁAŚCIWA, GRAMATYCZNA, FILOZOFICZNA I EGZEGETYCZNA.

2.



iech pp. gramatycy zechcą wytłómaczyć wszystkim lingwistom Europy i Ameryki, tudzież wszystkim osobom umiętnym: *jak się to zrobiło, że cała jedna część mowy jest opuszczona we wszystkich gramatykach języków wszystkich?*

Czy nie byłoby to z przyczyny, iż nienazbyt często oneż gramatyki dają *definicję części mowy?*

Nic tego nie wiem... Sam zaś, o ile dane mi jest znać, głoszę, iż cała jedna *mowy część* jest z dotychczasowych gramatyk wypuszczoną. I to ta, na której buduje się i osklepia frazes — a nietylko nawet jeden frazes, lecz i następnego logiczne zagajenie, i trzeciego i czwartego wątek etc...

Częścią tą mowy jest: *przemilczenie*... Montequieu nie powiada nic nieznanego, skoro mówi, iż daleko

daleko więcej od mówienia wyrazić może i wyraża nieraz *milczenie*. Lecz, otóż to jedno tylko gdyby było jego atrybutem i świadectwem, jużci że *to, co od mówienia więcej wyrazić może*, musiałoby być *mówienia częścią*. Pretensya zdaje się być dosyć uszusznioną!...

Milczenie więc, a mówiąc w zastosowaniu praktycznym: *przemilczenie*, jest niezawodnie częścią mowy. Prawda nazbyt duża, ażeby jej nie przeczuwali pp. gramatycy, i ażeby nie podejrzewali, że jest jeszcze coś *semipsychologicznego* do objęcia; ale poczęli sobie oni w tym względzie najniezgrabniej i prawie zabawnie, bo uczynili *częścią mowy wykrzyknik!* Zaś wykrzyknik nietylko policzać trudno do zasadniczych gramatyki posiadłości, z przyczyny, że on jest pozaskładniowym, bo cały się na wyrzutniach i niegramatycznościach buduje; ale i z tej, że, właściwie mówiąc, tylko tam brzmi wykrzyknik, gdzie nie jest deklamacyjnie zastrzeżonym i nakreślonym, lecz gdzie się on sam z ustroju słów gwałtem wyrывa... Są wprawdzie osoby, które dwa i trzy wykrzykniki w jeden punkt kładą, ale to nic wcale rzeczy nie pomaga, ani nic w niej nie wzmacnia.

Co więcej, wykrzyknik nietylko powodować nie zwykł następstw budowania wypowiedzeń, lecz
właśnie

właśnie że on je zatrząskuje i urywa. Nie można więc było niewłaściwszego zrobić wyboru.

Inaczej jest zupełnie z *przemilczeniem*, które (według mojego twierdzenia), będąc żywotną częścią mowy, daje się naprzód w każdym zdaniu wyczytać, a potem jest logicznym następnego zdania powodem i wątkiem. Tak, iż to, co *drugie* z porządku zdanie głosi i wypowiada, było, tylko co, *pierwszego* zdania niewygodnym przemilczeniem, a to, co trzecie mówi zdanie, leży w drugiego przemilczeniu, a co czwarte, w trzeciego... i tak aż do dna treści, która tym dopiero sposobem jest rzeczywiście wyczerpaną na mocy logiki w takowym procesie dotykalnie objawiającej się.

Pp. gramatycy zaprzatać się zwykli jakąś abstrakcyjną mową, której niema. Mowa, *dla tego, że jest mową*, musi być nieodzownie *dramatyczną!* I jakże byłaby inaczej mową? *Monolog* nawet jest rozmową ze sobą albo z duchem rzeczy.

Zdania tak abstrakcyjnie blade, któreby wcale nie przynosiło ze sobą *przemilczenia*, prawie niepodobna jest wymyśleć! I gdyby się takowe złożyć udało, to musiałoby być nienależącym do ogółu żadnej żywotnej mowy.

Skoro mówisz:

»*Jakże mi się miewasz, przyjacielu?*« —

przemil-

przemilczane w tem jest:

— Dość dawno cię nie spotkałem lub nie widziałem, ażeby tem żywiej zapytać — »jakże mi się miewasz, przyjacielu?« — A to-to przemilczenie wstępne będzie zaraz wygłosem zdania następnego, i tak dalej.

»Jakże mi się miewasz, przyjacielu? albowiem dość dawno nie widziałem ciebie, ażeby tem żywiej o to pytać«.

*

Podobnież i w następnem zdaniu:

— *Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu* — przemilczane jest:

— przedmiot każdy ma sobie odpowiedni stopień światła, pod którego wpływem najstosowniej przedstawuje się — a przeto:

»*Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu*« i t. p...

Czyli, toż samo wybrzmi przy następnem rozwinięciu rzeczy i przy stopniowej przemianie przemilczeń na wygłosy:

— Nie należy być o wiele jaśniejszym od przedmiotu, każdy albowiem ma sobie odpowiedni światła stopień, pod którego wpływem się najśluszniej przedstawuje i t. p.

Z tej to pochodzi właśnie przyczyny, co Monteskusz

teskusz za innymi powiada o *wyrażenia mocy właściwej przemilczeniu*. I tę-to więc moc jużci że posiadać musi przemilczenie, skoro (jak okazaliśmy wyżej) radykalny ma związek tak z każdym pojedynczo zdaniem, jak i z całością budownictwa mowy. Czyli, że, nie będąc pierwszej do tyła istotną częścią mowy, jakżeby cośkolwiek bądź uwyraźnić było w możności?...

*

Gramatyczne i logiczne nasze w tym przedmiocie poglądy, cokolwiek może skąpo, lecz stosownie do objętości niniejszego pisma, na tychto skreślonych powyżej zamykając, — przejdźmy do egzegetycznej i filozoficznej tegoż obrazu części.

*



Filozoficzne Pythagorasa *milczenie* (a którego znaczenia dotąd nie wyjaśniła żadna egzegeza) przychodzi nam tu opowiedzieć i sprawozdać na mocy osobistych naszych poszukiwań. Niekoniecznie dla tego, ażebyśmy to *milczenie* mieli za Pythagora i jego zwolenników pomysł i wynalazek, tylko z tej przyczyny, że do nas doszła wiadomość o nim przez tę drogę, bo my przez historię Pythagorejczyków o tej praktyce dowiedzieliśmy się. Rzecz zaś sama ani nawet egipską, nietylko grecką i Pythagorejską, nie jest, lecz z najstarszych azyackich religijno-filozoficznych teorii i praktyk płynie, a dopiero zaczerpnął jej był Pythagor w Babilonie za czasu swej i wędrówki i niewoli.

Lecz czy nawet dziś, przy zupełnem rozbałamuceniu czytelnictwa, może znaleźć się taki lekko-myślny czytelnik, który, przed oczyma mając, że italskiej szkoły Mistrz żądał był od poczynających uczniów

uczniów *dwa, trzy, pięć i siedm* lat milczenia, nie zastanowiłby się na chwilkę, iż tenże nie mógł przecież z onymi uczniami swymi jak oficer z niedawnymi jeszcze żołnierzami rosyjskimi lub pruskimi postępować, samym rozkazem nagim rządząc się, ale że musiał on zalecenie takowe, a nienajponętniejsze, jakimś usłusznieniem zadatkować.* Wypoczęta od zewnętrznych nadużyć i w normalny wprowadzona stosunek harmonia pomiędzy uchem *zewnątrznem* a *wewnątrznem*, pomiędzy *patrzeniem optycznem* a *widzeniem* — niemniej *dotykaniem*, niemniej *sma-kiem*... słowem, odbudowanie całej postawy zmysłowej człowieka, długim spokojem milczącej ciszy pozyskane, nie wiem nawet, czyli byłoby mogło wystarczającą zapowiedzią...

Myślę, że nie!... myślę, że egzegeza tej ciemnej treści, takie tylko dająca tłómaczenie, byłaby przestającą łatwo na nabytkach nieco podrzędnych. Tam — to jest, pomiędzy Mistrza wnioskiem a przystępującego doń wolą — szło o coś pełniejszego od dyscypliny rad, o coś tak bezpośrednio żywego, iż tem

* Głosi się wprawdzie, iż Pythagoras względem uczniów swoich używał *słowa-władzy* Mistrzowskiego, a co wśród kilkuset osób razem żyjących mogło mieć swoje administracyjne zastosowanie. — Lecz tego inaczej u *przyjaciela mądrości* brać nie można. Mowa zaś jest o *przystępujących* do Pythagorejskiej inicjacyi, nie o spółzamieszkałych. C. N.

iz tem samem zakłać dawało się część życia człowieka rozumnego i onąż umartwić. O co zaś szło tam?... podobno, iż mnie zakrytem nie jest, albowiem dość uważnie poszukiwałem tego — lecz, ażeby tak niemalą sprawę bezpiecznie wypowiedzieć, należy się mnie poniekąd aż do mojego osobistego przekonania filozoficznego pierw urzetelnić.

To — jest: *iz ja nie myślę, ażeby wystarczyło człowiekowi, gdyby on wiedział wszystko! Myślę owszem, że człowiek potrzebowałby zawsze więcej...*

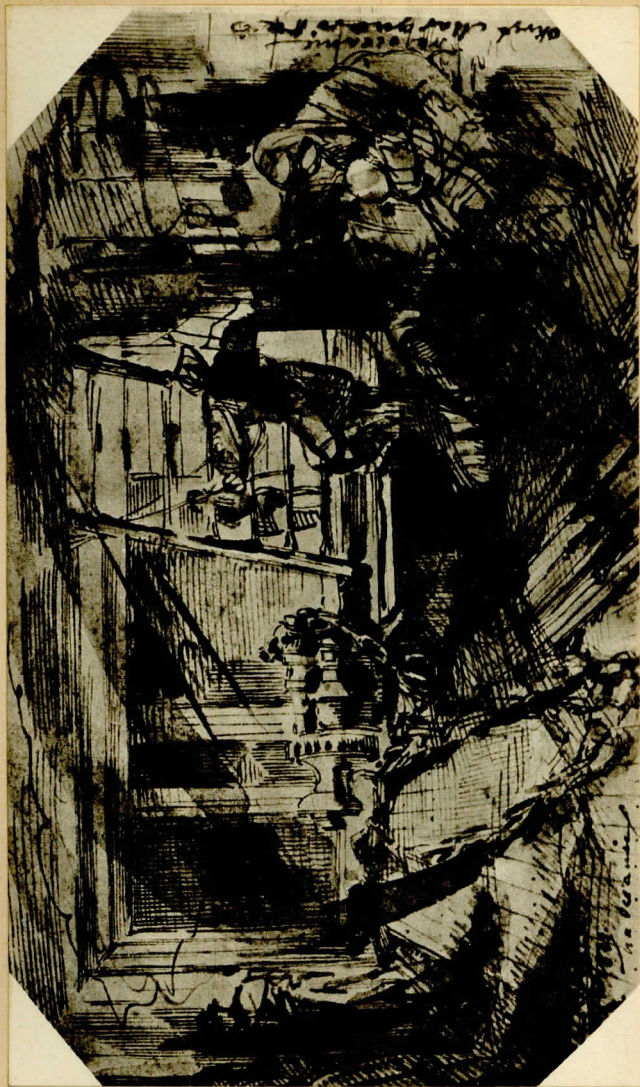
— (Jakto? *Więcej niż wszystko?!...*) —

Człowiek potrzebowałby (mówię) wiedzieć, każdej pory, doby, i chwili, i okoliczności, wszystko to, co w tych razach i względach wiedzieć on, jako on, powinien, i jako społeczeństwa ludzkiego członek.

— To zaś wydawa mi się być *więcej niż wszystko*, albowiem toć jest wszystko, więcej znajomością i samejże niewiedzy i jej pomiaru.

Za dostojniejszą rzecz uważając otwarty we filozofii błąd, niż trującą umysły nierzetelność, wypowiadał zdanie moje prostotliwie. Zaś to podzielone (lubo i wyjaśnione przeze mnie) pojęcie było właśnie że pojęciem onej heroicznej filozofii, o której Mysteryach gdy się tu rozpoczęło mówić, wypadło nam przypadkiem nie utaić wyznania osobistego.

Obraz



Obraz albowiem takowy poszukiwanej dawno mądrości może dałby się i dziś tem usłusznąć, iż, jeżeli widzimy, że przy spółcześnie panującym podziale na umiejętności ten albo ów specjalny pracownik stawia się z czasem jakoby doskonałą maszyny częścią lub wytwornem narzędziem, tedy dla czegożby tejże samej wprawy nie nabierał i ogólną treść prawdy praktykujący umysł całego człowieka wedle maszyny ogólniejszej?... Myślę owszem, iż tam nasza podzielona na specjalności wiedza i działalność koniecznie będzie musiała dojść, gdy tak, jak *częstkowość specjaliści*, uwłasczyć sobie ona biegle potrafi *nieczęstkowość*...

Dostąpienie przeto, zbliżenie się albo zbliżanie do kanonu wiedzy, określonego i uczytelnionego powyżej, było zapowiedzią obiecalną przedsiębiorcemu milczenia *praktykę* przyjacielowi-wiedzy, którą zalecano i praktykowano dawno w pierwszych i niedługo że najstarszych azyackich proroczych szkołach. * *Ezechiel* tegoż samego dotknął był, i tak samo w Babilonie jak Pythagor. Co do swojej idei, budowała się rzecz ta na pojęciu *paraboli* w najgłębszem i w najszerszem onej znaczeniu; zaś co do
praktyki,

* Podobno dopiero za panowania Oziasa stanowi się epoka istotnej jawności proroctw przez harangi zupełnie publiczne i przez pismo. Upřednia zatem epoka nie taką samą musiała być. C. N.

praktyki, szło o osobiste zastosowanie ustatkowanego swojego myślnego organizmu do ustroju nieustannego w harmoniach stworzenia *monologu wiecznego*, i to na takie zbliżenia lub oddalenia, do jakowych ta albo owa osobistość rzetelnie się mogła była doprowadzić... Wytlómaczmy się więcej szczegółowo:

Pochopnie, lubo nienajrozważniej, mówi się, że: *„Parabola nie dowodzi niczego...”* Juźci tak jest, bo paraboli zadaniem nie jest *dowieść*, ale *uoczywiścić* — jedna zatem parabola *oczywistni*, lecz wszystkie razem uważane parabole nietylko że *dowodzą*, ale dowodzą one tak bardzo ogromnej rzeczy, iż strach święty bierze pomyśleć o tem!... Dowodzą one albowiem analogicznego stosunku pomiędzy prawami rozwoju rzeczy świata tego a prawami rozwoju ducha...

Ztądto i logicznie podejrzewany *monolog nieustannie się parabolizujący* juźci że, jednym ze źródełk żywych prawdy będąc, udzielać się miał i mógł na takowe oddalenia albo zbliżenia, do jakich kto osobistym własnego milczenia monologiem rzetelnie się doprowadzić starał i potrafił. Dochodziliż tam *monologisci milczenia*? — juźci że dochodzili, skoro dobrze przed Pythagorasem, i nawet dużo później, niektórzy wcale do używalności mówionego słowa

słowa nie powracali, daleko więcej (stosownego czasu) wypowiadając przez lada drobny potoczny gest — przez upuszczenie lub podjęcie kamyczka z ziemi, uszczknięcia listka, dotknięcie jednym palcem rzeczy jakiej pobliskiej. Widoczna w tem, jak dalece życzliwi byli sobie na parabolizującym się jakoby bezwzględnie duchu opierać, mimo steru pojedynczej człowieczej myśli. To tak i tu tłómaczy się i owa pozorna ciemność wyrażań, i tajemnica rzeczy, i Pythagorasowi przyznawane atrybucye fantastyczne — czy to słyszenia harmonii światów przez *rytm* obrotu ich, czy to rozumienia się ze zwierzęty i pojęcia pieśni stworzenia bezmownego... Wybłyski te geniuszu i te cudowności mogli biografowie anti-Chrystusowi przeciwstawiać i przeciwstawiali żywym jeszcze bardzo wspomnieniom, na wschodzie, osoby, czynów i wędrówek Zbawiciela-swiata; lecz, końcem końców, trzeba przecież je było z jakowegoś możliwego dykcyonarza wyciągnąć, który względne swoje istnienie musiał być mieć. Monologisci-milczenia mniej zapamiętali, późniejsi, i którzy przy zadaniu ducha ogólnem uprawiali zarówno wyłączne gałęzie wiedzy (a przeto może lepiej obejmowali ogół, iż zarazem i onegoż szczegół uznawali), dochodzili byli do tejsze samej furi profetyckiej, lecz jedynie we wielkich zdarzeniach wyjątkowych.

Za cza-

Za czasu bardzo wszechstronnej krytyki i zapewne niemałego światła (bo za czasu *Sokratesa*), kiedy jednakowoż lud ateński znalazł się był pod wpływem jednego z tych gwałtownych zawichrzeń sensu publicznego, które z wielkim i chętnym się zapalem ojczyznę *jak najprostszą drogą do zraty prowadzą*... kiedy (historyczniej mówiąc) szło o wydanie i prowadzenie zgubnej wojny na morzu i na lądzie przeciw Syrakuzie i Sycylii, a szał był tak za wojną, iż mało kto na umiarkowańsze zdania światlejszych oglądał się, — człowiek umiętny i trzeźwy myślą, astronom i matematyk *Meton* (reformator greckiego kalendarza i który pierwszy o *liczbie-żłotej* pomyślił) nie zabierał głosu wśród zgromadzeń, lecz podniósł się milcząc, a ujawszy pochodnię rozgorzałą *własny dom swój podpalił!*... Haranga żadna w najwymowniej patryotycznych ustach nie mogła być ani lepiej sytuacji politycznej Aten skreślić, ani jaśniej rezultatów zamierzonej szalenie wyprawy wojennej ludowi przedstawić!... A lubo naturalną jest rzeczą, iż natychmiast wielu uważało astronoma za *waryata*, tak samo jak niemało uważało było dawniej Ezechiela za *obłąkanego*, nieprzeto jednak i jednego i drugiego prorokowanie doszło jednakże do nas.

Do tejże samej należy się tradycyi ów, lubo
niezmier-

niezmiernie późniejszy, prorok, który, napotkawszy jadącego do Rzymu Pawła (świętego), zdjął ze siebie pas i spętał się sam, dając przez to widzieć, jakie w Rzymie przyjęcie na Apostoła oczekuje. Szkoły tejże samej możnaby się i dziś, lubo w bardzo grubych już kształtach, dopatrzyć, skoroby się uważnie i głęboko pomiędzy współczesnymi Cyganami poszukiło;* — zaś podobno że w Persyi estetyczne tradycje w tej mierze dochowały się jeszcze i są wyrażane przez poszukujących *ile tylko można najmniejszej liczby słów* do powiedzenia jakiej treści. *Lakonizm* albowiem, i nawet *monumentalny* rzymski styl, nie zkadinał biorą swój początek i wypromieniają się.

Egzegezy pod tym względem czynione, jakie posiadamy do dziś, są gorzej niż niegodne przedmiotu. My tu jednakże ograniczać się powinniśmy, nie tylko na samą odpowiedniość proporcji tego szczupłego fascykułu pamiętając, lecz spominając sobie zarazem i naszego zacnego, a nawet umiętnego przyja-

* Cyganie bardzo się kryją ze swemi rzeczywiście starożytnymi tradycjami, a te w zrubasznionych wielce formach i szczupło u nich znajdują się; lecz gdy z jednej wsi byli gwałtownie wyganiani i gdy ogniska zalano im, stara drżąca cyganka powróciła, wzięła zimny jeden węgielek i schowała go w swoje napierśne odzienie. Kmieć sędziwy, to widząc, rzekł: — »trzeba niezbyt twardo ludzi tych wydalać, bo mogą być *pożary* w okolicy...« C. N.

przyjaciela, któremu jednakże, po wieloletnim pobycie w jednej z najgłośniejszych stolic cywilizacji, tyle zaledwo starczyło było chwil swobodnych, ile ich potrzeba, ażeby choć zewnętrznie gmach Biblioteki obejść i budownicze wartości jego ocenić lub podziwić. Pamiętny to, zaiste, acz maleńki wypadek! albowiem najniewinniej uparabolizował mi był istotne publiczności społecznej obcowanie ze sferą wyrobów umysłowych, i upomniał, do ila nierozwlekłym być wypada... *nie-romansiście!*...

Tego też dnia, a już wieczora, skoro raz w szczupłym parku zaczęło się było przechadzkę, wyprowadziła ona nas daleko poza miejsce dla Biblioteki okoliczne, i znaleźliśmy się na wyniosłości, pod której pierśią szeroką przepływało lub wrzało całe ogromnego miasta życie. Imponującym bywa, bo upajającym, ów gwar szeroki, który, urabiając się ze wszech wydźwięków wszystkich działalności i energii, śpiewa sam sobie nieustannie: — »*Takich to, jak ja, pięć, sześć na świecie dziś...* TO CAŁA CYWILIZACYA *jego, i wartość, i siła!*«

Jestci podobno tak, zaiste, że kilka ogromnych i nieustannych gwarów kilku stolic stanowi o żywotności historycznej i moralnej naszego świata; lecz, gdyby się na te huczące morza działalności i energii rzuciło naraz z góry onemi wielkimi liniami, których zary-

zarysem i proporcją zwykł był Ajschylos postacić dwie urabiać z narodów i kroci, jakieżby tu, z tego, naprzykład, szerokiego tłumu i gwaru zgarnęły się kształty umysłowe? I tak sprawiedliwie otrzymane, jako je Ajschylos otrzymywał, to jest, ażeby postać, milionem będąc, milion ów wypowiadała ściśle, nie poza sobą nie roniąc, lub może tyle zaledwo, ile na upostaciowanie odpowiedniego chóru jej potrzeba...

Spróbujmy!...

*



użci ten ogromny gwar i tłum zgarnąłby się naprzód w umysłową postać jedną, która nic innego, nic wtórego, nic godnego względu nie zna, nie dopuszcza i nie poczuwa oprócz *swojego własnego i swojej pasyi interesu*. Kryć tego ani można, ani godzi się — tak jest.

Postać ta znamienita ogarnęłaby i wyraziła większość masy wznoszącej i żywiącej ów kolosalny gwar stołeczny. Postać umysłowa, która, pod jakimkolwiek tonem i formą porusza swe płuca i wargi, nic oprócz interesu swojej pasyi nie wygłasza, nie uwzględnia i nie dopuszcza. — Czy ten głos jest harangą parlamentarną, czy filozoficzną apostrofą, czy niewinną romansu formę przybierze, wsłuchaj się weń głębiej i spokojniej, a nie napotkasz nic innego, oprócz monologu pasyi swojej i swego tylko interesu. O ile tym dwóm odbrzmieć może w czemśkolwiek ktoś inny, czyja inna sprawa, lub interes, albo myśl, o tyle onemi zajmie się jeszcze ów osobisty mono-

monolog, ale zajmie tylko o tyle, i przeto, we wszystkich rzecz swą jedynie ważąc, *nie wychodzi* on nigdy ze swego *punktu wyjścia*!...

A niewychodząc nigdy ze swojego *punktu wyjścia*, jużci że jest zawsze na miejscu. Tak, iż złudzeniem tylko optycznem powinienby być ruch tej postaci... A nieobejmując z całej wszystkości nic, prócz tego tylko, co do niej się odnieść może, jużci że *nic* taka dążność umysłowa nie świadczy i nie wypowiada dla prawdy bezwzględnej — ona ani jednego słowa nie dodawa do wielkiego bezinteresu wiedzy i uczucia; tak, iż złudzeniem akustycznym powinienby być we większej swej połowie kolosalny ów gwar stołeczny, z którego całokształt *jeden* właśnie podjawszy, rozejrzeliśmy umysłowy jego charakter.

Drugim zaś kształtem z połowy drugiej tłumy i gwaru stołecznego, ogarniętym w niemniej kolosalną postać, byłby znowu umysł poszukujący jedynie, ażeby być upodobanym względem mody czasu swojego i ażeby podobać się... Ten, nim otwiera usta, już odczytał pierw tve mniemania i dopowiada tylko do nich zdania swoje, poczucia swe do cudzych układu, myśli swoje z domysłonemi w drugich myślami wiąże, — a jeżeli pierwszy nigdy swojego *punktu wyjścia* nie opuszcza, to ten drugi nigdy go wcale nie miał. Pierwszy jest rozwijającym się nie-

się nieustannie *personalizmem*, — drugi bezświadomą albo przemysłową *asymilacyą*. — I oto są dwie podstawy wielkie, cały ów ogromny gwar stołeczny, gwar, nie bez przyczyn przypisujący sobie siłę cywilizacyjną, wyrażające. Zaiste, nienazbyt wysoko potrzeba się wznieść, ażeby, nieusłyszawszy tam ani jednego słowa, dla prawdy bezwzględnej i dla bezinteresu uczucia podniesionego i wygłoszonego, pomyśleć słusznie: — jakże wielkiem jest albo bywa *milczeniem* ten, lubo taki ogromny, gwar i zamęt?!...

TRZE-

TRZECIA CZĘŚĆ.

3.



dyby literatury ludów nie były żadnymi ogółami myślnymi, intuitywnie zadatkowanymi, lecz żeby się one przez stopniowany dorobek zyskiwało w miarę wzrostu i wydojrzwiania człowieczeństwa, tedy dzieła pierwsze musiałyby być pokarmem dziecinny, i dopiero o wiele późniejsze męskim. Tedy głębokie hymny, tedy moralne poważne zdania, w rym ujmowane, nie byłyby na początku literatur, ani sama nawet potężna epepei istota tak wczesnie rodziłaby się. —

Tymczasem, nawet *najrozsądniejszy* z mędrców starożytnych Kung-fu-tseu (Confucius) właśnie ze swoją, a prawie już ministeryalną prozę czerpie z hymnów i pieśni początkowych, i właśnie że z epoki onej, w której winienby był człowiek zajmować się bawidłami dziecinnymi. — Rubaszniej wyrażając się (bo spółcześni chcą tej jasności stylu, która jest *rubaszno-*

basznością), możnaby rzec, iż powinnyby być na początku literatur *książki dla dzieci*, gdy tymczasem jest przeciwnie: utwory albowiem nacechowane solennością i uczuciem wielkości są otwierającymi rzecz umysłową.

Mają one, lub miewają, coś naiwnego, lecz nie początkującego dziecinnie, tylko jakoby coś dziedziczącego z charakterem synowstwa-boskiego.

Nieobecność prozy jest pierwszym wielkim pojawem na zaczątku wszystkich literatur. Człowiek, od pierwszego na świat kroku, wchodzi jako zupełna postać umysłowa: *jest poetą!* I innego my umysłowego człowieka nie znamy udowodnie na początku dziejów, jedno poetę!

Trzymając się przekonania, że wielkie charakterystyczne zarysy i linie, skoro są ze znajomością rzeczy i sumiennością kreślone, daleko są i trudniejszemi, i więcej kosztującymi pracy i czasu, i korzystniejszemi dla czytelnika, niż drobiazgowa jaka egzegeza bardzo wątpliwych, nigdy niewystarczających, a ciągle zbyt licznych fragmentów, — zamiast co zaprzętałibyśmy się, czy rzeczywiście Orfeja dziełami są ułamki, które może *Linos*, *Muzajos*, *Eumolpos* albo *Amfion* był utworzył?... właściwiej godzi się nam światło rzucić na niejasną sprawę chronologii względem żywiołów. My np. mówimy: *Hezyod* i *Ho-*
mer,

mer, ale żywioł, który przedstawuje i urabia *Hezyod* jest o bardzo i bardzo wiele od żywiołu, którym tchnie *Homer*, starszym, tak, iż obok siebie dwóch tych poetów stawiać, jednego po drugim trza pojmować. Jakkolwiek bądź, psalmistowski *Hezyoda* żywioł poetycki może jeszcze nietylko bardzo późnego (porównawczo) *Pindara* dać, ale nawet aż *wielką obrzędową pieśń Horacego!* —

Żywioł że parę epok przetrwać podola, usuwawszy się z pierwszorzędności i stosownie sobie temperamenta ras jakich objąwszy, pogodzić jest trudno następstwa żywiołów z chronologicznymi warunkami i względami. Nie półmytyczny *Orfej*, *Amfion* etc..., nie sam teologiczny *Hezyod*, ale *Thales Gortyński* (nie filozof *Thales* z Miletu) powinienby oną poetycką epokę pierwszą umysłowej człowieka działalności w Europie przedstawować. *Thales* z *Gortynu* albowiem był jeszcze zarówno: *muzykiem*, *prawodawcą* i lirycznym *poetą!*... I *Amfion* i *Orfej* w tychże pojednaniu atrybutów czerpali natchnienie, lecz drugiemu męczeńska śmierć przerwała była wcześniej rozwój zadania. *Orfej* jest rozszarpanym dlatego, iż światu północnemu przyniósł ewangelię *indywidualnej miłości kobiety*, czyli promień myśli i życia bardzo późno przez ludzi zapoznawany, jeżeli nawet u daleko czytelniejszych *semitów* dopiero

dopiero *Pieśń nad pieśniami* (Salomonową zwana) ewangelię tę podejma. Pierwej, żeni się bardzo stosownie przez zaufanego posłańca lub wiernego sługę, albowiem idzie nie o więcej, jedno, aby osoba miała tę gładkość, którą powoduje zdrowie, tudzież, aby z zacnego była rodu, z cnotą dziewiczą i z wyglądaną bardzo płodnością macierzyńską. Rzeczy te doświadczony a serdecznie życzliwy służący gdy mógł sam ocenić, nic nie pozostawało do życzenia.

Takowego wszakże pojęcia o małżeństwie ostatecznością krańcową musiało być i bywało przynajmniej raz-do-rocze pomieszanie wszystkich małżeńskich atrybucyj w czasie nocnego obrzędu rozpustnego. Indywidualna albowiem kobiety miłość nieznana i nieuznawana będąc, pozostawała tylko przyrodzona płciowa ogólność. Ten to prąd pojęcia i energii rozszarpał Orfeja...

Powracamy do wzwyż powiedzianego określenia, iż pierwotny umysłowy człowiek jest *poetą*. Żał nam wielki, że ciemne i mało rozwikłane są wiadomości o trwaniu żywiołów, ich sukcesyach i procesach, i o warunkach chronologii względem tak różnorodnych zjawisk. Życzylibyśmy sobie albowiem — to samo, co okazaliśmy i wyłożyliśmy w części gramatycznej, przeprowadzić jednym i równym krokiem w niniej-

w niniejszą część historycznie-literacką, okazując dowodnie, że tak samo, jak we składniowem budowaniu się zdań: pierwsze zdanie osadza się na *przemilczeniu*, które następnego logicznie zdania stawia się *wygłosem*, a przynosi ze sobą drugie przemilczenie dla następczenia wygłosu trzeciemu zdaniu i tak dalej... tak samo (mówię) i we wszystkich, umysłowych wyrobach wieków i epok, to, co było *przemilczeniem* całego umysłowego ogółu jednej epoki, stawia się wygłosem literatury epoki drugiej, następnego wieku, a co ta przemilcza, wygłosi jeszcze następny, swoje znowu dla trzeciego *przemilczenie* ze sobą wnosząc. Prawo przeto maleńkie, które odkryliśmy i podawamy, jest zasługującym na uwagę, albowiem okazuje się być całem i na rozmaitych polach zarówno żywym. Onego pierwo-umysłowego-*człowieka-poety* dziełami pierwszymi są *dumania*, *inwokacye* — ten wyraz »*Muzo!*« jest tylko ostatnią kartką wielkiego psalterza, która się dochowała przez swoje ze wstępem do dzieł drugiej epoki zjednoczenie. *Inwokacye* takowe, Boskiego wyglądające sprawowania, brały udział we wszelkiej działalności i psalterz one nie miały stanowiły... Niczego albowiem bezpośrednio działalność człowieka nie poczyniała była — —

»Zeus zawsze i zewsząd najpierwszym jest,
I ostatnim i środkującym — on z płomiennym
Pioru-

Piorunem, powstał i zeń jest wszystko:
 Podstawą on ziemi, on nieba jasnego osią,
 On Monarchą zupełnym, bo Niszczycielem i Stwórcą!
(Według tradycji Orfeickich).

W powyższej *Inwokacyi* — i o ile ona całą jedną epokę dumań wyraża — zapytujemy przeto (według naszego *prawa*), co stanowi *przemilczenie*? co, tam niewypowiedzianem będąc, ma przez to samo dać epoce następnej *wygłos* i postawę?...

Jużci widoczna jest, że w *Inwokacyi* powyższej — i o ile ona wyraża całą jedną epokę — *przemilczanym jest człowiek*, albowiem Zeus ze wszech miar i względów wyręczył wszystko. Człowiek, praca jego, walki, cierpienia, i doświadczenie, i rozwinięta w nim siła Zaradczości, to wszystko, będąc przemilczanem, daje dla następnej epoki wyrobu umysłowego zgotowane miejsce na *Epopeję*...

Dlatego też ostatnia *Inwokacya* z *epoki inwokacyjnych-psalmów*, lecz *pierwsza z epoki następnej*, brzmieć będzie:

»Człowieka (teraz), o! Muzo, wypowiedz, którego zmysł musiał się ubogacić, gdy, po zburzeniu świętego miasta Troi błędząc, poznawał on ludzi, obyczaje i narody; — Człowieka, który cierpiał w sercu swoim... i narażał się na morzu, i nie dla siebie tylko, lecz ażeby i towarzystwo ocalić;
 a pocie-



a pociechy nawet i tej, ze zbawienia bliskich, nie miał, gdyż dla głupoty własnej poginęli!...» — —

Po *legendowej*, po *Cudownej* pierwszej *Inwokacyjnej* *epoce*, widzimy zatem, jak się jawi i wygłasza *Epopeja* przez samo przemilczenie — lecz ten znowu śliczny całokształt epopei cóż on dalej (zawsze według naszego małego prawa) *przemilcza*? i co zatem przemilczenie owo, w łonie epopei niesione, dać ma jako zasadniczy wygłos trzeciej *Epoce*? Słowem jednym: co ta trzecia epoka będzie? —

Jużci że bohaterowie Epopei swojemi olimpijskimi kroki przekraczają właściwą *prozę historyczną*, interesa państw i narodów, tudzież warunki polityczne i finansowe etc... a która to istotnie *proza historyczna* jest tem przemilczeniem, na jakim się piękna i bujna postać Epopei właśnie że dlatego wznosi, iż do onej poziomej treści historycznej nie zniża się. Epopeja zatem koniecznie przemilcza istotną historyczną prozę, a zatem (stosownie do naszego prawa) po epoce Epopei, czyli skoro ta już się zbierze w całość, i utwierdzi pismem, i nieco książką zacznie być, następuje przemilczane w Epopei łonie dzieło *Historyi*.

LEGENDA (cudowna), EPOPEJA, HISTORIA — oto co już widzimy z rozwoju myśli
człowie-

człowieczej i z następstwa przepowiedzianego epok.

Historia wszelako, mimo zstępującego na szeregi poziom żywiołu swojego, czyliż i ona miałaby się jeszcze na *przemilczeniu* uzasadniać i takowe na wygłos dla następnej epoki przynosić? Jużci że tak, i to nawet dosadniej niżli gdzieindziej, bo bywały nawet umyślne zatajennienia intryg, które we sto lat dopiero później uczytelniały się!... *Historia* przemilcza *to*, na co wystarczającego wyrazu jednego znaleźć trudno, ale co ze stosownymi komentarzami nazwać godzi się... *Anegdotą*. — Tam są tajemnice *psychologii dziejów*, *biografii*, niezmiernie ważne częstotliwie, lecz za małe i za mnogie dla historii, i ona je przemilcza. Ale one na dnie anegdoty czekają fatalnej godziny swojej, albowiem po epoce tej, którą *Anegdotą* zowiemy, jest *Rewolucya*!... I oto, jeżeli nasza prawda-milczenia nie jest błędem, tedy umysłowego tok rozwoju dawa następujące peryody: *Legendę* — *Epopcję* — *Historję* — *Anegdotę*... *Rewolucję*. Tego ostatniego wyrazu nie należy tu brać z żadną wyłączością. Tem bardziej, iż ogromne różnice pomiarów wielkości spraw zachodzić muszą z biegiem czasów.

Anegdota dziś wydaje *romans* i *powieść* i cały ten rodzaj pobieżnej literatury, której żywiołu właściwa

ściwa historia nie obejma. Za Augustów Cesarskich anegdotą były *cztery ewangelie*, czyli najpierwsza, jedyna i arcydzielna książka *popularna*!

(Niechaj się nikt nie gorszy, iż spominamy *tu* ewangelie jako *książkę*, bo godzi się uważać, iż gdyby ewangelię należało brać jak *koran*, tedy byłaby jak *koran jedną*... i właśnie przez to błędną, że *jedną*... Zaś jest Ewangelij najmniej *cztery*, z powodu, iż każdy Ewangelista życzył sobie całej i lepiej to, co mu znanem było, wypowiedzieć, a przeto świadectwo i kontrola miały tam miejsce jak względem książki wszelakiej.)

Nieumiejętnie także przeciwstawiono założeniom naszym o milczeniu całą jedną literaturę w jednej książce, to jest, *Biblię*. Należy pamiętać, iż peryod Mojżesza nie jest wcale początkiem dziejów Hebrajskiego narodu, lecz, owszem, że Mojżesz jest już odrodzeniem — reformą — rewolucją. Cały z *anegdoty* i *biografii* wyrósł i jest wielkim, boskim powstańcem. Przed-Mojżeszowy i aż do-Mojżeszowy zatem peryod obejma wszystkie te *cudowne*, *heroiczne* i *historyczne* żywioły, które w postępowym rozwoju zaznaczyliśmy. Gdy, od Mojżesza znów spojrzawszy, widzimy wcale nieinaczej rozwijające się myśli, uczucia i sprawy. Oto, naprzód *cudowna Legenda* misji Mojżeszowej i świętych dumań

dumań jego — dalej, ludowa *Epopeja* za *Sędziów* — *Historia* z Królami, a z *Eklezjastą* *Anegdota*; i nasza wielka Chrześcijańska *Rewolucya*, która, dla wyjątkowego czasu owego i dopełnień się, jest *Rewelacyą*!

Z administracyjną jakkolwiek wyrażnością nie można ze wszech miar linii kreślić na mocy naszego punktu-wyjścia, jednakowoż oko jasne temi samymi pozna być peryodami pojawiska w literaturach wszystkich spotykane. *Rzymian* powszechnie krzywdzą, narzucając im pięć wieków literackiego niemowlęstwa, a nawet i kiedy prawo *dwunastu tablic* jako najstarszą rzecz cytują. Tak się wcale nie godzi, tylko my niezupełnie jasno wiemy, jakie było umysłowe życie pod bliższym wpływem tych Sybilijskich ksiąg, które zbyt łatwo opuszczamy ze względu. Co więcej, że i prawo *dwunastu tablic* nie jest bez pośrednictwa *decemwirów* upowszechnione. *Virgilius* jest niezmiernie oględny i sumienny w tem wszystkim, co sakramentalnego z obyczajów starych podnosi; otóż to uwyrażnienie, jakie on dla wierszy Sybilińskich dodaje, że *umyślnie były rzeczy niepisane*, lecz przez oralne staranie wybranych mężów w życiu utrzymywane, *aby tem wierniej przechowywały się i udzielały*, daje zaiste do myślenia, iż cała ta epoka, za literacko głuchą i jałową uważana, niekoniecznie takową mogła być.

Spółcze-

Spółcześni literaci ze zbyt wielką łatwością uważają *nieobecność atramentu za nieobecność wszelkiego umysłowego rozwinięcia*... Epoka uprzednia względem tryumfalnej epoki literatury rzymskiej, a uważanej za poprostu przejętą od Greków, nie była wcale taka jałowa, pusta i głucha. Myślę owszem, iż dlatego tak szybko doszło się do stopnia arcydzielnego we większości kart Eneidy, iż to wszystko pierw było w *kronikarskich rapsodach*, a dlatego wszystko Georgik jest tak niezrównanem arcydziełem, iż uprzedziły je niemałe o *rolnictwie* zapiski i dzieła! Podobnie jest z każdym innym żywiołem, albowiem okres, jakkolwiek nierozgłośny, ale który może mieć *Sybilińskie rzeczy* i kolegium do onych przechowania, tudzież *Dwanaście tablic* i kolegium je strzegące, a nadewszystko zupełnie nowy i twórczo sobie udziałany typ w tak zwanych »*Soturach*« (późniejszych *Satyrach*), okres, mówię, taki nietylko zapewne jest bezliterackim, ile my bywamy bezrozważni, skoro lekko o nim mówimy. Nadto, *Sotury*, czyli *Satyry*, wchodzą według zarysu naszego w epokę *Anegdoty*, czyli w zaranie *Rewolucyjnego* obrotu całej umysłowej karty.

Gdyby perturbacye w tej naszej smętnej historii nie były tak częste i szerokie, tudzież gdyby żywioły etnologiczne nie przeżywały nieraz epok i prze-

i przeto nie nadwierały porządku chronologicznego (a o czym się już wyżej nadmieniało), tedy z naszym zarysem żywotnych praw *milczenia* (w mowie ludzkiej i w dziejach) możnaby wszystkie wieki, jeden po drugim, obejrzeć, jak one myśli swoje podawały sobie w przemilczaniu głębokiem. I nie tylko *wieki!*... bo biegły ascetycznie umysł może *tygodnie* i *dnie* życia umiałby zobaczyć, jak zasuwały się w siebie i z siebie podawają na temże samem prawie-*przemilczenia*...

Na cóż zaś uchylam nieco tej zasłony?... Oto na to, iż w nasze umysłowe sprawy jeszcze z samymże drukiem weszło wiele spółdziałań i przyspieszeń mechanicznych, chemicznych, elektrycznych... Musi przeto *sztuka czytania*, jeżeli nie prześcignąć, to wyrównać szybkościom i promiennościom gromu, i na samem zwierciadlanem lubowaniu się drukiem nie poprzestać! Literatury także podobno będą musiały nie tylko się zajmować ślicznością i obfitością jakiego bujnego swego kwiatu, lecz i uważaniem całych siebie, jako żywotną funkcję pełniących i obowiązanych. To dlatego uchyla się nieco zasłony tej...



PRZYPISY WYDAWCY.

UWAGI WSTĘPNE.

I.

O ile z prozy epickiej Norwida nie istniało, zda się nic poza kilku zawartemi w tomie *E* legendami i nowelami, o tyle zgromadzona po dziś proza dydaktyczna i pamiętnikowa stanowi, bez żadnej wątpliwości, drobniuchną zaledwie część tych traktatów estetycznych, studyów krytycznych, roztrząsań filozoficznych, artykułów, memoriałów i not polityczno-społecznych, badań historycznych, archeologicznych i cywilizacyjnych, elaboratów filologicznych, wreszcie dzienników, albumów i zapisek poufnie medytacyjnych lub satyrycznych, które w ciągu całego życia wyszły z pod pióra poety.

Czy to dzięki redakcyom, które przechowują jeszcze niekiedy autograf wiersza niewydrukowanego, ale nigdy prawie rękopisu nieprzyjętej większej pracy; czy wskutek takież mniejszej dbałości o prozę u osób prywatnych, w których posiadaniu znajdowały się te i owe rozprawy, memoriały lub pamiętniki; czy wreszcie następstwem

stwem wspomnianej (A, 712) katastrofy »puryfikacyjnej«, jaka po śmierci poety spotkała nagromadzone w jego własnych kuferkach manuskrypta; — dość, że z całego ogromu pracy w tylu różnych kierunkach strzępy przeważnie i szczątki doszły nas oderwane. Że — gdyby wszystko się zachowało — byłby to najbogatszy snadź, obok poezji, dział w literackiej puściźnie Norwidowskiej, dowodzą — oprócz innych wskazówek — choćby kilka dochowanych notatników oraz tek z wypisami, wycinkami i uwagami, z których widać, jak rozległe, szczegółowe, docierające do gruntu — a więc niewątpliwie *nie bezcelowe* — przedsiębrał poeta w najrozmaitszych dziedzinach studia.

Był on, mimo braku urzędowego wykształcenia szkolnego*, dzięki samodzielnemu, ale dogłębnemu, »zupełnemu«** czytaniu, »nie jednym tylko organem, lecz wieloma raczej władzami umysłu«***, jednym z najmocniejszych w Polsce erudytów, a stanowczo najukształceńszym, najbardziej czytany z poetów polskich. Potęgowały tę erudycję jednoczesne właściwości artysty-plastyka, któremu nie wystarczało wiedzenie, który musiał nadto widzieć i czuć****. Do czytelnictwa książko-

* Według Al. Półkozica (*Kłosy*, 1886, Nr. 1115), C. Norwid skończył w gimnazjum na Lesznie tylko cztery klasy.

** *Bogarodźica-pieśń* — tom F, str. 310 w. 1 — i wogóle str. 308—311.

*** *O J. Słowackim* — tom F, str. 222 w. 4—6 — i wogóle str. 221—224.

**** Obserwować to można, między innymi, we wspomnianych wyżej notatnikach, gdzie dokumenta i argumenta słowne paralelizują się bardzo często z rysunkowemi.

wego dodawał przeto »odczytywanie« pomników budownictwa, dzieł sztuki, »archiwów kopalnej ziemi i językowych pokładów«*, wszelkich »niepisanych słów historycznych«, wszelkich postaw, gestów, wyrazów twarzy, wszelkich ruchliwych czy utrwalonych projekcji życia, nie tylko uzupełniając przez to »braki, wyszczerby i przemilczenia«** czysto umysłowej wiedzy, ale całą niejako sprawdzając, pogłębiając, udokonywając, przywracając obumarłym lub zbłąkanym gdzieś na strony pojęciom, terminom i wyrazom ich »wygłos pierwszy« i właściwe znaczenie. A metody te swoje stosował do całego obszaru życia i dziejów, konfrontując najoddalniejsze ich krańce, bo — niezmordowany poszukiwacz prawdy — czuł integralność i ciągłość jej, czuł, że »obejmuje ona życie«*** i przeto z całości tylko życia wywiedzioną być może.

Jakkolwiek kolosalna owa praca (bo ileż takich, jak kilka dochowanych, musiało być notatników czy tek z wyciągami!) nader uzwięźlone, zlapidaryzowane w ostatecznych rezultatach twórczych przybierała kształty****, sam wszakże rozległy obszar badań, sama nowość odsłaniających się przy tej metodzie widnokręgów, sama potrzeba rektyfikacji uwidacznianych przez nią błędów i czczości, samo pragnienie, by w tem czy owem »dać świat-

* *Bogarodźica-Pieśń* — tom F, str. 306.

** *Ibidem* — str. 305.

*** *O J. Słowackim* — tom F, str. 262.

**** Dość czytać uważnie dłuższe nawet, dochowane rozprawy i pisma (*U sztuce, O J. Słowackim, Bogarodźica-Pieśń, Milczenie*), aby uczuć, jaki nadmiar treści w nich zawarto.

świadełstwo prawdzie«, coraz nowe nastęrczały temata, coraz nowe, bardziej zasadnicze i wszechstronne lub też gnomicznie-aforystyczne, powodowały opracowania — i rękopisy, mniejsze i większe, urastały niewątpliwie jeden po drugim.

Po powrocie zwłaszcza z Ameryki, produkcja w obchodzącym nas tu kierunku zwiększyć się jeszcze musiała. Z jednej strony, paroletnie osamotnienie wśród obcego, niemiłego społeczeństwa, obcowanie przeważnie z samym sobą i ze wspomnieniami, wzmagalo ową skłonność do *zapisywania*, którą już w r. 1851 motywował poeta, iż się przez nie »lepiej myśl wraża« (*Z pamiętnika*, t. F, str. 47), i wywołało cały szereg »dzienników« różnego typu, z których okrucy zaledwie nas doszły. Z drugiej strony, poeta przestał być młodzieńcem, zmędział, dojrzał, dawne, bardziej przecuciowe i niekiedy specjalne problemata uogólniły się, wyświadoimiły i nowego nabrały znaczenia, zagadnienie człowieka, cywilizacyi, prawdy jęło go teraz zajmować w całym obszarze, w całej wielostronności i jednolitości zarazem. To też, obok zajęć artystycznych, obok tworzenia poetyckiego, widzimy do końca życia ogromną, wytrwałą, uporczywą pracę badacza i myśliciela.

II.

Za życia poety dostąpiły druku tylko dwie szersze rozprawki i kilkanaście mniejszych artykułów, pomieszczonych w czasopismach. W latach młodszych, latach samozwańczej »opieki«, rozciąganej — zwłaszcza w Poznaniu —

znaukiem — nad jego twórczością, żądano odeń koniecznie rzeczy »tomowych«*, narzekano na jego »bezksiążkowość«**, na niezdolność do większego wysiłku***, a tymczasem nadsyłane zwięzłe uwagi i roztrząsania, pełne żywej i niezwyklej na owe czasy treści, drukowano raz na dziesięć razy, a niekiedy wyszarpywano z nich tylko jakieś bardziej dogadzające redakcyom fragmenty****. Gdy zaś Norwid, po *Promethidionie*, szersze, choć nader zwarte, jął gotować rozprawy filozoficzne, nie mamy śladu, aby ktokolwiek chciał to wydrukować, — raczej przeciwnie*****. Po powrocie z Ameryki — jedną książeczkę sam własnym wydać musiał kosztem, na edycję drugiej przyjaciele mu się złożyli — i nawet pod koniec życia, pisząc *Milczenie*, wyrzekał słusznie, że »edytorowie polscy są do niczego«.

Nie o wielkość też prac chodziło właściwie, lecz o coś innego, z czego poeta, równie zamłodu, jak później, doskonale zdawał sobie sprawę. Chodziło o »nawatorstwo«, łatwiej uchwytnie w prozie niż w wierszach, o bezkompromisową samoistość zdania, o niełączenie się z tą czy inną stroną lub partją, lecz oddawanie ka-
zde

* Por. *Promethidion*, (A, 152), oraz wyjątek z listu do J. Koźmiana, przytoczony w przypisach do tego poematu (A, 804).

** *Pół-Listu przez autora wierszy częstochowskich*. Tom G.

*** Koźmianowski to orzeczenie — po latach, latach — miał powtarzać bezkrytycznie J. I. Kraszewski.

**** Por. »wyjątki« z listów w *Bibl. Warsz.*, w *Gońcu Polskim* — potem ślad jakiegoś niedbale usuniętego ustępu w *Czarnych Kwiatkach* (Dodatek miesięczny do *Czasu*) — wreszcie przytaczane bezceremonialnie *urywki* z listów w różnych felietonach.

***** List do J. B. Zaleskiego z 11 czerwca 1852 r.

zdej sprawiedliwości należnej («w sprawiedliwości na prawo i na lewo» — por. *Pół-Listu*, tom G), o mówienie szczerzej, dumnej, bezinteresownej prawdy* — a mówienie rzeczowe, niefrazeologiczne, do dna rzeczy sięgające, bez względu na to, że »najbezpieczniej jest w kółko jedno i też same *motywy i formy* proporcjonować tylko, nic nie wznowiwszy, ani dodawszy, ani na nic się nie odważywszy« (*Czarne kwiaty*, t. F, str. 67—68). Widząc to z całą wyrazistością, poeta miał często świadomość zupełną, że »pisze tylko dla siebie«**, że własnowolnie naraża się na niedrukowanie i na napaści sprytniejszych, utartymi idących drogami »literatów-kolegów«, których później tak Leonardowsko-karykaturalne dał w *Stygmacie* i w *Ad leones* portrety. Ale ani na chwilę nie przyszło mu na myśl zrezygnować z prawdy swojej, zdecydować się na jakąkolwiek jej »redukcję«. Zanadto czuł i wiedział, że »wszelkie nowatorstwo jest tem wyłamaniem się z godności *literackiej, piśmiennej*, z którego (jak uczy nas historia starożytnych szczególnie literatur) wszystkie obowiązujące jeszcze do dziś arcydzieła powstały« (*Z pamiętnika*, tom F, str. 56). Zresztą, nawykał zwolna do myśli, że we wszystkim, co pisze, pisze tylko

pamięt-

* »...jak co zaczniesz *słowem* (a nie pieśnią) śpiewać, to jesteś ideolog i nowator, a jak już dośpiewasz, to znów: to nic nowego, znów jesteś *nienowator*. Róbże, co chcesz! Ja myślę, westchnij w takim razie i nie zasmucaj się...« (*Pół-Listu*, tom G).

** »Naturalnie piszę to tylko dla mnie. Takich rzeczy u nas się nie mówi, osobiście drukiem i w dzienniku. Drukiem się *tak* i o *tylko* tylko mówi, *jak* i o *ile* druk gdzieindziej był już w książkach, w dziennikach, w felietonach użyty« (*Z pamiętnika*, tom F, str. 56).

... .. *pamiętnik artysty*,
Ogryzmołony i w siebie pochylon —
Obłądny!... ależ wielce rzeczywiście...

Zabiegał jednak dla większych rzeczy o wydawców i posyłał — choć bez nadziei i z gotowością na niepowodzenie — całe masy rękopisów drobniejszych do czasopism. O pierwszym świadczy, obok rzeczowych dokumentów, choćby wspomniane z powodu *Milczenia* westchnienie, któremu tylko przeliczne próby i zawody taką dosadność wyrazu nadać mogły. Drugiego dowodzą — obok *Scherza* i listowych utarczek z J. Koźmianem, Kraszewskim i innymi — choćby dziwnie spacyowane, latami i lat szeregi oddzielane, jakby przypadkowe ślady jego współpracownictwa to w tem, to w owem czasopiśmie. Czyż podobna, aby — po prośbach zapewne ze strony redakcyi o korespondencye i artykuły i po obietnicach w liście z Norymbergi — poeta nie przysłał nic do *Bibl. Warsz.*, oprócz listu z Krakowa z r. 1842, potem, po czterech latach, rozprawki *O rzeźbiarzach florenckich* (1846), a potem — aż w lat trzydziści prawie — *Sfinks*a (1874)? Czyż podobna, aby odnaleziona przez nas świetna korespondencya z nad Tybru w *Czasie* krakowskim (1849 — *Zarysy Rzymu*) była jedyną? czy nie należy raczej przypuszczać, iż Siemieński uległ — poprzez Gaszyńskiego czy Koźmianów — wpływom Krasińskiego, który, różniąc się z Norwidem w poglądach na sprawy rzymskie, już 4 grudnia 1848 r. gorczył się nań w liście do St. Koźmiana? Czyż nie prawdopodobnem jest, że cały szereg następnych — z Paryża już —

już — korespondencyj poszedł skutkiem tego do kosza? Niejedną pracę posyłał też snadź poeta do Krakowa, zachęcony wydrukowaniem *Czarnych i Białych kwiatów* (1856-57), ale tu znowu nie musiało pozostać bez wpływu na kierowników czasopisma rozjadowane o wspaniałych tych mędytacyach orzeczenie Klaczki (w *Wiadomościach Polskich* — 1857, Nr. 18), iż »redakcja Dodatku [miesięcznego do *Czasu*] ogłoszeniem takich potworności [sic!] zdaje się przypuszczać do swego koleżeństwa umysły, dla których jedyne tylko i właściwe braterstwo — Bonifratrów [sic!]«.

W drugiej połowie życia, do tego beznadziejnego posyłania różnych rozpraw i artykułów czasopismom skłaniały go może po części — gdy położenie materialne coraz się pogarszało — i potrzeby życiowe. Świadczy o tem choćby ciekawy ze wszech miar list do hr. Adama Potockiego z prośbą o wyrobienie mu miejsca korespondenta w jakim dzienniku i ze wzmianką, iż Mann, do którego pisał w tejże sprawie, nawet mu nie odpowiedział. Główną atoli pobudką było zawsze pragnienie przyczynienia się do dobra społeczeństwa i dania świadectwa prawdzie. Al. Półkoźic opowiada w swej »sylwetce pośmiertnej« poety (*Wiek*, 1884, Nr. 27), że Norwid, »spotkawszy jaką dyskusyę ważniejszą w gazetach, natychmiast się w nią wtrącał, przesyłając *beżinteresownie* piśmienne swoje, bezstronne, oparte na gruntownej erudycji uwagi«, że wielka ilość takich uwag musiała pozostać w manuskryptach w rękach prywatnych lub archiwach dziennikarskich, i że sam on (Niewiarowski) posiadał kilka takich rękopisów. Niestety, archiwa dziennikarskie



karskie — jak wspomnieliśmy wyżej — widocznie prozę mniej od wierszy szanowały, bo nawet w owym sporym zbiorze rękopisów Norwidowskich w papierach po Wł. Bentkowskim, który — dzięki dobrej woli szamb. Cegielskiego — udało się drowi B. Erzepkiemu wydobyć na światło dzienne, — znalazły się tylko wiersze i listy, ale ani jednej, większej czy mniejszej, pracy prozą, a tych jednak do *Gońca* posyłał Norwid bez żadnej wątpliwości znakomicie więcej, niż wydrukowano. Co zaś było w rękach prywatnych, rozproszyło się przeważnie — po śmierci posiadaczy — bez śladu. Nawet z owych będących w ręku Niewiarowskiego rękopisów, nic — prócz urywków, które sam w sylwetach pośmiertnych poety wydrukował — dotąd odszukać się nie dało.

Pomimo tego, zdumiewająco bezzwrotnego, posyłania do redakcyj, pomimo udzielania większych i mniejszych prac przyjaciółom i prywatnym osobom, gromadziły się jeszcze i u samego poety spore ilości rękopisów, przeważnie większych. Z trzech ogłoszonych w *Chimierz* obszerniejszych rozpraw, dwie (*Bogarodzica-pieśń* i *Milczenie*) pochodzą z bezpośredniej po Norwidzie puścizny. A ileż ich tam przed ową »puryfikacją« być mogło! Jeszcze w pierwszej połowie życia poety, musiało różnych takich manuskryptów dużo leżeć u niego daremnie, skoro w r. 1852, »przechodząc na ouvrier'a do fabryki przy ulicy Montmartre«, składa cały ich szereg na przechowanie u Bohdana Zaleskiego (*list* z 11/IV 1852), a nieco później, przed samą już ucieczką za ocean, o spalenie ich prosi (*list* bez daty, z końca r. 1852). Że były to przeważnie rękopisy prozą, świadczą, między innymi,

nemi, przechowane w papierach po Bohd. Zaleskim ułamki kilku rozpraw filozoficznych, z owej właśnie pochodzących epoki. I w drugiej życia połowie — jak wskazują wzmianki w listach — przebywały różne nieznane bliżej manuskrypta czasowo — gwoźli snadź poszukiwaniu nakładcy — u L. Nabelaka, Z. Węgierskiej, Bron. Zaleskiego, J. Reitzenheima, L. Rettla i innych — poczem, wobec bezskuteczności zabiegów, poeta — są ślady — zabierał je z powrotem do siebie. W puściźnie zatem, oddanej krewnym po śmierci Norwida, stanowczo coś więcej, i nawet o wiele więcej, niż *Bogarodzica-Pieśń* i *Milczenie*, powinno było się dochoować. O mnóstwie papierów, tek i zeszytów, zawałających wprost ostatnie samodzielne mieszkanko Norwida przy rue Lallier 3, a potem ciasną jego izdebkę w przytułku ś. Kazimierza, opowiadał nam zmarły niedawno w Paryżu ksiądz Jan Tański, który w ostatnich, udręczonych latach poety często go odwiedzał. Potwierdzają jego opowieść owe »paki«, wyprawione naprzód do Florencji, gdy Norwid w r. 1876 zamierzał przenieść się z Paryża do Rzymu, i zwrócone później z Włoch dzięki zabiegom Ant. Zaleskiego (por. *Chimera*, VIII, 447). Cóż w nich być mogło? coś innego miał już wówczas poeta — w chwilach nędzy zupełnej — do przewożenia, oprócz swych rysunków i rękopisów?

III.

O całym szeregu pism prozą, które stanowczo istniały, lecz do dzisiaj nie dały się odszukać, zdołaliśmy zgromadzić, bądź z listów poety i do poety, bądź z wi-

rogo-

rogodnej tradycji ustnej, wyraźne, pozytywne wzmianki. Grupujemy je tutaj, w nadziei, że może kogo przypadkiem na ślad któregoś z tych rękopisów naprowadzą.

Z zakresu roztrząsań o sztuce i literaturze sześć oto zebranych wskazówek:

1) Najwcześniejszą z nich znajdujemy we wspomnianym już wielokrotnie liście norymbersko-monachijskim z 23 i 29 października 1842 r. Między »natłokiem prozy w portfelu« wymienia tam poeta jakieś prawie gotowe już »*Wiadomości z Dreżna*«, niedokończone tylko dla wielu cytacji o malarstwie w XVI wieku u Polaków«. Czy rękopis ten — wedle obietnicy w liście — dostał się, choć z opóźnieniem, do rąk redaktora *Bibl. Warsz.* i dla czego nie był wydrukowany, brak wszelkich wiadomości.

2) Ślad drugi napotykaemy w liście poety do M. Trembickiej z 2/I 1846 r. »Powrót mój do Warszawy« — czytamy tam — »przerwie mi bardzo zatrudnienia — zwłaszcza w tem, co o *sztuce* pisać byłem rozpoczął«. Praca ta była niewątpliwie nie rozpoczęta dopiero, lecz raczej daleko już posunięta, bo zaznaczaliśmy gdzieindziej (*A.* 1064) niechęć poety do mówienia o rzeczach swych, póki one bardziej określonych i zdecydowanych nie przybrały kształtów. Czego zaś rękopis dotyczył specjalnie, wnioskować można poniekąd z dalszych wyjaśnień listu, gdzie poeta mówi o potrzebnych mu przy pracy dziełach »co do historii, a mianowicie Wschodu, i co do *mych* Etrusków«. Podkreśliliśmy familiarny zaimek dzierżawczy, który świadczy o dłuższej zażyłości z przedmiotem.

3) Od pani Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej posiadają-

siadamy wiadomość o ofiarowanych jej przez poetę, gdy w r. 1851 wyjeżdżała z Paryża do Rzymu, woluminalnych notatach o wiecznem mieście, stanowiących coś w rodzaju szczegółowego *cicerone* wśród starożytnych i zwłaszcza staro-chrześcijańskich jego zabytków. Że Norwid, w częstej widocznie dalszej korespondencji z bawiącą nad Tybrem młodą przyjaciółką, uzupełniał jeszcze ten swój »przewodnik«, świadczy ustęp w późniejszym liście do panny Dziekońskiej z 9 sierpnia 1852 r., już po jej powrocie do Paryża: »Radzę pani (tak, jak radziłem w listach do Rzymu) pamiętać — że to w katakombach jest gniazdo sztuki chrześcijańskiej, nie w Cesarstwie Germańskiem-Gotyckiem...« — Wracając pośpiesznie do kraju w r. 1868 czy 1869, pani Zaleska poleciła swej damie do towarzystwa, pannie Emmie König, złożyć na przechowanie, w kantorze ekspedycyjnym E. Lenza przy ulicy Louis le Grand, dwie paki książek i papierów. W jednej z nich, w osobnem »pudełku z wysuwany wierzchem«, umieszczone były owe notaty o Rzymie wraz z dopełniającymi je listami późniejszymi. Depozyt, pierwotnie snadź dla trudności, jakie nastroczał wówczas przewóz do kraju książek i papierów, a potem skutkiem może zawikłań życiowych i zasnuwającej zwolna przeszłość nie-pamięci, nie został odebrany. W r. 1908, za uczynnem pośrednictwem p. L. Wellischa, zdołaliśmy dotrzeć do istniejącego po dziś, lecz przekształconego na Bank Franko-Rosyjski i przeniesionego na ulicę de la Chaussée d'Antin No 12, domu E. de Lenza. Tam wszakże, po latach kilkudziesięciu i po wspomnianych przekształceniach oraz przenosinach, żadnego śladu owych pak nie zdołano

zdołano odszukać. »Ces papiers« — brzmiała odpowiedź — »ont dû être détruits depuis 35 ans«. Słowo »détruits« może, jak przypuszczamy, oznaczać i sprzedaż z licytacji, po upływie legalnego terminu, dla pokrycia nieopłaconego snadź przez czas dłuższy składowego. W takim razie, nie byłoby wykluczonem (aczkolwiek to nadzieja), że notaty owe i listy Norwida wędrują gdzieś jeszcze po bukinistach czy bric-à-brac'ach paryskich. Odnalezienie ich pierwszorzędną miałoby wagę. Jak wyjątkowym, dogłębnym znawcą starożytnego Rzymu był Norwid, wskazują — obok poematów: *Pompeja*, *Stodycz*, *Quidam* — rozproszone w rozmaitych pismach prozą, związane wspomnienia i uwagi (por. *Menego*, t. F, str. 61, *Czarne kwiaty*, t. F, str. 69, *Zarysy Rzymu*, t. G, miejsca w rozprawach *O sztuce*, *O J. Słowackim*, *Milczenie* i t. d.). Jakież zaś wyczerpujące prowadził w swoim czasie na miejscu studia nad sztuką pogańską i pierwochrześcijańską, świadczą różne notatniki słowne i rysunkowe, a zwłaszcza wielkie album czerwono oprawne, pochodzące z puścizny po przyjacielu poety, marszałku Teodorze Jełowickim, obecnie zaś przechowywane w Bibl. Polskiej w Paryżu. Wyjątkowe połączenie ścisłości i erudycji badacza z intuicją i wrażliwością artysty, oraz z niezwykle rozkochaniem w przedmiocie, otwierało przed nim możebności takich głębokich wyrozumień i takich żywych ewokacji, że ów zagubiony »przewodnik« po Rzymie starożytnym mógł być czemś zupełnie jedynem w swoim rodzaju.

4) Mówiliśmy gdzieindziej (*A*, 220), że zarysy Promethidionowe były — w myśli autora — wstępem jeno, syntetycznym i organizacyjnym, do dalszych, bardziej wyczer-

wyczerpujących rozwinięć. Jednym z nich, wynikającym bezpośrednio z XVIII rozdziałku *Epilogu* (A, 177-178), miały być roztrząsania o roli, znaczeniu i prawach wystaw powszechnych. Z zamierzenia tego dochował się w papierach po Bohdanie Zaleskim tylko najogólniejszy pierwszokic, plan pracy niejako. Ale rzecz musiała być posunięta znacznie dalej i prawdopodobnie nawet ukończona. Świadczą o tem kilkakrotne wzmianki w listach do J. B. Zaleskiego, czego — przypominamy raz jeszcze — Norwid unikał, póki praca dana zdecydowanych nie przybrała kształtów. »Będę potrzebował tłumacza francuskiego« — czytamy w liście z 10/V 1851 r. — »podało się albowiem Panu Bogu dać mi myśl wielką, ale której ekspozycja zwłoki nie cierpi. Polska może nic nie przyniesie do kryształowego pałacu angielskiej wystawy — postarajmyż się tedy o to, aby przyniosła kilka kartek druku i zamknęła on pałac kryształowy pieczęcią Kopernikowej generacji... Trzeba mi będzie wyłożyć rzecz na papier polszczyzną francuską, tak, aby tłumacz to dosłownie przełożył — poprawić potem duch wyrazów — z Girardinem się poznać, bo to trąba miedziana i jeden jeszcze człowiek, co nie boi się myśleć dzisiaj. Rzecz w wyrazach swych krótka jest, ale da Przedwieczny, że obróci wszechszuką tak, jak już czas, aby *nowa sztuka* powstawszy obróciła«. — Chodziło tu zatem o wydanie broszurki jeszcze w ciągu wystawy angielskiej — i o pozyskanie dla niej poparcia w pismach francuskich. Projekt ten nie doszedł widać do skutku, bo w jednym z dalszych listów do Zaleskiego, z końca r. 1851, spotykamy już inne jego przekształcenie — na rodzaj me-

morya-

moryału do miarodajnych władz francuskich: »...wygotowam po francusku do Ministra des travaux publics — *les lois de l'Exposition universelle*, myśl, o której kiedyś ci wspomniałem — żeby mi Bóg dał dopiąć to, uczyniłbym coś dla narodu i dla Ludzkości«. A w następnym bezdatowym liście, również jeszcze z ostatnich miesięcy roku 1851, o teźże, zda się, pracy i o jej posuwaniu się mowa: »Z francuzami... robię... a tak dalece za ważną rzecz i obowiązek mój tę pracę mam, że gotów jestem opóźnić się na bój i nie z pierwszą kulą się spotykać, a dokończyć rzecz, którą nieprędko dokończyłby znów kto. Ileż trzeba odwagi, aby co dopiąć na tym świecie!« — Czy memoriał został wręczony wspomnianej władzy i zawieruszył się w zamęcie zamachu stanu, czy też poeta nie mając u nowego rządu poparcia, na jakie liczył u poprzedniego, nie przedstawił go ostatecznie nowemu ministrowi, — trudno wiedzieć. Rozprawa atoli była widośnie ukończona — bo zda się, że jej jeszcze dotyczą, w liście do J. B. Zaleskiego z 26/III 1852 r., donoszącym o nieprzyjęciu rysunku Norwida na wystawę, słowa następujące: »...wszelako ja moją rzecz prowadzę... odpowiem im [sędziom wystawowym] w tych dniach pojęciem mojem o całej estetyczności dzisiejszego Chrześcijańskiego społeczeństwa, aby zwrócili oczy, jak zdrowy może być sąd o sztuce w takim stanie pojęcia piękna«. — I ta »odpowiedź« wszakże nie pojawiła się w druku. Rękopis tuła się może jeszcze po świecie.

5) Z r. 1869, mamy do zanotowania »list otwarty« Norwida do Leona Kaplińskiego w sprawie wydania Biblii *Polskiej*, ilustrowanej zbiorowo przez artystów polskich.

skich. O pomyśle tym, który nader trafił do przekonania Bohd. Zaleskiemu (por. list jego do Felicyi Iwanowskiej z 27/III 1869 r.), odezwał się w jakimś felietonie, w lekceważący widocznie czy kpiący sposób, jakiego tak często współcześni względem Norwida używali, wymieniony wyżej kolega-malarz i literat, pono przyjaciel z dawnych, berlińskich jeszcze czasów. Musiały być nadto w tym felietonie nieścisłości i przekręcenia, dotyczące samego projektu, skoro poeta uznał za potrzebne wystąpić ze sprostowaniem publicznem. Replikę swą przesłał na ręce Bohd. Zaleskiego wraz z listem następującym: »Czcigodny Panie Bohdanie! Nieuszanowanie inicjatywy i nieuszanowanie osób właściwe jest społeczeństwu upadłym, a że inicjatywa z Duchowego idzie pierwiastku, przeto jej nieuszanowanie i nią pomiatanie karane surowo... Posyłam mój list otwarty do p. Kaplińskiego... Ciebie biorę za świadka i, przez twe ręce, chcę, aby felietonista odebrał ten list mój, dając ci wolność włożenia tego pomysłu w ramy, jakie ci twe chrześcijańskie serce zaleci, z wyjątkiem, że list mój, *cały, tak, jak jest, zastrzegam, aby był publikowan**. Zresztą, uwagi nad nim, krytyka lub poparcie, jak kto chce«. — Bohd. Zaleski

* Zastrzeżenie końcowe było niewątpliwie następstwem niedawnego smutnego doświadczenia z J. I. Kraszewskim, który, »przy padkiem(?) spotkawszy«, nawet nie w »otwartym«, lecz w prywatnym liście poety, zdanie jego o Matejce, i pominawszy w niem ważne, jak się zdaje, słowa wstępne, ogłosił bez ceremonii w *swym* felietonie (*Dziennik Poznański*, 1868, Nr. 271) wyszarpięty dowolnie, a drażliwy bajecznie na owe czasy, »urywek«, dodając na wstępie z chwałębną i misterną ostrożnością, że się świeżo »z panem Cypryanem pokłócił«.

Zaleski zakomunikował zapewne ów »list otwarty« Kaplińskiemu. Co się dalej z nim stało, niewiadomo.

6) W r. 1876, Z. Sarnecki, zakładając z J. Noskowskim *Echo*, odniósł się o współpracownictwo i do Norwida, który w odpowiedzi zaproponował mu widocznie, obok wierszy, coś z prozy nowelistycznej oraz rozprawę literacką. »Na powieść [t. j. na wszelką prozę opowiadawczą]« — czytamy w odpisie Sarneckiego z 27 listop. 1876 r. — »dotąd nie mamy koncesyi, chociaż się o nią staramy. Krytyczny artykuł o *typach* raczcie przysłać«. Pod koniec listu raz jeszcze o tem samem: »Zdaje mi się, że artykuł »o typach« byłby nam przydatnym«. Że Norwid pracę tę wysłał, świadczą, w następnym liście Sarneckiego z 9/XII tegoż roku, słowa: »Artykuł Jego odebrałem«. Rzecz — o ile nam wiadomo — nie była wydrukowana. Co do losów rękopisu, Z. Sarnecki, do którego zwróciliśmy się z zapytaniem, nic sobie po tylu latach przypomnieć nie mógł.

Dziesięć pozycyj następnych wypełniają wiadomości o rozprawach społecznych, politycznych, filozoficznych i filologicznych.

7) Pierwszym chronologicznie jest tutaj odczyt p. t. *Kraj a oiczyzna*, wygłoszony na posiedzeniu polskiej »Biblioteki« akademickiej w Berlinie. Streszcza go, nie podając nazwiska prelegenta, bezimienny autor »Wspomnień z czasów uniwersyteckich berlińskich od r. 1844 do 1847« (*Dziennik Poznański*, 1885, Nr. 143). Z przytoczonych wszakże w streszczeniu owem myśli i poglądów wnioskować można z całą stanowczością, że autorem odczytu był

był Norwid. Rękopis jego spoczywa może u spadkobierców którego z ówczesnych kolegów poety w Berlinie.

8) W liście Norwida do jen. Skrzyneckiego z 15/IV 1848 r. (*Przegl. Pol.*, 1886, III, 560) znajdujemy wiadomość o piśmiennym proteście poety, zwróconym prywatnie do Mickiewicza, nazajutrz po sejmiku 27/III, przeciwko głoszonemu przezeń zasadom. »...Kiedy«, — czytamy tam — »na publicznem zawiązującym się legionu posiedzeniu, porwał się z miejsca i nareszcie książkę Towiańskiego wziął do ręki, byłem przymuszony mu zaprzeczyć, a nazajutrz w liście najwyraźniej przedstawić wszystko, co przeciwko kierunkowi przez niego propagowanemu mam na sercu. Nie umiem powiedzieć, jak mnie to wiele kosztowało. Widzieć się przymuszonym tak wielkiej sławie narodowej i siwym włosom słowa prawdy — gorzkie słowa — powiedzieć...« Zdanie ostatnie dowodzi, że — jak pisaliśmy już gdzieś indziej (*A*, 957) — nie było w proteście tym braku uznania i czci dla wielkości Mickiewicza, lecz gorący spór o prawdę. Jaka zaś była sama treść zarzutów, wnioskować można z listu do Bohd. Zaleskiego pod datą 24/IV 1848, oraz z poematów *Pieśń społeczna* i *Niewola* (por. *A*, 791). I jako komentarz do obu wymienionych utworów, i jako dokument bezpośredni »wielkiego ideowego starcia dwóch duchów tyczących nowe drogi narodowi i człowieczeństwu«, tekst epistolarnej rozprawy tej niezmierną miałby wagę. Czy autograf listu da się kiedy odnaleźć? Nie tracimy nadziei. Minęły już chyba owe czasy, gdy Bohdan Zaleski odmawiał Wł. Mickiewiczowi użyczenia listów ojca jego, traktu-

traktujących o Towiańszczyźnie, aby »nie popełnić ciężkiego grzechu przeciw przyjaźni Adama« (*Koresp. J. B. Zal.*, t. IV, str. 122), i »z ręką na sumieniu« protestował przeciwko zamiarowi wydrukowania listów do Domejki (*tamże*, t. V, str. 85). Tego rodzaju »osłaniań« pamięć Mickiewicza nie potrzebuje — co najmniej. To też i ewentualni posiadacze niniejszego listu Norwida, tając go, grzeszyliby nie tylko przeciwko prawdzie, lecz i przeciwko obu wielkim poetom jednako.

9) W liście Norwida do Wł. Bentkowskiego z 27 września 1850 r., tym samym, w którym poeta odmawia żądanych poprawek w *Psalmie Psalmów* (por. *A*, 709), znajdujemy prośbę o zniszczenie przysłanego Bentkowskiemu »listu publicznego«. Z dat wniosku, skłonni bylibyśmy przypuszczać, że mowa tu o *Memoryale o młodej Emigracji*, ogłoszonym przez p. K. Woźnickiego w lwowskim *Pamiętn. Lit.* (1907, str. 250-256). Ale mogła to być równie dobrze inna jakaś, współczesna tamtej, odezwa — i dlatego wskazówkę powyższą na wszelki wypadek notujemy.

10) Z roku 1863 dochował się ślad memoryału, wysłanego przez Norwida do Rządu Narodowego na ręce bawiącego w Paryżu byłego jego członka, a przyjaciela poety jeszcze z czasów berlińskich, Karola Ruprechta. Z odpowiedzi tego ostatniego pod datą 11 września 1863 r., odnalezionej w papierach prof. M. Sokołowskiego, dowiadujemy się o powodach i poniekąd o treści odezwy. »Memoryał twój do Rządu Narodowego« — pisze Ruprecht — »i list z daty 9 b. m. odebrałem — na pierwszy składał kwit w załączeniu, na drugi tak od-
powia-

powiadam. Uroczysta procesya, którą miałeś w myśli, pisząc »*Ostatnie przemówienie w kwestyi Rzymu i Polski*« [zapewne tytuł memoriału?], była błogosławieństwem Papieża, danem *walczącemu Narodowi*. Pytasz się, »czy *Naród Polski* powie *Świętemu Starcowi: Bóg Ci zapłać?...*« Przekonany jestem, że powie, ale nie »w Krakowie zawdzięczalną manifestacją«, lecz na całej polskiej ziemi, śmiercią lub zwycięstwem. Innego podziękowania być nie może i nie będzie«. Chodziło zatem widocznie poecie o wysokie znaczenie moralne allokucyi papieskiej, będącej odpowiedzią na adres Rządu Narodowego, o nieotraktowanie jej na równi z samolubnemi i przebiegłemi odpowiedziami różnych rządów i dyplomatów, o »nieczytanie jej jak felieton«, lecz dojrzałe wyrozumienie słów padających ze Stolicy Apostolskiej — i o zajęcie przez Rząd Narodowy odpowiedniego, całą tę wagę moralną uwydatniającego i wyzyskującego stanowiska. Powątpiewanie o odczuciu »okopów ducha« przez »patryotów z krwi«, gorąca wiara katolika, uwielbienie wreszcie i przywiązanie do »wielkiego starca, który tyle razy głaskał prawa Polski« (por. *A*, 864), — spowodowały razem ten memoriał, który bezechowo do akt zapewne złożono. Tam też może i kryje się do dziś jego rękopis.

11) List poety do M. Sokołowskiego z 17/X 1864 roku stwierdza istnienie jakiegoś większego prawdopodobnie rękopisu filozoficznego, może końca owej rozprawy o *słowie i literze*, której fragment dość znaczny dochował się w papierach po Bohd. Zaleskim, a może jakiejś osobnej, nieznaney dotąd pracy o *prawdzie*. »Posyłam ci« — pisze Norwid — »następujący *wypis z manuskryptu mego*

mego, który, jeśli masz wolę dobrą, będzie ci wystarczającą odpowiedzią na pytanie o *prawdę*«. [Następuje kilkudziesięciowerszowa paralela potrójna Litery, Idei i Prawdy]. Że rękopis wspomniany miał poeta w owych właśnie czasach istotnie wciąż przed oczyma, świadczy zacytowana z niego dosłownie definicya prawdy w nowoczesnych scenach fantazyi *Za kulisami* (*C*, 292), które powstawały między latami 1864—66. Rozprawa ta, zbyt głęboka dla wydawców i przeciętnych czytelników, nie wyszła zapewne do końca poza ręce poety — i rękopis powinien był się dochować w jego puściźnie bezpośredniej.

12) Przy innym liście do M. Sokołowskiego, bezdatowym, ale pochodzącym, zda się, z r. 1865, przesłał Norwid już nie urywek, ale całość rozprawki społecznej, która nie dochowała się i o której przeto tyle tylko wiemy, ile o niej w liście powyższym napomknięto. »Byłeś łaskaw być u mnie« — czytamy tam — »wiem, co chciałeś, chciałeś objaśnień lub tłumaczeń, które ci posyłam... Wszelako: załączony rękopism »*Kardynalny błąd polski*« racz uważać jako mój rękopism osobny, którego odpowiedzialność przyjąwszy możesz go tylko obiektywnie używać częściowo lub użyć — ale jako mój — obiektywnie. Bo zdaję sprawę z następstw. Zaś ostrożności tej natury, zapewne uważałeś, że u nas są konieczne z tysiąca powodów«.

13) Z epoki przyjaźni poety z Zofią Węgierską, t. j., z lat 1860—69, mamy tu do przytoczenia wyjątek z bezdatowego listu tej ostatniej, zawierający wiadomość o jakimś nieznanym poza tem rękopisie Norwida: »Nie wiem,

wiem, czy z tej przedziwnej *krytyki*, którą na moją prośbę spisałeś, kto skorzysta — bo lenistwo myśli i lenistwo serca w Polsce nie mniejsze, ale większe może, bo podparte ideą fatalizmu — ale ja niezmiernie wiele korzystam z jasnowidzenia twojego. Donieś mi, dobry Pannie, czy *pozwalaś na drukowanie tej paraleli*? Chciałabym ją posłać Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, żeby w książce została, ku odczytaniu i zbudowaniu późniejszych pokoleń. — Czemu rzecz nie ukazała się w druku i o czym właściwie traktowała, żadnych innych wskazówek nie mamy. Rękopis — jak tyle innych złożonych u Węgierskiej (o czym świadczą wzmianki w jej listach) — poszedł zapewne gdzieś w świat po jej śmierci.

14) W latach 1870—78 był Norwid członkiem świeżo założonego francuskiego Towarzystwa Filologicznego, uczęszczał gorliwie na jego posiedzenia, przedstawiał różne memoriały i referaty. O tem ostatniem świadczą listy prezydenta Towarzystwa, hr. de Charencey'a, przechowane w puściźnie poety. 16/I 1874 r. omawia on jakąś *ostatnią* nadesłaną pracę (*»dernier envoi«*) Norwida, co wskazuje, że *przedtem* już przedstawiona była niejedna. W liście z 29/III 1874 znajdujemy wzmiankę następującą: *»J'ai trouvé... dans les papiers de la Société un mémoire de vous sur la glossologie* dont je me propose de donner communication à une de nos séances«*. List z 1/III 1875 świadczy o nowym jakimś komunikacie ze strony poety. *»Je ne veux pas tarder un instant de plus«* — pisze hr. de Charencey — *»à répondre à la lettre*

* O rozprawce tej wspominaliśmy już w przypisach do *Ostatniej z bajek* (tom E, str. 271).

lettre que vous m'avez fait l'honneur de m'écrire. Je ne la crois pas, à vrai dire, *malgré les intéressantes questions qu'elle soulève, de nature à être communiquée à la Société, parceque le sujet n'en est pas exclusivement philologique«*. Wreszcie, ślad innej jeszcze pracy znajdujemy w liście do poety z 1/VII 1878. *»Si Vous désirez«* — czytamy w nim — *»me remettre votre manuscrit, Vous n'avez qu'à me l'adresser à St. Maurice — et à m'indiquer ce que Vous désirez que j'en fasse«*. — Do chwili obecnej, nic z tych rękopisów nie dało się odszukać. Hr. de Charencey, do którego dotarliśmy w Paryżu, twierdził początkowo, że nic nie ma i nic nie pamięta. Później, pod wpływem przedstawionego mu wykazu powyższych wzmianek w jego własnych listach, rozpoczął poszukiwania, których nader rychłym owocem było odnalezienie kilku prywatnie zwróconych doń listów Norwida. Pozwala to przypuszczać, że szczegółowszy przegląd dawnych papierów po Towarzystwie mógłby doprowadzić i do wykrycia, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej któregoś z memoriałów i komunikatów powyżej wzmiankowanych.

15) W r. 1882 pisał Norwid do J. I. Kraszewskiego, co następuje: *»...mam zaszczyt udzielić publiczności załączony artykuł Żydy i Mehesy, który, godzi się, aby publikowanym był. Ale gdzie?... w którym z pism? Że wszelako... wydarza się zawsze feudalnie osobistość wzięta zarówno przez wszystkie pisma, tedy proszę onejże, to jest, JW^o Pana Dobr^a, ażeby raczył artykuł mój Redakcyi przez niego wybranej załączyć, a to z przyczyny, iż treść pisma tego, nawet z opóźnieniem o dzień jeden jakiej*

jakiej powiastki, godzi się, aby znaną była«. Rzecz nie ukazała się w druku. Rękopis istnieje podobno w puściźnie po Kraszewskim, ale dotąd nie udało nam się doń dotrzeć. Notujemy więc tutaj tymczasem powyższą listowną o nim wzmiankę.

16) Nader ciekawą wiadomość o jednej z tych zupełnie *beźinteresownych* prac Norwida, na które zwracał uwagę Niewiarowski, znajdujemy w liście poety do Fr. Duchinińskiego z 22/II 1883 r.: »...wyznam Ci (ale proszę o sekret), że autor des »*Slaves et Teutons*«, którego nigdy nie widziałem ani nosa ani włosa, pisał do mnie, dzieło stanowiąc, i że przez wdzięczność tak mało zasłużonych względów posłałem mu był memoriał mój *tych kwestyj dotyczący* — dzieło więc nie jest mi dalekie. Potem, prawie że zapłakałem. Bo — — oto krewni moi... i przyjaciele... pracują usilnie nad tem, aby mnie i moją całą żywotność umysłową zdeptać nogami i na śmiecie wkopać i zatrzeć i oddalić od wszelkiego życia... a tu oto nieznany francuz i radca stanu może wiedzieć mój adres i zgłaszać się!... Bóg więc jest i na śmieciach! Zapłakałem!« — Książka Edwarda Marbeau »*Slaves et Teutons*« ukazała się w r. 1883; memoriał Norwida zatem powstał zapewne w r. 1881 lub 1882. Rękopis może uda się komuś odszukać z czasem w Paryżu.

Z działu prozy pamiętnikowej — że istniało kilka większych całości, dowodzą równie głosy świadków, aby tak rzec, naocznych, którym całości te dano było kiedyś oglądać, jak oderwane, fragmentowe ich części, dochowane bądź w druku, bądź w rękopisie.

17) Że



17) Że drukowane w latach 1850—51 w poznańskim *Gońcu Polskim* różne wspomnieniowe i medytacyjne ustępy (13/XII 50, 13/I 51, 5/II 51) nienadaremnie i nie dla formy jedynie nosiły tytuł wspólny: *Z pamiętnika*, spostrzeże łatwo każdy uważniejszy czytelnik z samego tonu ich i treści. Są to widoczne »dalsze ciągi«, niekiedy odznaczane jako takie wielokropkami przed pierwszymi słowy lub po ostatniem zdaniu, niekiedy i bez tej oznaki zewnętrznej budzące w umyśle czytającego wewnętrzne zaciekawienia do tego, co *musiało* dany ustęp poprzedzać, lub też po nim *koniecznie* następować. Podobnież, *Czarne* i *Białe kwiaty* robią nieodparte wrażenie wyjątków, *wybranych* dla pewnego celu z jakichś ciągłych, z dnia na dzień zapełnianych ksiąg, zeszytów czy kartek pamiętnikowych, nieprzeznaczonych pierwotnie do druku, lecz pisanych, »aby samemu pojąć lepiej«, czy lepiej zapamiętać, »i życzliwym udzielić«. To też, bez żadnej wątpliwości, w owych już czasach, musiał poeta mieć prawdziwy »natłok« takich zapisek w swych portfelach. Część ich rozbiegła się snadź po różnych rękach »życzliwych« — i dotąd błąka się może gdzieś po świecie. Reszta uległa zapewne zatraceniu, czy to w ciągu błędnych kolei życia poety, czy po jego śmierci w zapomnieniu i osamotnieniu zupełnem.

18) Inną, specjalną całość pamiętnikową, z chwil podróży amerykańskiej, oglądał w rękopisie J. I. Kraszewski, odwiedziwszy poetę roku 1858 w Paryżu. »W czasie podróży swej do Ameryki, w której wycierpiał wiele« — czytamy w *Kartkach z podróży 1858—1864 roku* (Warszawa, Unger, 1874, str. 316—317) — »Cypryan, na po-
kładzie

kładzie okrętu, rysował, co widział, utrzymywał rodzaj dziennika, przeplatane słowy i szkicami. Ta księga pamiątek jest niezmiernie zajmująca... Może z całej puściny po tej nieszczęśliwej ofercie czasu, temperamentu, szkoły, nie wiem, najcenniejszy będzie ów album rysunków ze statku, który go wiozł do Ameryki». Przypuszczamy, że pamiętnik ten już w całości nie istnieje. Różne malarskie impresye i szkice morskie, które bądź odtworzaliśmy w edycji niniejszej (E, 32-33, F, 256-257), bądź oglądaliśmy w niedawno odnalezionym, bogatym albumie akwarel, rysunków i sztychów, będącym własnością p. Aleks. Dybowskiego w Paryżu, są prawie napewno oderwanymi z niego strzępami. Z ustępów słownych skłonni bylibyśmy mniemać, że to i owo weszło w skład *Czarnych i Białych kwiatów*. Reszta rozproszyc się znowu musiała po rękach »życzliwych« lub zaginać w »puryfikacyjnej« katastrofie pośmiertnej.

19) Fragment innego jeszcze całokształtu pamiętnikowego stanowią cztery kartki, wyrwane ze zwykłego kajetowego zeszytu, a poświęcone przeważnie wspomnieniom weneckim, przeplatanych wierszowanymi utworami, które poeta bądź zaczerpnął z cyklu *Vade-mecum*, bądź też później wcielił do niego. W urywku pamiętnikowym noszą one wspólny podtytuł: *Z mojego album*. O fragmencie tym mówiliśmy już w przypisach do *Tajemnicy lorda Singelworth* (E, 280). Zarówno wskazane tam namomknienie w treści, jak i charakter pisma w dochowanim kawałku manuskryptu, świadczą, iż rzecz powstała około roku 1866. Co się stało z resztą rękopisu, niewiadomo.

20) Rów-

20) Również przeplatany był rysunkami i słowy satyryczny *Pamiętnik podróżny*, którego dwie kartki (115 i 116), stanowiące jeden arkusik małego formatu (wys. 15,2 $\times$ szer. 9,4), przechowały się, z osobistego daru poety, w albumie p. Maryi Falkenhagen-Zaleskiej. O czasie tego ofiarowania świadczy data położona przy podpisie na ostatniej stronicy: 1867. Tekst słowny, jeśli sądzić z charakteru pisma, również z tych czasów mógłby pochodzić. Rysunki, innym atramentem, nieco wyblakłe i zatarte, są prawdopodobnie dawniejsze. Gdzie się podziały sto kilkanaście kartek poprzedzających, oraz niewiadomo ile następnych, brak jakiegobądź wskazówki.

21) Ślad ostatniego »dziennika« poety dochował się w wiarogodnej tradycji ustnej. P. Leopold Wellisch, który uczynnie prowadził dla nas w Paryżu różne, dotyczące Norwida poszukiwania, przywiózł ztamtąd zanotowane jak najściślej, następujące informacje przyjaciela poety z lat ostatnich, ks. J. Tańskiego: »W ostatnich latach życia, u św. Kazimierza, pisał Norwid pamiętniki — dwie wielkie księgi in folio — gdzie wszystko notował. Co się z tem stało, nie wiem. Dowiedziałem się o jego śmierci zbyt późno, szukałem napróżno. Mówiono mi, że podobno w Krakowie się znajdują. Nie wiem. Mam wrażenie, iż zagarnęły je — ręce niepowołane«. — Gdyśmy, w parę lat później, mieli sposobność osobiście mówić z szanownym kapłanem, potwierdził raz jeszcze te słowa i przypomniał sobie nadto szczegół, dowodzący, że istnienie owych zapisek nie jemu jednemu było wiadome. Twierdził mianowicie, że gdy r. 1878 czy 79 widział się w Krakowie z Ad. Asnykiem, tenże wypytywał go z wiel-
kiem

kiem zainteresowaniem, czy Norwid pisze dalej swe pamiętniki.

Na zakończenie wspomnieć tu jeszcze należy, z jednej strony, o rzeczach Norwida, które szły w świat w cudzych felietonach, bez jego wiedzy i woli, często z modyfikacjami samowolnemi, a niekiedy snadź nawet bez jego nazwiska, z drugiej zaś o wpływach jego rozmów czy monologów perypatetycznych, poruszających najrozmaitsze kwestye sztuki i życia. Co do pierwszych — sami spotykaliśmy po czasopismach *inedita* wierszowane, niewydrukowane osobno (gwoździu czemu zapewne przysyłał je poeta), lecz wcielane bezceremonialnie do różnych odcinków, kącików, »pogadanek o książkach i ludziach«* i t. p. Z rzeczy prozą, zwłaszcza z owych *bezinteresownie* nadsyłanych redakcyom uwag o różnych sprawach bieżących, częściej snadź jeszcze i bezceremonialniej podobny robiono użytek. Świadczą o tem poniekąd zastrzeżenia się niejednokrotnie Norwida — bez pretensyi już o własne nazwisko, lecz z niepokojem o swe idee — aby, jeżeli kto coś z jego rzeczy publikuje, publikował »w całości, tak, jak jest, obiektywnie«. — O słownych wpływach poety mówią wyraźnie: Zofia Węgierska w jednym z listów do Norwida, oraz J. T. Hodi we wspomnieniach swych »Z przeżytych dni« (*Kraj*, 1884, Nr. 7). »Przychodzę pochwalić się przed Panem Profesorem« — czytamy w żartobliwej odezwie autorki Kronik Paryskich w Bibliotece Warszawskiej — »że umiem lekcye. Z tego, coś mó-

* Por. w tomie B, przypisy do wiersza *Praca* z cyklu *Vademecum*.

coś mówił w Pałacu, urodziła się ładna kartka, a z tego, co-m gdzieindziej słyszała, tworzą się rzeczy piękne, które podpisałyby należałoby imieniem Cypryan... W promieniu światła twojego jak pracowita pszczołka się uwi-
jam, miód wysysając... na twej wiedzy, jak jedwabnik na liściu, żyję... to, co mówisz, chwytam zmysłami pięciu... tak, żem gotowa zawołać, jak Dant, spotkawszy Wirgiliusza na progu piekieł:

Tu se' lo mio maestro e il mio autore«.

»P. Cypryan Norwid« — mówi znów Hodi — »doskonale niegdyś umiał ujmować oderwane zagadnienia społeczne w obrazki i słówka zwarte, rzeźbione, wdrażające się w umysł jak kamee starożytne. Każdą taką jego »syntezkę« włożyć mogłeś jak obrączkę złotą na palec. Czarodziej to był prawdziwy«. I przytacza urywki z dwóch takich »syntezy« — o »odwiersznictwie« i o pogromie r. 1870, dodając po pierwszej: »I ciął tak do północy«, — co świadczy o pokaźnej niekiedy »słówek« tych i »obrazków« objętości. Ile tego poszło w świat, trudno obliczyć. Jedni — jak Hodi, jak dom Geniuszów — zapamiętywali, notowali i cytowali te powiedzenia, inni powtarzali je snadź już *od siebie*. Tak bywało z Villiers de l'Isle Adam'em w kołach literatów francuskich, tak mogło być i było zapewne z Norwidem w kołach polskich. Gdy jego pisma będą lepiej, dogłębniej znane, gdy jego odrębny »kolor duszny« zacznie na odległość uderzać oczy ludzkie, poujawniają się może zwolna i owe, po dziś utajone, pośrednio dochowane ducha jego szczątki.

IV.

Rozejrzyjmy się teraz pokrótce w materyale, jakim do chwili obecnej rozporządzamy.

Przez długi czas znane były — i to mało komu — tylko dwie książkowe rozprawy: *O sztuce* (1858) i *O J. Słowackim* (1861). Zainteresowanie rozbudzone w latach ostatnich doprowadziło do wykrycia całego szeregu studyów i artykułów rozproszonych po czasopismach. Z »Biblioteki Warszawskiej« wydobyliśmy *Litkup* (1841), urywek *Listu z Krakowa* (1842), *O rzeźbiarzach florenckich dziś żyjących* (1846), oraz znacznie późniejszego *Sfinksa* (1874). W brukselskim »Orle Białym« odnaleźliśmy *Głos niedawno do Wychodźstwa Polskiego przybyłego Artysty* (1846), w »Czasie« krakowskim zaś *Zarysy Rzymu* (1849). — Dr. B. Erzepki odszukał w czasopismach poznańskich z lat 1849—1851 (»Gazecie Polskiej«, »Dzienniku Polskim« i »Gońcu Polskim«) cały cykl większych i mniejszych artykułów i urywków treści estetycznej, krytycznej, oraz polityczno-społecznej* — i przedrukował je po kolei w *Pismach zapomnianych C. Norwida* (»Dziennik Po-

* W »Gazecie Polskiej« — *W odpowiedzi na IX list z Poznania* (6/V 1849). — W »Dzienniku Polskim« — *Krytycy i Artysci* (11/VIII 1849), *Nekrolog* (25/X 1849) i *Do obywatela Dmochowskiego — rzeźbiarza* (9/XI 1849). — W »Gońcu Polskim« — *Niema mienia bez sumienia* (23/VIII 1850), *Menego* (13/XII 1850), *Z pamiętnika* (13/I 1851), *Wyjątek z listu* (25/I 1851), *Z pamiętnika* (5/II 1851), *Słowo zгоды* (7/II 1851), *Wyjątek z listu* (8/II 1851), *O felietonie* (16/II 1851), *Pół-Listu* (8/III 1851).

znański«, 1908 — Dodatek lit. i art.). Nie zostały powtórzone w tym zbiorze należące do tejże epoki trzy *Listy o młodej emigracji* z Libeltowskiego »Dziennika Polskiego« (1849 — Nry 99, 125, 126 i 137). — Z lat pierwszych po powrocie Norwida z Ameryki, przypomniano sobie umieszczone w »Dodatku miesięcznym« do »Czasu« krakowskiego *Czarne kwiaty* (1856) i *Białe kwiaty* (1857). Wreszcie, odszukano przytoczony w korespondencji Bolesławity do »Dziennika Poznańskiego« (1868, Nr. 271, Ze świata) urywek listu o Rejtanie Matejki.

Do tych rzeczy, drukowanych za życia poety, były ogłoszone po jego śmierci z rękopisów:

w »Wieku« warszawskim (w pośmiertnej sylwetce Norwida przez Al. Półkozica — 1884, Nr. 27) urywki z dwu listów — o J. B. Dziekońskim i o T. A. Olizarowski;

w »Chimerze« — trzy większe rozprawy: *Milczenie* z r. 1882 (t. V, str. 3 i 161), *Bogarodzica-Pieśń* z r. 1873 (t. VII, str. 3 i 193), *la Philosophie de la Guerre* z r. 1870 (tom VIII, str. 285);

w »Pamiętniku literackim« (1907, str. 250 — ogłosił K. Woźnicki) — *Memoryał o młodej emigracji* z r. 1850;

w »Lamusie« (zeszyt I, zima 1908/9, str. 111) — *Przyczynek* do »Rzeczy o wolności słowa«, z r. 1871;

w książce p. A. Krechowieckiego »O Cyprianie Norwidzie« (1909) — kilka memoriałów, rozprawek i drobniejszych urywków, użytych w rękopisach autorowi przez p. Dyonizego Zaleskiego z papierów po Boh-

danie

danie*, przez p. Michalinę z Dziekońskich Zaleską** i przez hr. Wł. Zamoyskiego***;

w »Nowej Gazecie« (dodatek »Literatura i Sztuka«, 3/I 1909) — traktacik o początkach sztuki dramatycznej z r. 1852 p. t. *Widowiska w ogóle uważane*;

w »Echu literacko-artystycznym« (Warszawa) — szkic satyryczny z r. 1881 p. t. *Estetyczne poglądy* (paźdz. 1912), uwagi »dla Nowej Redakcyi« z r. 1860 (listop. 1912), oraz króciuchna rozprawka z r. 1876 p. t. *Piast i jego rewolucya* (maj 1913);

nakoniec w »Tygodniku Ilustrowanym« (1912, Nr. 31 — podał K. Bartoszewicz) — trzy noty do J. I. Kraszewskiego w sprawie założenia dziennika.

Wydanie nasze, objawszy cały ten materiał, uzupełnia go nadto całym szeregiem niewydanych i po raz pierwszy ogłaszanych tu z rękopisów, większych i mniejszych rozpraw, artykułów, not i fragmentów. Oto zwiększyła ich lista w porządku chronologicznym, ze wskazaniem posiadaczy, którzy dostęp do autografów łaskawie nam otworzyli.

1) Uzu-

* *Pożnańskie. 1846-1848* — artykuł z r. 1861 (książka p. Krechowieckiego t. II, str. 149—153); *Jeżeli położą rękę na finansach...* — list z 23/V 1863 (t. II, str. 157—159).

** *Gdyby zapętał kto Jana III...* — urywek bezdatowy, lecz pochodzący, zda się, z r. 1860—61 (t. II, 188).

*** *Nota z 9 punktów*, przesłana gen. Wł. Zamojskiemu w r. 1863 (t. II, str. 161—167); *9 zaspokojoyonych pytań*, przesłanych temuż w tymże roku (t. II, str. 168—175); *O portrecie i przeznaczeniu jego*, list do Wł. Zamojskiego z r. 1867 (t. II, str. 211—215).

1) Uzupełniająca i wyjaśniająca trzy drukowane w Libeltowskim »Dzienniku Polskim« listy o młodej emigracji, 22-stronicowa (w autografie) rozprawka epistolarna z r. 1849 — użyczona ze zbiorów Miłosławskich przez ś. p. J. Kościelskiego.

2) Dwie większych rozmiarów, beztytułowe i, niestety, nie w całości dochowane prace filozoficzne (*Położenie człowieka oraz Słowo i litera*) i trzy fragmenty pomniejszych (*Ekspozycje, O prototypach formy, Rozważania o kole*), wszystko — z wyjątkiem dwóch ostatnich manuskryptów, które według pisma wydają się wcześniejsze — z r. 1851; własność p. D. Zaleskiego (z papierów po Bohd. Zaleskim).

3) *Una picciolissima osservazione al illustre autore del Magnificat delle arti* (replika na objaśniającą obraz »Der Triumph der Künste« broszurę Overbecka) — z r. 1852 — własność p. Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej.

4) Beztytułowa, Grzymale poświęcona czy ofiarowana, rozprawka o *cechach muzyki Słowiańskiej i Polskiej* — z r. 1852 — rękopis, po L. Kastorym, obecnie jest własnością p. Z. Matkowskiego.

5) Wstęp do jakiejś obszerniejszej rozprawy o *fenomenach duchowych i stolikach wirujących*, z r. 1855 (po powrocie z Ameryki) — autograf użyczony, z papierów po X. J. Koźmianie, przez p. Stanisławową Koźmianową.

6) Beztytułowa krytyka literacka i etyczna (*»Czasem na te zjawiska uważam...«*) z powodu korespondencji z Rzymu do »Gaz. Warsz.« o kaźni Beatryczy Cenci — z r. 1860 — autograf, z papierów po Deotymie, użyczony przez p. Ant. Sadowską.

7) *O idei*

7) *O idei reprezentacji*, list do redaktora »Przeglądu rzeczy ojczystych«, Seweryna Elżanowskiego — z roku 1860 — autograf w Muzeum raperswylskim.

8) *Asocjacja jako asocjacja* — rozprawka filozoficzno-społeczna z r. 1861 — autograf jest własnością p. Michaliny z Dziekońskich Zaleskiej.

9) *Do M...* — wtóry list (o *tszinie i czynie*) — roztrząsanie filozoficzno-społeczne z r. 1861 — autograf użyzony przez prof. M. Sokołowskiego.

10) *Nota z dziewięciu punktów*, posłana L. Mierosławskiemu w r. 1863 — autograf w Muzeum raperswylskim.

11) Dwa listy-aneksy do noty poprzedniej (*Wszystko, co w tamtej nocy było... i Co do zapytania o opinię...*) — z r. 1863 — autografy w Muzeum raperswylskim.

12) Projekt wstępnych słów do odezwy z powodu allokucyi papieża — z r. 1864 — autograf użyzony przez prof. M. Sokołowskiego.

13) *O przekładach z Byrona* (z powodu zapewne tłumaczeń Baworowskiego zakomunikowanych poecie) — z r. 1865 — list do L. Nabelaka, użyzony przez p. W. Gasztowta.

14) Urywek (4 kartki) z pamiętnika przeplatane go wierszami, noszącymi podtytuł ogólny *Z mojego album*, a włączonemi też do cyklu »Vade-mecum« — z lat 1864-66 — autograf w puściźnie poety, użyzonej nam przez ręce p. W. Gasztowta.

15) Urywek z ilustrowanego piórkiem, satyrycznego »Pamiętnika podróznego« (półarkusik mały z numeracją kart *recto*: N. 115 i N. 116) — z r. 1867 — autograf użyzony przez dra J. Korzeniowskiego.

16) *O de-*

16) *O deklamacji* — rozprawka epistolarna z roku 1869 — autograf z papierów po L. Nabelaku, użyzony przez p. W. Gasztowta.

17) Urywek »wstępu« do jakiegoś dramatu, omawiający wartość konkursów dramatycznych i kwestyę »najlepszości na polu artystycznym« (1 kartka) — z lat 1860-70 — autograf w puściźnie poety, użyzonej nam przez ręce p. Gasztowta.

18) *O zniszczeniu narodu* — pierwsze cztery rozdziały jakiejś większej beztytułowej całości — z lat po 1870-ym — autograf w puściźnie użyzonej nam przez p. W. Gasztowta.

19) Urywek »wstępu« do wykładów historii polskiej (5 kartek) — z lat po 1870-ym — autograf w puściźnie użyzonej przez ręce p. W. Gasztowta.

20) *List do J. B. Wagnera* (o »*sztuce jako żywym organie społecznym*«) — z r. 1876 — autograf użyzony przez p. M. Geniusza z Port-Saidu.

21) *Hr. Krystyanowi Ostrowskiemu w kwestyi losu artystów polskich* — uwagi bezdatowe, ale z treści będące w związku z listem poprzednim i przeto z tegoż zapewne roku pochodzące — autograf, z papierów po L. Nabelaku, użyzony przez p. W. Gasztowta.

22) List do Maryi Brzeziny (Sadowskiej) z powodu jej *Oksany* — z r. 1876 — autograf użyzony przez p. M. Geniusza z Port-Saidu.

23) Dwa listy do J. B. Wagnera: o »*wszystkich ekspozycjach razem*« i o »*sztuce okolicznościowej*« — z r. 1881 — autografy użyzione przez p. M. Geniusza z Port-Saidu.

24) *Fabulizm Darwina*, oraz uzupełniający tę rozprawkę

prawkę *list o Darwinie* do L. Rettla — z roku 1882 — autografy z papierów po L. Nabelaku, użyczone przez p. W. Gasztowta.

25) Nieco drobnych, aforystycznych i parabolicznych uwag na różne temata — z papierów użyczonych przez p. M. Zaleską, oraz dochowanych po S. Duchieńskiej, L. Nabelaku, J. B. Wagnerze, L. Rettlu.

V.

Dwa tomy przeznaczaliśmy, rozpoczynając wydawnictwo, na dydaktyczne i pamiętnikowe prozy Norwida. Pierwszy (*F*) miał objąć przeważające liczebnie i objętościowo pisma o sztuce i literaturze, drugi (*G*) — rozprawy filozoficzne, społeczne, polityczne, oraz drobne aforyzmy i ułamki. Ale w chwili owej nie mieliśmy jeszcze pod ręką wszystkich wymienionych obecnie w rozdziale poprzednim materyałów. Dalsze, niezamknięte i dziś nawet, poszukiwania do coraz nowych doprowadzały odkryć i, między innymi, przyniosły stopniowo cały szereg prac pierwszej kategorii, których nie mogliśmy już wstawić do odpowiednich działów i na odpowiednie pod względem chronologii miejsca w tomie niniejszym. W ten sposób uformował się zwolna spory dodatek doń, który czytelnicy znajdą na końcu tomu *G*, podobnie jak odnalezione po wydrukowaniu tomu *A* utwory wierszowane z pierwszej połowy życia poety (po rok 1864) będą umieszczone, jako osobny dział suplementowy, w drugim tomie pism poetyckich (*B*). W skład dodatku do tomu niniejszego wejdzie nadto kilka rzeczy, które pierwotnie

wotnie miały znaleźć miejsce w innych działach edycji (w korespondencji, w drobnych aforyzmach i ułamkach), a które później, po powtórnych obmyśle, uznaliśmy za odpowiednie wyosobnić w dziale pism dotyczących sztuki i literatury.

Oprócz powyższego suplementu faktycznego, wskazać musimy inne jeszcze, nieodzowne uzupełnienie zawartych tu studyów i roztrząsań. Jest niem cykl związanych z różnemi poematami i dramatami wstępów, odnośników i epilogów prozą, których niewolno nam było ani odrywać z miejsc właściwych, ani też — gwoili nierozszerzaniu zbytniemu edycji — drukować powtórnie. Łączą się one tak ściśle i bezpośrednio, i co do poruszanych zagadnień, i co do wyrażanych poglądów, z zebranemi tutaj pismami, że uważaliśmy za konieczne przypomnieć o nich czytelnikowi, wskazując miejsca, gdzie w innych tomach odszukać je może. Oto ich kolej chronologiczna: 1) przedmowa *Do czytelnika* o »literaturze czynu«, jako wstęp do poematu *Niewola*, z r. 1848 (t. *A*, str. 223—225); 2) *Epilog*, w 20-tu rozdziałkach, do dyalogów Promethidionowych, z r. 1850 (t. *A*, str. 166—179); 3) *Do Z. K.* — *wyjątek z listu*, jako przedmowa do poematu *Quidam*, z r. 1859 (t. *A*, str. 528—530); 4) *Do krytyków* — przedmowa do *Krakusa*, pisana zapewne już po nadaremnie proponowaniu dramatu Kraszewskiemu do »Gazety Polskiej«, w chwili przygotowywania rękopisu dla Brockhauza, t. j., w ostatnich miesiącach r. 1862 (t. *C*, str. 165—167); 5) *Do czytelnika* — przedmowa do *Vade-mecum*, o »stanie obecnym poezji polskiej«, z r. 1865 (tom *B*); 6) obszerniejszy *Wstęp* do

świeżo

świeżo odnalezionej »tragedyi-białej«: *Pierścień wielkiej damy*, z r. 1872 (tom D); 7) szczątki planu przedmowy do *Kleopatry*, z lat po 1870-ym (tom D); 8) odsyłacz *Spójrzanie ku niebu* w IV-ej pieśni poematu *Assunta*, z lat 1870—79.

Co do układu książki niniejszej, uważaliśmy za potrzebne wprowadzić pewne ugrupowania, ułatwiające czytelnikom orientację w różnych typach i rodzajach tego działu próz Norwidowskich. Trzy większe rozprawy: *O J. Stowackim*, o pieśni *Bogarodzica* i o *Milczeniu*, wysunęliśmy na koniec tomu, roztrząsania zaś pomniejsze podzieliśmy — powodując się zarówno chronologią, jak treścią i tonem pism poszczególnych — na 4 cykle: *juwenilia*; artykuły polemiczne i estetyczne z lat 1849—51; przed- i po-amerykańskie urywki medytacyjno-pamiętnikowe, dotyczące sztuki i literatury; wreszcie, rozprawki, listy otwarte, przemowy z lat 1852—76, grupujące się dookoła ogniskowej broszury *O sztuce dla Polaków*.

Ktoby pragnął porządku ściśle chronologicznego, z wyłączeniem wszelkich podziałów na cykle i grupy, łatwo go sobie, podług dat podanych w przypisach do każdej z rozpraw, uwidomić może.

LITKUP NA PRADZE I PORACHUNEK Z WOJCIECHEM.

(Str. 3—4).

Pierwodruk w *Bibliotece Warszawskiej* (1841, I, 652—653), w dziale: »Kronika literacka«. Pod tekstem podpis: *Cyprian Norwid*.

Pierw-

Pierwszy ze znanych po dziś artykułów prozą Norwida — i zarazem pierwsza, zda się, czujna recenzja o zaczynającym wychodzić *Album cynkograficznem* J. Piwarskiego. Spółczesny *Kurj. Warsz.* (1841, Nr. 91, str. 427) przytacza ją w całości prawie i z podpisem autora, jako »światłe zdanie« o nowych dziełach prof. J. P. Piwarskiego. W samej *Bibl. Warsz.* wywołało sprawozdanie to długą odpowiedź (w tejże »Kronice literackiej«) p. t. *O cynkografii p. Seweryna Oleszczyńskiego* (1841, II, 519). Autor jej, *W. Wrz.* [Wincenty Wrzesiński], przyznając Norwidowi »czucie« i »szczerę serce«, ujmuje się jednak i za Piwarskim i za Oleszczyńskim, którym — jak twierdzi — uchybiono. Co do Piwarskiego, chodzi mu o niesłuszne, według jego zdania, użycie przymiotnika »flamandzki«; co do Oleszczyńskiego, o to, że wynalazek odpowiedniej zaprawy blachy cynkowej i odbijania z niej jest wyłączną własnością i zasługą tego artysty. »P. Piwarski piękny i pięknie wyrysował obraz, p. Oleszczyński przeniósł go jak najwierniej na papier... *suum cuique*«. — Dalszym ciągiem tej polemiki były: niepodpisany artykuł w *Przegl. Warsz.* (1841, I, 266—272), oraz bezimienne również sprawozdania o 4-ej rycinie *Albumu* w Nrze 3-im *Nadwiślanina* i w Nrze 10-ym *Echa*, wychodzącego przy *Gaz. Warsz.*, na co wszystko J. Piwarski nieco suchym i pedantycznym tonem w *Bibl. Warsz.* (1841, III, 223—229) odpowiedział.

Nie miejsce tu na szczegółowy sporów tych rozbiór. Natomiast, uważamy za konieczne przytoczyć w całości artykuł *Przeglądu Warsz.*, ponieważ treść, ton i nawet

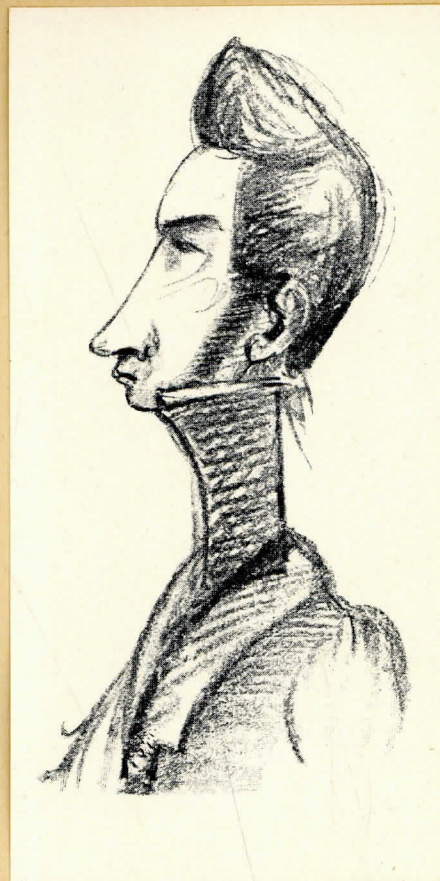
wet zwroty poszczególne* każą nam twierdzić, że — mimo brak podpisu — wyszedł on również z pod pióra Norwida. Pisemko to ważniejsze jest nawet od pierwotnego sprawozdania, którego broni. Uważny czytelnik odszuka w niem bez trudu niektóre przeczuciowe zarodki tych żywotnych pojęć o sztuce i krytyce, które poeta później, przez życie całe, konsekwentnie i dogłębnie rozwijał. Oto tekst owej odpowiedzi p. Wrzesińskiemu w *Przeglądzie Warsz.*:

ZE WZGLĘDU ARTYKUŁU O CYNKOGRAFII

w *Bibliotece Warszawskiej*, tom II, str. 519.

W zeszycie *Bibl. Warsz.*, na miesiąc maj wydawnym, znajdujemy słów kilka o *Cynkografii* p. S. Oleszczyńskiego; jest to, jak się zdaje, odpowiedź na opisanie pierwszej ryciny album rysunkowego: odpowiedź, w której p. W. Wrz. zgorszył się nadzwyczajnie, iż »nie chcąc uchybiono p. Piwarskiemu i p. Oleszczyńskiemu«. — Grzeczna myśl! Szkoda tylko, że dziś w rzeczach krytyki piszący nie powinien zamknąć swego zdania w morzu jednobarwności tego a tego sądu. Owszem, pisze on właśnie z przyczyny, że nie może czekać na wyręczenie, bo głos jego jest inny. To też czy sąd ten pozostanie sądem

* Np. taki charakterystyczny jak: »Co się zaś tyczy samej cynkografii, to rzecz inna, to tam biegli... odezwać się potrafią«. W liście do K. W. Wójcickiego z r. 1859 podobnie pisze Norwid: »muszę ja wiedzieć, co... ciemno albo jasno piszę, bo to tam jest moja rzecz«.



sądem uzasadnionym, czy też będzie jak owoc nieukształconych roszczeń odrzucony zupełnie, zawsze nie bez korzyści odezwie się wśród tłumu; w ostatnim bowiem razie, zostanie jako świadek postępu pojęć estetycznych.

P. W. Wrz. twierdzi dalej, iż »pan Piwarski, kreśląc obraz, w którym ani jednej akcji, ani jednej fizjonomii cudzoziemskiej nie widzimy, do którego wzory tak licznie się nastreczają, nie potrzebował naśladować i kopiować malarzy flamandzkich« — tak jakby naśladownictwo wynikało z potrzeby; przecież wszędzie są wzory, bo wszędzie jest natura, ale sposób widzenia *jej* stanowi różność, sposób wyrażenia, *styl*. Naśladownictwo więc nie z potrzeby, nie z braku wzorów, ale z niesamodzielnosci wynika. Kto jest samodzielnym, ten jest treścią, a ci inni to *tejże* wynikłości, zdolnostki powołane do rozwinięcia tego, nad czym on nie miał czasu się zastanawiać, bacząc na główny pomysł. Jest to właśnie różnica, że założyciel szkoły bezpośrednio obcuje z pięknosciami natury, jego zaś satelity potrzebują wstawienia się swego mistrza. Owóż dobrze tam p. Wrz. mówi o odurzeniach trunkiem i zaręcza, że trzy szklanki nie są jed[y]ną cechą flamandzkiego obrazu, dobrze także, że i uchybień przestrzega pracownicy, należałoby jednak zastanowić się nad tem, co stanowi duch szkoły.

Co się zaś tyczy samej cynkografii, to rzecz inna, to tam biegli w tej mierze odezwać się potrafią*, a pan Wrz.

* Lichtenberg, który objaśnił i wysławił Hogarta, nigdy nie miał zwyczaju wspominać o fabryce płótna, jakiego tenże malarz do swych tworów używał, bo w tym względzie statystyczne wykazy skrupulatnie go wyręczyły.

Wrz. chociaż bardzo się zdumiał, jak można było nie wspominać o tem, czego sam zapomniał, nikt jednakże po przeczytaniu jego pisma więcej o cynkografii nie wie.

»Ten znakomity artysta (pan Piwarski) pierwszy zaczął upowszechniać w kraju charakterystyczne obrazy«.

Dziwimy się, że krytyk ani o Szmuglewiczu*, który niekiedy trafnie nasz gmin umiał przedstawiać, ani nawet o Orłowskim, tym wielkim mistrzu krajowych charakterów, nie wspomina. Lubo zaś powszechność bardzo ceni i talent i przedsięwzięcia pana Piwarskiego, jednakże trudno jest na zapomnienie skazywać innych, których każdy zajmujący się sztuką uwielbia, bo niepamięć ta mogłaby być rękojmnią niepoznania się na pracach samego pana Piwarskiego.

Dowiedzieliśmy się więc z artykułu p. Wrz., że układ i wykończenie jest rzeczą rysownika, przeniesienie na papier — litografia. *Suum cuique!*

WYJĄTEK Z LISTU Z KRAKOWA.

(Str. 5—12).

Pierwodruk w *Bibliotece Warszawskiej* (1842, III, 236—240), w dziale »Rozmaitości«. Pod tekstem podpis: *Cyprjan*. — Przedruk częściowy w artykule o Norwidzie p. A. E. Balickiego (Sprawozdanie XXV Dyr. c. k. gimn. III w Krakowie za rok szkolny 1908), z błędami nienależącymi ani do poety, ani do *Biblioteki* (np. w wierszu —

* Szmuglewicz, oprócz głównych swoich przedmiotów malowania, obrazów śś., niekiedy zajmował się także scenami gminnymi.

szu — według naszej edycji — 16-ym na str. 5-jej: zieleniejących się — *zam.* — zieleniejących). — W tekście naszym poprawiliśmy widoczną omyłkę korektorską czy opuszczenie jakiejś *Biblioteki*: (str. 8 w. 7) »gdzie piasek zalega i mielizne« — zapewne zamiast: »gdzie piasek zalega i mielizna« — albo: »gdzie piasek zalega i mieliznę tworzy«.

Jest to znowu — przed artykułem *O rzeźbiarzach florenckich* — jedyna znana po dziś korespondencya Norwida w sprawach literackich i artystycznych z pierwszych lat po wyjeździe z kraju. P. A. E. Balicki wspomina tajemniczo o większej ich liczbie i obiecuje szerzej omówić je w zamierzonym dłuższym studium o poecie (*op. cit.*, str. 16), ale szkoda, że ani korespondencyj tych, jeżeli je posiada, ani zapowiadanej monografii nie ogłasza. — W istocie, mogło ich być i było niewątpliwie bardzo wiele. Świadczy o tem choćby przechowany list z Norymbergi z 23/X 1842 r. (*Teki* Cypryana Walewskiego, tom VI, Nr. 615c — w Akad. Umiejętn. w Krakowie): »...Długie moje milczenie usprawiedliwię wkrótce wiadomościami z Drezna (nieskończonemi jeszcze dla wielu cytacyj o malarstwie w XVI wieku u Polaków), tudzież lekkim fragmentem... List ten posyłam już z Monachium, skutkiem natłoku prozy w portfelu zapomniany«. Co się stało z całym tym »natłokiem prozy«, czy wiadomości z Drezna z owemi uwagami o malarstwie w XVI wieku u Polaków były wysłane potem do jakiej redakcyi i czemu ich nie wydrukowano, — trudno wiedzieć. Niechaj to wszakże zwróci uwagę osób, którymby podobnej treści rękopisy Norwidowskie wpaść mogły do rąk.

Chara-

Charakterystyczny jest pod pewnemi względami ten bezpretensjonalny urywek listu z drogi. Poza zwykłym olśnieniem młodego królewianina, wyruszającego pierwszy raz za granicę, specjalną dekoracyjnością »kroniki żywej« Krakowa, — mamy tu interesujące wskazówki co do najumiłowańszych preokupacji artysty i poety. Więc odwiedziny w pracowniach najwybitniejszych ówczesnych malarzy krakowskich, Głowackiego i Stattlera, uderzające niezależnością i wrażliwością sądów*. Następnie, także odwiedziny u poetów (Edmunda Wasilewskiego), historyków literatury (Mich. Wiszniewskiego), rozkoszowanie się u tego ostatniego prze rysami zabytków starożytnych, zdumiewające na owe czasy docenianie pomników dawnej rzeźby i architektury — i dopiero pod koniec słów kilka o tem, co »czytelników głównie zajmuje dzisiaj«, t. j., o budzących ciekawostki, plotki i swary artykułach dziennikarskich. Ponieważ końcowy ustęp korespondencji zamyka się w *Bibl. Warsz.* wielokropkiem, więc niema pewności, czy redakcja nie usunęła jakiej polemicznej wycieczki przeciwko autorowi *Objazdów* w sprawie Warszawy. W tej związku wszakże — jak się dochowała — informacji końcowej zdarzył się niewinny, ale przykry w skutkach *lapsus calami*, który poniekąd zajątrzył zajądł już i tak polemikę i wywołał pod adresem młodego korespondenta oraz *Bibl. Warszawskiej* urągliwą napaść ze strony redakcyi

* Dość porównać dyskretnie, mimo całego szacunku, pominięcie *Machabeuszów* (którymi tak zachwycił się Słowacki, a których »treść solenna« jedynie wydawała się Norwidowi ważką) na rzecz jakiegś doskonałej i pełnej charakteru podobizny.

dakcyi uważającej się za dotkniętą. Oba artykuły wzmiankowane w *Liście z Krakowa* ukazały się w poznańskim *Orędowniku naukowym**. Norwid, niechcąc zapewne wymieniać tytułu czasopisma, napisał prawdopodobnie: »dwa artykuły tygodnika« (t. j., pisma tygodniowego — jak mówi się: dziennika — zam. — pisma codziennego); korektor

* Artykułem »jak się zdaje, przez miejscowego napisanym« była *Korespondencya z Krakowa* w Nrach 19 i 20 z r. 1842, zawierająca słuszny pod wielu względami, ale zbyt złośliwy i plotkowaty obraz działań Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, tudzież rozbiór XVI-go tomu rocznika tej instytucyi. Wystąpienie to stałego — zda się — korespondenta *Orędownika* wywołało w Nrze 23 tegoż pisma obronę Krakowskiego Towarzystwa Naukowego oraz jego prezesa, podpisaną X; w Nrach zaś 26 oraz 27 — replikę stałego korespondenta owemu X-owi.

Objazdówkę literacką pomieścił *Orędownik* w Nrach 21 i 22. Oto jej treść krótka. W Nrze pierwszym: Warszawa — o fizyku i wynalazcy Józefie Żochowskim (przyrównanie do Newtona, ozwanie się do Cieszkowskiego, aby podał mu rękę), o próżnościach literackich, o mnóstwie literackich czasopism zamiast jednego porządnego, o grubości zeszytów zamiast jakości, o młodzieńczej krytykomanii, o *Bibl. Warsz.*, *Jutrzence*, *Rocznikach krytyki*, *Przeglądzie Naukowym* (pochwały dla Dembowskiego i Skimborowicza); w Nrze drugim — jeszcze Warszawa — o kobietach-literatkach, o Dembińskiej, córce jenerała, o Ziemięckiej niepoehlebnie (że wzięła się do metafizyki tłómaczonej z francuskiego) — Ukraina — o *Mieszaninach* Jarosza Bejły, o H. Rzewuskim, o krytyce dzieła przez Gust. Olizara i innych — Kijów — o domu państwa Szymanowskich, o Kraszewskim, Mich. Grabowskim, Jaroszyńskim, Hołowińskim, Edw. Padlewskim, Wł. Chodzkiewicz — Lwów — o *Parafianstyczynie* Al. Borowskiego, o instytucie Ossolińskiego, o wydawcy *Lwówianina* (bardzo niepoehlebnie) — o Wrocławiu i Purkyniem — o Mich. Wiszniewskim i jego krytyku (Mosbachu) w poznańskim *Tyg. Literackim*. To ostatnie właśnie wywołało furę *Tygodnika*.

rektor *Bibl. Warszawskiej* zrobił, zda się, z »tygodnika« — »Tygodnik«, w tym zaś pseudotytuł chciał widzieć siebie *Tygodnik literacki* Wojkowskiego, zjadły wróg tamtego czasopisma, który już w Nrze 19 z 9 maja 1842 r. napadał gwałtownie za »ton chłopców ulicznych i anonimowe szkalowania« na autora *Objazdżki*, w Nrze zaś 24 (z 13/VI) demaskował anonima, wyjaśniając, iż jest nim »p. Erazm M.« z Krakowa, którego *Dytyramb* (»I ja mam duszę, bo któż bez duszy« etc.) odrzucono w *Tygodniku*, »a wtedy udał się do *Orełdownika*«. W Nrze 25 (z 20/VI) — po zjawieniu się zeszytu *Bibl. Warszawskiej z Listem z Krakowa* — czytamy: »Jeżeli redakcja *Tygodnika* wstydzicby się musiała, gdyby artykuły te [*Objazdżkę* i *Korespondencję* o Krak. Tow. Naukowem] była umieściła, to niemniej... *Biblioteka* wstydzic się powinna, że ma takich korespondentów, którzy nie wiedzą, co piszą... wstydzic się powinna, że sama błędu tak ubliżającego redakcyi *Tygodnika* nie mogła poprawić«. Powodem do tego »skarżenia« była niewątpliwie dostrzeżona przez redakcyę — zwłaszcza po czi pełnych wyrazach Norwida o Wiszniewskim — aluzya w nawiasie: (»czy dla tego, że niesforność o b j e ż d ż a ?«), do krytyki Mosbacha, oraz wogóle wyczuła czy wiadoma niechęć poety (którego podpis pod *Listem z Krakowa*, dla rzadkości imienia, zupełnie był przejrzysty) do typu i kierunku *Tygodnika*. Norwid w piśmie tem nigdy nic nie drukował*. Nato-

* Może specyjalnie zraziły go do *Tygodnika* niechętnie i niezbyt mądre krytyki utworów J. Słowackiego, którego on za »wielkiego naszego lorda Byrona« uważał (*F*, 65), a zwłaszcza bombastycznie napastliwa rozprawka J. N. Sadowskiego (w Nrach 1 i 2 z roku

miast w *Orełdowniku* ukazało się w tymże roku 1842 (w Nrach 40 i 41) jego *Pożegnanie*.

O RZEŹBIARZACH FLORENCKICH DZIŚ ŻYJĄCYCH.

(Str. 13—24).

Rzecz drukowana była po raz pierwszy, dość nie-
dbale i z błędami nieraz tekst zaciemniającemi, w *Bibliotece Warsz.* (1846, I, 197—203). Pod tekstem data i podpis: *Pisałem w Rzymie 1845 r. | Cypryan Kamil Norwid.*

Powtórnie ogłosił tę rozprawkę p. J. Jankowski w *Świecie warszawskim* (1908, Nry 23 i 24) z innego, różniącego się tu i owdzie autografu, którego użyczyła mu rodzina pp. Radwanów. Rękopis ten, zakomunikowany nam znowu przez p. Jankowskiego, obejmuje trzy zeszyte arkusze wielkiego, cienkiego, lekko sinawego papieru listowego, z wytłoczonym u góry stemplem *Bath* w ramce. Format zeszytu: wys. 27 × szer. 21,5 cm. Od prawej strony założony margines szer. 5,5 cm., na którym wypisano z boku w odpowiednich miejscach treści poszczególnych ustępów (zamiast rozdziałowej numeracyi w *Bibl. Warsz.*): *Akademia | Giotto (1276—1336) |*

Buona-

1839) o *Anhellim*, który czem był naszemu poecie w latach młodości, wnioskować można z entuzjastycznych określeń w późniejszych o tyle prelekcjach o Słowackim (»arcydzieło narodowe« *F*, 228, »buletyn ducha« *ib.* 250, »testament pieśni ojczyściej narodu« 255, »poemat, bez którego przewodnictwa niemożna być oświeconym patryotą polskim« 241, wyraz doskonały »współczesności uważanej jako siła, potrzeba i obowiązek razem« 285—287).

Buonarotti (1474—1564) | Bartolini | Santarelli | Costoli | Pampaloni | Dupré | Fedi. — Tytułu i motta w tym autografie niema. Tekst rozprawki zajmuje stronicie 3—12. Str. 2-ga pusta. Na str. 1-ej dedykacja, podpis i data: *w dowód szacunku głębokiego | dla pism i cnót domowych | K. z T. H. | Cyprjan N: w Rzymie | 1845 r.* — Dedykacja odnosi się do Klementyny z Tańskich Hofmanowej.

Tekst nasz oparliśmy na tym autografie, wprowadzając tylko z *Bibl. Warsz.*: tytuł, motto z Danta, numerację ustępów (zamiast treści podawanej na marginesie), oraz niektóre przypiski i niektóre konieczne odmiany.

Różnice tekstu w autografie i w *Bibliotece Warsz.* (brzmienia pierwszego bierzemy w nawiasy, odmiany *BW* obok; liczby stronic i wierszy podajemy według naszej edycji):

str. 13 w. 9 — (w odniesieniu) w odnowieniu; 14, 4-5 — (akademia, w dzisiejszem jej znaczeniu, będąc jakby rękomią) akademia będąc jakoby zaręczeniem; 14, 6 — (ruchawej) ruchowej; 14, 15 — (niżeli się uczują) niżeli ją uczują; 14, 19 — (poprzedzały) poprzedziły; 15, 3-4 — (ziarno sztuki z zarodem bardzo samodzielny na ziemi) ziarno sztuki na ziemi; 15, 8 — (rodzi się) rodzi ją; 15, 11 — (niedorównanym) nieporównanym; 15, 19 — (i czwartego) czwartego; 15, 20 — (malarz, rzeźbiarz) rzeźbiarz, malarz; 16, 4 — (ludzkich, jaśniejących w historii) ludzkich, w historii sztuki jaśniejących; 16, 5 — (najjaśniejsze u krańców sztuki chrześcijańskiej: Giotto i Michał Anioł) najjaśniejsze: *Giotto i Mi-*

i Michał Anioł; 16, 15 — (drogi. A inni) drogi, a inni; 16, 21 — (wyrzec mogę) wyrzec można; 17, 1-2 — (poprzedników, mnóstwem swoich utworów i nieźrównaną pośpiesznością, chciał jakoby) poprzedników chciał jakoby; 17, 6 — (teoretyk) teoryk; 17, 9 — (geniusz) mistrza; 18, 13 — (historii) tradycji; 18, 19 — (grup [według rodzaju włoskiego]) grupa; 18, 22 — (o ziemię) o mury zwyciężonego miasta; 19, 1 — (bardzo mała) dość potoczna; 19, 2-3 — (bardzo) nader; 19, 21 — (ostatnie z robót) z ostatnich robót; 19, 22 — (mnóstwa) mnóstwo; 19, 23 — (etc. [w autografie: ect.]) i t. d.; 20, 7 — (Michel Angiola Buonarotti) Michała Anioła Buonarottego; 20, 18 — (spostrzegamy) spotykamy; 20, 19 — (ku narodowej szkole) do narodowej szkoły; 21, 7 — (właśnie) jeszcze; 21, 13 — (pod okiem) pod sterem; 22, 1 — (pod on czas) podówczas; 22, 7 — (pierwszej) pięknej; 22, 7 — (powrócił) odwrócił; 22, 10-11 — (monumentów) pomników; 22, 17 — (monumenta) pomniki; 23, 2-4 — (nie to było mu z góry przeznaczonem, jakoż starał się o sposobność dla odkrycia swej myśli, a otrzymawszy polecenie wykonania dwóch figur, zabójstwo Abła wziął za przedmiot) nie to było mu z góry przeznaczonem, a po mazołach bezprzykładowych, kiedy nareszcie miał sposobność wykonania dwóch figur, zabójstwo Abła wziął za przedmiot; 23, 15-16 — (do niej dla chwilowego odpoczynku, u bram) do niej, u bram; 23, 26 — (Był on długo) Ten był długo; 24, 8 — (i starożytnych mistrzów zdawałyby się) i starożytnych mistrzów nie niewolnicze zrozumienie zdawałyby się; 24, 9 — (niezwykłego) głębokiego; 24, 9 — (załączam) załączam

liczam; 24, 10 — (o *szkołę narodową*) o *narodową szkołę*; 24, 11-12 — (kamień węgielny) węgielny kamień; 24, 13-14 — (swawolnie naśladowa, ku czemu woła ich publiczność) swawolnie tam się mają, gdzie lekka woła ich publiczność.

O pierwszych latach, spędzonych przez Norwida za granicą, i zwłaszcza o artystycznych studiach jego we Włoszech, bardzo niewiele po dziś rzeczowych, autentycznych mamy szczegółów. W zebranej dotąd korespondencji, po wspomnianym parokrotnie liście z Norymbergi i Monachium z 23/X 1842 r. następują bezpośrednio listy do M. Trembickiej (oraz jeden do Ant. Czajkowskiego) już z Berlina z końca roku 1845. Luka tedy mniej więcej trzechletnia, którą — zanim jakieś kategoryczniejsze i bardziej wyczerpujące odnajdą się materiały — zapełnić trzeba wnioskami i przypuszczeniami, opartymi na współczesnych utworach poety, na wzmiankach dorywczych w późniejszych listach, pismach i autobiografiach, na tych i owych wreszcie postronnych dokumentach, które w ciągu poszukiwań do rąk nam wpadły.

Trzy znane po dziś autobiografie, spisywane w późniejszym wieku, obfitują w błędy i najmniej pewnym — zwłaszcza co do dat — mogą być punktem oparcia. Względnie najszczegółowiej omawia obchodzącą nas w tej chwili dobę oparty na faktach podanych przez samego poetę * życiorys w encyklopedyi (Conversations-

Lexicon

* »Nieznana autobiografia C. N.«, ogłoszona przez F. Kopere w krakowskich *Wiadom. Num.-Arch.*, 1897, Nr. 4, str. 355 ww. 8—11 (24—28).

Lexicon) Brockhausa (wyd. XI, tom X, str. 898, Lipsk 1867). »...bereiste« — czytamy tam — »1842 Polen, im folgenden Jahre Deutschland. Inzwischen hatte er seine literarische Tätigkeit als Mitarbeiter an polnischen politischen Blättern begonnen[?], 1844 begab er sich nach Italien, wo er als Schüler der Akademie zu Florenz sich mit Bildhauerkunst, Malerei und Kupferstich beschäftigte. Als er zur Zeit der polnischen Bewegung nach Deutschland zurückkehrte, wurde er unweit der polnischen Grenze verhaftet und nach Berlin gebracht«.

Tajemnicą jest, czemu Norwid nie wzmiankuje tu zupełnie swej działalności poetyckiej, która gromką jeszcze przed wyjazdem za granicę dała mu w kraju sławę; tajemnicą również pozostaje dotąd owo — jak pisaliśmy ongi w *Chimerze* (VIII, 442) — zaciekawiające współpracownictwo w *kilku* * *politycznych* czasopismach polskich. Nieścisłości dat wszakże już dzisiaj w znacznej części zrehabilitować możemy.

I termin powrotu z Włoch do Berlina brzmi niezupełnie dokładnie, bo pierwsze listy z nad Szprewy do M. Trembickiej pochodzą — jak widzieliśmy — z końca roku 1845, podczas gdy uwięzienie, o którym mówi życiorys, nastąpiło dopiero w połowie r. 1846 (por. tom 4, str. 769—771). Gorzej jeszcze z datami jazdy na południe. Wspomniany list z Norymbergi i Monachium, w którym mowa o poprzednich, dłuższych niewątpliwie badaniach w Dreźnie, pochodzi z 23/X 1842 r. — co stwier-

* — »à plusieurs journaux politiques polonais« — tak uzupełnia tekst Brockhausowski francuska biografia w *Gr. Dict. Univ. du XIX s.* P. Larousse'a (tom XI, str. 1100, Paryż, 1874).

stwierdza stanowczo, że Norwid nie w 1843 r. dopiero, lecz o rok wcześniej zaczął objeżdżać Niemcy. Czy w nich — ewentualnie w owym Monachium, z kąd list wysłał i gdzie adres swój tylko poste-restante podaje — dłużej pozostał, wątpimy raczej. Mamy w tymże liście i wzmiankę o zamiarach na Paryż* — ale teraz ciągnąć musiały poetę przedewszystkiem Włochy (tem bardziej, że tam snadź kierował go pasport) — i niewątpliwie jeśli nie cały rok 1843, to przynajmniej znaczną część jego już za Alpami spędził.

Zdaje się wszakże, iż nieodrazu osiadł na dłużej nad Arnem, że rozmaite po drodze zwiedzał italskie sztuki skarbnice, zanim do systematycznych pracowni w Florencji zabrał się studyów. Weronę — na szlaku z Monachium ku południowi — pierwsza go snadź zatrzymała. Wiemy przecież, jak silnie utkwiała mu w pamięci (por. tom C, str. 392—393). Że i w mieście dożów był już w r. 1843, świadczy z całą stanowczością ołówkowy podpis własnoręczny (*C. Norwid — Wene-cya — 1843 r.*) pod akwarelowym wizerunkiem oficera Krakusów w użyczonym nam za pośrednictwem p. Wł. Nawrockiego albumie pani Jadwigi G. Dłużej, parę miesięcy co najmniej, przeciągnąć się musiał ten pierwszy na lagunach pobyt, bo w chwilowych, dorywczych, choćby kilkakrotnych odwiedzinach nie mógłby poeta poznać Wene-

* »...rozłączywszy się z towarzyszem, którego może z czasem przy niektórych zmianach pasportowych w Paryżu jeszcze znajdę«. Mowa tu prawdopodobnie albo o Tadeuszu Brodowskim, udającym się właśnie w tym czasie do Paryża, albo o Tytusie Byczkowskim, z którym Norwid poznał się zapewne w Dreźnie, albo najprawdopodobniej o Antonim Czajkowskim, poecie.

Wenecji tak do głębi, nie odczułby tak całej jej duszy, jak to widzimy w *Menego* i w *Lordzie Singelworth*. Poza Weroną i Wenecją, znęciły może młodego podróżnika — z innych snadź każda względów — różne jeszcze Padwy, Mantuy, Parmy, Bolonie, Pizy.

Przypuszczamy też, że po feryach letnich dopiero zapisał się wreszcie na oddział rzeźby w akademii florenckiej. Że w każdym razie ostatni kwartał r. 1843 już spędził w mieście, którego »lew i lilia broni«, i że od razu dobrych tam spotkał przyjaciół, świadczy — uszkodzony tu i ówdzie — własnoręczny napis na odwrocie najwcześniejszego, jaki znamy, autoportretu poety*, tchnący jakąś pogodną zażyłością i z miejscem i z ludźmi: »*Cyprjan Norwid ten [portreci- czy wizerune-]k sam zro[bił] z [pam]ięci niepatrząc w lustro — we Florencji 1843 w Listopadzie w mieszkanii swoi h przyjaciół Zaleskich*«**.

Cały rok następny i może pierwsze miesiące 1845-go spłynęły mu w ojczyźnie Danta, Donatella i Celliniego — nie bez przerw jednakże. Poza bliższymi zapewne wycieczkami ku różnym Sienom, Fiesolom, Assyżom, zdarzały się i odleglejsze, więcej czasu zajmujące wyjazdy.

»O wio-

* Fotografie, zdjętą za łaskawą zgodą właścicielki, pani Budzynowskiej, oraz szczegółowy opis oryginału zawdzięczamy drowi A. Sternschussowi. Odtworzenie podobizny tej podajemy w jednym z tomów następnych.

** Mowa o Antonim Zaleskim, tym samym, który w r. 1858 projektował zbiorowe wydanie pism Norwida. Częste, zaufane przechadzki z nim po Florencji opowiedział poeta w *Dedykacji* wierszem do ofiarowanej przyjacielowi legendy p. t. *Bransoletka*. Co oznacza w niniejszym napisie liczba mnoga (Zaleskich), nie wiemy.

»O wiośnie« [zapewne wczesnej, włoskiej, w lutym może] r. 1844, spotykamy poetę znowu w Wenecyi, przechadzającego się z malarzem T. Byczkowskim na *riva degli Schiavoni* (por. *Menego*, tom *F*, str. 59—60)*. O bytności w tymże roku w »wiecznem mieście« świadczy nietylko data pod wierszem *W pamiętniku L. A.*** (»pisałem w Rzymie 1844 r.«), lecz i zgodny z nią, zażyły przyjazny list florenckiego mistrza, rzeźbiarza Pampaloniego, do bardzo ulubionego widać ucznia, pisany w końcu maja, a noszący adres: Roma***. Słowa w liście tym o zamierzonej przez Norwida jeździe do Neapolu potwierdza znowu sygnatura pod wierszem *To rzecz ludzka*: »w Pompei 1844 lata«.

W liście do M. Trembickiej z 2/I 1846 r. czytamy rów-

* Jako datę śmierci Byczkowskiego podają wszyscy, za Rastawieckim, r. 1843. Ale Norwid, jak gdyby z naciskiem, dwukrotnie powtarza: »1844 wiosny« (*F*, 59) i »w 1844 roku« (*F*, 60).

** W *Bibl. Warszawskiej*; gdyby prawdziwszą była sygnatura własnoręczna w albumie p. L. Abramowicza (»Rzym, 1845 d. 26 kwietnia«), wiersz ten należałby do dowodów drugiego już w Rzymie pobytu. (Por. tom *A*, str. 767).

*** »Firenze 22 maggio 1844 — Carissimo Norwid — Essendomi pervenuta una lettera a lei diritta credo bene renderlo informato acciò ella mi dica se devo spedirla a Roma. Io non ho azzardato perchè sapeva che quindi si sarebbe trasferito a Napoli e nell'incertezza che ella fosse a Roma o a Napoli non l'ho fatto perchè questa lettera non si smarrisce. Mi dia notizie di sua salute che spero saranno ottime e mi creda con tutta la stima suo aff. Luigi Pampaloni«. — Adres: Ornatissimo Sigre Norwid a Roma. Stemple pocztowe: Firenze bez daty — i drugi, rzymski, z 25 maja 1844 r. Autograf w puściźnie po Norwidzie, użyczonej nam za łaskawem pośrednictwem p. W. Gasztowta.

również wspomnienie wspólnego — podczas owej wycieczki — konnego powrotu z Wezuwiusza, a nieco dalej — w tymże — wskazówkę, że poeta, opuszczając w r. 1845 Włochy i udając się do Berlina, wyjeżdżał nie z Florencyi, lecz z Rzymu. Dowodziłaby tego i sygnatura pod rozprawką niniejszą: »Pisałem w Rzymie 1845 r. | Cyprian *Kamil* Norwid«.

Pierwszy raz użyte tutaj drugie imię, przyjęte na bierzmowaniu, którego udzielił poecie w jednym z kościołów rzymskich kardynał Franzoni d. 27 marca 1845 r.*; — stwierdza *terminum a quo* powstania »Rzeźbiarzy florenckich«, sama zaś data obrzędu — *terminum ad quem* powtórnego nad Tybr przyjazdu.

Że to był przyjazd powrotny, niema wątpliwości. Niepodobna bowiem przypuszczać, aby młody artysta, wyjechawszy z Florencyi w kwietniu czy maju r. 1844, już do niej nie wrócił i w Rzymie na stałe osiadł. W takim razie studia jego rzeźbiarskie u Pampaloniego zaledwie pół rokuby trwały, czemu przeczą i rezultaty ich, o których dalej, i sygnatury kilku utworów poetyckich z r. 1844 (prawdopodobnie z jego drugiej połowy), brzmiałyce zawsze jednakowo: »pisałem we Florencyi« (*Do mego brata Ludwika*, *Moja piosnka* [I], *Pamiętka*). Zresztą, o dłuższym, zażyłym w niej pobycie świadczy i parokrotne:

Ileż

* Wyciąg, na blankiecie drukowanym, *ex libro R Confirmatorum sacrosanctae Lateranensis ecclesiae*, wydany d. 29 marca 1845 r., dochował się w puściźnie Norwidowskiej, użyczonej nam przez p. W. Gasztowta.

*Ileż to razy więc, w Florencji onej,
Pamiętasz, sześliśmy...*

we wspomnianej dedykacji *Do A. Z.*, na czele *Bransoletki* (tom *E*, str. 16).

Wiadomo nam już zkadinać, że jednym z powodów do wycieczek nad Tybr i pod Wezuwiusz było towarzystwo pań Kalergisowej i Trembickiej. Ale miłość nie zasłaniała bynajmniej wszystkiego młodemu poecie i artyście; owszem, podniecała widocznie wrażliwość jego duchową i estetyczną, potęgowała siły, zdolności i pragnienia poznawcze czy twórcze.

Bo ta ruchliwa, jak widzimy, epoka była zarazem w życiu Norwida okresem nie tylko zwykłych zapałów młodzieńczych, lecz i niesłychanej, wielostronnej, zdumiewającej pracy, oraz zasadniczego przeobrażania się, dojrzewania, opanowania sobą artysty i poety. Świadczą o tem olśniewająco szybkie i świetne parolecia tego rezultaty w najrozmaitszych kierunkach: — i twórcze urzeczywistnienia czy zamierzenia w dziedzinach rzeźby i malarstwa już w latach 1845—47*; — i całkowita transfiguracja

* »Projekt i model« na pomnik J. Kochanowskiego (1845), o których z zachwytem mówi J. B. Dziekoński w przypisku redakcyjnym do artykułu W. Smokowskiego »O malarstwie w Polsce« (*Dzwon literacki* — 1846 — tom II, str. 156); — wielki obraz zamierzony w Brukselli, o którym wzmiankuje list do M. Trembickiej z 18/XII 1846 r.; — całe szeregi prac, o których z zapałem niezwykłym pisał St. Koźmian w korespondencji z Rzymu do *Przeglądu Poznańskiego* (tom V, r. 1847, str. 670—678): »...beletrysta, krytyk, poeta, rzeźbiarz, rysownik, malarz, daje on codzień dowody nieprzebranej obfitości i twórczości... Dziś... zajmuje się najwięcej malarstwem. Widzieliśmy w jego pracowni karton wielkiej piękności,

guracya poety, która np. kazała później Al. Niewiarowskiemu* przypuszczać 30 lat odstępu pomiędzy *Piórem* (z r. 1842) a wierszem *Do mego brata Ludwika* (z r. 1844), a już w latach 1845—46 umożliwiła w Berlinie zasadnicze dyskusye z poznańskimi przyjaciółmi na temat »legalnie wyrosłej z misteryów tragedyi narodowej« (por. tom *C*, str. 427-8, oraz *F*, przypisy do *Widowisk w ogóle uważanych*); — i ogromne uświadomienie patryotyczno-społeczne, które wnet r. 1845-go znalazło wyraz w berlińskim odczycie p. t. *Kraj a ojczyzna***, a roku 1846-go — w prze-

przedstawiający Chrystusa dającego błogosławieństwo z krzyża. Pomysł i rysunek arcyśmiały. O bogactwie szkiców, ilustracji, ozdób do różnych poematów, to do modlitw i psalmów, tyle wszyscy pochlebnie słyszeli, iż dobrze zrobiłby autor, gdyby je w sztychu wydał na widok publiczny«; — wreszcie, owa »wizya nakolizejska« (1847), której kończenia domaga się wprost B. Zaleski (»o tej wizyi twojej śnię bardzo często i z biciem serca« — *Koresp.*, t. II, Lwów 1901, str. 89), o którą gorąco dopytuje się Skrzynecki, — a która skutkiem przyczyn zewnętrznych nie została wykonana (»obrazu wielkiego, który Bohdanowi i Zygmuntovi Krasieńskiemu pokazywałem w kompozycji, nie zrobię dlatego, iż zniszczyłem karton i rozpoczęte dzieło, a zniszczyłem dlatego, że gmach, do którego ów obraz przeznaczano, z ziemią został zrównany, a właściciel na dobre nie jest w stanie o dziełach sztuki myśleć« — list Norw. do Skrzyn. z 1/VII 1848, *Przegl. Pol.*, 1886, III, 567).

* Por. tom *A*, str. 764.

** Wiadomość o tej prelekcji na posiedzeniu t. zw. biblioteki akademickiej znaleźliśmy w bezimiennych (Mottego?) *Wspomnieniach z czasów uniwersyteckich berlińskich od r. 1844 do 1847* (Dzien. Pozn., 1885, Nr. 143, odcinek). Pamiętnikarz nie wymienia nazwiska prelegenta, ale krótkie, acz dość powierzchowne, streszczenie wykładu pozwala twierdzić napewno, że był nim Norwid. Przewijają się tu już te same charakterystyczne myśli i poglądy, które później co

w przemówieniu na obchodzie rocznicy 29 listopada w ratuszu brukselskim*; — i wreszcie niezwykle na owe u nas czasy, oraz na młody wiek Norwida, głębokie, wrażliwe, znawcze rozejrzenie się w dziejach i zadaniach sztuki, którego ślady uderzają już w niniejszej rozprawce, a niebawem uwydatnią się w całym pierwszym cyklu uwag o sztuce z lat 1849—51. In nuce kiełkowały już w tych pierwszych włoskich latach — obok produkcji plastycznych — przyszłe *Pompeje* i *Listy do Wł. Łubińskiego*, *Pieśni Społeczne* i *Niewole*, *Krakusy* i *Wandy*, idee *Promethidionów* i traktatów *O sztuce*.

A ten ogrom pracy i ten obszar niedalekich jej plonów uderza tem bardziej, gdy wziąć pod uwagę przy padające właśnie na dobę niniejszą dywersje miłości, mło-

chwila — w przemówieniu brukselskiem, w *Trzech pytaniach* i *Promethidionie*, w prelekcyach *O J. Słowackim* i *O wolności słowa* — u poety naszego spotykać będziemy.

* O przemówieniu tem wspomniał sam poeta w jednym z przypisków do *Wielkawa* (tom A, str. 161), mylnie zresztą podając datę: 1847 zam. 1846. Do ostatnich wszakże czasów nie było wiadomem, iż rzecz istniała na piśmie — i w druku. W papierach po jen. Skrzynickim, złożonych w Krak. Akad. Umiej., znaleźliśmy wycinek z jakiegoś czasopisma z bezimiennym »*Głosem niedawno do wychodźstwa polskiego przybyłego Artysty*«. I treść i forma przekonały nas niezwłocznie o autorstwie Norwida, a w następstwie okazała się słuszną wskazówką dra J. Korzeniowskiego, iż wycinek pochodził z brukselskiego *Orła Białego* (Rok 7my — Nr. 19 i 20 — 20 grudnia 1846 r. — str. 75 i 76). Że nie było to streszczenie, lecz autentyczny tekst słów poety, świadczy przypisek redakcyi przy jednym tylko z pięciu przemówień (L[ucyana] S[łomińskiego], Norwida, J. Lelewela, K. Zaleskiego i W. Tyszkiewiczza), iż brzmienie podane w czasopiśmie jest tylko »treścią ściętnioną« długiej mowy K. Zaleskiego. Pozostałe więc przemówienia drukowano widocznie z użyczonych rękopisów.

młodzieńczo-zażyłe obcowania koleżeńskie, liczne nader stosunki światowe — i wreszcie wątle od młodu zdrowie poety*. Renesansowo, zaiste, uniwersalny i bujny musiał być duch młodziana, który — mimo przeszkód i roztargnień wszelkich — tak niepojęcie wiele w lat parę zdołał ogarnąć, któremu delikatna kompleksja cielesna nie przeszkodziła w intensywniej pracy nad rzeźbą, ani słabość oczu — w studiach malarskich i sztycharskich, dla którego pracowniane te zajęcia, mimo względnej ich krótkości a zadziwiającej owocności, częstką jeno były nieznaczną jednoczesnej kolosalnej pracy nad sztuką w mu-

* »Urodzi się bardzo słabowitym« — opowiada sam poeta w swym »horoskopie« (tom F, str. 29) — »ale tego lekarze nie przyznają — będzie ślepił kilka razy, ale okulista mu zaręczy, że ma oczy dziwnie doskonałe«.

»Nieodżałowana szkoda« — pisze we wspomnianym przypisku w *Dźwięnie literackim* J. B. Dziekoński — »że słabość wzroku nie dozwoliła temu najpełniejszych nadziei artyście poświęcać się malarstwu. Przez kilka [?] lat bawiąc we Florencyi, kształcił się w niewdzięczniejszym dla naszego ubogiego kraju i mozolniejszym wogóle rzeźbiarstwie — chociaż, egoistycznie patrząc na postęp sztuk naszych, cieszymy się, że imieniem swoim p. C. Norwid nie tylko u nas, w tej gałęzi sztuk pięknych, oddawna otworem stojącą lukę zapełni, ale i w reszcie artystycznego świata zasłynie«.

Co było gorszem, iż nie tylko oczy szwankowały. »Silna dosyć choroba« — pisze poeta roku 1845 do Ant. [Czajkowskiego] — »zaskoczyła mię w Rzymie... Na południu upał mnie obala, a na północy wilgoć zdrowiu szkodę przynosi«. A do M. Trembickiej 30 grud. 1845 r.: »Mam wiele do czynienia... muszę kończyć plan na pomnik... od niejakiemu jednak czasu, lubo dosyć zdrów jestem, nie mogę ciągle pracować więcej niżli godzinę — zaraz mam pewny rodzaj febry — jest to nic, bagatelka, ale, bacząc na przyszłość, będę musiał z pół roku niczem się nie zatrudniać«.

w muzeach, bibliotekach, wśród murów i zabytków florenckich, rzymskich czy innych, który — jak Michał Anioł — jednocześnie rozwijał się jako rzeźbiarz, malarz, poeta, myśliciel, a wszystko, co zdobywał, do własnej ojczyzny stosował i »bronić miasta swego« rozumnie, celowo, przede wszystkim pragnął!

Pomysł przerzucenia się ku rzeźbie z powodu słabości oczu, o którym mówi J. B. Dziekoński, powstać musiał jeszcze w Warszawie, może za radą Kl. Minasowicza, który uczył poetę »rudimentów sztuki«. Faktem jest, że — acz kryjąc to, zda się, przed rodziną* — motywował Norwid podanie o trudny wówczas do otrzymania pasport za granicę zamiarem »doskonalenia się w sztuce rzeźbiarskiej«**. Ale ten sławny już w kraju poeta nie był zwykłym »młodym zawodowcem«, udającym się do wybranego mistrza czy szkoły, aby przed modelem studyować naturę i »z posłuszeństwem słowiańskim... miejscowym poddawać się tradycjom« (por.

tom *F*,

* »...Kiedy doniesiono ś. p. Dziadowi mojemu, że wszedłem do Florenckiej Akademii i rzeźbę robię — Dziad mój zgorszył się tym wyborem przedmiotu«. *List Norwida do Karola Krasińskiego* z r. 1858.

** Wynika to z dekretu banicyjnego, ogłoszonego w *Dzienniku Prawa* (tom 49 — rok 1855 — str. 193): »1) Mańkowski Teodor... 2) Norwid Cyprian, który pod pozorem doskonalenia się w sztuce rzeźbiarskiej od r. 1842 przebywa za granicą, — uznani są za wygnańców i ulegają karze konfiskaty majątku, bądź już zaskwestrowanego, bądź następnie jeszcze wykryć się mogącego...« Przedruk tegoż postanowienia Rady Administracyjnej Królestwa — w *Kurj. Warsz.* z 18/30 czerwca 1855 Nr. 168 str. 871.

Wskazówkę co do obu tych dokumentów zawdzięczamy koleżeńskiej uczynności p. Wł. Korotyńskiego.

tom *F*, str. 63). On szersze miał pragnienia i postulaty. Jego zajmowały nie tylko twórczość własna i własne wykonawstwo, lecz cała sztuka istota, całe jej pojęcie, »co ona jest i gdzie jest« (*F*, 36), »ku czemu ma się ona w czasie danym, mistrze i uczenie« (*F*, 34), jakie jest jej stanowisko, prawa i kierunek (*F*, 47). Że zaś »sąd o współczesnych artystach — dopiero w odniesieniu do estetycznej ich przeszłości stanowczo może się rozwinać« (*O rzeźb. flor.*, tom *F*, str. 14), nieodzownie i nieodparcie tedy musiały go pociągać minione dzieje sztuki, cały tryumfalny jej pochód, cała owa »nieskończona *Genezis* szkół i mistrzów«, która do dziś »jeszcze się odbija i na współczesnych wpływa« (*F*, 13-14). W konsekwencji z poprzednim, nic w nim nie było z ciasnego specjalisty, zamykającego się wyłącznie w jednym rodzaju sztuki: jego narówni obchodziły wszystkie jej gałęzie, wszystkie piękne postacie, nie tylko »dokąd« owa obrona »rzeźba idzie« (*F*, str. 49), ale jednako »co też malarstwo wróży« (*F*, 50), a bardziej jeszcze: jaki »jest naprzód architektury postęp«, »sztuki do tyła z życiem nierozdzielnej, bo będącej jakby formą życia« (*F*, 47-49). Że nadto wówczas już głęboko go zajmował problem jeszcze ogólniejszy: stosunku sztuki do życia, »pracy mającej za punkt wyjścia umysłową potęgę« do »pracy mającej za punkt wyjścia siły fizyczne« (*F*, 53), stwierdzają niektóre strofy posępnych poematów z lat 1844 i 1845 (*Do mego brata Ludwika*, tom *A*, str. 62, w. 1-7; *To rzecz ludzka*, tom *A*, str. 67, w. 13-22, i str. 68, w. 1-3). A owo tu już zatem kielkujące przecucie sztuki »jako chorągwi na prac ludzkich wieży«, jako nieodzo-

wnego

wnego i niekiedy o bycie narodów stanowiącego pierwiastku*, musiało przedewszystkiem zwrócić gorąco, mądrze, twórczo patryotyczną myśl młodzieńca ku sztuce ojczystej, polskiej, ku jej zadaniom, kierunkom — i *eo ipso* jej przeszłości.

To też, zanim jeszcze do własnych rzeźbiarskich u Pampalonięgo zabrał się studyów, widzimy go, zaraz po wyjeździe z kraju, rozkoszującego się starem budownictwem Krakowa (*F*, 10), obiecującego z Drezna jakąś rozprawkę »nieskończoną jeszcze dla wielu cytacyj o malarstwie w XVI wieku u Polaków« (list z 23/X 1842 r.), a potem, w Norymberdze, w Monachium, we Włoszech, wszędzie, badającego obok teraźniejszości przeszłość, konfrontującego obie (*Menego*, tom *F*, str. 60-61 i 63-64), zabiegającego aż ku Etruskom i Wschodowi (*list* do M. Trembickiej z 2/I 1846 r.), a jednocześnie przyglądającego się najczujniej współczesności swojskiej, pracującego wreszcie już w r. 1845 — prawdopodobnie gwoli reakcyi przeciwko »skrzywionym przez systematyczność niemiecką« pojęciom estetycznym — nad czemś bardziej snadź wyczerpującem o *sztuce* (tenże *list* do M. Trembickiej).

Podobnie jak ze wspomnianego w liście norymberskim »natłoku prozy w portfelu« nic się nie przechowało, tak i z przelicznych niewątpliwie notat, studyów i opracowań, powstałych we Włoszech i w Berlinie, jedna zaledwie niniejsza doszła do nas rozprawka. Dokumentem jest ona ze wszech miar ciekawym, równie ze względu na przedmiot opracowany, jak na autora. Rzecz to na

pozór

* *Promethidion*, tom *A*, str. 170, w. 6 i dalsze.

pozór informacyjna raczej, popularna, z takimi nawet anegdotycznymi szczegółami, jak wiadomości o odznaczeniach honorowych, udzielonych tym i owym ze współczesnych rzeźbiarzy włoskich, albo jak skrupulatne notatki o dziełach wykonanych przez nich dla rodów polskich. Przypuszczamy, że był w tem akt kurtuazyi i wdzięczności ucznia względem swych mistrzów florenckich, takż snadź akt uprzejmości względem arystokratycznych domów polskich, w których poeta bywał, zda się, i których poparciu zawdzięczał może bliższe, życzliwe ze swymi kierownikami stosunki*, wreszcie pewnego rodzaju legitymacya przed Warszawą, usprawiedliwienie wyboru miejsca swych studyów oraz tych a nie innych prze-

* O przyjaźni serdecznej Norwida z mistrzem swym w rzeźbie, L. Pampaloniem, wspomnieliśmy już wyżej. Że bywał też często i również zażyłe u ówczesnego dyrektora akademii florenckiej, W. Bartoliniego, świadczą znacznie późniejsze (z r. 1867) wzmianki w listach do J. I. Kraszewskiego i Bohd. Zaleskiego. Ciągnęły doń młodego poetę, poza stosunkiem zawodowym ucznia do mistrza, opowiadane snadź chętnie przez starca wspomnienia o wielkich ludziach, z którymi obcował, a przedewszystkiem o Napoleonie — i Byronie. »...ja sam« — pisze Norwid do Kraszewskiego — »miałem zaszczyt mówić z osobami, u których Milord bywał, i szczególnie bardzo żywe mawiano mi o nim. Że tu spomnę np. Bartoliniego, u którego całemi godzinami siadywał Byron i całemi godzinami mawiał« (*autograf* w złożonych w Bibl. Jag. listach do Kraszewskiego z r. 1867 — arkusik 199). A do Bohd. Zaleskiego w tymże czasie: »...Ja przecież znałem ludzi, którzy Milorda znali — lubo narodziłem się na Mazowszu w czasie, gdy Byron w Grecyi konał... byłem we Florencyi na Akademii i rzeźby uczyłem się ówdzie — gdzie też i stary Bartolini jeszcze żył: ów, u którego godzinami Byron siadywał i mawiał z nim...« (*autograf* u syna poety p. Dyonizego Zaleskiego).

przewodników. Nadto, pisząc dla *Bibl. Warsz.*, i może na jej żądanie, przystosowywał się zapewne młody autor do anegdotycznego podówcza — w kwestiach sztuki — poziomu czasopism polskich. Ale pod tą zewnętrzną powłoką znać, jaką zdumiewającą niezależność i jasność sądu wyrobiły, w dwudziestoparoletnim zaledwie młodzińcu, owe studia praktyczne zarazem i teoretyczne, nad przeszłością jednak i terażniejszością, jakie niezwykle wytworzyły z nim powiązanie wrażliwości i świadomości, jaką pewną dały mu oryentację, jaką zdolność charakteryzowania indywidualnych szczegółów i jednocześnie wytyczania wielkich, generalizujących linii. Bez pretensyi do jakiegoś traktatu o sztuce, bez hałaśliwie-polemicznych krytyk, w dorywczych i niekiedy ubocznych napomknieniach powiedziano tu o sztuce więcej *ręczącego* i własnego, aniżeli gdziebądź u nas pod owe czasy. Z podziwu godną równowagą przechodzi Norwid pomiędzy zwolennikami Winckelmannowskiego »ideału klasycznego« i fanatycznymi stronnikami Overbeckowskiej sztuki ekskluzywnie chrześcijańskiej, znajdując dla pierwszych dyskretną korektywę w »*nieniewolniczym* starych mistrzów zrozumieniu« (F, 24), protestując przeciwko doktrynalnym drugim systematyzacyom przez postawienie, jako dwóch »najjaśniejszych w *sztuce chrześcijańskiej* imion«, anatematyzowanego Michała Anioła* obok Giotta, kładąc nacisk na nieustanną ciągłość i nieustanną nowość sztuki, które nie mieszczą się w ramach teoryj i nawet religij urzędowych. *In nuce* tu już wyświ-

* W broszurze Overbecka »Der Triumph der Religion in den Künsten« (Frankfurt a. M., S. Scherber).

wyśwituje późniejszy nieco protest przeciwko pojęciu sztuki jako »jakiejs nadzmysłowej ekstatyczki« (F, 37), późniejsza rewindykacja potępianej również przez Overbecka*, »zaczeptionej o życie« (F, 63-64) szkoły weneckiej**, i jeszcze późniejsza, wprost już przeciwko ciasnej »systematyczności niemieckiej« wymierzona teza: »l'arte cantava sempre *parate viam Domini*, senza sapere, senza intendere, senza calcolare, d'una maniera particolarmente *creativa*... «(»Una picciolissima osservazione...«, F, 126). Pod koniec rozprawki pada tu również i zarodków pełne słowo o »*szkole narodowej*, która, oparłszy się na mistrzach, co kilkaset lat temu kamień węgielny założyli, ani gotowe określenia od starożytnych bierze, ani swawolnie naśladuje, ku czemu woła publiczność« (F, 24). Po latach kilku, ujrzymy pełny, szeroki rozwój tych pojęć w *Promethidionie*. Tu wszakże już one kielkowały dość wyraziście.

W ODPOWIEDZI NA IX LIST Z POZNANIA W GAZECIE POLSKIEJ. (Str. 27—32).

Pierwodruk w poznańskiej *Gazecie Polskiej* (II, Nr. 118 z 25 maja 1849 r.), na 3-ej i 4-ej str., tuż przed »Rozmaitościami« i ogłoszeniami, pod dodanym przez redakcyę tytułem: (Nadesłano — w odpowiedzi na IX list

* Tamże.

** Por. o niej również i o Michale Aniele uwagi — na schyłku życia poety — w »Sztuce okolicznościowej« (F, 178—180).

list z Poznania [z] 30 kwietnia 1849 r.). Podpis: pod artykułem samym — trzy krzyżyki; pod *post-scriptum* — C. K. N.

Przedruk — pośród całej seryi *Pism zapomnianych* C. Norwida, zebranych przez dra B. Erzepkiego z czasopism poznańskich — w *Dodatku lit. i art.* do Nr. 246 *Dziennika Poznańskiego* z 25 paźdz. 1908 r.

Aby zrozumieć te zaczepki publiczne pod adresem Norwida, jakich przykładem był między innymi felieton poznańskiej *Gazety Polskiej*, te próby samowzwańczej jakiejś »opieki« nad jego twórczością, te naprzód dobrotliwe niby, później drwiące lub nawet pogroźkowe wystąpienia w różnych czasopismach poznańskich, które wreszcie w zajądłą, nietylko w Poznańskim już, lecz i w Krakowie, zmieniły się naganę, — musimy przyrzec się kolejom życia poety w ciągu kilku lat, oddzielających pierwszy pobyt we Włoszech od ostatecznego osiedlenia się w Paryżu w początkach roku 1849.

Pod koniec r. 1845 wyjechał młody artysta z Rzymu i przybył do Berlina. Ściągnęły go tam przede wszystkim wieści o wszechznającym się ruchu w Poznaniu i potrzeba gotowości, zbliżenia się do kraju, ubocznie zaś pragnienie ujrzenia raz jeszcze pani Kalergis i panny Trembickiej*. Że preokupacje patryotyczno-społeczne górować w nim podówczas jeły dominująco, świadczą zarówno: wspomniany już odczyt w akademickiej »bibliotece« berlińskiej p. t. *Kra' a o'czyżna* (por. F, 465

* »Kiedy miałem wyjeżdżać do Berlina, byłem jakoby pewny, że Pani już nie zastanę... wreszcie przybyłem, mając jeszcze przyjemność Panie widzieć« (*list* do M. Tr. z 2/I 1846).

F, 465), ustępy w liście z Berlina r. 1845 do Antoniego [Czajkowskiego?]*, oraz list do M. Trembickiej z 14/III 1846, którego autograf dochował się osobno w Muz. Ossol. (2880)**. Nie opuścił jednak bynajmniej zajęć artystycznych i naukowych. Widzimy go — w oczekiwaniu — pracującego nad projektem pomnika dla J. Kochanowskiego (*list* do M. Tr. z 30/XII 1845), studiującego Wschód i »swych Etrusków«, przygotowującego jakąś pracę o sztuce (*do tejże* — z 2/I 1846), korzystającego w dalszym ciągu gorliwie z »muzeum, akademii i szkoły w estetycznym znaczeniu tego słowa« (*do tejże* z 25/I 1846). Uczęszczał nadto jednocześnie na wykłady uniwersyteckie***, słuchał bez wątpienia prof. Wojciecha Cybulskiego, chodził snadź na rozgłosne prelekcje Schellinga o »filozofii objawienia« i »filozofii mytologii«**** — korzystał z każdej chwili, z każdej sposobności do nauki przed zamierzonym — poniekąd z musu (*listy* do M. Tr. z 2 i 27 stycznia r. 1846) — powrotem do Warszawy.

Przy

* »Ciekaw byłbym zobaczyć nieco bliżej, czem są te wszystkie *partye*, i która najmniej *partya*?« etc.

** Wiadomość o nim, oraz kopię dokładną zawdzięczamy p. St. Wasylewskiemu.

*** Bezimienny autor *Wspomnień z czasów uniwersyteckich berlińskich od r. 1844 do 1847* (*Dziennik Pozn.*, 1885, Nr. 142) wylicza go pomiędzy hospitantami.

**** O tem ostatniem świadczy przechowane u p. M. Załeskiej w Grodnie — na rodzaju biletu wizytowego, ale bez druku — zaproszenie następujące, które rozsyłano zapewne zwolennikom i słuchaczom starego mistrza: »Józef Gołuchowski prosi pana Norwid, ażeby był łaskaw przybyć na obiad, jaki w tę Niedzielę 1 Lutego 1846 u Mielenza Unter den Linden Nr. 23 z powodu urodzin Schellinga daje. Zbierają się przed 3-cią godziną«.

Przy tem wszystkim znajdował czas na bardzo szerokie obcowania koleżeńskie i towarzyskie, równie w samym Berlinie, jak podczas częstych, zda się, wycieczek w Poznańskie. W stolicy pruskiej spotkał i dawnych znajomych czy przyjaciół jeszcze z Królestwa: Wł. Bentkowskiego, studyjującego w berlińskiej szkole artylerji; Wł. Wężyka, z którym przed kilku laty wędrowkę po kraju odbywał, a który teraz, opuściwszy Królestwo, ożywiał ruchliwością swą Poznań i berlińskie nawet grono Polaków; Aug. Cieszkowskiego, z którym poznał się i sprzyjałnił zapewne podczas zakładania *Biblioteki Warszawskiej*; Edwarda Łubieńskiego — i innych. Koźmianów Stanisława i Jana, znał już może również, jeżeli nie osobiście, to pośrednio, przez stryja ich, Kajetana, którego — jeszcze snadź podczas owej wędrowki po kraju, a później, po raz drugi, kontrabandą, w r. 1846 — odwiedził z Wężykiem w Piotrowicach*; — teraz wszakże zbliżył się z Janem zwłaszcza**, który skupiał w Berlinie do-

* »Zbyt pochlebnie« — pisze K. Koźmian z Piotrowic 20/I 1846 do Fr. Wężyka — »zbyt powabnie opisali ci moją ustron pocziwy Władysław i zacny młodzieniec Norwid, którego tu wszyscy wraz z tobą pokochaliśmy. Cieszę się, że swój talent wykształcił na ziemi klasycznej; stanie się znakomitym równie dłutem jak i piórem, jeżeli się dobrze, o czem nie wątpię, w nieśmiertelne wzory wpatrzy«. — Jakaż *pikantna* zmiana poglądów po kilku latach: 17/III 1853 goryczy się tenże w liście do tegoż, że St. Koźmian gotował dla *Przegl. Pożn.* sarkazmy na improwizacye Deotymy; »tyle głupich wierszy Norwida i innych wielu umieszczali w *Przeglądzie*, a niedoskonałości improwizacyi przebaczyć nie mogą«. (Koresp. Fr. Wężyka z K. Koźmianem, złożona w Akad. Umiej. w Krakowie przez St. Tomkowicza).

** List do Ant. Zaleskiego z r. 1845.

nie dokoła siebie grono młodzieży, próbując wytworzyć ściślejszą organizacyę religijną. Nadto, zetknął się wówczas ze wszystkimi prawie, zjeżdżającymi do Berlina, wybitniejszymi przedstawicielami kraju i emigracyi, poznał się z całą studyującą na uniwersytecie berlińskim młodzieżą poznańską, a przez nią z wieloma domami obywatelskimi owej nieznanej mu dotąd części Polski.

We wszystkich tych sferach żywą cieszył się sympatyą i poważaniem, a z całym szeregiem ludzi (jak Wł. Łubieński i jego rodzina, Sew. Mielżyński z Miłosławia, Rogier Raczyński) w serdeczną wszedł zażyłość. Ceniono w nim wysoko artystę i poetę, podziwiano jego wielostronność, szanowano gorącego patryotę i myśliciela głębokiego, ogólnie zaś lubiano go za ujmującą towarzyskość, miłe i uprzejme obejście. O prawdziwym rozkochaniu się w nim Włodz. Łubieńskiego mówiliśmy w przypisach do przekładu ósmej pieśni *Czysca* (tom A, str. 768-774). Nawet wszakże surowy Jan Koźmian takie dawał dowody przywiązania, że, gdy poeta siedział w Moabicie, »z żoną pod okno więzienia przychadzał« (*list* Norw. do Bohd. Zaleskiego z 16/VI 1857). Stanisław Koźmian jeszcze w r. 1847 mówi o nim z podziwem i zachwytem (Korespondencya z Rzymu w *Przegl. Pożn.*, 1847, tom V, str. 670-678): »Beletrysta, krytyk, poeta, rzeźbiarz, rysownik, malarz, daje on codziennie dowody nieprzebranej obfitości i twórczości. Rozproszenie podobne nie może istnieć bez uszczerbku na wewnętrznej sile, i co w takim razie zyskuje się na rozciągłości, to się na głębi tracić musi. Lecz u niego przeciwnie. Zdaje się, że jedno drugie wzmacnia, rozplómenia i, two-

i, tworząc równowagę, pewną nienaruszalną jedność stanowi«.

Ale prawdopodobnie właśnie dlatego, że młody artysta był za owych berlińskich czasów taki »miły, uprzejmy, słodki«*, że nadto z powodu nieświeżego już i wówczas, zda się, położenia materialnego potrzebował poparcia, ci i owi zapragnęli kierować nim, rządzić, narzucać mu swoje zdania. Do takich należała przedewszystkiem trójca Koźmianów: autokratyczny a ciasny formalista Jan, o którym już współcześnie mówiono, że »albo trzeba mu się oddać *pieds et poings liés*, albo się usunąć«**; zaufany nadmiernie w swojej powadze krytycznej i nawet, zda się, wartości poetyckiej, Stanisław; wreszcie niemniej zarozumiały co do swej krytyki i monomanijnie poślubiający żółciowe niechęci ojca swojego Kajetana Andrzej***. Niemniejszą chęć do dyrygowania młodym

* Późniejsze — z roku 1873 — wspomnienie St. Koźmiana w objaśnieniach do listu Z. Krasińskiego z 25/I 1848 r. (*Listy Z. Kr. do St. Koźm.*, Lwów 1912, str. 84).

** *Wspomnienia z czasów uniwersytetu berlińskiego od 1844 do 1847* (*Dziennik Półn.* 1855, odcinek 2).

*** Charakterystyczne bardzo ustępy znajdujemy w listach obu ostatnich do Lenartowicza, których rękopisy — w puściźnie po autorze *Lirenki* — posiada prof. I. Chrzanowski. »Jest to« — pisze St. Koźmian 4/V 1855 — »dowód nie tylko dobrego serca, ale i doskonałości chrześcijańskiej, żeś się nie tylko naszymi krytykami nie obraził, ale owszem, przypisujesz im dobroczynny wpływ na twój kierunek. Nie pochlebiam ci tak wysoko, nie mniej ci wdzięczny jestem... Zawszem widział w tobie znakomity talent poetyczny i właśnie dlatego [!!] bałem się, abyś się nie zgubił na mawowcach, na których już tyle u nas pięknych zdolności zmarniało«. — »Jeżeli sam czasem za pióro chwytam« — czytamy znowu w liście

młodym poetą i urazę, jeśli »rad« nie słuchał, mieli również: — dumny ze swej przedmowy do *Niektórych poezyj* A. Czajkowskiego (Warszawa, 1841) Wł. Bentkowski; nieco później, w Brukselli, wychodzący zapewne z prawa starszeństwa i zresztą otrząskany już w kompromisach różnych L. Siemieński*; jeszcze zaś później, w obchodzącej nas tutaj właśnie epoce, nader pewny siebie, jako »doktor« i współpracownik Gervinusa, Jul. Klaczko**. Że zaś Norwid, samodzielną od młodości idący drogą, nieskłonny do jakichkolwiek kompromisów, i zresztą więcej od swych »doradców«, zwłaszcza w sprawach sztuki czy poezji, umięjący***, a głębiej czujący, samozwańczej tej opieki i przewodnictwa nie przyjmował, więc wprędce stał się niedogodnym, a zapewne

pod

A. Koźmiana z 9/VIII 1858 r. — »to na to, że, będąc już siwowłosym, chciałbym zachęcić do sprawiedliwszego ocenienia mało znanej lub znieważanej przeszłości, i że przekonany jestem, że z dumą, z zarozumiałością, z rozmyślowaniem się w samych sobie, z pogardą wszelkiej powagi ludzi dzisiejszych każdy prawy pisarz walczyć powinien, każdy z chrześcijańską duszą napominać i przestrzegać ma obowiązek«. — »Zmarnienia« u pierwszego, »zarozumiałości i pychy« u drugiego — są niewątpliwymi aluzjami do Norwida.

* Por. różne, do Norwida przedewszystkiem się stosujące, aluzje o zawilościach, ekscentrycznościach, zarozumiałościach, ironiach, mistykach etc. — w różnych jego, z różnych lat, *portretach literackich*.

** Przy pierwszym poznaniu, ma on już, naiwną co najmniej, pretensję, że Norwid »rady nie przyjmuje, a kołysze się ciągle w jakieś samobójczej genialności« (*list do J. Koźm. z końca r. 1849* — St. Tarnowski, *Julian Klaczko*, tom I, str. 63).

*** Siemieński np. sam przyznaje, acz troskliwie niewymieniając nazwiska, że dzięki Norwidowi dopiero poznał poezję Michała-Anioła, które później na język polski przełożył (*Poezje M.-A. Buonarrotiego*, Kraków i Cieszyń, 1861, str. I—IV).

pod wpływem uporczywych nalegań, zarzutów, wtrącań się i pouczania, »gniewnym i grubiańskim«, jak opowiada St. Koźmian (Listy Z. Kr. do St. Koźm., str. 85), czy »gwałtownym«, jak J. Koźmian zarzucał mu w listach.

Pobyt w Berlinie był zbyt krótki, aby tam do ostatecznych zatargów dojść mogło, zresztą ujmujące obejście Norwida i czar jego żywego słowa, o którym do końca życia poety ciągle słyszymy*, skuteczną kładły im tamę. I po ucieczce Norwida do Brukselli, a potem wyjeździe do Rzymu, stosunki nie zaraz jeszcze się zdrażniły. Świadczy o tem choćby cytowana wyżej korespondencya z Rzymu do *Przegl. Pozn.* (1847 t. V), w której St. Koźmian, mimo pewnych dyrektorskich wskazówek, z wielkim jeszcze o nim mówi zapalem. Ale już pod koniec r. 1847, a zwłaszcza w r. 1848, coś się — skutkiem zapewne starć listowych — popsuć musiało. Już w Heidelbergu, widząc się z Krasińskim, musiał St. Koźmian jakieś kpiny robić z niezrozumiałości Norwida, o czem świadczy choćby ów żart z mniemanym przekładem jego z Danta (*Listy Kr. do Koźm.*, str. 72-73). Ośmieliły go do tego może zbyt pośpieszne i mało umotywowane zarzuty Krasińskiego względem rzeczywistych, przesłanych mu przez Koźmiana w początku roku Norwidowskich tłumaczeń z *Piektła* (*List do St. Koźm.* z 21/IV 1847). W początku roku 1848 komunikował już, zda się, St. Koźmian Krasińskiemu jakieś niechętnie zastrzeżenia czy ostrzeżenia co do Norwida, bo w odpowiedziach

* Np. odczyt jego *O wolności słowa* (1869) wzbudził zachwyt ogólny pośród słuchaczy, którzy później, gdy rzecz została wydrukowana, zupełnie ocenić jej nie umieli.

wiedziach Zygmunta, po zaznajomieniu się z naszym poetą, czujemy jakby akcent zdziwionego nieco zaprzeczenia. »Z Norwidem zapoznałem się« — pisze 25/I — »to nie *z kaleczących ani raniących* — owszem. Skarb mu wielki od Boga dan... Miły i uprzejmy ten duch Norwidowy... przyjdzie chwila i stanie się on potęgą«. A 20/II: »Co do orlikowego [?] oka Norwida, nie lękaj się... Nader uprzejma natura, bez namiętności żadnej, bez stronniczości«. W ciągu roku 1848 i zwłaszcza 1849 — gdy Norwid specjalniej oddał się kwestyom społecznym, narodowym, politycznym — rozdzwięk między gronem poznańskim a dawnym ulubieńcem nastąpił ostateczny. Powody były — i osobiste, i rzeczowe, ogólniejszej natury. Ci i owi koledzy czy przyjaciele z czasów berlińskich stali się osobami wpływowemi, rozdawcami sław i uznań w kraju, reprezentantami stronnictw zresztą oraz ich ekskluzywnych postulatów*. Dla tych ludzi ze stanow-

* *Przegląd Poznański* J. Koźmiana, wojujący o zasadę, a raczej o »literę« katolicyzmu, coraz szerszej zażywał powagi. Wł. Bentkowski został przysięgłym felietonistą poznańskiej *Gazety Polskiej*, a potem redaktorem *Gońca Polskiego*. St. Koźmian, po wierszu *Do mistrzów słowa* i po ogłoszonych pod jego nazwiskiem poematach Krasińskiego, uważał się i był w Poznaniu uważany za wysoką instancję krytyczną w sprawach literatury i sztuki. Wreszcie, ściśle związany z gronem tem Klaczko, dopiero po artykułach politycznych w *Deutsche Zeitung* i po *Hegemonach niemieckich*, ale już w przeczeku i zamiarze przyszłych zwycięstw (!) nad Edmundem About, z dziennikarskim aplombem wydawał w korespondencyach do *Gońca Polskiego* sądy stanowcze o wszystkim: polityce, sztuce, literaturze, obyczajach, kwestyach społecznych, przerzucając się z jednego kierunku w drugi, myśląc się co chwila — ale pokrywając to jedną zawsze pewnością siebie.

nowiskami lub dążących do stanowisk, bezinteresowny »błędny rycerz prawdy« (por. *Epos nasza*, A, 300-304), jakim był Norwid, niedbający o żadne sytuacje światowe, nieubiegający się o sławę i rozgłos, musiał wydać się dziwakiem, wykolejencem »zatracaającym otrzymane dary« i nadto niewdzięcznikiem kołyszającym się zarozumiale w swej genialności, niechcącym słuchać rad praktycznych, poważającym się nawet twardo im oponować. Z drugiej strony, ci ludzie »ukształceni«*, ludzie doktryn i partyj, tkwiący niewolniczo w różnych rutynach, »literach« i dogmatach, widzący dobro tylko u siebie, a zło bezwzględne u przeciwników**, znający miłość tylko dla posłusznych adherentów, dla wszystkich zaś innych nienawiść raczej, — nabierali zwolna nieufności względem »kształcącego się« stale, »powracającego wciąż do źródeł« (por. F, 229-230) poety. Nie chcieli czy nie mogli zrozumieć jego szerokich założeń ideowych, jego wszechogarniającej miłości; gorszyli się, że śmie widzieć zarówno u nich, jak po przeciwnej stronie, część słuszności i część niesłuszności; zdumiewali się jego negacyi wszelkich »partyj« i ekskluzywności***; osłupiewali, jak

można,

* O znaczeniu tego wyrażenia patrz w IV lekcji *O J. Słow.* (F, 229-230).

**

Zło od dobra odłacz nożem,
Potem obie części zważ,
A zobaczysz zład, co Bożem,
Oto całą prawdę masz...

Norwid streszcza w tym czterowierszu jakieś pouczenia J. Koźmiana — i Krasińskiego nawet. Por. przypisy do dialogu *Nieskończony*, tom A, str. 828-830.

*** Rzeczpospolita — to

. nie jaki

można, będąc prawowiernym katolikiem, cenić jednak chrześcijańskie, głęboko humanitarne uczucia, jawiące się poza katolicyzmu obrębem*, jak można przechodzić samodzielnie między konserwatyzmem i postępem, widzieć wróżebne zadatki nowej doby zarówno w ludziach »od przeszłości«, jak w ludziach od przyszłości« (*Pieśń społeczna*, A, 98) i jednakowoż obom stronom stawiać wymagania**.

Że takie były ich zarzuty, świadczy choćby ustęp w sprawozdaniu J. Koźmiana o *Pieśni społecznej* (Przegl. Pozn., t. X, 1850, str. 217-220): »Wszystkie zdania mogą u niego godeł dla siebie szukać, bo wszystkie drażni, choć żadnego nie zaspokaja«. Powiedziane to delikatnie***, ale pod powierzchnią słów czuć coś więcej, czuć podej-

Krój — lub chorągiewka,

Albo inne jakie znaki,

Albo jaka śpiewka... (*Pieśń społ.*, A, 112).

* Por. *Fraszkę* o dewocyi, tom A, str. 335, oraz *Fraszkę* poprzednią, A, 333.

**

I żał mi bardzo was — o! postępowi,
Którzy zniweczyć przeszłość chcecie całą,
By łatwiej było, lecz jako żółtowi,
Orzec: »tak wiele już ubiegłem z chwałą«.
Tylko że, aby drogę mierzyć przyszlą,
Trzeba-ć koniecznie pomnieć, z kąd się wyszło!
I żał mi, żał mi was — o opieszali,
Którzy zniweczyć przyszłość chcecie całą...

(*Niewola*, A, 237—238).

Por. także *ibid.*, A, str. 249, ww. 3—14.

*** »Staś« — charakteryzuje porównawczo obu Koźmianów

Aleksander Kuncewicz w liście do Lenartowicza z 1/VIII 1854 (autograf w papierach po Lenartowiczu u prof. I. Chrzanowskiego) — »łagodniejszy w dyskusyi, pióro ma czasem ostrzejsze. Jaś, przeci-

podejrzenie, że poeta sprzeniewierza się ekskluzywnym postulatom partii, do której miano nadzieję wciągnąć go »pieds et poings liés«, że jest — ukrytym postępowcem. Zupełnie wyraźnie pada nawet to słowo w późniejszym (z 21/III 1851) liście Krasińskiego do Cieszkowskiego: »Cały ten *genus* Norwidów, Stefańskich i t. d. i t. d. (bo to jedna maść) już mię nudzić zaczyna. Musisz się i ty coraz bardziej przekonywać, jak mało w tych ludziach *postępowych* istotnego postępu, t. j., zacności i delikatności ducha«. Przypuszczamy, że tegoż samego dotyczyły cytowane wyżej ostrzeżenia St. Koźmiana co do »orlikowego oka Norwidowego«. Świadczy o tem wzmianka o »broszurkach« w odpowiedzi Krasińskiego z 20/II 1848 (Listy, str. 87) — oraz jego zaniepokojone, niekiedy aż zbyt natarczywe i narzucające się ostrzeganie Norwida przed Paryżem i różnemi w nim obcowaniami*.

Podej-

wnie, twardy, czasem nawet gwałtowny w ustnej rozprawie, w piśmie zachowuje dziwną łagodność i oględność, która nawet czasami mocy dyalektycznej ujmę czyni — lecz która, dodalibyśmy, faryzejską niekiedy przypomina słodycz.

* 12/II 1849 — »Więc w Babylonie! ach, strzeż się, to otchłań! Zrazu się nią gardzi, depta się po tym bruku, a powoli bruk ten tak się przypodchlebi podeszwom, tak zaczniesz szeptać dziwnych pełno powieści im, że przylgniwiąją coraz bardziej — i wreszcie zlepią się z asfaltem... Ach, strzeż się tego oceanu kamieni i serc skamieniałych lub rozwściekłych...«

9/III 1849 — »...szczególnie strzeż się pewnych ludzi, których masz za *dobrych ludzi*, o których mówisz, że zatrudnieni, że więc ich widywać nie będziesz, a którzy jednak będą siłą stawiali na ciebie... bo im ofiar potrzeba moralnych — bo, słuchaj mnie i wierz mnie... to nie są *dobrzy ludzie*«.

Podejrzenia te i obawy o przerzucenie się Norwida do przeciwnego obozu są wprost śmieszne, gdy się uważnie czyta *Pieśń społeczną* i *Niewolę*, oraz gdy się wie, jakie znowu było stanowisko tego przeciwnego obozu (czy to »nieruchomych świętych« t. j. towiańczyków, czy »arcyliberalnej strony«) względem poety, oraz poety w stosunku do tych różnych »postępowców«*. Powtarzamy, iż nie chciano, czy nie umiano zrozumieć szerokiej, samodzielnej, w żadnych partyjnościach niemieszczącej się ideowości Norwida. Obie przeciwnie strony jednak wychodziły ze znanego stanowiska: kto nie z nami (niewolniczo, ciasno, schematycznie), ten przeciwko nam, ten sprzymierzeńcem wrogów naszych. Wszystkie partie nienawidzą ludzi samodzielnych — i zajądziej zazwyczaj zwalczają bliskich, pokrewnych sobie, ale niewolniczych ideowców, aniżeli przeciwników zasadniczych i stanowczych. Przeciwno tym ostatnim mają z góry ukute schematyczne oręże, gdy co do pierwszych nie wiedzą właściwie, jak się wziąć do nich, a skutkiem

pokre-

19/III 1849 — »...rozważ więc, co czynisz i co uczynisz. Im dróg krzywych nie sprostujesz, a własną rozłamiesz... nie ty otchłań zapełnisz treścią niebieską, lecz ona cię porwie kształtem swym piekielnym i u jej dna połęczesz swem ciałem spadłem...« etc. etc.

Co do osoby chodziło tu Krasińskiemu nie o Mickiewicza głównie, jak mylnie twierdzi p. Kossowski (*Krasiński a Norwid*, Lwów, 1912, str. 38 i inne), lecz o Edmunda Chojeckiego. Por. list Krasińskiego do St. Małachowskiego z 25/III 1849.

* Por. listy Norwida do Bohd. Zaleskiego: z 14/XI 1850, oraz ów bezdatowy z końca r. 1851, gdzie — po opowieści o listach odebranych z powodu *Promethidionu* od inteligencji poznańskiej, od arcyliberalnej strony i od mistyków szkoły Towiańskiego — padło ciężkie słowo: »Gorzki to chleb jest Polskość«.

pokrewieństwa za niebezpiecznych mają ich konkurentów. Walkę tedy z nimi prowadzą nie otwartą, bo to mogłoby wywołać rewizję niepożądaną ich nietykalnego *tabu*, lecz uboczną, podjazdową, dyskretnie dyskredytującą. Takiej taktyki chwycono się i względem Norwida. Z chwilą, gdy okazało się ostatecznie, iż trudno w nim będzie mieć posłusznego pionka, zaczęto przedewszystkiem wycofywać się z dotychczasowych, drukowanych już nawet w *Przegl. Pozn.*, pochwał, zachwyków i admiracji pod jego adresem. Póki Norwid nie ogłaszał nic ze swych utworów, odbywało się to ustnie lub listownie. Bardziej zaufanym komunikowało się nawet wyraźne podejrzenia czy ostrzeżenia (jak St. Koźmian Krasieńskiemu); ogólnie wszakże kładziono nacisk na zawód co do jego talentu, na rozproszenie go w różnych kierunkach, na nieosiąganie przeto w żadnym niczego istotnego, na zarozumiałość i pychę niczem nieusprawiedliwioną. Ślady całej tej prywatnej kampanii, tak umiejętnie prowadzonej, że zarzuty powyższe wkrótce stały się komunałem, powtarzanym nawet przez tych, którzy nic Norwidowskiego nie znali, — odbijają się jasno w różnych listach Gaszyńskiego, Siemieńskiego, Andrzeja i Stanisława Koźmianów, Klaczki — i nawet Krasieńskiego.

Nic z rzeczy nadsyłanych przez poetę do *Przegl. Pozn.* od połowy r. 1846 aż po koniec r. 1849, nie drukowano, ostrożnie i przewidująco. Dopiero gdy Norwid ogłosił w Paryżu, kosztem, zda się, Krasieńskiego*, *Wigilię*

* List Kr. do St. Koźm. z 5/VIII 1851 (*Listy*, str. 156, ww. 4 i 3 od dołu).

gilię i *Jeszcze słowo* i gdy dotychczasowe chowanie go w milczeniu stało się nadaremne, pomieszczono w *Przeglądzie*, nietyłe snadź »gwoździ bezstronności«, ile aby okazać, że się jest bezstronnym, naprzód *List (A, 116—119)*, przesłany, popierany i objaśniony (z całą łatwością), gdy redakcja nie chciała go rozumieć, przez Krasieńskiego, a potem kilka dalszych utworów (*Vendôme, O historii dialog*, skreślony, zda się, do niezrozumiałości, oraz *Scherzo*). St. Koźmian daje do trzech aż listów Krasieńskiego (z 29/III, 10/IV i 17/IV 1849), wzmiankujących o poemacie *List*, następujące objaśnienie (*Listy Z. Kr. do St. Koźm.*, Lwów, 1912, str. 111—112): »Norwid często przysyłał wiersze do Przeglądu*. Z początku były znośne**. Gdy coraz dziwniejszemi się stawały, Przegląd nie wszystkie umieszczał***. Zkąd gniewy, gromy autora, często nawet impertynencje, nie tylko w listach, ale i w wierszach****. Dla okazania bezstronności parę***** takich redakcja zamieściła. *Zwolonia* (sic!) i inne jakieś szaleństwa***** na własny koszt

* Przed *Listem*? wyznanie bardzo cenne!

** Epitet przedziwny! Były między nimi — napewno *We-sele* z r. 1847, *Vittoria Colonna, Pompeja*, bo te wymienia Norwid A. Zalewskiemu w r. 1858, jako leżące u J. Koźmiana; nadto prawdopodobnie *Rzeczywistość* (1847), *List do Wł. Łubińskiego* (1848), *Psalm Wigilii* (1848), *Do władcy Rzymu* (1848) — same rzeczy, zaiste, znośne!

*** Tu — niepamięć zbyt już odbiegająca od prawdy: *Przegląd*, przed *Listem* w r. 1849, ani jednego utworu Norwida nie umieścił.

**** Mowa zapewne — błędnie! — o późniejszym *Scherzu*.

***** Tylko *Scherzo*.

***** Zkąd *pluralis*, gdy mowa być może, po za *Zwolonom*, tylko o — »odartej« zresztą przez wydawców — *Pieśni Społ.*? Pan Kossowski myli się, wymieniając (str. 53) *Promethidon*. Ten ostatni

koszt wydrukowaliśmy». Odsyłacze nasze wskazują, jak mało na tej opowieści, tchnącej nadto dziwną po tylu jeszcze latach (w r. 1873) niechęcią, polegać można. Pytanie, czemuż to redakcja Przeglądu z owych »znośnych z początku« * wierszy ani jednego nie umieściła? Cemu potem jeszcze, drukując »dla okazania bezstronności« (?) polemiczne *Scherzo*, chowała pod korcem cały szereg wymienionych w odsyłaczu pierwszorzędnych poematów? Cemu później jeszcze nie przyjęła, lecz do jakiegoś zaprzepaszczonego oddała wydawnictwa *Litanie do Najśw. Panny*? Nie wygląda-ż to na zatajanie nawet uznawanych przez się utworów, byle tylko potępionemu autorowi nie przysporzyć rozgłosu? Cemu wreszcie wydawano »własnym kosztem« nie *Pompeję*, nie *Vittorię Colonnę*, nie *Litanie*, lecz właśnie to, co uważano za »szaleństwo«, co przez nieudolne skreślenia czyniono tu i ówdzie istotnie niezrozumiałem (*Pieśń społeczna*), czego tytułu nawet nie umiano odczytać i zapamiętać (*Zwoloń!*)? Nie były-ż to — przychodzi na myśl — machiawelskie, obliczone na masy nie czytających nic, co wymaga pewnej pracy, czytelników, próby zdyskredytowania Norwida? — Mówimy nadto ciągle tylko o rzeczach kategorycznie wiadomych, ale musiało w redakcji *Przegl.* być znakomicie

poemat wydany został dzięki pomocy gen. Dziekońskiej (por. przypisy odnośne, A, 804—806). Wiemy to stanowczo od pani Mich. z Dziek. Zaleskiej. Zresztą sam Norwid pisał do J. Koźmiana: »Mówiłem przestrzegając w liście jednym: zeszyty te a te *nie mojem staraniem* wyjdą na wierzch, staną około was! etc.« Mowa tu może być tylko o *Promethidionie*.

* Tylko co przedtem był jeszcze Norwid, w korespondencji do tegoż *Przeglądu*, wprost genialnym!

miecie więcej rękopisów Norwida i wierszem i prozą, skoro na twarde i pozytywne zapytanie:

. . . . a czemu zdarliście na łyka
Te rękopisma dane wam w ufności,
Których zaledwo promyczek promyka
Powystrzeliwał samem prawdy parciem —

ani słówka nie znaleziono odpowiedzi. Niema najmniejszej wątpliwości: wieloryb *Przeglądu* pragnął dyskretnie pochłonąć niedogodnego poetę — i słusznie pisał dalej Norwid:

. . . . Jonasza znam, gardzę pożarciem.*

Jednocześnie z ogłoszeniem kilku wymienionych powyżej poemacików, zaczęto w *Przeglądzie* pisać o Norwidzie, pisać publicznie tak, jak dotąd prywatnie mówiło się o nim i listowało. Mimo iż wszystkie trzy poemata, o których sąd wydawano (*Wigilia*, *Jeszcze słowo*, *Pieśń społeczna*), ideowe przedewszystkiem miały znaczenie i ideowe nadewszystko budziły w sprawozdawcach restrykcyjne, strzeżono się pilnie wszelkiej w tym kierunku polemiki. Z poglądów poety nie próbowano nawet zdać ani sobie ani innym sprawy, owszem, sugerowano dyskretnie, iż są »poczcwie«, iż nie odbiegają od »litery« *Prze-*

* Krasiński, w liście do Cieszkowskiego z 7/II 1851, zbyt pośpiesznie uważa siebie za *point de mire* »Scherza«, a p. Kossowski ze zbytnią stanowczością stosuje specjalnie zarzuty Norwida w wymienionym utworze do losów *Promethidionu*. Ten poemat czytał może Norwid Krasińskiemu i Cieszkowskiemu, ale oni mu rękopisu nie »zdarli na łyka«; w redakcji *Przeglądu* natomiast z wieloma, bez żadnej wątpliwości, tak uczyniono.

Przeglądu, tylko że zaznaczone są zbyt »nieśmiało« lub »niedość pewnie«* — skutkiem braków i wad chylącego się ku upadkowi talentu poetyckiego. Na ten upadek kładziono nacisk główny. Nie wiemy, co z poetyckich utworów Norwida znał St. Koźmian, gdy pisał o nim w korespondencji do *Przeglądu* r. 1847, ale teraz — po kilku latach zaledwie, i to wypełnionych całym szeregiem pierwszorzędnie ważkich prac znanych (a iluż zapewne nieznanym, zagubionych!) — zanegowano nagle wszystkie podnoszone tam przezeń z zachwytem cechy i zalety. Tam czytaliśmy o »codziennych dowodach nieprzebranej obfitości i twórczości« w najrozmaitszych artystycznym kierunkach; tu słyszymy o ciężkim, mozolnym pasowaniu się literackim, o zbyt »śpiesznym« puszczaniu w świat utworów, o zdobywaniu się na »próby« jedynie, o niestawianiu siły na »dzieło«, o coraz niepewniejszej myśli, o coraz zaniedbańszej formie, o manieryzmie coraz uporniejszym**. Tam podziwiał korespondent wielostronność twórczą, która zazwyczaj »nie może istnieć bez uszczerbku na wewnętrznej sile i głębi«, podczas gdy u Norwida »przeciwnie, jedno drugie wzmacnia, rozpłomienia i, tworząc równowagę, pewną nienaruszalną jedność stanowi«; tu zdecydowano krótko i węż-

* Sprawozdanie o *Pieśni społecznej* w *Przegl. Pozn.* (1850, t. X, str. 217—220). Por. przypisy nasze do tego poematu (*A*, 792—794).

** *Ibidem*. — Pamiętajmy ciągle, że pisał to człowiek, który miał w rękę nie tylko niedogadujące mu ideowo poematy społeczne, ale cały szereg wymienionych powyżej utworów, z których nie jeden jest »dziełem« w najwyższym słowa pojęciu, i których sama różnorodność powinna była wstrzymać od zarzutów manieryzmu.

złowato, iż ta właśnie wielostronność zgubiła twórcę, iż »nie mógł on napotkać właściwej formy« i że długie »spodziewania się« przyjaciół w żadnym zakresie, ani w poezji, ani w malarstwie, ani w rzeźbiarstwie, nie zostały wynagrodzone jakąkolwiek godną uwagi realizacją twórczą. Tam nie słyszeliśmy jeszcze nic o niezrozumiałościach; tu niechęć czy niezdolność sprawozdawcy do zdania *sobie* sprawy z ideowych założeń *Pieśni społ.*, *Trzech pytań* lub *Zwolona**, zrzucano na poetę, i nadto zgeneralizowano, zastosowano do całej twórczości Norwida, zarzucając mu »mgłę rozprowadzoną po całym horyzoncie poetycznym«, »zawilść mowy«, »nużącą grę wyrazów«, niepodobieństwo powiązania w całość poszczególnych obrazów i myśli etc. etc. Z tej niezrozumiałości uczyniono misternie *punctum saliens* całej kwestyi Norwidowskiej, nie bez rachuby na słabostkę czytelników, którzy chętnie się czują wyższymi od »niezrozumiałego autora«, mają mu coś do wybaczenia lub niewybaczenia, a zresztą tanim kosztem tego określnika zwolnieni są od pracy czytania i zastanawiania się. To też — obok zajadłych (zwłaszcza między latami 1851—1861) napaści na Norwidowe »pychy«, »zarozumiałości«, »samosłaństwa« — owa niezrozumiałość stała się głównym leit-motivem kierowanych przeciwko niemu aż po czasy ostatnie zarzutów, konikiem, na którym do dziś wyłącznie prawie się harcowało.

Czegóż bo odtąd nie »nierozumiano« i kto nie »niro-

* Które dlaczego wydawały się niezrozumiałymi ludziom niby rozumiejącym *Przedświt* czy *Improwizację*, — trudno zaiste zrozumieć.

»nierozumiał«? Nawet Mickiewicz, który, zapewne po zapoznaniu się w rękopisie z ustępami dyalogów Promethidionowych, z jakąś odezwą się pochwałą (Kraśińskiemu ironiczną się ona wydała — *list* do St. Koźm. z 25/II 1851), musiał być jednak pod sugestią okólnych twierdzeń o tej niezrozumiałości, skoro w kilka lat później, wzmiankując w liście z Konstantynopola* o Berwińskim, używa wyrażenia, iż »wpadał on w chorobę podobną Norwidowej, i stawał się nudnym«. Nawet Kraśiński, który ongi, w liście do Słowackiego, pojmował doskonale, że t. zw. niezrozumiałość utworu czy autora jest najczęściej brakiem niedostatecznego wżycia się ze strony czytelnika w nowe myśli i formy**, i który zresztą sam nie uganiał się bynajmniej za wulgarnymi »jasnościami« formy i treści, — doszedł stopniowo, pod bardzo wyraźnymi sugestjami St. Koźmiana, datującami już od końca r. 1847 (por. wyżej o mistyfikacji z przekładem z Danta), oraz pod wpływem nieporozumień ideowych i społecznych z Norwidem, do zupełnego »nierozumienia« czy niechęci rozumienia czegokolwiek w jego utworach***. Nawet Aug. Cieszkowski, który jako filozof mógł i powinien był nie ulegać czczym przesądom o »nierozumiałościach«, nietylko doradzał poecie —

w epoce

* Do panny Zofii Szymanowskiej z 25 paźdz. 1855 r. Autograf w papierach po Lenartowiczu, oddanych przez mec. St. Leszczyńskiego prof. I. Chrzanowskiemu.

** »Gdy pan Adam zaczął baladkować — ty baladynujesz — żartem to, ale dalibóg nic nie rozumiałem« — mówił w sensie przekładu.

*** Nieco dat. W lipcu r. 1848 — mimo różnych ostrzeżeń St. Koźmiana — jeszcze ów wiersz do Norwida:

w epoce *Trzech pytań* oraz dyalogów Promethidionowych — »by nie tak ciemno pisał«, nietylko czekał

wów-

Snów swych ujrzyś w żywotwzięcie,

Tyś nie śmierci łup!

Skrzydłym jeszcze wleczysz lotem...

W grudniu tegoż roku — wyraz niechęci z powodu różnicy w poglądach na rzeczy rzymskie (*list* do St. Koźm. z 14/XII). W styczniu 1849 — zarzut co do niezrozumiałości listów naszego poety: »Norwida listy częste, ale coraz niezrozumialsze... Co też za styl nierozgmatwany u tego chłopca« (do L. Orpiszewskiego 9/I i 27/I). W marcu 1849 przesyła Kraśiński na ręce St. Koźm. poemacik Norwida *List dla »Przegl. Pozn.«*: »ja rozumiem« — pisze — »czego chciał, ale niewiele zrozumie«. St. Koźmian istotnie »nie rozumie« i pisze wiadać szeroko o tem Kraśińskiemu, bo ten odpowiada 17/IV 1849: »Cóż chcesz — od ciemnego pisania nie odzwyczaisz umysł ciemno pojmujący, ciemno, nie jasno, widzący obrazy wewnątrz siebie«. Poczem *z największą łatwością* objaśnia dwa, widocznie najbardziej przez Koźmiana zakwestyonowane wiersze. W czerwcu 1849, nowe nieporozumienie z Norwidem z powodu Changarnier'a. W liście Kraśińskiego z 1/VI, dotyczącym tej sprawy, dziwnie »praktyczne« w ustach poety argumenta i rady: »Żyjesz żywotem albo Bożym albo pośmiertnym, ale nie w *czasie*, nie wśród ludzi i z ludźmi. Żyjesz w *wieczności*. Wszystko, co mówisz, *wiecznymi prawdami* — zapominasz zaś, że dopiero rozwojem powolnym zdarzeń czasowych wieczne się tu prawdy wyrabiają« [same przez się? cóż za prekursorstwo Lorimerowskich »tajemniczych sił socyalnych«!]. A pod koniec listu — długa apostrofa o potrzebie jasności w pisaniu i śród niej niemniej także zadziwiająca powierzchownością argumenta: »Trza być bratnim, miłosiernym, kochającym — jasność zaś w mowie i piśmie jest mowy i pisma bratnią dla ludzi miłością — ciemność zaś egoizmem — bo ty używasz i rozkoszujesz — a ludzie [chcący toż mieć bez pracy, bez współnictwa duchowego, *gratuitement*] nie używają i nie rozkoszują. Tak jak arystokrata się z nimi obchodzisz. Tu potrzeba być demokratą«. Zaiste, uchylające Kraśińskiemu spotkanie się z dziennikarsko-pochlebczą względem publiczności argu-

wówczas »czegoś jasnego, zrozumiałego, tak dla publiczności, jak dla dobra samegoż autora« (*list* Kr. do St. Koźm.

mentacją Wł. Bentkowskiego w *IX Liście z Późnania!* — »Deklamacye dziecinne przeciwko Changarnierowi« po 13-ym czerwca 1849 podniosły jeszcze niechęć Kras. przeciw Norwidowi, a w r. 1851, w połączeniu z plotkami, idącymi przez Kłaczkę, wywołały nawet orzeczenie, że Kłaczko to »charakter daleko wyższy od Norwidowego« (*list* do St. Koźm, z 22/IV 1851). Niechęć ta nie miała nawet niezwłocznie przybrać formę w zdaniu odpowiadającym zapewne na doniesienie Stan. Koźmiana o artykułach Norwida, niniejszym w »Gaz. Pol.« oraz rozprawce *Krytycy i artyści* w »Dzienniku« Libeltowskim: »Że sobie Dziennik i Gazeta przybrały nowych à la mode wieszczów, to mnie nie dziwi. Nie to, co warte czego, ale to, co nowe, od gazet bywa sławionem« (*list* do St. Koźm. z 21/VIII 1849). Ton — niegodny chyba Krasieńskiego. W końcu r. 1850 i początku 1851, niechęci autora *Przedświitu*, skutkiem zapewne pozostawania Norwida przy swoim zdaniu, nie słuchania »tkliwych, serdecznych« rad co do ciemności i jasności, i może nawet twardego przeciwko nim oponowania, do kulminacyjnego doszły punkt. Aż przykro czytać te listy do St. Koźmiana z 25/II i 23/III, oraz do Cieszkowskiego z 18/I, 24/I, 6 i 7/II 1851 r. i z 26/XII 1854, — tyle tam niegodnej wielkiego pisarza zajadłości, tyle polegania na plotkach i gawędach, tyle niesprawiedliwych uprzedzeń, tyle posądzeń lekkomyślnych, tyle zarzutów niewdzięczności, tyle monomaniijnych, a mało szlachetnych spodziewań się jakiegoś paszkwilu ze strony Norwida, tyle bezwzględnych, a przeważnie na urojeniu opartych sądów i potępień, tyle nienawiści wprost, mimo ciągłych powtarzań »biedny, biedny«. Wszystkiego tego listy pomienione dowodzą niezbicie; nie dowodzą tylko *nie* stanowczego przeciwko Norwidowi. Dlatego, niedość powiedzieć, jak p. Kossowski, iż jest to oświecenie sprawy jednostronne. Należałoby dodać co najmniej: jednostronne ze strony osoby pozbawionej w danej chwili wszelkiej bezstronności. Nie uratuje rzeczy nawet owo odezwanie się Krasieńskiego do donoszącego jakieś nowe plotki i sądy nieprzyjazne o Norwidzie St. Małachowskiego: »często mi na myśl przychodzi, że, gdy-

Koźm. z 25/VI 1851), lecz i później tak wżył się w to »nierozumienie«, że po latach 20, czytając razem z Le-nartowiczem jakiś list Norwida, »ani w ząb« wraz z auto-rem

bym był w jego położeniu, jak on mógłbym popaść w rozpacz i przeklina-nie na czem świat stoi«. Krasieński ma tu wyraźnie na myśli położenie materialne, nie bierze zaś wcale w rachubę stokroć gorszych rzeczy moralnych; np. zawodu poety, którego nie chcieli czy nie mogli zrozumieć czczeni przezeń starsi. Bo Krasieński, dla którego niezbyt dawno nie były widocznie ciemnymi »kilkostowia« *Wigilii* oraz *Jeszcze słowa*, skoro dopomagał do ich wydrukowania (*list* do St. Koźm. z 5/VIII 1851), teraz przestał rozumieć cokolwiekbaż Norwidowego. Nie rozumiał w listopadzie r. 1850, wraz z Cieszkowskim, przedstawionych im obu w rękopisie dyalogów Promethidionowych (dziś trudno prawie w to uwierzyć!); 16-go lutego 1851 goryczył się w liście do Cieszkowskiego na niezrozumiałość próz i wierszy Norwida, drukowanych w *Gońcu*: »Próżnością swoją zalega felietony i ostatnią kartkę *Gońca* każdego. Czasem błysnie coś, co domaga się rozumem i artystycznym być, ale przepada dla braku rozwidnienia w samym sobie«; 4-go marca, z większą jeszcze pasją uskarża się nań w liście do tegoż: »Coraz ciemniej pisze i *Gońca* niezrozumiali. Przezeń język polski dochodzi do ostatecznego odspołecznienia — wyrazów bowiem spójnią społeczną jest *sens*«. Od ciemności zatem doszliśmy już oto do »bezsensowości«, którą dzisiaj każdy, czy była taką, sprawdzić sobie może. Norwid oczekiwanego przez Krasieńskiego paszkwilu nie napisał, owszem, długim, pędzlem i piórem, piękne, wysokie zostawił autora *Nieboskiej* wizerunki, a po jego śmierci, w liście do Skrzyneckiego, »szlachetnie różniącym się przyjacielem« go nazwał; tymczasem z kilku wymienionych wyżej listów Krasieńskiego układa się prywatny, ale zaiste mało godny poety *Psalmów* — pamflet. Gdyby choć część zawartych w nim oskarżeń była prawdą, niezrozumiałem byłoby przedśmierne pogodzenie się z Norwidem, bytność Krasieńskiego u niego itd. Skoro zaś Krasieński sam się widocznie o ich nieprawdzie przekonał, obowiązkiem sumienia było, choć w najkrótszych słowach do tegoż Cieszkowskiego czy Koźmiana, poprzednie lekkomyślne swe zarzuty odwołać.

rem *Lirenki* zrozumieć go nie mógł (por. przypisy do *Prób* tom A, str. 825). Jeden Słowacki, acz różniąc się zasadniczo z Norwidem i czując jego odrębność zupełną*, — ani na chwilę nie uległ kolportowanym jeszcze przed jego śmiercią wieściom o nieuleczalnej ciemności autora *Pieśni społecznej*. Owszem, może czując tę naganę, — o ile wprzód odmówił, ze względu na powyższe zasadnicze różnice, zaznajomienia się z Norwidem, o tyle później nieco zbliżył się doń i — jak świadczy Al. Niewiarowski — pokochał go bardzo. Po ukazaniu się dyalogów Promethidionowych, których w jesieni r. 1850 Krasiński i Cieszkowski nie mogli zrozumieć, jeden Bohdan Zaleski ozwał się — niestety, prywatnie tylko — z uznaniem. »Warto, ażebyś przeczytał Promethidiona Norwidowskiego«, pisał 11/II 1851 r. do S. Goszczyńskiego. A w miesiąc później (8/III t. r.), w liście do H. Kajsiewicza, acz zarzucając formie »dziwaczność i pretensyjność« [?!], przyznaje »treść niepospolitą i dużo myśli podniosłych«. Publicznie wszakże, nawet on — który później w r. 1859 umiał ująć się o *Gladiatorów* Lenartowicza i w obecności Kraszewskiego ostre Klaczce z powodu jego recenzji czynić wyrzuty** — słowem nie ozwał się, gdy tenże Klaczko w publicznie admiracyjnym liście *Do Teofila L...* (*Gon. Pol.* 1851, Nr. 209

* »Cyprian należy do takich, którzy nic ode mnie wziąć ani mnie dać od siebie nie mogą« — mówił w początku r. 1849 do Al. Niewiarowskiego. (*Kartki z niewydanego pamiętnika* Al. Półkoźca, VI, *Echo warszawskie*).

** List Bohdana Zaleskiego do T. Lenartowicza z 31/III 1860. Autograf w papierach po Lenartowiczu, będących w posiadaniu prof. I. Chrzanowskiego.

SPIS DODATKÓW ARTYSTYCZNYCH *)

I IKONOGRAFIA

1. (przed str. 1-szą). C. Norwid. Fotografia.
2. (str. 16—17). C. Norwid. Rzeźba Stanisława Ostrowskiego.

PRACE NORWIDA

3. (str. 32—33). Poeta przed sądem krytyki. Karykatura
4. (str. 48—49). W gospodzie emigranckiej.
5. (str. 64—65). Penelopa (?) szkic.
6. (str. 80—81). Autoportret (?) Rysunek piórkiem.
7. (str. 96—97). Cenzura. Rysunek piórkiem.
8. (str. 112—113). „Człowiek“ z listem. Rysunek ołówkiem.
9. (str. 128—129). Najady.
10. (str. 144—145). Włodzimierz Łubieński. Rysunek piórkiem.
11. (str. 160—161). Andrzej Towiański (?) Portret.
12. (176—177). Hrabina — sawantka. Karykatura ołówkiem.
13. (str. 192—198). Ksawery Dębowski, stolnik bełski w rozmowie z żydem przed dworem w Dębnikach (II) Akwarelka (Porów. rysunek w t. C. str. 112—113).
14. (str. 208—209). Leon Łubieński. Portret.

*) W składach Drukarni W. L. Anczyca i Ski prócz tekstu zachowały się nakłady reprodukcji wielu dodatków artystycznych przeznaczonych do tomu F i dalszych tomów *Pism Zebranych* Norwida. 29 z nich zamieszczamy w tomie niniejszym. Niestety dokonanie szczegółowego ich opisu (z wiadomościami o proveniencji, technice i t. d.) w dzisiejszych warunkach jest niemożliwe. Poprzestajemy z konieczności na spisie ogólnikowym.

15. (str. 224—225). Chrystus wśród dzieci.
16. (str. 240—241). W dzień Bożego Narodzenia. Rysunek ołówkiem.
17. (str. 256—257). August Cieszkowski. Karykatura.
18. (str. 272—273). Zygmunt Krasiński po „Przedświcie”. Portret.
19. (str. 288—289). Stara kobieta. Studium ołówkowe.
20. (str. 304—305). Chrystus i Barabasz. Szkic.
21. (str. 320—321). Piłat.
22. (str. 336—337). T. A. Olizarowski w ostatnich latach.
23. (str. 352—353). Hoene-Wroński. Portret.
24. (str. 368—369). Joachim Lelewel. Karykatura piórkim
25. (str. 384—385). Okręt „Marguerite” na oceanie.
26. (str. 400—401). „Noce” Younga. Karykatura.
27. (str. 416—417). Pan i sługa. Karykatura.
28. (str. 432—433). Zadowolony z życia.
29. (str. 448—449). Karykatura ołówkiem.

SKOROWIDZ ZAWARTYCH W NINIEJSZYM TOMIE F PRAC CYPRYANA NORWIDA PORZĄDKIEM ALFABETYCZNYM UŁOŻONY

Gwiazdki (*) oznaczają prace rysunkowe.

* Andrzej Towiański. Portret . . .	między 160—161
* August Cieszkowski. Karykatura .	między 256—257
* Autoportret C. Norwida (?) . . .	między 80—81
Białe kwiaty	89
„Boga-Rodzica”	301
* Cenzura. Rysunek piórkim . . .	między 96—97
* Chrystus i Barabasz. Szkic . . .	między 304—305
* Chrystus wśród dzieci	między 224—225
* „Człowiek” z listem. Rysunek ołów-	
kiem	między 112—113
Czarne kwiaty	67
Czasem na te zjawiska uważam . . .	159
Do obywatela Dmochowskiego — rzeźbiarza . .	42
* Hoene-Wroński. Portret	między 352—353
* Hrabina — sawantka. Karykatura	
ołówkiem	między 176—177
* Joachim Lelewel. Karykatura piór-	
kiem	między 368—369
* Leon Łubieński. Portret	między 448—449
Litkup na Pradze i porachunek z Wojciechem	3, 446
* Karykatura ołówkiem	między 208—209

Kilka słów o zaszczytnym na cześć Jana Matejki zgromadzeniu	116
Krytycy i artyści	33
* Ksawery Dębowski, stolnik bełski w roz- mowie z żydem przed dworem w Dębni- kach. Akwarela (Porów. rysunek w t. C. str. 112—113	między 192—193
Menego	59
Milczenie	359
* Najady	między 128—129
Nekrolog	40
* Noce Younga. Karykatura	między 400—401
O Balladynie (dodatek)	288
O Juliuszu Słowackim (w sześciu publicznych posiedzeniach	183
* Okręt „Marguerite“ na oceanie	między 384—385
O portrecie i przeznaczeniu jego	162
O rzeźbiarzach florenckich (dziś żyjących)	13, 455
O sztuce (dla Polaków)	129
* Pan i sługa. Karykatura	między 416—417
* Penelopa. (?) Szkic	między 64—65
Pierwszy cykl uwag o sztuce	25
* Piłat	między 336—337
* Poeta przed sądem krytyki. Kary- katura	między 32—33
* Stara kobieta. Studium ołówkiem	między 288—289
Sztuka jako żywy organ społeczny	170
Sztuka okolicznościowa	178
* T. A. Olizarowski w ostatnich latach	między 336—337
Una picciolissima osservazione al illustre autore del Magnificat delle arti	125

* W dzień Bożego Narodzenia. Rys. ołówkiem	między 240—241
* W gospodzie emigranckiej	między 48—49
Widowiska wogóle uważane	113
* Włodzimierz Łubieński. Rysunek piórkiem	między 144—145
W odpowiedzi na IX list z Poznania w Ga- zecie Polskiej	27, 473
Wszystkie ekspozycje razem	181
Wyjątek z listu z Krakowa	4, 450
* Zadowolony z życia	między 432—433
Z pamiętnika	47
* Zygmunt Krasieński po „Przed- świcie“ Portret	między 272—273

— EX LIBRIS —
Biblioteki Kuratorium O.S.B.
w Białymstoku

1513

Pedagogiczna
Biblioteka Wojewódzka

na miejscu
w Białymstoku

1513